

# AŁBENA GRABOWSKA

AUTORKA BESTSELLEROWEGO STULECIA WINNYCH

## Najważniejsze to przeżyć



AŁBENA  
GRABOWSKA

**Najważniejsze  
to przeżyć**



REBIS

Dom Wydawniczy REBIS



## MIRKA

Marysia Mazurówna umarła, bo ukąsiła ją żmija. Powiedziała nam o tym stara Maciejowa i zaniośła się płaczem. Maciejowie byli dziadkami Marysi. Mama i ojciec stali przed stodołą i słuchali z niedowierzaniem. Skąd by się u nas wzięła żmija? – pytali zdumieni. Jesteście pewni, Maciejowa? Co do mnie, nie byłam zdumiona. Skoro żmija ukąsiła Marysię, to musiała tam być.

Podczas pogrzebu dawało się wyczuć podniecenie, jak zapowiedź późniejszych wydarzeń. Wieś pożegnała Marysię, tego pięknego aniołka, który zasnął w Panu, jak mówił ksiądz Witold. Znałam dobrze Marysię. Uparta, pyskata i wszędzie jej było pełno, prawdziwe utrapienie. Na pewno nie była aniołkiem, a dałabym sobie rękę uciąć, że po ukąszeniu wrzeszczała niczym opętana i wcale nie zasnęła w Panu.

Właśnie dlatego umarła, że była niegrzeczną dziewczynką. Ukradła Stefaniakom – okazało się potem – kawałek boczku, który suszył się u nich w spiżarni. Stefianiaki dopiero co kupiły gdzieś po kryjomu kawał świni, bo ich najstarsza córka, głupia jak but Kryśka, miała wyjść za Romka, kawalera z sąsiedniej wsi. I Stefianiak, który zobaczył Marysię wychodzącą oknem z czymś pod koszulą, poszedł prosto do Mazura, który Marysię złapał, sprzął na kwaśne jabłko, a potem zamknął w szopie, żeby jeszcze sobie przemyślała straszny czyn. Tam właśnie nieszczęsna zakończyła swój ośmioletni żywot.

Ponoć Mazur wrócił do szopy, bo zdziwiło go, że za drzwiami cisza, a córka nie próbuje wyjść przez dach. I znalazł ją martwą, a obok siedziała, czy też leżała sobie w spokoju, żmija. Mazur był tak zdumiony, że pozwolił gadowi odpełznąć. Wieś musiała mu zatem uwierzyć na słowo, chociaż ksiądz Witold i ci, którzy szykowali Marysię do pogrzebu, w tym moja matka i ojciec doktor, widzieli dwie dziurki na nodze dziewczynki.

Zastanawiałam się, czy winą za jej śmierć obarczą Stefianiaka czy Mazura. A może wszystko skupi się na winowajczyni, która odpełzła w las. Nie trzeba było długo czekać. Najpierw wieś zwróciła się przeciwko Stefaniakowi, który miał boczek. Cóż winne dziecko, pewnie głodne było, szeptano. Przecież jest bieda. Głodujemy. Stefianiak skąd miał pieniądze na świnię. Sam świnią. Winny. Potem szeptę zaczęły parzyć plecy Mazura, który nie dość, że zbił dziewczynkę, to jeszcze zamknął ją w szopie. Po co zamykał, mówiono, gad tylko czekał, żeby zatopić zęby w szyi dziecka. Winny. Słyszałam te głosy i ledwie powstrzymywałam się, aby nie sprostować, że żmija ukąsiła Marysię w nogę, a nie w szyję.

Wieś podzieliła się na dwa obozy. Jedni, w tym moi rodzice, trzymali z Mazurem, który z żalu za jedynym dzieckiem pił na umór i bił swoją babę, matkę Marysi. Mazurowej nikt nie żałował. Pamiętano, że Mazur wziął ją bez posagu, sierotę niepotrafiącą zliczyć do trzech, a ta zamiast zdrowych, pracowitych synów dała mu jedną jedyną Marysię, która diabła miała za skórą, chociaż niby to jak umierała, zamieniła się w aniołka. Gdyby mnie ktoś pytał, tobym powiedziała, że to Mazurowa była dobra i cicha, pracowała ponad siły i sama była jak anioł, jeśli anioły mogą być takie brzydkie i brudne.

Pozostali oskarżali Stefianiaka, któremu się dobrze powodziło, a wszyscy wiedzieli dlaczego. Była zatem okazja, aby sprawić, żeby mu się przestało tak powodzić. Stefianiak wiedział, że za boczek, czy też śmierć dziecka, co na jedno wychodziło, może zapłacić wysoką cenę. Postanowił się zatem zabezpieczyć przed ludzkim gniewem. Zaczął od tego, że przelożył wesele Kryśki. Kryśka nie rozumiała, dlaczego „ojciec jej to robią”, i wyrzaskiwała swoje żale, aż Stefianiak sprzął ją tak, że sama nie chciała brać ślubu z siniakami na rękach i twarzy. Przyszły mąż się za nią nie ujął, co więcej, zaraz się obraził, że niby Stefianiaki afront mu robią, i po tygodniu wziął ślub z panną ze swojej wsi, a dwa dni po ślubie poszedł po drewno do lasu i tam nastąpił na minę. Nic z niego nie zostało. Ludzie pomyśleli, że Pan Bóg jednak wini Stefianiaka za nieszczęście Marysi, chociaż jak to On, okazał swoje niezadowolenie w bardzo pokretny sposób. Ale nie powinienam tak mówić, bo to straszny grzech.

I wtedy się zaczęło. W biały dzień ludzie weszli Stefianiakowi do stodoły i zabrali całe ziarno na zasiew. Chociaż Kryśka i Stefianiakowa zawodziły, to dwóch silnych chłopów trzymało Stefianiaka, a reszta wynosiła worki. Potem podpalili stodołę, a ziarno poszli podzielić między siebie. Efekt był mizerny, bo zaraz Mazury ze Stefianiakami ugasił ogień, a chłopcy pokłócili się o ziarno i część poszła na zmarnowanie. Mazur mruknął, że to on powinien dostać ziarno, kiedy Stefianiak mu dziękował, że on jeden stanął w jego obronie.

– Bierz! Bierz, bracie! – powiedział mu na to.

Ale Mazur nie wziął, tylko splunął i poszedł. Następnego tygodnia ktoś dopadł w lesie Kryśkę

i sobie z nią použíwał.

– Głupia była, że powiedziała. – Podśluchałam rozmowę rodziców z Matysiakową, która wiedziała o wszystkim, co się dzieje we wsi. – Mogła cicho siedzieć, toby się nie wydało, że jest zhańbiona.

– Jak miała nie powiedzieć, kiedy ją baby zakrwawioną znalazły? – wyszeptęła gniewnie mama. – Co im winna Kryśka?

– Przecież nie o nią szło. Kryśka płaci za grzechy ojca.

– Na pewno to były nasze chłopcy, a nie Rosjanie? – dosłyszałam głos taty.

– Jakie grzechy, kiedy Marysia ukradła boczek! – W tej samej chwili mama uderzyła gniewnie szmatą o stół. Robiła tak zawsze, kiedy się złościła, chociaż przyznać trzeba, że złościła się niezwykle rzadko. – Pan Bóg by ją sądził, a tak Mazur zamknął w szopie.

– I co, Mazura wina? – Tato stukał palcami po stole.

– Mazura wina, Stefaniaka wina, żmii wina – burknęła Matysiakowa. – Pan Bóg tak chciał. To wam powiem.

I zaraz zaczęła mówić, że gdyby nie to, co się dzieje dokoła, toby żmii nie było, a byłby Pan Bóg. No nie wiem.

– A ja wam powiem, pani Matysiakowa, że to wcale nie tak... – odezwał się tato, ale dalej nie dosłyszałam, bo musiałam odejść od drzwi.

Pan Bóg chciał wyraźnie, żeby Stefaniak zamienił się w Hioba, biblijnego nieszczęśnika, o którym opowiadał nam, dzieciakom, ksiądz Witold. Ta opowieść zrobiła na mnie na tyle duże wrażenie, że zachwiała moją wiarą. Chociaż nie mówiłam tego głośno, już dużo wcześniej przestałam wierzyć, że Bóg jest dobry, wystarczyło tylko rozejrzeć się dokoła, żeby nie mieć żadnych wątpliwości. Po opowieści o Hiobie przestałam jednak wierzyć w mądrość Boga. Skoro Bóg zachowuje się jak chłopcy z naszej wsi, to nie może być mądry. I po raz pierwszy pomyślałam, że skoro Bóg nie jest ani mądry, ani dobry, to może po prostu w ogóle go nie ma. Bo zabrał też Stefaniakową, która na wieść o nieszczęściu córki udała się do jednego z gwałcicieli – Jaśka Wygódki. Powiedziała mu, że ona nijakiej pretensji nie ma i żeby Jasiek ożenił się z Kryśką. Na dowód dobrych intencji przyniosła chleb. Jasiek Wygódka Stefaniakową wyśmiał, ale chleb wziął. I zjadł. A potem padł, bo była w nim trutka na szczury. Razem z Jaśkiem życie oddali jego brat Jędrzek i ojciec Marek, którzy także zjedli chleb, śmiejąc się z głupiej Kryśki i jej starej, brudnej matki. Potem Stefaniakowa poszła do drugiego winowajcy i tam już nie powtarzała sprawy z chlebem nadziewanym trucizną, tylko wyjęła nóż spod spódnicy i zatopiła go w szyi Tadka Konopki, który umierając, ponoć spytał głupio:

– Za co?

Nie wiem, czy Stefaniakowa mu odpowiedziała. Wiedząc, że jej los jest przesądzony, wróciła do siebie i usiadła na ławce przed domem, nakazawszy Kryśce, żeby nie wyściubiła nosa z chałupy. Prosto w pierś dźgnął Stefaniakową widłami Leluk, młodszy brat Tadka Konopki. Ksiądz Witold miał zatem pięć ciał do pochowania i lekkomyślnie postanowił pogrzebać je jednego dnia, przy okazji dając ludziom ze wsi kazanie na temat tego, czym jest bezsensowna zemsta. Ludzie nie zrozumieli jego słów albo nie chcieli zrozumieć, bo rzucili się do wymierzania sprawiedliwości zaraz pod kościołem, chociaż ksiądz krzyczał, że ich wszystkich pochłonie ogień piekielny.

Nie wiadomo, co by się stało, bo Bartek Wojtków już zamierzał się na księdza, kiedy Stefaniak postanowił zakończyć sprawę. Wyciągnął sznur i zagroził, że się powiesi. Nie żeby ktoś się tym przejął, ale każdy chciał zobaczyć, czy dotrzyma obietnicy, to po pierwsze, a po drugie, czy nie trzeba będzie mu w tym pomóc. Pomóc najbardziej chciał Mazur, który sobie przypomniał o Marysi i o tym, że coś powinien ugrać na śmierci Stefaniaka. Mazurowa go wprawdzie odciągała i wzywała do opamiętania, ale jej nie słuchał. Walnął żonę w głowę i kazał wracać do domu i drzwi zamknąć. Na krótko cała niemal wieś, wyjąwszy księdza Witolda, moich rodziców oraz mnie, zjednoczyła się w zamiarze wspólnego wymierzenia dziwnej sprawiedliwości, jaką w ich mniemaniu byłoby powieszenie Stefaniaka. I pewnie by to nastąpiło, chociaż Stefaniak się wahał, ale od strony wsi nadbiegł Wicek, chłopak Farynow, wiejski głupek.

– Wojna się skończyła. Hitler kaput! – wrzasnął.

\* \* \*

Cała rodzina Danusi przeżyła. Kiedy wróciliśmy do Warszawy, rodzice, uszczęśliwieni, że nasza kamienica na Marszałkowskiej wciąż stoi, zabrali się do sprzątania i ratowania tego, co zostało, przy czym zostało bardzo niewiele. Ja pobiegłam szukać mojej najlepszej przyjaciółki. Warszawa wyglądała jak jedno wielkie cmentarzysko. Nie żyli ludzie, nie żyły domy, nie żyły drzewa. Kiedy mijałam mogiły, zamiast szukać znajomych nazwisk, zamykałam oczy. Nie chciałam czytać tych imion, nie chciałam wiedzieć. Przynajmniej na początku.

Siedziała w kucki przy studni na Hożej i dłubała patykiem w skrawku gołej ziemi. Aż mi się słabo zrobiło z radości na jej widok.

– Mirka – powiedziała, ale wcale nie wyglądała na zdziwioną, jakby to, że i ja żyję, było czymś oczywistym.

– Co robisz? – Przycupnęłam obok niej.

– Szukam skarbu – wyjaśniła poważnie. – Zakopałam przed powstaniem.

To była nasza ulubiona zabawa. Wystarczyło wykopać płytką dziurę w ziemi i położyć w niej koraliki, kwiatki, liście. Przykrywało się wszystko szkłem. Tak można było bez końca skarb zakopywać, odkopywać i cieszyć nim oczy.

– Znalazłaś? – spytałam.

Pokręciła głową.

– Ktoś wykopał. – Westchnęła. – Pewnie gdy chcieli jakiegoś trupa zagrzebać.

– Coś ty, głupia – zaprotestowałam. – Trupów się nie grzebie przy studniach.

– Sama jesteś głupia. – Danusia wzruszyła ramionami. – To nie jest studnia, tylko pompa.

– Na jedno wychodzi – upierałam się. – Przy wodzie nie wolno.

Wstała i otrzepała spódniczkę.

– Kiedy wróciłaś? – przeszła do konkretów.

– Rano – odpowiedziałam. – Wszyscy twoi żyją?

– No – stwierdziła lekkim tonem. – Alek w oflagu, ale pisał, że wraca. Mama pisała do Tereski, żeby się nie martwiła.

Alek był starszym bratem Danusi. Walczył w Szarych Szeregach i poszedł do powstania. Kochał się w mojej siostrze Teresce. A ona w nim. Nic nam nie mówiła, mała jedna, chociaż musiała wiedzieć, że wszyscy Frankońscy przeżyli.

– Czemu w oflagu? – spytałam.

– No, po powstaniu... – Danusia wzruszyła ramionami, ale potem popatrzyła na mnie jakoś tak krzywo i powiedziała: – Tych, którzy przeżyli powstanie, zaciągnęli do Pruszkowa. Dużo osób wywieźli do obozów, tych, którzy walczyli, żołnierzy znaczy, do oflagu. Alek trafił gdzieś w głąb Rzeszy, ale pisał stamtąd i mówił, że bardzo dobrze ich traktują. Studiował tam nawet. Inżynierę.

To było coś. Alek, nie dość, że piękny jak marzenie, odważny jak grecki heros, to jeszcze inżynier. Tereska jest szczęściarą.

– Nie było was, to nie wiesz – Danusia dodała pogardliwie.

Nie moja wina, że musieliśmy uciekać z Warszawy, bo mama i ojciec działali w konspiracji. Mama, przedwojenna nauczycielka, prowadziła tajne komplety, ojciec był lekarzem. Pamiętam, jak w kuchni wyciągał jednemu chłopakowi z ręki odłamki pocisku, a mnie i Teresce kazał mocno go trzymać. Chłopak wył i się rzucał, bo tak go bolało. Potem leżał u nas w domu, a ja poiłam go wodą, podczas gdy Tereska ścierała z podłogi w kuchni zakrzepłą krew. Wszyscy mi powtarzali od rana do wieczora, żebym nikomu nic nie mówiła, nawet w największej tajemnicy, jakbym była jakaś głupia i nic nie rozumiała. Oczywiście, że nic bym nie pisnęła, nawet na mękach.

Rodzice pewnie poszliby do powstania, ale na szczęście dla nas wszystkich, najbardziej dla Tereski, ktoś nas wsypał jeszcze w marcu i zrobili nam kocioł. Nikogo akurat nie było w mieszkaniu. Ja siedziałam u Danusi, Tereska wybrała się na spacer z Alkiem, ojciec był w szpitalu, w pracy, a mama już nie pamiętam gdzie. To matka Danusi uprzedziła nas, że w mieszkaniu są Niemcy. Zobaczyła ich, jak wchodzili od tyłu i zaczęli się na nas. Ja pobiegłam po ojca do szpitala, Danusia w Łazienkach odnalazła Tereskę i Alka, a jej mama tak długo krążyła po ulicy, aż dostrzegła, jak moja wraca, i uprzedziła ją o akcji Niemców. Nie poszliśmy już do domu. Jak staliśmy, pojechaliśmy na wieś, do Babci Hrabiny.

Babcia Hrabina nie była moją babcią. Moja babcia zginęła zaraz na początku wojny, w pierwszych dniach września. Szła wiejską drogą razem z innymi ludźmi, gdy nadleciał messerschmitt. Ją i jeszcze kilkanaście osób zastrzelili z tego samolotu, z karabinu. Nie wiedzieliśmy, że tak można. Potem zaczęli bombardować Warszawę i to tak, że ojciec miał pełne ręce roboty w szpitalu – prawie stamtąd nie wychodził. I kiedy Niemcy zaczęli nas bombardować, a babcia zginęła, ojciec stwierdził, że to jest jakieś nieporozumienie ta cała wojna i najlepiej ją przeczekać, bo zaraz się skończy. Tak się wyraził:

– To jest jakieś jedno wielkie nieporozumienie. Hitler chce coś osiągnąć, a jak osiągnie, wróci do siebie.

– Jedyna nadzieja w Anglii i Francji – mówiła mama, która chyba nie wierzyła w to nieporozumienie. Wolała wierzyć w zachodnie mocarstwa, które mogły Hitlera pokonać w kilka dni, ale jakoś się nie złożyło.

W ramach tego przeczekania ojciec wysłał nas na wieś, do domu państwa Grzegorzewskich, herbu jakiegoś tam, którzy przed wojną zatrudniali moją babcię jako gospodynię. Porządna rodzina. Od razu nas przyjęli. Dali nam do dyspozycji domek ogrodnika i czekaliśmy, aż „wszystko się skończy”. Czekaliśmy tak do wiosny 1940, a potem wróciliśmy do Warszawy. Wojna trwała w najlepsze. Szkoły nie było. Teresa od razu poszła do harcerstwa, kończyła kursy pierwszej pomocy, a mama zaczęła po kryjomu uczyć polskiego swoją dawną klasę. Tato pracował w Szpitalu Dzieciątka Jezus. Wszystko się udało. Kiedy znów pojechaliśmy na wieś, przed powstaniem, prawie cała rodzina Grzegorzewskich nie żyła, a w ich dworze mieszkali Niemcy. Babcia Hrabina siedziała w domku ogrodnika i umierała z głodu, bo ludzie ze wsi dojrzeli świetną okazję, aby „znenawidzonemu państwu” pokazać, gdzie jego miejsce. Wszystko jej zabrali, bo tak się złożyło, że niczego nie schowała. Ani biżuterii, ani pieniędzy. To był rozbój w biały dzień, tyle że nie było się komu poskarżyć. Jak nas zobaczyła, to aż się popłakała z radości, i tak zamieszkaliśmy z nią w dwóch izbach. Mama i ojciec natychmiast się Babcią Hrabina zajęli, a wieś szeptała, że jakbyśmy byli mądrzy, tobyśmy poczekali, aż umrze, i majątek przejęli. Wieśniacy niby życzliwi, ale w łyżce wody by utopili. Niektórzy byli jednak porządni, chociażby taka Matysiakowa. Jak Niemcy się dowiedzieli, że się do Babci Hrabiny sprowadziliśmy, to bardzo się interesowali, kto my jesteśmy i skąd się akurat tu wzięliśmy. Rodzice byli w strachu, że zamiast pod murem w Warszawie zastrzelą nas w lesie i w dole pochowają. I Matysiakowa pomogła, choć chyba liczyła na to, że po wojnie Babcia Hrabina odzyska dwór i my się tam wprowadzimy, a i jej coś skapnie. Niby jak mielibyśmy przejąć, skoro nic nie było nasze. Ale babinę żeśmy odratowali i jeszcze żywili, bo grosza przy duszy nie miała, mimo że Hrabina. Moja rodzina nie była mądra w takim sensie, w jakim pojmowała to wieś. Tato leczył za darmo, gdy widział, że nie mają czym zapłacić. Mama na szczęście nie uczyła wiejskich dzieciaków, bo uznali z tatą, że zawsze we wsi może się znaleźć ktoś, kto na nich doniesie. Całe dni tyrała jednak w polu Matysiakowej, a potem nawet u innych, zależy, kto zapłacił. Głównie ja jej pomagałam, bo Teresa była w takiej rozpacz, że musiała z Warszawy wyjechać, zostawić Alka i wszystkie koleżanki z konspiracji, że nie nadawała się do niczego. A już kiedy powstanie wybuchło, trzeba ją było w szopie zamknąć jak nieszczęsną Marysię i pilnować, żeby nie uciekła i nie poszła walczyć. I tak doczekaliśmy końca wojny, a potem wróciliśmy do tych ruin, które były naszym domem. Babcia Hrabina, którą zdążyliśmy polubić, a nawet pokochać, pojechała z nami. Nie mogła zostać we wsi. Nie wiedziałam dlaczego, ale wyjeżdżaliśmy stamtąd po nocy, w pośpiechu, więc powód musiał być poważny. Słyszałam tylko, jak mama płakała, a ojciec powtarzał, że musimy jechać, bo nie ma na co czekać. Babcia Hrabina też płakała i mówiła, że Rosjanie wrócą. I że to zwierzęta.

– Karasie zginęły – powiedziała nagle Danusia, przerywając moje myśli. – I Iwonka. Kryśka Pograżanka i Janka od Olszaków. Franka Banasiówna i Felek Potocki. I Stefan. Z naszej klasy zostałyśmy tylko my i Amelka z Tadkiem. I nikt więcej.

Serce zatrzepotało mi w piersi. Stefan Zamieniecki zginął. Nie, tylko nie on.

– Skąd wiesz? – spytałam z gardłem ściśniętym żalem. – Skąd wiesz, że Stefan?

Znów wzruszyła ramionami.

– Nie ma go – odpowiedziała.

Danusia już taka była. Wojna, nie wojna, nic nie było w stanie wyprowadzić jej z równowagi ani wywołać w niej uczucia żalu czy radości.

– Ale kiedy? I gdzie zginął?

– Pod koniec powstania. Ktoś widział, jak wchodził do kanałów, a potem Niemcy ich dopadli i rozstrzelali wszystkich.

Rozpłakałam się. Tylko nie Stefan, nie ten piękny, mądry chłopak, który umiał strzelać, zdobywał szczyty Tatr i niczego się nie bał. Nie mój ukochany przyjaciel.

– Przestań się mazać, Mirka – burknęła Danusia. – Trzeba żyć dalej.

Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić. I jakie to życie bez nich wszystkich? Bez Stefana.

\* \* \*

Pod koniec maja do domu wróciła Halina Muraniec, koleżanka naszej Tereski. Nie wiedzieć czemu zrobiono z tego wielką tajemnicę. Ojciec przywiózł ją nocą i wniósł na górę owiniętą kocem. Nie widziałam dobrze w ciemności i nie byłam przekonana, że to Halina, bo przed wojną była dorodną pannicą, taką, co to jak Jagienka tyłkiem mogła orzechy tłuc, a teraz na rękach ojca wyglądała niczym dziecko.

– Kiedy wyzwolono obóz, ważyła ledwie trzydzieści kilo – słyszałam moją mamę rozmawiającą z Tereską.

Tereska dowiedziała się, że Alek żyje i jest w oflagu, więc nie miała już takiego żalu o powstanie.

Czekała na jakąś wiadomość od niego, taką tylko dla niej, i po cichu planowała ślub, chociaż mama powtarzała jej, że ma dopiero dwadzieścia lat i nie skończyła szkoły.

– Pytałam pani Murańcowej, czy mogę ją odwiedzić, ale się nie zgodziła – odparła Tereska stro-skany głosem.

– Nie dziwię się. Podobno miała najpierw pojechać do sanatorium, ale uznano, że przy rodzinie szybciej dojdzie do siebie.

Wiedziałam, że w obozach koncentracyjnych robili ludziom straszne rzeczy, głodzili, bili i zabijali. Znałam takich, którzy trafili do Oświęcimia czy Ravensbrück, głównie sąsiadów, znajomych bliższych i dalszych, zabranych z łapanki albo wywiezionych tam z Pawiaka. Niektórzy, jak państwo Korbowsky czy Ulaszkiewiczowie, jeszcze kiedy trwała wojna, dostali listy świadczące, że ich bliscy nie wrócą. Inni dostali takie tragiczne wiadomości po wojnie. Pamiętam, jak państwo Murańcowie cieszyli się, że Halinka przeżyła. Pani Murańcowa upiekła na tę okoliczność ciasto i poczęstowała całą kamienicę, chociaż wszyscy jej radzili, żeby schowała cukier i mąkę, bo szkoda ich na przyjemności, kiedy taka bieda.

– A nie mogli poprosić taty, żeby zbadał Halinkę? – Nie wytrzymałam i ujawniłam, że podsłuchuję, ryzykując burę.

Mama na szczęście nie zbeształa mnie, tylko odpowiedziała z żalem w głosie:

– Myśleliśmy, że tak zrobią. Tata im proponował, że zajmie się dziewczyną, ale nie chcieli. Pani Murańcowa ma ją zawieźć do Zakopanego, do rodziny. Górskie powietrze jej pomoże.

Tereska poszła jednak odwiedzić Halinkę, a pani Murańcowa pozwoliła jej zobaczyć córkę. Moja siostra wróciła z oczami zognionymi z przerażenia, zamknęła się w naszym wspólnym pokoju i długo płakała. Mama, tata i na końcu ja pukaliśmy do drzwi, aż wreszcie wyszła i rzuciła się mamie w ramiona.

– No ale co się stało? – spytałam.

– Wszystko się stało. Wszystko – odpowiedziała Tereska, a potem zamknęła się z mamą i nawet z tatą nie chciała rozmawiać.

Danusia wiedziała nieco więcej o Halinie.

– Ona tam zwariowała. Zwariowała w obozie. Muszą jej pilnować, żeby nie wyskoczyła przez okno.

– Skąd wiesz? – spytałam. – I co to znaczy „zwariowała”?

– Mama mówiła – odparła i dodała: – Ponoć dlatego nie zostawili jej w tym sanatorium. Bo próbowała się czymś otruć. A potem chciała wyskoczyć przez okno.

– Ale dlaczego? – Nie mogłam zrozumieć.

– Nie wiem. – Danusia tym razem wyjątkowo nie wzruszyła ramionami.

– Przecież przeżyła, prawda? Tylko to się liczy. Sama tak mówiłaś.

Poczułam znów dojmujący żal na myśl o Stefanie i odwróciłam się, żeby Danką nie widziała łez napływających mi do oczu.

– Prawda – przytaknęła przyjaciółka, ale jakoś niepewnie. – Niby tylko to się liczy, ale widać nie dla wszystkich. Moja mama tak mówi. I jeszcze że Halinka nie może zapomnieć.

– W tym Zakopanem jej pomogą? – spytałam, bo wciąż chciałam zrozumieć, co się stało z Halinką i czemu pani Murańcowa na zmianę z panem Murańcem pilnują córki, żeby się nie otruła.

– Przed wojną jedna moja kuzynka była tam w sanatorium, bo miała początki gruźlicy. I ją wyleczyli – przypomniała sobie Danką.

– I co się z nią stało?

– Nic – odpowiedziała nieuważnie. – Ona była z Krakowa. Zastrzelili ją na ulicy.

– Halinie na pewno pomogą w Zakopanem – stwierdziłam z nadzieją w głosie.

Uważałam, że to bardzo niesprawiedliwe, że Halinka przeżyła, a teraz dzieje się coś takiego, że nie chce żyć.

– Na pewno. – Danusia popatrzyła w dal. – Wróci taka sama gruba, jak była kiedyś.

Na chwilę zjednoczyliśmy się w wierze, że będzie jak kiedyś. Jak wtedy, gdy Halinka była gruba.

\* \* \*

W tajemnicy chodziłam na Stare Miasto, żeby szukać grobu Stefana. Dowiedziałam się, do którego kanału wszedł i kiedy stało się nieszczęście, że Niemcy wcale nie wrzucili granatu do środka i Stefana nie rozerwało. Wpuścili gaz i ludzie zaczęli się dusić, dlatego wyszli. Tamci tylko na to czekali. Ustawili ich pod murem i rozstrzelali. Potem pochowano ich w kilku zbiorowych grobach. Niemcy byli tacy skrupulatni, że kazali postawić tabliczki z nazwiskami zabitych. Nie wszyscy jednak mieli przy sobie dokumenty, dlatego brak nazwiska na grobie nie zawsze był jednoznaczny wskazówką dla szukających

swoich bliskich.

Ile razy wchodziłam na Długą, tyle razy wyrastała przede mną niewidzialna ściana. Nie mogłam zrobić kroku. Widziałam groby z daleka i nie byłam w stanie wejść między nie. Próbowalam się zmusić, ale nogi zaczynały mi drżeć, kolana się ugiwały i zawracałam, aby przeplakać resztę dnia w ukryciu. I tak kilka razy, dzień w dzień. Wreszcie prawie się poddałam, bo poszłam tam siódmy raz i stało się to samo. Gdy już dotarłam do Długiej, zatrzymałam się przed kupą cegieł, które kiedyś były czymś domem, zaczęłam się trząść i ani wte, ani wewte. Tyle że tym razem nie byłam sama. Jakaś pani, która najwyraźniej czuła to samo co ja, wzięła mnie za rękę i powiedziała, że możemy pójść szukać razem. I tak magiczny dotyk jej dłoni odczarował moje stopy i kolana. Zrobiłam pierwszy krok. Za nim następny i jeszcze jeden.

– Kogo szukasz, dziewczynko? – spytała ta miła pani. – Mamy? Taty?

– Stefana. To był mój przyjaciel...

– Ja syna. Ponoć tu właśnie zginął.

Powiedziała to spokojnie, ale widziałam, że jest przejęta, a poza tym dłoń, którą mi podała, była mokra i drżąca.

– Jest pani pewna, że tu zginął?

Pokręciła głową. Słusznie, czego tu być pewnym w takiej sytuacji. Znajdzie człowiek grób – źle, nie znajdzie, też źle, bo tylko mękę się przedłuży.

– Jak się nazywa? – spytałam, pomagając jej pokonać pozostałości barykady.

– Jan Garwoń – wyszeptala i musiałam ją podtrzymać, żeby nie upadła.

Leżał zaraz za stertą gruzu. Na niewielkim kopczyku ktoś wypisał bardzo wyraźnie imię i nazwisko. Pojedynczy grób. Nie mogło być mowy o pomyłce.

– Bardzo mi przykro – bąknęłam, bo nie wiedziałam, co powiedzieć.

Nie patrzyła na mnie, nie płakała, tylko oddychała bardzo szybko, aż w końcu osunęła się na kolana, kalecząc sobie skórę.

– Proszę pani, proszę pani... – Próbowalam postawić ją na nogi.

– Idź, dziecko, idź... – poprosiła. – Szukaj dalej, szukaj dalej.

Nie chciałam iść, nie chciałam znaleźć Stefana. Wystarczyło, że ona odnalazła syna.

– Zostanę przy pani – odparłam.

Czułam, że mogę coś zrobić dla tej nieszczęsnej kobiety – stać przy niej i czekać, aż nabierze tyle sił, żeby wstać. Nie puszczałam jej ręki, tak samo jak ona nie puściła mojej u wrót ulicy Długiej.

– Zabiorę panią do nas – powiedziałam błagalnym tonem. – Mój tata jest lekarzem, na pewno pani pomoże.

– Nie trzeba – szeptała, trzęsąc się jak osika.

Nie wiedziałam, co trzeba zrobić, jeśli się znalazło czyjś grób. Zgłosić to władzom? Zagadać do żołnierzy, którzy przeprowadzają ekshumacje?

– Zostanę z panią – stwierdziłam stanowczo i usiadłam koło niej, wprost na ziemi. Jacyś ludzie nas ominęli. Pewnie też szukali bliskich.

– Idź, proszę – powtórzyła, ale ja się uparłam i nie dałam się przegonić. Czułam, że nie mogę jej zostawić.

Kiedy odzyskała trochę sił, odprowadziłam ją do domu na Wilczej, w którym mieszkała, bo za nic nie chciała iść do nas.

– Jakby trzeba było pomóc, to pani zapyta o Mirkę Pataczkównę – powiedziałam. – Marszałkowska czterdzieści cztery.

– Miał tylko dziewiętnaście lat... – Patrzyła na mnie dużymi, smutnymi oczami.

Przyglądałam się jej poszarzałej twarzy. Kobieta wyglądała teraz, jakby była babcią tego chłopaka, który zginął, nie matką.

– Mirka Pataczkówna – powtórzyłam. – Marszałkowska czterdzieści cztery. Mój tato jest lekarzem. Pomoże pani.

Odprowadziłam ją wzrokiem. Weszła do częściowo zburzonego domu i zniknęła mi z oczu. Długo tam stałam, nim wróciłam do siebie. Cieszyłam się, że nie znalazłam Stefana.

\* \* \*

Ludzie wracali. Rodziny znajomych, znajomi znajomych, znajomi sąsiadów. My nie czekaliśmy na nikogo. Mama i tato nikogo już nie mieli. Zналиśmy losy niemal wszystkich bliskich sąsiadów. Mama dowiedziała się, które z jej koleżanek przeżyły, ale powiedziała o tym tylko tacie, a potem zamknęła się w pokoju i płakała.



Tato z początku nie mówił, kto ze szpitala zginął podczas powstania. Niemal wszystkich lekarzy żydowskiego pochodzenia zabili wcześniej – w getcie albo w obozach koncentracyjnych. Z jego kolegów Polaków przeżyło tylko dwóch, ale nie chcieli wracać do Warszawy. Jeden prosto z oflagu pojechał do Hiszpanii, drugi ponoć popłynął za ocean. Chciałabym zobaczyć kiedyś ocean.

Babcia Hrabina też nie miała już nikogo oprócz nas. Słyszałam, jak tato pytał ją, czy nie chciałaby pojechać na wieś, aby odzyskać majątek. Sądziłam, że z dworu kamień na kamieniu nie został, a w domku ogrodnika pewnie z pół wsi mieszka. Babcia Hrabina musiała być tego samego zdania, bo powiedziała tacie, że cudem udało się uciec i żeby już do tego nie wracali. Pewnie chodziło o tę bijatykę we wsi po śmierci Marysi, ale przecież Babcia Hrabina nie miała z tym nic wspólnego.

– Przeczekamy, a potem zobaczymy, jak będzie... – powiedziała mama.

– Ja bym już wołała nigdy do tego koszmaru nie wracać. – Babcia westchnęła i dodała coś cicho, czego nie usłyszałam.

– Proszę się nie martwić – pocieszył ją tato. – Trzeba żyć dalej. I pogodzić się z tym, że wszystko we dworze zostało rozkradzione.

– Wiesz, Irenko, czego mi najbardziej żal? – zagadnęła Babcia Hrabina.

Mama taktownie milczała. Co niby miała powiedzieć? Czego mnie było najbardziej żal, kiedy wróciliśmy do domu? Dom niby stał, ale mieszkanie było zupełnie zniszczone. Przed wojną zajmowaliśmy cztery pokoje i piąty malutki, gdzie mieszkała Genowefcia, nasza służąca, która zginęła przy pierwszym bombardowaniu Warszawy, tego samego dnia co moja prawdziwa babcia. Teraz zostały nam tylko dwa pokoje. Trzeci nie miał jednej ściany, czwarty dwóch, a piąty, ten Genowefci, w ogóle zniknął. Wszystko było kompletnie zrujnowane. Zastaliśmy stłuczone szyby, podziurawione kulami parapety i wyrwane futryny okien. Z mebli i koców zrobiono coś w rodzaju barykady, zza której strzelano. W kuchni wszystkie naczynia były potłuczone, a garnki i sztućce rozkradziono. Ze spiżarki zniknęły wszystkie zapasy. Ktoś wyrzucił moje łóżko przez okno, a łóżko Tereski porąbał na kawałki. Uchował się tylko materac, ale cały dziurawy i ze śladami sików. Mama i tata mieli przed wojną bardzo dużo książek. Stały na regale w pokoju. Oboje kochali czytać. Teraz nie było już regału, książek też nie. Ani śladu. Jeśli ktoś je spalił, to musiał najpierw wynieść wszystkie z domu albo wyrzucić je przez okno. Nawet skrawki papieru nie zostały. Wszystkie moje zeszyty i zabawki się spaliły. Tu niestety znalazłam ślady. Płakałam nad szczątkami lalek i zielników, nad zniszczoną kolekcją roślin, które zbierałam, bo chciałam być kiedyś biologiem. Z zabawek ocalał tylko miś Pankracy, dlatego że zabrałam go na wieś. Zaraz jednak mama mi powiedziała, że to wstyd płakać za lalkami, skoro mam dach nad głową i co jeść. Tylko że nie chodziło o lalki, ale o Stefana. O to, że Stefana już nie ma. Każda myśl o nim powodowała, że musiałam mrugać albo wtulać twarz w futerko Pankracego, żeby się nie rozplakać. To był prawdziwy, najprawdziwszy żal.

– Najbardziej żal mi koni – z zamyślenia wyrwały mnie słowa Babci Hrabiny.

– Mówiła pani, że zabrano je zaraz na początku wojny. – Głos mamy był ciepły i spokojny. – Trzeba wierzyć, że ktoś się nimi dobrze zaopiekował.

– Tak sądzisz, moja droga?

– Wierzę w to.

Babcia Hrabina miała piękne konie. Należały do jej męża, oficera Wojska Polskiego, pułkownika albo nawet generała, który zawsze zachowywał się, jakby był na placu defiladowym. Kochał Piłsudskiego, walczył u jego boku i ponoć na pogrzebie marszałka szedł w pierwszym czy drugim szeregu. Do żony zwracał się bardzo oficjalnie, przynajmniej w naszej obecności. Do mojej babci mówił „niech z łaski swojej Karolina...”. Oczywiście wyłącznie wtedy, kiedy zauważał istnienie gosposi. Do mnie odezwał się tylko raz, w stajni, w której przyłapał mnie patrzącą z podziwem na konie.

– Czy jesteś amazonką, młoda damo? – spytał, a ja przestraszyłam się, że zrobiłam coś złego.

– Tylko patrzyłam – odpowiedziałam. – Wiem, że nie wolno.

Wcześniej słyszałam, jak narzekał, że przyjeżdża rodzina służby i kręci się po majątku. Babcia Hrabina złagodziła wtedy jego wzburzenie, tłumacząc, że Karolina to zacna gosposia, że jej córka jest nauczycielką, zięć lekarzem, a dziewczynki, czyli ja i Tereska, są bardzo grzeczne.

– Właściwie wolno – burknął. – Patrzeć ci wolno. Ale ich nie dotykaj.

Z wybuchu wojny podobno się cieszył. Chyba brakowało mu walki. I mimo że był oficerem rezerwy, zaraz włożył mundur, własnoręcznie wypucował szablę, buty, przypiął order i pojechał bronić ojczyzny. Najgorsze, że syn musiał udać się wraz z nim, chociaż wcale nie chciał. To znaczy chciał walczyć, ale nie chciał jechać na wschód. Mówił – jak się później okazało, słusznie – że wołałby na zachód, by tam dołączyć do Francuzów, którzy przecież mieli ruszyć Polsce na pomoc. No, ale jak nam później opowiadała Babcia Hrabina, o decyzji przesądziły honor, rozkaz i słowo ojca, któremu nigdy nikt się nie

sprzeciwiał. Jak to się skończyło, wiadomo. Pisali z Charkowa jeszcze w styczniu 1940, a potem już nic, aż do wiadomości, że leżą w masowych grobach. Jej syn miał na imię Michał, tak jak pan pułkownik, i był bardzo nieśmiały. Nie miał nawet okazji powalczyć specjalnie, nim go zabili na wschodzie.

– Nie mogłabym choćby pogłaskać konia? – odważyłam się zapytać.

Spojrzał na mnie z góry.

– Konie nie są do głaskania – odparł.

– Pan je głaszcze – zaprotestowałam, bo właściwie co mógł mi zrobić.

Myślałam, że mnie skrzyczy, ale on nieoczekiwanie powiedział:

– Poklepuję je tylko po łbie, w nagrodę, rozumiesz?

Pokiwałam głową, chociaż nie wyjaśnił mi, co to za nagroda. Zrobiło mi się żal tych koni, bo on ich nie kochał. Nikogo chyba nie kochał. Nawet syna i Babci Hrabiny. Kochał swoją szablę, mundur i ojczyznę, za którą zginął. Nie był zbyt mądry, mimo że dorosły. A ludzie pewnie i tak uważali go za godnego szacunku.

– Może ty byś, moje dziecko, mówiła do mnie po imieniu? – dosłyszałam głos Babci Hrabiny.

– Dobrze. – Mama aż zachrynęła ze wzruszenia.

Nie czekając na rozwój sytuacji, weszłam do pokoju.

– A ja bym mogła mówić do pani „babciu”? – spytałam.

Mama spojrzała na mnie oburzona, zanim Babcia Hrabina zdążyła cokolwiek powiedzieć.

– Mireczko, znów podsłuchiwałaś – zwróciła mi uwagę z wyrzutem w głosie i oczach.

– Nie podsłuchuję, mamu, tylko nie mam co robić. Ziemiaki obrałam, uprałam Pankracego, guziki obszyłam.

Z tymi guzikami to był mój pomysł. Ojciec miał pracę, bo zaraz wrócił do szpitala, a tam wiadomo – każde ręce na wagę złota. Ale nie płacili mu zbyt dużo, bo były jakieś z tym kłopoty, więc pieniędzy wciąż nam brakowało. Mama chodziła pytać do swojej starej szkoły, kiedy ją otworzą i czy we wrześniu będzie mogła uczyć, ale wracała z niczym. Budynek został całkowicie zniszczony i nikt nie miał pojęcia, kiedy go odbudują ani czy zdołają zatrudnić wszystkich dawnych nauczycieli, którzy przeżyli wojnę. W innych szkołach było podobnie. Kazali jej czekać i się dowiadywać. To czekała, chociaż mówiła, że nie wie, czy chciałaby jeszcze uczyć młodzież. Babcia Hrabina miała niby majątek, ale przecież z niego uciekła. Pytałam, co z tym dalej będzie, ale mi odpowiadali, że żeby tam jechać i załatwiać sprawy, potrzeba czasu i pieniędzy. Mama miała czas, więc pewnie chodziło o pieniądze. Swoją drogą, dziwiło mnie, że omijano temat ziemi i dworu Grzegorzewskich, ale ile razy próbowałam o to spytać, tato i mama zawsze mnie zbywali. Spytałam Tereski, ale ją obchodziło tylko to, kiedy Alek wróci. No i źle mnie zrozumiała, bo wykrzyczała, że jej noga nigdy więcej tam nie postanie. Ja nie chciałam wracać na wieś i tam mieszkać. Nie po tym, co się stało w związku ze śmiercią Marysi. Ja tylko pytałam, czy nie można by spieniężyć tego majątku albo powołać jakiegoś plenipotentą, który by go postawił na nogi. Znów by można jeździć tam na wakacje albo odbudować nasze mieszkanie tutaj. W końcu mama powiedziała, że bym o tym nie wspominała, a najlepiej zapomniała. Dziwne słowa, ale przyjęłam je do wiadomości, bo co miałam robić. Widać pieniądze nie były aż tak istotne.

Prócz jedzenia potrzebowaliśmy garnków i talerzy, ubrań i w ogóle wszystkiego. Wiadomo, były rzeczy ważniejsze, ważne i zupełnie nieważne. O kupnie choćby wstążki do włosów dla mnie nie mogło być mowy, zresztą miałam swój honor i nie prosiłam. Postanowiłam jednak sama zarobić pieniądze. Jakimś cudem uchowały się nici i igły, i cały zwój gałganków, którymi przed wojną obszywałam lalki. Może dlatego, że były w schowku w przedpokoju, za rurą, i nikt ich nie znalazł na najwyższej półce, nawet jak wywaliło schowek. Maszynę do guzików znalazłam pod gruzami zaraz pierwszego dnia. Należała do pani Filipkowskiej, która zginęła w powstaniu. Jej maszynę do szycia ktoś ukradł, ale tej do guzików nie ruszył. No to ją wzięłam. Początkowo nikt nie chciał kupować moich guzików, chociaż chodziłam po sąsiadach i oferowałam je za grosze. Poszłam więc na bazar Różyckiego i tam w godzinę sprzedałam cały towar. Handlarki wrywały mi guziki z rąk. Jak odchodziłam, obiecałam, że za tydzień przyniosę drugie tyle, ale zażądałam już więcej pieniędzy, na co baby przystały, zdradzając się, że teraz mają dużo szycia, bo wszystkie panie chcą się znów ubierać kolorowo, nosić zwiewne sukienki i bluzeczki z guzikami. Wojna wreszcie się skończyła i żyć trzeba, gadały jedna przez drugą. Połowę pieniędzy oddałam mamie, a ona aż usiadła z wrażenia. Złapała się za serce i spytała, skąd je wzięłam. Chyba myślała, że ukradłam albo znalazłam, bo nie zwracała na mnie uwagi, kiedy obszywałam te guziki. Ostatnimi czasami jakoś w ogóle nie zwracała na mnie uwagi. Kiedy jej powiedziałam, pomijając jednak bazar Różyckiego, znów zaczęła płakać. Przez całą wojnę tyle nie płakała, co od czasu, kiedy Marysię ukąsiła żmija, a niedługo potem nocą wyjechaliśmy ze wsi. Babcia Hrabina też mnie pochwaliła. I też płakała. Że taka

nasza Mireczka sprytna i mądra.

– A pewnie, trzeba sobie jakoś radzić – rzuciłam wtedy z dumą.

Dziwnie było tak żyć na kupie – w piątkę w dwóch pokojach – sypiać na siennikach i jeść z blaszanej miski. Każdemu to przeszkadzało, ale grunt, że wojna się skończyła. Chociaż to było trochę tak, jakby ciągle trwała.

– Czy pani myśli, że wojna się naprawdę skończy i wszystko będzie jak dawniej? – spytałam.

– Chciałabym, żebyś do mnie mówiła „babciu”. – Na twarzy Babci Hrabiny zobaczyłam wzruszenie.

Rzuciłam się jej na szyję, a ona się rozpląkała. Mnie też coś ścisnęło za gardło. Mama zasłaniała ręką usta i łkała bezgłośnie. Takie płaczące zastał nas ojciec po powrocie z pracy i od razu spytał, co się stało, czy kto umarł, bo w tamtych czasach nawet by mu do głowy nie przyszło, że można płakać z jakiegoś innego powodu niż śmierć.

– Mario – zwrócił się uroczyście do Babci Hrabiny, kiedy w końcu uspokoił mamę, mnie, a i sam uronił kilka łez – jesteście szczęśliwi, że możemy być razem.

I już nie było mowy o spieniężaniu majątku, więc pozostały mi tylko guziki.

\* \* \*

Tak jak nocą przywieźli Halinkę, tak i nocą wywieźli ją do Zakopanego. Nie widziałam tego, bo spałam głęboko, ale słyszałam, jak mama opowiadała o wszystkim Teresce.

– Długo będzie w tym Zakopanem? – spytałam.

– Nie wiem – odpowiedziała mama. – Może rok albo dwa.

– Tak długo?! – wykrzyknęłam. – Tam się będzie uczyła?

Halinka chodziła z Tereską na tajne komplety, miała być lekarzem, jak moja siostra.

– Nie wiem – odpowiedziała tym razem Tereska. – Być może nie skończy szkoły.

– Ja też mogę nie chodzić do szkoły? – spytałam z przekąsem.

– Nie chodziłaś przez pięć lat, nie tęsknisz? – Mama nie kryła zdumienia.

Tęskniłam. Miałam iść do pierwszej klasy, kiedy wybuchła wojna. Nudziło mi się już w przed-szkolu, zwłaszcza że umiałam czytać i pisać. Mama kupiła mi tornister i zeszyty, a tata pouczał, jak „taki szkrab jak ja, który się wiecznie wierci, jakby miał owsiki”, powinien zachowywać się w szkole.

Owsiki to ja miałam w czterdziestym trzecim. I wszy. Wszyscy mieliśmy. Wstydziałam się powiedzieć mamie, że coś mnie w takim miejscu swędzi straszliwie, ale jakimś cudem się domyśliła. Nie ojciec, tylko mama. Natłukła czosnku, który zjedliśmy całą rodziną. Paliło mnie okropnie, ale pocieszałam się, że to samo czują owsiki. Chyba rzeczywiście tak było, bo wyszły ze mnie całą gromadą i potem miałam spokój. Z wszami też nie było wielkiego kłopotu, tylko moje włosy po nafcie zrobiły się jakies szare i suche. Ale wszy już więcej nie miałam. Myślałam, że mama zetnie mi włosy. Byłam bardzo dumna z moich pięknych brązowych sięgających do połowy pleców warkoczy. Pamiętam, jak Stefan ciągnął mnie za nie, ale nigdy mocno, tylko tak dla żartu. Łzy napłynęły mi do oczu, kiedy zobaczyłam mamę z nożycami, ale zacisnęłam zęby.

– Włosy nie palce, odrosną – powiedziała mi wcześniej Tereska, która miała krótkie włosy. Sama je sobie obcięła niemal do gołej skóry, nie czekając, aż mama wybije jej wszy naftą.

Tereska miała śliczną buzię. Im krótsze włosy nosiła, tym była ładniejsza.

– Myślisz, że Alek cię taką zechce? Łysą? – burknęłam.

– Zechce – odparła z mocą w głosie. – Alkowi się podobam nawet łysa.

Włosy jej szybko odrosły, a moje mama oszczędziła. Schowała nożyce i powiedziała:

– Może nafta wystarczy. W razie czego zawsze zdążymy to zrobić.

Nafta wystarczyła. Warkocze zostały. Potem Babcia Hrabina robiła mi taką papkę z pokrzyw, którą nakładałam na włosy, i w końcu odzyskały dawny blask. Tereska też sobie smarowała głowę pokrzywą, bo jednak się trochę bała, że Alek jej łysej nie zechce.

Halinka nie zobaczyła, jak Alek wraca, chociaż nie wiadomo, czy jej na tym zależało tak jak Teresce. Moja siostra na wieść o jego powrocie tańczyła w pokoju cały wieczór i nie mogła spać w nocy. Wiem, bo tak się wierciła, że ja też oka nie zmrużyłam. I od rana się przygotowywała: umyła włosy, włożyła najlepszą bluzkę i wyszła na ulicę.

Alek wrócił niczym bohater, w glorii chwały. W środku dnia, w pełnym słońcu. Witaliśmy go jak greckiego herosa. Był zaskoczony, poznałam to po jego pełnej zakłopotania minie. Może nie cieszył się, że trzy piękne dziewczyny, w tym moja siostra, rzucają mu się na szyję i obsypują kwiatami. Kwiaty nie pasowały do gruzów.

– Kto powiedział Teresce, że Alek wraca? – spytała mnie Danusia.

Obie stałyśmy na zrujnowanej ulicy, ramię w ramię z dziećmiakami Nowaków i jeszcze piątką chłopców, którzy powiedzieli nam, że „przyszli zobaczyć bohatera”.

– Ja nie... – zastrzegłam szybko.

Nie powiedziałam siostrze, bo Danusia prosiła mnie, żebym tego nie robiła. Dowiedziała się przypadkiem, podsłuchiwała, jak ojciec mówił o tym matce.

Zastanawiałam się nie tyle nad tym, skąd było wiadomo o powrocie Alka z oflagu, ile nad tym, czemu zależało mu, aby utrzymać to w sekrecie. A skoro chciał być taki tajemniczy, to czemu kroczył Marszałkowską w samo południe?

– Może twoi rodzice komuś powiedzieli w tajemnicy? – zasugerowałam, pamiętając, jak Murańcowa się cieszyła, że Halinka wraca.

– Może... – Danusia pokiwała głową. – Pewnie mama. Ona ten Alka powrót wymodliła. I na tę okazję pożyczyła pieniądze i kupiła mięso.

Rodzice Danki do wybuchu powstania prowadzili piekarnię, którą Niemcy pod jego koniec zbombardowali. Teraz starali się, żeby państwo pomogło im odbudować interes. Tylko jakoś musieli przetrwać do czasu, aż będą znów mogli piec białe i żytnie bochny, bułeczki ociekające masłem i rogaliki z makiem, które z Danką wykradałyśmy jeszcze ciepłe i zajadałyśmy się nimi, aż nas brzuchy bolały.

– Przyda mu się – stwierdziłam, bo kiedy dobrze przyjrzałam się Alkowi, to nie do końca wyglądał jak heros. Był wychudzony, mundur na nim wisiał. W ogóle był jakiś taki... stary. Nie wyglądał też na inżyniera.

– Strasznie go tam wymęczyli, ale nie tak jak Halinkę w obozie – powiedziała Danka.

Chyba wszyscy witający Alka to zauważyli, bo chłopcy gdzieś się ulotnili, a dziewczyny nagle straciły rezon. Podeszłyśmy do niego z Danką. Spojrzał na nas, mnie podał rękę, a swoją siostrę mocno przytulił. Danka cała dygotała.

– No, to już chodźmy do środka – zakomenderowała niezręcznie ich mama, a moi rodzice i Babcia Hrabina natychmiast zaczęli się żegnać, że niby wracają do nas. Reszta dorosłych wciąż jednak stała na ulicy, więc i moi rodzice zostali i nadal wpatrywali się w Alka, który teraz wyglądał, jakby miał zamiar uciec.

– Co racja, to racja – powiedziała Tereska, zagryzając wargi, bo jej też się wydał jakiś dziwny. – Wy już idźcie, Alek jest zmęczony.

Alek spojrzał na moją siostrę niepewnie, na swoich rodziców błagalnie, więc w końcu wszyscy zgodnie pomaszzerowali do siebie. Oczywiście ja ani myślałam przepuścić taką okazję jak rodzinny obiad u państwa Frankońskich, więc poszłam z Danusią, jej rodzicami, Tereską oraz dwiema innymi koleżankami Alka z konspiracji.

– Alek to chyba się nie cieszy, że przyszliśmy – zagadnęłam Tereskę, kiedy na chwilę została z tyłu.

– Po co tu leziesz? – ofuknęła mnie. – Wracaj do domu!

– A ty po co tu leziesz? – zrewanżowałam się i jeszcze pokazałam jej język.

– Ja go dawno nie widziałam – wysyczała, ale zaraz też pokazała mi język, co oznaczało, że jest kompletnie bezradna i sama się zastanawia, co się stało z Alkiem i czemu nie cieszy się na jej widok.

Bo Alek się nie cieszył. Nie wiem, czy to chodziło o wszystkich, czy tylko o Tereskę, ale na pewno ten komitet powitalny nie sprawiał mu żadnej radości. Patrzył na nas zmęczonym wzrokiem i na twarzy miał wypisane jedno jedyne pragnienie: spokoju.

– No, opowiadaj – zaczęła jego mama, gdy tylko weszliśmy do mieszkania. – Jak tam było.

Alek poczłapał do tego, co zostało z kuchni, i usiadł na krześle. Nie rozejrzał się nawet. Gdyby to zrobił, zauważyłby, że nie da się już tu gotować, że kredens ma urwane drzwi, a w środku stoi kilka wyszczerbionych talerzy i kilka kubków, każdy inny. Zauważyłby, że nie ma dawnego pięknego dębowego stołu, tylko inny, przyniesiony z ulicy, najmniej połamany, jaki udało się znaleźć, do którego pan Frankoński dorobił nowe nogi od innego mebla, także znalezione na ulicy. Wreszcie zauważyłby, że im też zostały tylko dwa pokoje.

– Jak to w oflagu – odpowiedział Alek jakoś tak głucho. – Ciężko.

To były pierwsze słowa, które wypowiedział.

– W obozie koncentracyjnym było gorzej – wtrąciła Alutka, która też przyszła się przywitać z Alkiem.

Alutka chodziła z Alkiem i Tereską do jednej klasy, jak oni była w konspiracji i jak on poszła do powstania. Danusia powiedziała mi, że walczyła prawie do końca. Zanim powstanie upadło, wyjechała z rannymi do Brwinowa i tam pracowała w konspiracyjnym szpitalu. Siedziała w jakiejś piwnicy, ile było

trzeba, i opiekowała się chorymi i rannymi. Takim sposobem uniknęła wywózki do obozu.

– Wiem, że tam było jeszcze gorzej. – Alek spojrzał na Alutkę z powagą. Unikał przy tym wzroku mojej siostry.

– No, ale ważne, że jesteś – podjęła wesoło jego matka.

– Tak – powiedział.

– Karmili was tam dobrze? – spytała Tereska rozpaczliwie, trafiając jak kulą w płot, bo Alek może i nie był taki chudy jak ludzie, którzy wracali z obozów, ale nie wyglądał też na zadbanego i najedzonego.

– Tak – padła ta sama odpowiedź.

Widziałam, jak Tereska gryzie palce. Coś było nie tak, wszyscy to zauważyli. Alek był cały i zdrowy, ale inny niż kiedyś. I wyglądało na to, że nie jest tym samym Alkiem, który kupował Teresce fiołki i wystawał pod naszym domem, gwizdząc dla niej melodie z przedwojennych filmów.

– Chyba już pójdziemy – zdecydowała Alutka i wszystkie dziewczyny, to znaczy Alutka, Tereska i jeszcze jedna, Marysia, wyszły.

Tereska dawała mi znaki, żebym ja też poszła, ale my z Danusią miałyśmy inne plany, więc jej odpowiedziałam na odczepnego, że zaraz wrócę, a potem poleciałyśmy na strych, gdzie była dziura po pocisku i po odjęciu kilku cegieł można było usłyszeć, co się dzieje u Frankońskich w mieszkaniu.

– Czemu on taki? – spytałam Danusi. – Tereska oczy sobie na wsi za nim wyplakiwała.

– A on tu był i walczył – burknęła.

– Myślisz, że to dlatego, że do powstania nie poszła?

– A jak inaczej? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

Mimo że trzymałyśmy głowy przy dziurze, nie słyszałyśmy żadnej rozmowy z mieszkania Frankońskich.

– Chciała jechać. Jak się tylko dowiedziała, że powstanie wybuchło, od razu się spakowała. Ojciec ją zamknął w szopie.

Nie dodałam, że w tej samej, w której potem żmija ukąsiła Marysię Mazurównę, bo za dużo by opowiadać.

– A ona i tak chciała iść – przekonywałam. – Ale ojciec groził, że ją zleje, chociaż palca na nas w życiu nie zakrzywił.

Zamilkłam, kiedy sobie przypomniałam, jak stała ubrana w mundur harcerski, a ojciec trzymał w ręku pasek.

– Niech mnie ojciec przepuści – mówiła. – Bo i tak pójdę. Nawet jak mnie ojciec zbije, to też pójdę.

Wierzyłam jej. Dałaby się zbić ojcu, żeby postawić na swoim. Wtedy przyszła mama z krzyżem w rękę, padła na kolana i kazała jej przysiąc na Najświętszą Marię Pannę, że nigdzie nie pojedzie. A ponieważ mama nigdy w życiu niczego takiego nie zrobiła, to Tereska się zawahała.

– To potrwa kilka dni – powiedziała mama.

– Rosjanie za Wisłą. Zaraz wojna się skończy i wszyscy wrócimy – dodał ojciec.

– Nie. Muszę być ze swoimi teraz – upierała się Tereska.

A wtedy mama wyjęła zza pleców sznur.

– Jeśli pójdiesz, powieszę się – powiedziała spokojnym i zimnym głosem, aż mnie ciarki przeszły i zaczęłam płakać i krzyczeć, żeby Tereska nie wyjeżdżała, bo mama gotowa to zrobić.

– Jakby chciała, toby przyjechała – obstawała przy swoim Danusia. – Oni na nią czekali. Mówili, że jest na Woli, potem, że ktoś ją widział na Starym Mieście. Jak Alek usłyszał, że zginęła, to sam chciał się zabić. Dopiero Alutka nam powiedziała, że na wsi siedzicie.

– Mówię ci, że... – zaczęłam znów, ale Danusia położyła palec na ustach, bo z dziury dobiegł nas głos jej ojca.

– Czemu ty nic, synu, nie mówisz?

– Zostaw go, Władek. – Głos pani Frankońskiej był stłumiony.

– Przepraszam – dosłyszałyśmy Alka. – Muszę odpocząć kilka dni. Potem dojdę do siebie.

– Ale jdziesz? – spytała pani Frankońska.

– Bo specjalnie dla ciebie wystaraliśmy się o mięso – dodał pan Władysław.

– Zjem, zjem. Bardzo jestem ojcu wdzięczny. I mamie.

– Gdzie Danuśka, gdzie? – zdenerwowała się nagle pani Frankońska. – Skaranie boskie z tym dzieciakiem. Lata gdzieś całe dni. Człowiek się denerwuje, czy na jaki niewypał nie trafi.

Danusia popatrzyła na mnie z uśmiechem. Niewypałów było w Warszawie mnóstwo, ale one nie

stanowiły aż takiego zagrożenia jak niewybuchy. No i miny. Co dzień ruiny i ulice przeczesywali saperzy, ale na oczyszczenie miasta z wszystkich ładunków wybuchowych, które zostawili tu Niemcy, trzeba było czasu. Mój tato mówił, że upłyną dziesięciolecia, zanim się to stanie. A mama dodawała, wzdychając, że Warszawy to nawet za sto lat nie odbudują.

– Idź do domu – poprosiłam przyjaciółkę.

– Pójdę jej poszukać – oznajmiła w tej samej chwili pani Frankońska.

– Zostań – powiedział pan Władysław. – Jak ją znam, to siedzi tu gdzieś i podsłuchuje. I zaraz przyjdzie. Danuśka! – zawołał ni stąd, ni zowąd, aż obie odskoczyłyśmy od dziury i zderzyłyśmy się głowami.

– Skąd on wie? – spytałam ją. – Moi to nawet nie pomyślą, że chodzę tam, gdzie...

Chciałam dodać, „gdzie jest najwięcej grobów jeszcze nieekshumowanych i szukam Stefana”, ale jakoś ciężko mi było mówić o tym Danusi, zresztą ona już nie słuchała, tylko pobiegła do domu. Widocznie jednak przestraszyła się ojca.

\* \* \*

Robiło się coraz cieplej. Całe miasto przez to cuchnęło. Ludzie nie nadążali z wykopywaniem ciał zabitych z tymczasowych grobów i przenoszeniem ich na cmentarz, zwłaszcza że cmentarze też były zniszczone. Trupów było więcej niż żywych i ten widok ludziom spowszedniał. Ja też czułam się z tym już zupełnie normalnie. Co dzień szukałam mogiły Stefana i co dzień cieszyłam się, że jej nie znajduję. Kto inny mógłby jej szukać, skoro cała jego rodzina zginęła? Jego śmierć ciągle mnie bolała, ale teraz zadawałam sobie inne pytania: Kto postawi kwiaty na jego grobie? Kto sprawi, że Stefan będzie miał grób? Kto wypisze jego imię i nazwisko na grobie, jeśli uda się go pochować na cmentarzu? Kto oprócz mnie będzie o nim pamiętał? Takie pytania pewnie zadawało sobie mnóstwo ludzi, ale ja nie wiedziałam, do kogo się z tym zwrócić. Z Danusią nie chciałam rozmawiać, bo u niej w domu dziwne rzeczy działy się z Alkiem. Z Tereską nie mogłam, bo wciąż chlipała po kątach i przejmowała się tylko Alkiem. Tato pracował od rana do wieczora. W końcu poszłam z tym do mamy, chociaż ona też była jakaś nieobecna, może przez ciągle płacze Tereski.

Zastałam ją na podwórku, skapaną w słońcu, piorącą jakieś nasze rzeczy w balii.

– Mamo... – zaczęłam.

– Co tam, Mireczko, dziecko? – spytała, nie odrywając się od pracy.

Mama miała piękne dłonie. Przed wojną oczywiście. Chciała być pianistką, ale w końcu została nauczycielką polskiego. Mówiła, że nie ma takiego talentu jak Stanisław Szpinalski, Bolesław Kon czy Róża Etkin. Babcia Karolina załamywała swoje mniej piękne ręce i mówiła, że mama nie ma takiego talentu jak Henryk Sienkiewicz, a chce zostać polonistką. Mama odpowiadała ze śmiechem, że nauczyciel nie musi być pisarzem, a może przy tym wychować pokolenia dobrych i grzecznych Polaków, a pianista jak to pianista – albo będzie grał w salach koncertowych Europy, albo brzdąkał w salonie i nie zarobi na chleb. Przed wojną mieliśmy fortepian, który stał w salonie. Mama namawiała Tereskę, żeby na nim grała, ale moja siostra nie miała słuchu. Ja miałam, ale za to cierpliwości za grosz. Tacie ten fortepian nie wiedzieć czemu przeszkadzał i w końcu zdecydowali z mamą, że go sprzedadzą i kupią pianino. Wystarczy, żeby sobie pograć dla przyjemności, a miejsca tyle nie zajmuje, stwierdzili zgodnie. Jacyś ludzie przyjechali po fortepian, a mama na ten czas wyszła z domu; chyba jednak nie było jej wszystko jedno. Pianina nie zdążyli kupić, bo wybuchła wojna i jak raz pieniądze z fortepianu bardzo się nam przydały.

– Co tam, Mireczko? – powtórzyła mama i zaraz dodała, że wie, że powinna poświęcić mi trochę czasu, że warto wrócić do nauki, bo przecież we wrześniu albo nawet wcześniej będę musiała zdać jakiś egzamin, bo trzeba ustalić, do której mogę iść klasy. – Dobrze by było – mówiła przejęta – żeby ciebie, dziecko, przyjęli nie do pierwszej klasy, tylko od razu do piątej albo chociaż czwartej.

– Mamo – przerwałam te wywody, bo teraz nie szkoła była mi w głowie.

– Tak? – Mama tarła kołnierzyk koszuli ojca tak zapamiętała, że bałam się, że zrobi w nim dziurę.

– Bo ja się zastanawiam... – bąkałam – co się dzieje z tymi, co zginęli, a nie mają żadnych bliższych.

Mama znieruchomiała nad balią, po czym wyciągnęła w moją stronę ręce, z których skapywały mydliny. Odsunęłam się, bo miałam na sobie czystą bluzeczkę i nie chciałam, żeby się ubrudziła lub zmoczyła.

– Chodzi o tego małego Zamienieckiego, tak? – spytała cicho mama.

Stefan nie był mały, tylko duży, przynajmniej jak na swój wiek.

– Tak – przytaknęłam.

– A czy już wiadomo, gdzie go pochowali?

Pokręciłam głową. To było tak, że szukałam, ale nie chciałam znaleźć, więc nie potrafiłam powiedzieć, czy przeoczyłam grób Stefana, czy po prostu go nie było. Istniała jeszcze jedna, najgorsza możliwość – że Stefan leży w grobie, ale nikt nie wie, że to Stefan.

– A może ktoś już odnalazł jego grób i przeniósł ciało na cmentarz? – zasugerowała delikatnie mama i na nowo zanurzyła dłonie w mydlinach.

Znów pokręciłam głową. Nie wiem czemu, ale czułam, że tak się nie stało i że mój przyjaciel nie śpi spokojnie na cmentarzu.

– Trzeba pójść do administracji – stwierdziła. – Dowiem się.

Nie wpadłam na to. Właściwie to ja sama mogłam iść i zapytać. Ale mama chyba czytała w moich myślach, bo powiedziała:

– Ciebie nie potraktują poważnie. Ja pójdę.

No właśnie. Kto by tam dziecko traktował po wojnie poważnie.

– No, nie gniewaj się. – Mama się uśmiechnęła.

– Nie gniewam się – odpowiedziałam szczerze, a potem dodałam: – Ciężko się gniewać.

– Wiem, że go bardzo lubiłaś. – Mama wróciła do prania koszuli taty.

Tata miał dwie koszule, w jednej chodził, drugą mama prała. Na początku wieszkała je na podwórzu, razem z praniem innych, ale kiedyś przyuważyła, że koło prania kręci się jedna kobieta. Już wzięła sobie bluzkę Kalczyńskich i sięgała po koszulę ojca, kiedy mama zaczęła krzyczeć i tamta uciekła. Od tego czasu mama tylko prała na podwórzu, bo było blisko pompy, a wieszkała na strychu, a raczej na tym, co z niego zostało.

– Był moim przyjacielem – powiedziałam, wiedząc, że mama zrozumie.

– Wiem – odparła krótko.

Myślałam, że mnie przytuli, ale ona uznała sprawę za załatwioną, bo kazała mi tylko iść i powiesić wyprane bluzki i bieliznę, a sama zaczęła podśpiewywać pod nosem, trąc tym razem mankiety.

– Co mamie tak wesoło? – Nie wytrzymałam.

Halinka zwariowała, nie wiadomo, czy jej w Zakopanem pomogą, Stefan nie żył, Alek zamykał się w pokoju, trzeba mu było jedzenie stawiać przed drzwiami. Z czego tu było się cieszyć?

– Żyjemy – odpowiedziała. – To jest najważniejsze. Mamy gdzie mieszkać i nie umieramy z głodu.

Tylko Tereska płacze po kątach, bo Alek nie chce z nią rozmawiać, już miałam dodać, ale się powstrzymałam. Zamiast tego pochwaliłam się, że na śmietniku znalazłam całą stertę nadpalonych i tylko trochę zniszczonych ubrań, z których wykroiłam mnóstwo dobrego materiału i będzie teraz nie tylko na guziki, ale nawet na jakieś bluzki, bo można przecież łączyć podobne desenie.

– Kwiatki z kwiatkami, groszki z groszkami – oznajmiłam.

– Co ty powiesz? – Mama się ucieszyła. – Może da się coś dla nas przerobić?

– A pewnie, że się da. – Nie mogłam powstrzymać chępliwości w głosie. – Materiału starczy na dwie bluzki dla mamy i Tereski. I jest jeszcze płaszcz, nadpalony, ale tylko na dole. Poza tym bardzo solidny. Można go skrócić i będzie w sam raz dla mamy.

– Będzie dla ciebie. – Mama wreszcie spojrzała na mnie z miłością. – Należy ci się.

– Na mnie za duży. – Myślałam praktycznie, chociaż doceniałam gest.

– Wiesz, Mireczko... – Mama znów przestała prac i się zadumała. – Z jednej strony trzeba się cieszyć, że jesteśmy cali i zdrowi – powiedziała po chwili – ale z drugiej... jak my będziemy żyli w tych ruinach?

Przed chwilą śmiała się do siebie i cieszyła, że żyjemy. Jakoś trudno mi było ją zrozumieć.

– Niech się mama nie boi – odparłam szybko, bo mnie ręce bolały od zimnych i mokrych ubrań. – Ja będę obszywać guziki i szyć rzeczy na zamówienie. Pod gruzami jest mnóstwo skarbów, które wystarczy znaleźć i...

– Nie, proszę, nie... – przerwała mi i nie wiedząc czemu, zakończyła tę miłą rozmowę.

Może bała się, że kopiąc wśród gruzów, natrafię na niewybuch i rozerwie mnie jak dwie dziewczynki z Mokotowa, które szukały w ruinach widelców. Nie wiem, czy to prawda z tymi widelcami, ale prawda z rozerwanymi ciałami. W kółko kogoś rozrywało, przeważnie dzieciaki, które nie miały co robić, tylko biegały po gruzach. Tamte dziewczynki miały po prostu pecha albo nie wiedziały, na co trzeba uważać. Ja wiem. Danusia mnie nauczyła.

## *Pamiętnik Tereski*

*Oni nic nie wiedzą i nic nie rozumieją. Mama w kółko mnie pyta, jak się czuję. A ja nie wiem, co jej odpowiedzieć. Jak mam się czuć? Jak mam się cieszyć, że przeżyłam, skoro mój Ukochany nawet nie chce ze mną rozmawiać?*

*– Kocham cię, Teresko – mówił jeszcze w '44 i całował tak, że brakowało mi tchu.*

*– I ja cię kocham – odpowiadałam, a on co dzień mi to powtarzał i czekał na moje słowa o miłości, bo przecież tylko to się przed wojną liczyło, czy się kochamy i czy się pobierzemy.*

*Ja miałam zostać lekarzem, jak mój tata. Alek chciał być inżynierem i budować piękne domy. Nic się nie zmieniło, bo przecież studiował w oflagu. Czy to w ogóle możliwe? Uczyć się w niewoli? U wroga? I czemu on taki wrócił z obozu jenieckiego? Czym te obozy różniły się od Oświęcimia, Majdanka i innych? Musiały się czymś różnić. Przecież Halinka po Oświęcimiu wygląda jak strzęp człowieka. Madame, nasza nauczycielka francuskiego, która z obozu w Ravensbrück wróciła, też wygląda jak istota nie z tego świata. Wróciła na krótko, bo jej domu już nie ma, a cała rodzina w Warszawie zginęła. Poszłam ją przywitać, bo zatrzymała się u Ani, jednej mojej koleżanki. I Ania mnie wpuściła, ale powiedziała, że nie mogę się zobaczyć z Madame, bo jest niepodobna do nikogo.*

*– Jak to? – spytałam. – Co to znaczy, że jest niepodobna do nikogo?*

*I zaraz opowiedziałam o Halince, żeby Ania nie myślała, że nic nie rozumiem.*

*– Oni jej coś zrobili w obozie – wyjaśniła. – Jakieś eksperymenty. Kaleczyli ją i wszczepiali zarazki. Potem niby leczyli, ale tak, żeby nie wyleczyć. To cud, że przeżyła.*

*– I po co? – wyrwało mi się nieopatrznie. – Żeby wrócić i zobaczyć jedno wielkie gruzowisko zamiast swojego domu, znaleźć groby męża i dzieci na ulicy.*

*Ania rozłożyła bezradnie ręce.*

*– Nie ona jedna – powiedziała.*

*Ania przeżyła powstanie, ale nie poszła z wszystkimi do Pruszkowa, tylko się schowała w jakiejś małej piwnicy z kilkoma innymi dziewczynami. Żywiły się kiszonymi ogórkami i przeżyły. Ania powiedziała, że już nigdy nie tknie kiszonych ogórków. Jak wróciła, to okazało się, że jej dom stoi, ale nie ma ani matki, ani ojca, ani młodszej siostry. Poszli do piwnicy w sąsiednim budynku i zginęli. Gdyby siedzieli w domu, toby przeżyli. Mimo to Ania zachowywała się, jakby jej to nie dotknęło. „Nie ja jedna”, powtarzała. „Trzeba żyć”. Wszyscy tak mówili: „Najważniejsze, to że się przeżyło” i „Teraz trzeba żyć dalej”. Tylko nikt nie mówił jak. Pewnie nikt nie wiedział. Ani rodzice. Ani nauczyciele. Nikt.*

*I jak tak rozmawialiśmy, to wyszła z pokoju Madame i stanęła naprzeciwko nas.*

*– Krysia? – spytała.*

*– Nie, to ja – odparłam zdławionym z emocji głosem – Tereska Pataczkówna.*

*A ona na to:*

*– Ach tak – i poszła do ustępu na korytarzu, a Ania znów rozłożyła ręce i powiedziała:*

*– Sama widzisz. Niepotrzebnie przyszłaś.*

*Pewnie, że niepotrzebnie. Niepotrzebnie poszłam do Halinki. Niepotrzebnie poszłam do Madame. Wolalabym nie widzieć Madame, która była prześliczną kobietą, a teraz, bez zębów i włosów, przypominała upiora.*

*– No więc... – Już miałam się pożegnać, bo nic tu było po mnie, tak jak Ania uprzedzała.*

*– Nie zaczyna się zdania od „więc” – powiedziała Ania odruchowo, ale nawet się nie uśmiechnęła na to szkolne wspomnienie.*

*Nieszczęsne „więc” przypomnielo mi piękną panią Malinowską – ukochaną polonistkę. I to, że język polski to była kiedyś moja pięta achillesowa.*

*Zanim zaczęła nas uczyć, mieliśmy lekcje ze starą, nieprzyjemną nauczycielką, którą nazywaliśmy Gramatyką.*

*– Coś ty tu nawypisywała, Teresko – załamywała nade mną ręce Gramatyka, a ja zaciskałam zęby, bo wiedziałam, co zaraz nastąpi. – Matka polonistka, a córka zaczyna zdanie od „więc”...*

*Matka mi nie pomagała. Z mojej pewnie winy. Chociaż pracowała w innej szkole, to musiała wiedzieć o moich kłopotach. Może przyszła do mojego pokoju raz czy drugi, pytała, co tam, Teresko, co prze-rabiacie na polskim. Gdybym nie odpowiadała, że nic takiego, może umiałaby mi pomóc. Bo była dla*



wszystkich. Dla ojca, Mirki, swoich rodziców, kiedy umierali jedno po drugim, tamtych dziadków, z którymi jakoś nie było nam po drodze, zwłaszcza ich synowi, czyli mojemu ojcu. Była najbardziej dla mnie. Nic, tylko brać – jej miłość, życzliwość, opiekę. I w tym tkwił szkopał. Że trzeba było wziąć. A ja nie umiałam brać. A może ona nie umiała dać tak, żebym wzięła.

– Tereska będzie inżynierem albo chirurgiem – mówiła do taty, a on mruczał coś w stylu „jak cudownie”.

Może była w tym duma z córki, nie jestem pewna. Tata chyba chciał syna. Niekoniecznie córkę, która będzie inżynierem. Zastanawiałam się nad tym w długie zimowe wieczory. W nas obu, Mirce i mnie, było coś męskiego. Ja miałam te swoje krótkie włosy i krępką sylwetkę, duże, silne ręce. Mirka była zwinna jak małpka, miała zręczne palce i potrafiła wszystko naprawić. Interesowały ją samochody, umiała błyskawicznie nakłść węgla do wiadra i wnieść je biegiem na drugie piętro, a potem napalić w piecu, zanim Genowefcia się do tego zabrała. Obie byłyśmy ładne, nawet więcej niż ładne, a jednak czegoś nam brakowało. A może tylko mnie? Bo Mirka nie wyglądała na taką, która czegoś chce. Przeciwnie, przyjmowała wszystko, co do niej przychodziło, czy to szczęście, czy nieszczęście. Ona umiała wziąć. I oddawała wszystko. Wszystkim. Matce, ojcu, nawet Alkowi, który za nią przepadał. Przed wojną.

Zawsze wiedziałam, że czegoś nie mam, tylko udawałam, że mam. Bałam się, że ludzie to odkryją i będą pokazywać mi palcami, krzycząc:

– To ta, co udaje! To ta, co udaje dobrą córkę i siostrę! To ta, co udaje, że chce być inżynierem, lekarzem, dziewczyną! Ta, co nie ma...

Najprościej było poradzić sobie z tym nieszczęsnym „więc”. Gramatyka nie miała odwagi wstawić mi dwójek, nie córce koleżanki po fachu, więc solila tróję za tróję, co było jeszcze gorsze, bo Alek, który już wtedy mi się podobał, miał same piątki, chociaż jego mama była tylko piekarsową, a nie nauczycielką jak moja. I miał te świetne stopnie nie tylko z polskiego, ale też z matematyki, przyrody, geografii, nawet fizyki i chemii. Ze wszystkiego. A ja, śliczna Tereska, byłam tumanem, chociaż z matematyką radziłam sobie bardzo dobrze, podobnie z fizyką i chemią. No, ale dziewczynka powinna ładnie się wystawiać, pisać wzruszające wypracowania, a w domu, po kryjomu, wiersze do sztambucha. Wreszcie ta stara czarownica poszła na emeryturę, a jej miejsce zajęła młoda i piękna pani Malinowska. Wszyscy chłopcy robili do niej maślane oczy, a dziewczynki chciały być do niej podobne. Ja też, chociaż nie umiałam sobie wyobrazić, że mogłabym być równie wiotką, eteryczną istotą o melodyjnym głosie i łagodnym usposobieniu. Pani Malinowska była nie tylko piękna, ale też mądra jak sama Kleopatra. I natychmiast wzięła się za nas. Bałam się, że jak jej poprzedniczka odkryje we mnie antytalent do języka polskiego i już nie będzie na mnie patrzyła tak życzliwie. Nie doceniłam jej jednak. Pani Malinowska zadała nam do domu pracę na temat „Świtezianki” Mickiewicza i zapowiedziała, że to nie jest na ocenę. Staralam się jak mogłam, ale zesztyt po sprawdzeniu dostałam cały w notatkach na czerwono i myślałam, że spalę się ze wstydu. Rozejrzałam się wtedy po klasie i zobaczyłam, że wszyscy, prymusów nie wyłączając, mają takie na czerwono zapisane zeszyty. A potem pani Malinowska kazała niektórym zostawać po lekcjach i coś im tam tłumaczyła i zadawała. A kiedy przyszła moja kolej i poszłam do niej żegnana współczującymi spojrzeniami koleżanek i zapewnieniami Alka, że wszystko będzie dobrze, zastałam ją siedzącą przy dębowym stole w pokoju nauczycielskim. Piła herbatę z pięknej filiżanki.

– Napijesz się herbaty? – spytała.

Pokręciłam głową. Co też ona wymyśliła? Kto to widział, żeby uczennica piła herbatkę z nauczycielką?

– Dziękuję – odpowiedziałam, bo to byłoby niegrzeczne, nie odezwać się do nauczycielki.

– Dziękuję tak czy dziękuję nie? – spytała z dziwnym półuśmiechem na twarzy.

– Dziękuję, ale nie – odparłam najgrzeczniej jak umiałam, przy okazji konstatując, że w porównaniu z jej głosem mój jest niski i gruby.

Chciała, żebym zaczęła pisać pamiętnik.

– Pamiętnik? – wykrztusiłam.

Musiałam wyglądać niemądrze, bo spojrzała na mnie z troską w pięknych oczach i powiedziała:

– Teresko, masz bardzo bogate słownictwo, ale trochę kulawy styl. Żeby go wyrobić, najlepiej dużo pisać. Mogłabym ci zadawać wypracowania. Z doświadczenia jednak wiem, że najprzyjemniej pisze się pamiętnik.

Pamiętnik? Jak to: pamiętnik?

– Ale ja nie wiem, o czym mogłabym pisać – odpowiedziałam po chwili.

– O wszystkim. – Uśmiechnęła się, obnażając w tym uśmiechu najbielsze i najrówniejsze zęby, jakie w życiu widziałam.

– Czyli o czym? – spytałam i dodałam odważnie: – O wszystkim to może równie dobrze znaczyć, że o niczym.

Pani Malinowska roześmiała się głośno. Nawet śmiech miała piękny. Wszystko w tej kobiecie było przepiękne.

– Możesz opisywać, co ci się przydarza – zaczęła przyjaźnie. – To, co zdarzyło się w szkole, co powiedziały koleżanki, tańce w sobotę i kino w niedzielę. Możesz też zapisywać swoje przemyślenia.

Już miałam powiedzieć, że niestety nie mam żadnych przemyśleń, kiedy dodała:

– Nie mów mi, że nie masz żadnych przemyśleń, bo w to nie uwierzę.

– Sądzi pani, że każdy coś myśli? – spytałam.

– Każdy o czymś myśli – poprawiła mnie. – Pisanie pamiętnika pomoże ci unikać takich błędów. A kiedy poprawisz styl, przekonasz się, że twoje oceny z polskiego także się poprawią. I pokochasz język ojczysty.

– Pani będzie sprawdzała ten pamiętnik?

Pokiwała głową.

– Tak, żeby poprawiać błędy. Dlatego będziesz mi pokazywać te fragmenty, które zechcesz.

– A ile tego musiałabym pisać? – zaczęłam się targować.

– Tyle, ile będziesz chciała. – Znów się uśmiechnęła. – To nie piekarnia. Jednego dnia napiszesz dużo, innego nic, bo nie będziesz miała nastroju.

„To nie piekarnia”. Rozśmieszyło mnie to bardzo. Rodzice Alka mieli piekarnię. Pani Krystyna, mama Alka, mówiła odwrotnie: „To piekarnia, trzeba zrobić tyle a tyle bułek, żeby wystarczyło dla chętnych”.

Wypiłam wtedy herbatę z panią Malinowską, chociaż trochę żalowałam, bo Alek na mnie nie poczekał, mimo że obiecywał. A potem zaczęłam pisać. Staralam się, ale i tak na początku odbierałam notatki usiane czerwonymi komentarzami. Za każdym razem umierałam ze wstydu, chociaż komentarze były życzliwe, zawsze dotyczące stylu, a nie treści. Pani Malinowska nigdy nie zakpiła ze mnie, nie pozwoliła sobie na najmniejszą złośliwość, nie dała do zrozumienia, że jestem beznadziejna, przeciwnie, mówiła, że jest coraz lepiej, żebym nie ustawała w wysiłkach. Alek za to sobie kpił.

– Chyba nie opisujesz naszych pocałunków? – pytał. – Na pewno nie umiesz znaleźć właściwych słów, żeby opisać, jaki jestem fantastyczny i jak świetnie całuję.

– Nie piszę o tobie – odgryzałam się. – Mam pisać o ciekawych rzeczach.

– Skoro mówisz, że jestem rzecz, to książki nie napiszesz – śmiał się.

– „Jestem rzeczą” się mówi, nie „rzecz”.

– Jaka mądrala... Moja śliczna mądrala.

Było lepiej. Nawet dużo lepiej. Pamiętnik wracał do mnie coraz mniej czerwony, a i za wypracowania łapałam już nie tróje, tylko czwórki i czwórki z plusem. Pisanie pamiętnika stało się nawet w pewnym momencie przyjemnością, a później swoistą grą. Nicią porozumienia między mną a panią Malinowską. Nie pamiętam, kiedy zaczęłam pisać o sprawach osobistych, o tym, jaka jestem zakochana w Alku, o niechęci do głupiej Feli, o Halince, która za dużo jadła, i o ojcu, którego nigdy nie było w domu i którego interesowali tylko pacjenci. I co najważniejsze – o matce, która była dla wszystkich, ale nie było jej dla nikogo. Kiedy już poprawiłam styl, zamiast podziękować pani Malinowskiej, zaczęłam prowokować tę śliczną i dobrą kobietę. Jakbym chciała, żeby przestała mnie lubić.

Ale ona nie przestawała. Przeciwnie, lubiła mnie coraz bardziej, a któregoś razu poprosiła, abym znów została po lekcjach. Nie zaproponowała mi tym razem herbaty ani nawet żebym usiadła. Miałam nadzieję, że będzie miała do mnie pretensje, że się wreszcie obrazi, ale myliłam się.

– Z twoim stylem jest już wszystko w porządku. Nie musisz przynosić mi pamiętnika – zaczęła, a ja poczułam, jakby mi dała w twarz.

– Już nie? – spytałam rozczarowana.

– Nie robisz błędów, twoje wypracowania są najlepsze w klasie albo prawie najlepsze...

– Ale ja bym chciała – przerwałam jej żarliwie i postawiłam wszystko na jedną kartę. – Mogę znów pisać gorzej.

Nie roześmiała się.

– Powiedziałam tylko, że nie musisz mi przynosić swoich tekstów do sprawdzenia, nie, że nie chcę ich czytać – stwierdziła poważnie i dodała: – Uważam, że masz potencjał i powinnaś pisać.

– Książki? – Niemal się zachłysnęłam.

– Tak, książki. Opowiadania, nowele... To na początek. Potem przyjdzie czas na powieść.

W mojej głowie krążyły wtedy różne myśli. Podziękowałam jej i poszłam do domu, zastanawiając

się, co teraz ze sobą zrobić, co to wszystko dla mnie oznacza i jak poradzić sobie z tym nieoczekiwanym wybuchem talentu literackiego, którego nikt się po mnie nie spodziewał.

A potem zamiast talentu wybuchła wojna i moja śliczna polonistka zaczęła prowadzić tajne komplety, na które biegalam razem z Alkiem, Halinką, Krysią i Marysią oraz innymi koleżankami aż do dnia, kiedy pani Malinowska nie otworzyła nam drzwi. Umarła podczas pierwszego przesłuchania na Pawiaku. Ojciec się o tym dowiedział od jakiejś koleżanki.

– Uderzyli ją pałką i to tak nieszczęśliwie, że złamali jej czaszkę. Umarła od razu... – opowiadał ze szczegółami, jakby przy tym był.

– Przestań, Tadeusz! – przerwała mu ostro mama, a ojciec zmitygował się, że o takich rzeczach mówi przy córkach.

– Przepraszam – bąknął i popatrzył w moją stronę. – Pytałaś.

– Ale może nie trzeba tak dokładnie... – powiedziała zdenerwowana mama.

Miała rację. Pytałam, ale nie chciałam wiedzieć.

– Ktoś na nią doniósł? – spytała mama, przestraszona, bo sama przecież uczyła dzieciaki. – Ktoś z uczniów? – dodała z trwogą.

Nie sądzę. Byliśmy w konspiracji. Dla ojczyzny wszystko. Marzenia o walce z Niemcami.

– Ktoś musiał widzieć, że regularnie przychodzą do niej młodzi ludzie – odparł tato. – I doniósł.

Poszliśmy na pogrzeb, chociaż to było niebezpieczne. Alek trzymał mnie wtedy za rękę, a ja płakałam za piękną panią Malinowską i jednocześnie cieszyłam się tym intymnym przejawem współczucia. Madame też została aresztowana, ale z Pawiaka pojechała do obozu. Miała więcej szczęścia, bo przeżyła.

– Idź już, Tereska – Ania wyrwała mnie z tych wspomnień tak gwałtownie, że aż poczułam, jakbym obudziła się z ciężkiego snu.

Spojrzałam na Anię i na zamknięte drzwi, za którymi zniknęła Madame.

– Wiem, że nie zaczyna się od „więc”. – Chciało mi się płakać, nie wiem, czy z żalu nad Madame, która żyła, ale jakby nie do końca, czy też nad Anią, która jeszcze nie rozumiała, że jest sama i już zawsze pozostanie sama, chociażby miała dwóch mężów i pięcioro dzieci.

Z tym „więc” wyszłam i wróciłam do domu, uważając, żeby nie nadepnąć na niewypały. Niewypałów było tu mnóstwo, dzieciaki się nimi bawiły, a rodzice histeryzowali, że temu czy tamtemu rękę albo nogę urwie. Dzieciaki były bystre, tak łatwo nie umierały, nie teraz, po wojnie, nie od niewybuchów. Całymi chmurami obsiadały ruiny jak muchy i wrzeszczały przy zabawie. A bawiły się głównie w wojnę, a jakże, i do tego im były potrzebne te znalezione łuski i pociski, i karabiny zrobione z patyków. Wystarczyło wejść na byle jakie podwórko, żeby zobaczyć takiego leżącego koło nieekshumowanego jeszcze grobu szkraba ryczącego wniebogłoso:

– Ratatatata!...

Postanowiłam, że znów będę pisała pamiętnik. Żeby nie zapomnieć. Żeby było jak dawniej. Żeby naprawdę przeżyć.

## PACJENTKA LUCJA K. I. 22

Urodziła szybko i łatwo. Może dlatego, że była młoda. Przyproceedził ją starszy mężczyzna. Od progu oświadczył, że „przyszli do porodu”, jakby nie było widać wielkiego brzucha ani skurczów, które wstrząsały drobnym ciałem ciężarnej. Był zdenerwowany bardziej niż ta dziewczyna.

– Panie doktorze... – Młoda pielęgniarka, której wcześniej tu nie widziałem, przywołała mnie gestem, jakbym był sanitariuszem. – Poród.

Co też pani powie, chciałem odrzec, ale nie czas był na targi, bo pod ciężarną, która patrzyła na mnie z nadzieją w dużych, poważnych oczach, ugięły się nogi.

– Proszę iść po położną – wydałem polecenie, a sam podszedłem do tej nietypowej pary.

Jestem chirurgiem, ale w czasie wojny wszystko stanęło na głowie. Interniści operowali, chirurdzy przyjmowali porody. Każdy robił, co mógł. Wszyscy robili wszystko, żeby pomóc.

– Proszę za mną – powiedziałem z postanowieniem, że później znajdę tę pielęgniarkę i porozmawiam z nią o tym, jak się traktuje starszych lekarzy. Porozmawiam też z dyrektorem szpitala. Wojna się skończyła. Wszystko musi wrócić do normy. Porody na salę porodową, operacje jamy brzusznej na oddział chirurgiczny. Pielęgniarki także muszą wypełniać swoje zadania, czyli pomagać lekarzom. I nie trzeba czekać, aż odbudujemy szpitale. Trzeba zmieniać wszystko już teraz, zaraz.

– Od kiedy ma pani skurcze? – spytałem.

– Od świtu. Będzie już pięć godzin. Teraz są co chwila, ale niezbyt mocne – odpowiedziała, po czym dodała już sama z siebie: – Tydzień temu odszedł mi czop. Wody jeszcze nie odeszły.

– Jest pani pielęgniarką? – spytałem, wysłuchawszy tego fachowego wywodu, i dałem znak milczącemu mężczyźnie, że musi pozostać na korytarzu.

– Skończyłam kursy. Byłam sanitariuszką w powstaniu. Pracowałam też w szpitalu na Długiej. Odbierałam porody. Między innymi.

Pomogłem jej położyć się na łóżku. W szpitalu było pusto, ani jednej pielęgniarki, żadnej położnej. Zastanawiałem się, gdzie są wszyscy.

– Jest ładnie – powiedziałem po badaniu. – Cztery centymetry rozwarcia. Dziecko dobrze wstawione. Kilka godzin i po krzyku.

– To chłopiec – powiedziała.

– Skąd pani wie? – Uśmiechnąłem się mimowolnie.

– Po prostu wiem. Teraz potrzeba nam chłopców – wyjaśniła. – Po tym, jak tyłu zginęło.

Nie śmiałem zapytać, czy ten mężczyzna za drzwiami jest jej ojcem, czy ojcem jej dziecka.

– Skoro pani tak mówi – stwierdziłem, zastanawiając się, gdzie, u licha, podziła się położna.

– A pan tak nie uważa? – Ponownie ból wykrzywił jej twarz. Skurcze przybierały na sile i intensywności.

– Nie zastanawiałem się nad tym. Mam dwie córki.

Chciałem chłopca, jak każdy ojciec. Ale kiedy urodziła się Tereska, cieszyłem się. Była zdrowa i silna. Podobnie jak Mirka, która urodziła się z fragmentem worka owodniowego na głowie. W czepku urodzona. Oba porody trwały po kilkanaście godzin. Za pierwszym i drugim razem miałem dyżur i nie mogłem sam zaprowadzić żony do szpitala. Ona to rozumiała. Jest mądrą kobietą.

– Przeżyły? – spytała położnica bezceremonialnie.

– Tak. Przeżyły. Żona też przeżyła – dodałem niepotrzebnie.

– To ma pan szczęście – stwierdziła i po raz pierwszy jęknęła przy skurcu.

Gdzie ta położna?

– A pani bliscy? Ojciec dziecka? – odważyłem się zapytać.

– Nie... – Znów jęknęła. – Zginął w powstaniu.

W powstaniu... Ilu naszych zginęło w powstaniu? Kto to może zliczyć? Zbombardowane szpitale, porozrywane domy, wszędzie groby, wszędzie śmierć. I ten dojmujący wstyd, bo udało się przeżyć, bo wyjechaliśmy z Warszawy w samą porę, żeby nie zostać unicestwieni. Starsza córka miała do mnie wielki żal. Tak prosiła, żebym puścił ją w to piekło. Nie pozwoliłbym za nic. Nigdy nie byliśmy blisko, a teraz było nawet gorzej. Nie wiedziałem, czemu wciąż chodzi smutna. Przecież ten chłopiec, Alek Frankoński, przeżył i wrócił do domu. Cały i zdrowy. Przynajmniej na ciele, bo czy na umyśle, nie wiem.

– A ten mężczyzna? – spytałem, zastanawiając się, kiedy wreszcie ktoś przyjdzie mnie tu zmienić i czy nie jestem potrzebny na chirurgii, ale w szpitalu panowała dziwna cisza.

– To sąsiad – wyjaśniła. Jęczała już przy każdym skurczu. – Znał moich rodziców. Żona mu umarła jeszcze przed wojną. Syn i córka poszli do powstania i nie wrócili. Mieszkam u niego, bo została mu jedna izba. Mnie już nie.

Łapała powietrze jak ryba.

– Proszę oddychać spokojnie.

– Dlaczego nie ma położnej?! – krzyknęła gwałtownie z bólu, a ja się ocknąłem.

– Jeszcze kilka skurczów i będzie pani rodziła – oznajmiłem.

– Wiem – odpowiedziała, ale to słowo przeszło w krzyk.

Wyszedłem na korytarz i wrzasnąłem zniecierpliwiony:

– Położna! Do porodu!

W głębi korytarza uchyliły się drzwi, zza których wyjrzała koleżanka lekarka, a za nią dwie pielęgniarki.

– Mamy tu ciężką niewydolność krążenia – powiedziała doktor Zawadzka i zamknęła drzwi.

– Proszę wezwać położną – doradziła mi jedna z pielęgniarek.

Wróciłem do dziewczyny, która wiła się z bólu.

– Odbiorę poród – powiedziałem zrezygnowany.

Popatrzyła jakoś dziwnie.

– Jeszcze nie – stwierdziła.

– Jeszcze nie – powtórzyłem.

– Powiem panu kiedy – dodała i posłała mi krzepiący uśmiech. – Wszystko będzie dobrze, panie doktorze.

Już nic nie będzie dobrze.

## MIRKA

Patrzyliśmy na króla Zygmunta. Leżał sobie na wznak, oczy w słupek, prosto na niebo. Szkoda mi się go zrobiło. Wiedziałam, że rządził czterdzieści pięć lat, przeniósł stolicę do Warszawy i wybudował tu mnóstwo pałaców i domów. To był wielki król, chociaż nie był całkiem Polakiem, bo tylko matkę miał Polkę. Nawet kamienny wydawał się nie do pobicia.

– I po co tu przylazłyśmy? – spytała Danka, patrząc na Zamek Królewski, a raczej to, co z niego zostało.

– Po co, po co – przedrzeźniałam ją, ale nie umiałam jej odpowiedzieć.

Chciałam zobaczyć króla. Wszyscy mówili, że Starówki już nie ma. Wcześniej nie można było przejść na rynek, bo zwały gruzu były wysokie na kilka metrów. Teraz trochę uprzętnęli i mogliśmy zobaczyć, co z niego zostało.

– Nogę sobie obtarłam – poskarżyła się Danusia.

– Było uważać. – Wzruszyłam ramionami.

Coś okropnie śmierdziało. Pewnie trup. Strasznie dużo ich było pod gruzami, co chwila kogoś znajdowali, kogoś, kogo nie pochowano.

– Ale śmierdzi. – Danusia zasłoniła nos.

Wskazałam bez słowa roje much nad kupą gruzu. Danka poszła tam i zaczęła odrzucać kamienie.

– Po co go odkopujesz? Chcesz zobaczyć umarłego? – spytałam zdumiona. – Ile można oglądać trupów?

Tym razem ona wzruszyła ramionami. Miała dziwne upodobania. Moja mama powiedziała tak tacie o Danusi, a on odparł, że widocznie w ten sposób próbuje się zmierzyć z tym, co przeżyła. Przecież grunt to przeżyć – już miałam się wtedy wtrącić, ale zakryłam ręką usta, bo znów by się wydało, że podsłuchuję. Swoją drogą, jak miałam nie podsłuchiwać, skoro nie mówili mi nic ważnego. Wszystkiego dowiadywałam się, przystawiając ucho do dziurki od klucza: o lokatorach, których mieli nam przysłać, o tym, że ktoś wrócił z obozu, ale rzucił się z okna.

– Jest. – Ja pierwsza dostrzegłam siną rękę pod gruzami.

Odrzuciłyśmy jeszcze trochę cegieł i kamieni – z dużą ostrożnością, bo wśród nich było mnóstwo szkła, które łatwo mogło pokaleczyć.

– Auć! – jęknęła Danka.

– Nic ci nie jest, to tylko otarcie.

– A ty co, myślisz, że jak jesteś córką lekarza, to niby wiesz lepiej?

– Nawet krwi nie ma. – Puściłam jej uwagę mimo uszu.

– Jest. – Teraz ona pierwsza zobaczyła twarz.

Trup był ani stary, ani młody i musiał tu leżeć od powstania, bo całkiem zgnił. Wpatrywał się w niebo pustymi oczodołami. Wyglądał strasznie.

– Podobny do króla Zygmunta – rzuciłam i odeszłam na bok, bo nie było co oglądać. Nawet guziki się nie nadawały do oberwania; całkiem zmurszały.

– Podobny do pana Piaseckiego.

Zapomniałam o istnieniu pana Piaseckiego. Był dozorcą i mieszkał w kamienicy obok Danusi. Lubił dzieci, chociaż udawał, że nie. Jak psociliśmy albo brudziliśmy mu na podwórzu, krzyczał: „Gałgany!” albo: „Szelmy!”, ale tak naprawdę był bardzo miłym człowiekiem. Graliśmy z nim w „państwo, miasto, rzeka, zwierzę, ptak”. Pan Piasecki znał wszystkie nazwy geograficzne świata i wszystkie możliwe nazwy roślin i zwierząt. Nie można z nim było wygrać. Podawał zwykle pierwszą i drugą literężądanego hasła, a potem patrzył, jak się męczymy.

– Panie Piasecki – zaliliśmy się ja albo Danusia, albo Stefan – nie ma wyspy na „C”.

– Celebes – powiedział nam wtedy i pokazał na wielkim globusie wyspę, która leżała na Oceanie Spokojnym i była podobna do niedźwiedzia ze sterczącym ogonem.

A jak już obejrzeliliśmy wyspę, to wytłumaczył:

– Zobaczcie, wyspę Celebes opływają morza: Flores, Banda, Moluckie i Celebes. Jej terytorium jest górzyste, występują tam liczne wulkany, a w centrum wyspy leżą Góry Molengraffa.

– A był pan tam? – spytaliśmy z podziwem, bo było niemożliwe, żeby tyle wiedzieć tylko z książ-

żek.

– Byłem. – Pokiwał głową ze śmiertelnie poważną miną.

Nie wiedzieliśmy, czy mu wierzyć.

– A co pan tam robił? – zapytał Stefan, który bardzo chciał pana Piaseckiego złapać na fantazjowaniu.

– Rosną tam palmy kokosowe i kauczukowce – odparł pan Piasecki. – Wysłano mnie na Celebes, żebym sprowadził do Polski kauczukowce.

– I sprowadził pan? Gdzie one teraz są? – Po minie Stefana widziałam, że już wierzy panu Piaseckiemu bez zastrzeżeń.

– Niestety w czasie, kiedy tam byłem, wybuchł wulkan. Musiałem uciekać.

Równie ciekawie pan Piasecki opowiadał o zwierzętach.

– To diabeł tasmański. – Pokazał nam kiedyś w atlasie zdjęcie ni to psa, ni to miśka. – Występuje na wyspie, która się nazywa Tasmania. Jest torbaczem, podobnie jak kangur.

– Jest mały, ale wygląda jak niedźwiedź – stwierdziła Danusia.

– Tobie to wszystko niedźwiedzie przypomina – wypomniałam jej, a ona pokazała mi język.

– Jest mięsożerny, podobnie jak niedźwiedź, silny i bardzo zwinny. Potrafi wejść na drzewo i przepłynąć rzekę.

– Widział go pan? – spytałam.

– A pewnie! – Błękitne oczy pana Piaseckiego zajaśniały radością. – Z jednym się nawet zaprzyjaźniłem. Bo widzicie, one przychodzą do osiedli ludzkich. Umieją wyciągać ze śmietników resztki jedzenia, bywa nawet, że kradną. I jeden taki ukradł mi kawałek chleba i ja...

– Ludwiczku! Obiad! – Zwykle pani Piasecka przerywała nam te fascynujące lekcje i dozorca rozkładał ręce, zamykał atlasy, brał książki pod pachę, globus w rękę i mówił, że musi wracać, bo żona się gniewa, kiedy obiad stygnie.

– Ciekawe, co się z nim stało... – zadumałam się.

– Z tym trupem? – Danka się skrzywiła. – Normalnie, dach mu się zawalił na głowę i zginął.

– Nie z trupem, głupia – sarknęłam. – Tylko z panem Piaseckim.

– A, to akurat wiem – odpowiedziała spokojnie. – Wywieźli go do obozu. Nie wiem, do jakiego, ale wiem, że przeżył. Pani Piasecka wróciła. Była gdzieś na wschodzie i przetrwała. A jego zabrali, ale ma wrócić. Na dniach.

Tak się ucieszyłam, że zaczęłam skakać na tych gruzach i upadłam. Mało co nogi nie złamałam. Na szczęście tylko się poraniłam.

– Też się ucieszyłam – stwierdziła Danka, kiedy wracałyśmy. – Będzie znów z nami grał. Tylko czy mu atlasów nie spalili? Z ich domu niewiele zostało.

Podeszłam do jednej z pomp na podwórzu. Chciałam obmyć nogę i próbowałam napompować trochę wody, ale nie leciała.

– Nie ma tam wody! – zawołał szczupły, wysoki chłopak z rozwichrzoną czupryną. – Ale działa pompa na Krzywym Koło!

– Dzięki! – odkrzyknęłam.

– To już prędzej w domu będziemy! – zawołała w tym samym czasie Danusia. – Nie chcę iść na Krzywe Koło.

Chłopak zniknął za zawaloną ścianą.

Nogę umyłam w domu. Mama mi pomogła. Polewała ją wodą z czajnika. A minę miała taką, jakbym tę nogę przyniosła w plecaku.

– Gdzie ty chodzisz, dziecko, gdzie ty chodzisz? Przecież nieszczęście z tego będzie.

– Wie mama, że uważam – uspokoiliłam ją. – Poza tym te niewybuchy to jakaś przesada. Prędzej nam te na wpół zawalone dachy na głowę pospadają, niż trafimy na bombę.

– Co chwila słychać, że gdzieś bomba wybuchła – zaprotestowała. – I ktoś zginął.

– Może i słychać, ale w porównaniu z tym, co już wybuchło, jedna bomba wte czy wewte... – argumentowałam.

Mama już chciała mi zabronić ruszać się z domu bodaj na sąsiednią ulicę, kiedy z pokoju wyszła Tereska ze śladami łez na pięknej buzi. Przeszła obok nas, jakbyśmy nie istnieli. Nie zauważyła nawet, że zraniłam się w nogę. Nalała sobie wody, wypila duszkiem i wróciła do siebie.

– Alek? – spytałam, kiedy zniknęła.

Mama zrobiła serię min.

– Wciąż nie chce z nią rozmawiać? – drażyłam, chociaż gdyby Tereska spotkała się z Alkiem, to

pierwsza bym się o tym dowiedziała od Danusi.

– Potrzebuje pewnie czasu. Był w oflagu.

Wszyscy to powtarzali niczym refren w piosence. Jakby to miało cokolwiek wyjaśniać. Jeden kolega taty z Wilczej też był w oflagu i wrócił, ale chociaż chudy, to był zupełnie normalny. Zaraz tu do nas przyszedł i spytał tatę, czy może się do Dzieciątka zgłosić, bo on pracował w Szpitalu Ujazdowskim i ten szpital Niemcy zbombardowali jeszcze w sierpniu, potem dołożyli we wrześniu i kamień na kamieniu nie został. Tata się strasznie ucieszył, że ten kolega jest cały i zdrowy, i chętny do pracy. Rozmawiali potem długo i z tego, co usłyszałam – bo znów podsłuchiwałam – wywnioskowałam, że w tym oflagu to nie było jak w obozie koncentracyjnym, tylko dużo lepiej.

– Wiem, że był w oflagu, ale wrócił. I to cały i zdrowy. Danusia mówi, że je, śpi i dużo myśli – powiedziałam mamie. – I już się nie zamyka. Nie trzeba mu jedzenia przynosić i zostawiać pod drzwiami.

Może myśli o Teresce, ale dopiero jak wymyśli, to się z nią spotka i jej opowie. Kto wie, co do głowy może przyjść takiemu Alkowi, pomyślałam, ale nie podzieliłam się tym z mamą.

– Gotowe. – Mama popatrzyła na moją obwiązaną czystym płótnem nogę i pogłaskała mnie po głowie.

– Dziękuję, ale nie trzeba było takich opatrunków – zaprotestowałam.

– I bardzo bym prosiła, żebyś nie grzebała w gruzach.

Z tego grzebania mieliśmy mnóstwo korzyści. Oprócz porozbijanych naczyń i nienadających się do niczego sprzętów domowych można było znaleźć sztucce, dobre drewno, ubrania, nawet biżuterię. Wszyscy o tym wiedzieli, tylko nie moi rodzice, chociaż jak znalazłam nasze łyżki i ulubioną wazę do zupy, która była cała, caluteńka, to mama się popłakała ze szczęścia.

– Przecież wiesz, mamusiu, że z tego grzebania...

– To już nie chodzi o niewybuchy... – Mama upierała się przy swoim. – Chodzi o tych strasznych ludzi.

Miała na myśli tych, którzy robili wykopaliska, jakby chcieli odkryć zakopaną egipską świątynię. Potem sprzedawali wszystko, co znaleźli, za ogromną cenę. Wszyscy nimi gardzili, ale ja ich rozumiałam. Życie trzeba. Nie każdy miał pracę i co jeść.

\* \* \*

Mieli nam dokwaterować lokatorów. Mama powiedziała, że trzeba coś zrobić, a ojciec spytał, co chciałyby, żeby zrobił.

– Obcy ludzie będą nam po domu chodzili? – Mama była najwyraźniej przerażona, co przerażało i mnie, bo nie przywykłam patrzeć, że moja dzielna, odważna mama czegośkolwiek się boi. – Przecież wolny pokój nie ma ściany.

– Może tylko czasowo ich zakwaterują. Widzisz przecież, jak jest.

Każdy widział. Ludzie wracali i zachowywali się różnie. Jedni załamywali ręce i płakali, że „domu nie ma”, inni mieszkali w ruinach, jeśli mieli jakikolwiek kawałek dachu nad głową albo chociażby dwie ściany. Jeszcze inni nie mieli nawet jednej ściany, ale zachowywali się, jakby ich domy nie zniknęły z powierzchni ziemi. Tych nie lubiłam najbardziej, bo nigdy nie wiadomo było, co zrobią, czy będą siedzieć na gruzach i żebrać o jedzenie, czy też spróbują włamać się do kogoś i zająć jego miejsce. Było lato, a to wszystko ułatwiało.

– Są pustostany. Niech ich tam skierują – powiedział tata, kompletnie bez sensu, bo o jakich pustostanach mogła być mowa.

Już się miałam odezwać, kiedy mama zaczęła sapać i cmokać, co robiła bardzo rzadko, tylko wtedy, kiedy była naprawdę zdenerwowana.

– Jakie pustostany? O czym ty mówisz? Miasto jest niemal zrównane z ziemią. W całości ocalały pojedyncze domy.

– Są takie miejsca – upierał się ojciec.

Wcześniej do Danusi włamała się rodzina z trojgiem dzieci. W biały dzień weszli do środka i rozsiadli się w dawnej kuchni. Alek ich wygonił, bo mu przeszkadzała awantura, jaka się wywiązała między jego rodzicami a dzikimi lokatorami. Potem Danusia opowiadała, że można było pęknąć ze śmiechu, bo najpierw krzyczał zza drzwi, żeby się wszyscy zamknęli, potem wypadł z pistoletem w rękę i zagroził, że pozabija dzikich lokatorów. I oni zobaczyli obłęd w jego oczach i sobie poszli, a pani Frankońska ledwie na to zwróciła uwagę, bo tak się ucieszyła, że Alek wyszedł z pokoju.

– Niech to mama jakoś załatwi – powiedział ponoć i wrócił do siebie, a Frankońscy zaczęli dywagować, co tu zrobić, żeby na przyszłość zapobiec takim zdarzeniom.



– Ludziom trzeba pomóc – dosłyszałam ojca, który tłumaczył coś mamie bez przekonania w głosie.

– Naszym kosztem? – zapytała.

– Tymczasem – wkroczyłam do akcji – trzeba kupić kłódkę i zamontować w drzwiach.

Mama i tata nawet nie próbowali na mnie krzyknąć za podsłuchiwanie, tylko od razu kazali mi pójść spać, bo już było późno.

– Ja wam mówię, że u nas stanie się to, co się stało u Frankońskich – mędrkowałam. – Przyjdą jacyś ludzie, powiedzą wam, że im wszyscy pomarli, dom zburzyli, a wy będziecie się nad nimi litować.

– Nie rozumiesz tych spraw, Mireczko. – Mama westchnęła ciężko.

Przeciwnie, bardzo dobrze rozumiałam. Gdyby nasze mieszkanie nie ocalało, sama bym tak zrobiła. Znalazłabym jakiś dach nad głową i wprowadziła tam rodzinę. Teraz należało pilnować swego. Jeszcze by tego brakowało, żeby ktoś wszedł i zabrał mi moje guziki i mikroskopijną manufakturę krawiecką, którą trzymałam pod łóżkiem Tereski, bo sama spałam na sienniku.

– Ona ma rację – nieoczekiwanie włączyła się Babcia Hrabina, która ostatnio siedziała cicho i patrzyła całymi dniami przez okno. – My wróciliśmy do Warszawy jako jedni z pierwszych. Ludzie dopiero zaczną napływać. Będą próbowali tu pozostać.

– Gdzie kupić taką kłódkę? – spytała mama z rezygnacją, a ja podziękowałam spojrzeniem Babci Hrabinie. Przynajmniej ona wykazała się rozsądkiem.

– Zostawcie to mnie – powiedziałam z dumą w głosie, bo nie chciało mi się tłumaczyć, że na Różycu, bo gdzież by indziej.

Mama dodała jeszcze, że dostała pracę, i wszyscy zapomnieli o kłódce i dzikich lokatorach, i o tym, że zrobiło się bardzo późno, nawet jak na wakacje, i powinnam już spać, i zaczęli ją wypytywać o szczegóły. Po minie taty widziałam, że jest mu trochę głupio, bo nie miał pojęcia, że mama szuka pracy. Tata teraz mało o czym miał pojęcie. Zastanawiałam się nie raz, co się stało, czemu jest zupełnie inny, bo pamiętałam go jako bardzo mądrego, czytanego i rozprawiającego o różnych sprawach, których nie rozumiałam. Nawet na wsi taki był. Teraz niby był ten sam, a jednak nie. Nic nie czytał, mało co mówił, a jak coś powiedział, to człowiek nie wiedział – śmiać się czy płakać.

– Odpowiedziałam na ogłoszenie w gazecie – wyjaśniła skromnie mama.

Pomyślałam natychmiast, że ja też mogłabym ogłosić w gazecie, że szyję bluzki i sukienki z kawałków materiału. Już zaczęłam kombinować, jak poprosić Tereskę, żeby mi zredagowała takie ogłoszenie i poszła je zamieścić, bo dwunastoletniej smarkuli nic nie wydrukują, nawet jak zapłaci, kiedy mama powiedziała, że to wcale nie jest praca w szkole, że nie została też pomocą domową ani kucharką, ani krawcową, tylko...

– Będę opisywała w gazecie życie w stolicy – wyznała i wywarło to na wszystkich takie wrażenie, że w kuchni zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

– Pięknie, Irenko – odezwał się w końcu tata nieco zdławionym głosem.

– Szukano dziennikarzy – mama nagle zaczęła się tłumaczyć, bo dotarł do niej sceptycyzm taty. –

Ale w ogłoszeniu napisano, że zatrudnienie otrzymają także osoby dobrze piszące i mające zamiłowanie do pracy dziennikarskiej. Zgłosiłam się.

– Nie masz maszyny. – Jak zwykle ktoś w tej rodzinie, czyli ja, musiał myśleć za wszystkich.

– Nie potrzebuję. – Mama uśmiechnęła się do mnie. – Będę pisała ręcznie, potem ktoś w redakcji przepisze to do druku. Zresztą tam są dostępne maszyny.

– Tam, czyli gdzie? – spytał tata.

– Grochowska sto dziewięćdziesiąt cztery – wyjaśniła mama i odwróciła się do wszystkich plecami. Wyglądała, jakby miała zamiar się rozpłakać.

Babcia Hrabina biła brawo. Po namyśle ja także zaczęłam klaskać.

\* \* \*

Słowa taty o pustostanach dały mi do myślenia i postanowiłam przegadać sprawę z Danusią. Ona też uważała, że w Warszawie nie ma takich miejsc, które są zamknięte i nikt nie próbował ich otworzyć, ale wpadła na inny pomysł.

– Można sprawdzać w piwnicach.

– Głupia jesteś – zaprotestowałam. – Te, w których coś zostało, są zaminowane.

Bez słowa wskazała mi napis na jednym z domów, obok którego przechodziłyśmy. *Min niet.*

– Skąd wiesz, że to prawda? – spytałam.

– Sprawdzają wszystko od stycznia, już dobre kilka miesięcy. Ludzie tu żyją, łążą wszędzie. Tylko od czasu do czasu ktoś wylatuje w powietrze.

Miała rację. Kiedy nie szłam ani nie handlowałam ubraniami i guzikami, snuliśmy się razem z Tadkiem, Amelką i ich kuzynami, którym zniszczyli dom na Woli, po całym mieście. Wszędzie natykaliśmy się na ekipy saperów przeczesujących gruzy i szukających min, niewybuchów i niewypałów. Kiedy natrafiali na miny, rozlegały się krzyki, żeby wszyscy się rozeszli, bo niebezpieczeństwo. Krzyczeli po polsku, po rosyjsku. Dzieciaki ich przedrzeźniały i wcale nie chciały odejść. Przyzwyczajaliśmy się do tego, że nas przeganiano i tylko dzięki uporowi można było coś znaleźć.

W taki sposób znalazłam Azora. Skomlenie dobiegało z piwnicy domu, do którego poszliśmy na szaber. Tadek nazwał to szabrem i tak się przy tym zaśmiewał, że pękły mu portki w pasie i musiał wracać po sznurek. Poszliśmy więc we trzy, z Amelką i Danusią. Amelka znalazła ten dom, świeżo rozminowany, kompletnie zniszczony na górze, ale za to z piwnicą jedynie przysypaną pyłem. Opowiadała nam całą podniecona, że pod tym pyłem to Bóg wie co może być. Mówiła: „Bóg wi co”, jak ludzie ze wsi, w której żmija ukąsiła Marysię. Poszliśmy więc, chociaż Tadek prosił, żeby na niego poczekać. Nie znalazłyśmy tam niczego, co można by sprzedać czy zanieść do domu, ale ja znalazłam Azora. Był tylko trochę wychudzony, poza tym przestraszony i brudny. Jedno oko mu ropiało. Jak tylko zrobiliśmy dziurę, to wylazł i rzucił mi się prosto w ramiona.

– Brzydal – stwierdziła Amelka, ale w jej głosie usłyszałam zazdrość.

– Azor – oznajmiłam, bo wyglądał na Azora i już był mój.

– Co z nim zrobisz? – spytała Danusia i dodała: – Może do lasu go?

Popukałam się w czoło.

– Do jakiego lasu? Azor ma dom. – I na dowód tego, że mówię prawdę, postawiłam go na ziemię i zawołałam: – Chodź, Azor, idziemy.

A pies spojrzał na mnie pogodnie i grzecznie poczłapał.

– Mama ci nie pozwoli go zatrzymać – gadała Amelka przez całą drogę, ale nie zwracaliśmy na nią uwagi z Azorem.

– Będziesz musiała go karmić, a z jedzeniem jest krucho – dogadywała Danusia.

Tu miała rację. Nie wiadomo, ile czasu minęło, odkąd biedak dostał się do tej piwnicy. Na początek znalazłam pompę i kazałam Danusi pompować. Sama złożyłam dłonie, nabierałam w nie wody i dawałam psu pić. Pił bardzo łapczywie i długo, a potem jakby się zmęczył tym piciem, bo położył się obok pompy.

– Umrze – wieszczyla zło Amelka.

– Nie umrze – powiedziałam twardo, bo przecież nie po to go znalazłam, żeby miał umierać.

Faktycznie. Azor poleżał chwilę, potem dźwignął się na nogi i popatrzył na mnie z uwagą.

– Głodny jesteś, co? – spytałam.

Jedzenie było w domu, ale z trudem zdobyte, dla ludzi, nie dla psów. Nie miałam pewności, czy mama i tata zechcą się podzielić ze zwierzakiem.

– Na bazar – zakomenderowałam.

– Ja nie idę – stwierdziła Amelka i dodała, że obiecała mamie pomoc przy praniu. Poza tym miał do nich przyjechać jakiś wuj z kieleckiego i pomagać im załatać dziury w dachu, zanim zaczną się deszcze.

– Ja też nie idę – powiedziała Danką. – Obiecałam mamie, że wrócę do domu, bo u nas ma się odbyć... – Tu przerwała i jakoś tak spojrzała na mnie krzywo.

O co jej chodziło? Bo chyba nie zazdrościła mi Azora?

– A co? – spytałam, ale mnie zbyła, że potem powie, na razie sama nie wie.

Może naprawdę nie wiedziała. Tylko czemu by w ogóle szła z nami na szaber, skoro miało się coś u nich wydarzyć?

– No to idziemy, Azor. – Gwizdnęłam, chociaż niepotrzebnie, bo psina sama szła, merdając ogonem i patrząc na mnie dużymi oczami. Nawet to jedno oko przestało ropieć.

Na Różycu zaraz poszłam do baby, której sprzedawałam guziki, a ona, jak tylko mnie zobaczyła, to ręce załamała i zaczęła krzyczeć:

– Olaboga, Mirka, skądś ty takiego brudasza wytrzasnęła? Ludzie nie mają gdzie mieszkać, co jeść, a ty psa sobie znalazłaś?

No to ją uspokoiłam:

– Pani Marusiowa, jeszcze mi pani pozazdrości i sama sobie psa kupi, żeby interesu pilnował, bo kłódkę ma tu pani marną, łatwo ktoś może wejść i towar zabrać.

I Marusiowa się zamknęła, co więcej, uznała, że to szczerą prawdą, i nawet chciała Azora zatrzymać, ale on był już mój.

– Kłódki w drzwiach nie wystarczą. Pies musi domu pilnować, bo wszędzie dzicy lokatorzy się wciskają – powiedziała stanowczo. – Muszę mu kupić coś do jedzenia, tak na teraz.

Marusiowa, dla której pilnowanie interesu było czymś świętym, już o nic nie pytała, tylko mnie zaprowadziła prosto do chłopca, który mięso sprzedawał, i tam kupiłam Azorowi płucka za kilka groszy, bo nie były najświeższe. I wszyscy byli zadowoleni – chłop, bo sprzedał trefny towar, Marusiowa, bo byłam jej winna przysługę, ja, bo miałam płucek na kilka dni. Najbardziej zadowolony był Azor. Od razu zjadł pokąsną porcję, a potem znów się położył.

– Kiedy, Mireczko, przyniesiesz guziki? – spytała tymczasem przymilnie Marusiowa, a ja jej obiecałam, że jutro przyjdę, bo miałam gotowe, te własne i robione już do bluzek, na zamówienie.

– A co, spieszy się komu? – ciągnęłam temat, bo wiedziałam, że Azor musi jeszcze trochę odpocząć.

– A spieszy. Jest taka jedna, co to się chyba do Paryża wybiera, bo ciągle chce nowe i nowe – mruknęła Marusiowa.

– A skąd ma pieniądze? – spytałam, chociaż nie spodziewałam się odpowiedzi.

– Ja tam nie wiem i nie pytam, ale... – Marusiowa cmoknęła znacząco.

– Gestapówa? – zasugerowałam, ale handlarka znów zrobiła minę i nie chciała rozmawiać, co mogło oznaczać, że albo miałam rację, albo Marusiowa nie wiedziała, skąd klientka ma pieniądze. Może bogaty kochanek, a może nie wszystko przepadło na wojnie.

Pytałam z ciekawości, bo w większości ludzie stracili wszystko, co mieli. Dorobek wielu pokoleń. Jeśli cokolwiek uchowało się przez wojnę, to poszło z dymem w powstaniu. Ile to księgozbiorów spłonęło, ile obrazów, o dokumentach nie wspomnę. Ile szkła i porcelany się wytlukło, ile cudnych mebli poszło na barykady. I po co to było, chciałoby się powiedzieć, ale pilnowałam się, żeby trzymać buzię na kłódkę i nie gadać po próżnicy, bo jak twierdzą mama i tata, jestem za mała, żeby osądzać. Zresztą ja do osądzania się nie rwałam. Nie po tym, jak mi wszyscy dawali do zrozumienia, że coś do powiedzenia mogą mieć tylko ci, którzy przeżyli powstanie. Bóg ma ich osądzić i historia. Tak mówiła Babcia Hrabina. Kiwałam głową, bo przecież żyłam, a to, co robiłam, nie miało nic wspólnego z walką, przynajmniej w moim dwunastoletnim pojęciu. Chyba że Babci chodziło o jakąś permanentną wojnę, o coś, co jeszcze miało nadciągnąć, jakby tej hekatombi było mało.

Ale byli i tacy, co mieli pieniądze. Dawało się to zauważyć na każdym kroku. Na wszelkie towary był popyt. Nawet na te luksusowe, jak perfumy czy mydło. Podczas gdy ja byłam z siebie dumna, że kupiłam mojej rodzinie dwa kawałki porządnego mydła, od którego włosy nie zamieniały się w trzeszczącą łupieżem skorupę, znajdowali się chętni na pachnące lawendą mydełka, koniecznie z gliceryny, irchowe rękawiczki i proszek do zębów. Kiedy mnie udawało się zdobyć drobnicę mięsna na rosół czy paszтет, sama widziałam, jak na Różycu szły tusze świńskie, i słyszałam kłótnie o polędwicę. Ale i tak nie mieliśmy źle. A co do tych majątnych, to pewnie dostali od kogoś na przechowanie, a ten ktoś nie przeżył, może mieli sprzed wojny i uchowało się w przewodzie kominowym. Swoją drogą, nie wiedzieć czemu wszyscy chowali pieniądze i złoto w przewodach kominowych. Wystarczyło przeszukać wszystkie kominy, jakie się ostały, żeby znaleźć skarb. Chociaż pewnie ci, co przekopywali ruiny, szukali pieniędzy i kosztowności, które z tych kominów powypadały.

– Ja tam nie wiem – powiedziała w końcu Marusiowa, przerywając tym samym moje rozmyślenia na temat pieniędzy, i spojrzała jakoś tak specjalnie na Azora, który wstał i znów zaczął machać ogonem. – Chodź, Mirka, dam ci coś.

Poszliśmy za nią i Marusiowa wyjęła z torby bardzo zniszczony sweter i jedwabny żabot.

– Co ja mam z tym zrobić? – spytałam, bo sweter nadawał się do wyrzucenia, a żabot lata świetności miał za sobą nawet przed wojną.

– Nie wybrzydź – rozeźliła się Marusiowa, więc uznałam, że ma rację. Darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby.

Pożegnałam się i poszliśmy z Azorem do domu. Tam nie powitano nas z entuzjazmem.

– A co to za bieda? – Mama załamała ręce, a Tereska, która wyszła z pokoju, spojrzała na mnie, potem na psa z wyraźnym obrzydzeniem i bez słowa zniknęła z powrotem.

– Każdy chce żyć – pospieszył mi na pomoc tata. Właśnie wrócił ze szpitala i jadł krupnik, w którym była, owszem, kasza, ale mięsa to chyba żadnego.

Babcia Hrabina uśmiechnęła się przyzwalająco, a po jej minie widziałam, że bardzo nam z Azorem kibicuje, tylko nie wypada się jej odezwać, bo też jest w gościnie.

– Ludzie nie mają za co żyć, a ty psa mi przyprowadzasz? – nie ustępowała mama.

Stałam tak z miną stanowczą, nie dyskutując z nią, ale i nie zamierzając odpuszczać. Azor był

mój, a ja jego. I koniec. A jedzenie zawsze się znajdzie.

– No dobrze – ustąpiła mama pod naporem mojego upartego spojrzenia, znając mój trudny charakter. – Co zamierzasz z nim teraz zrobić?

Miałam różne plany. Przede wszystkim dobrze by było, żeby zobaczył go lekarz. Najlepszy byłby taki od psów, ale skoro go nie było, to i ludzki się nada. Spojrzałam na tatę.

– Tylko zjem – powiedział, więc zatrzymałam wzrok na mamie.

Mama podeszła, ale Azor nieoczekiwanie zawarczał.

– Azor! – upomniałam go, a on zwiesił łeb, popatrzył na mamę psim spojrzeniem i zamerdał ogonem.

– No chodź tu, chodź – powiedziała ostrożnie.

Azor podszedł. Mama pomacała go po brzuchu.

– Twardy. Ma robaki.

Tata przewrócił oczami.

– Nie przy jedzeniu – poprosił.

– Co ty nagle taki wrażliwy się zrobiłeś? – rzuciła mama. – W szpitalu to przecież ręka, noga, mózg na ścianie.

– W szpitalu to w szpitalu – odpowiedział i odsunął pusty talerz, po czym podszedł do Azora.

Azor spojrział na mnie niepewnie, ale poddał się badaniu taty bez szemrania.

– Ma robaki – stwierdził tata.

Już mama to mówiła, ale pokiwałam głową.

– I kleszcze – dodała mama, dotykając sierści Azora z wyraźnym obrzydzeniem.

– Kleszczami się zajmę – zadeklarowałam. – Nie ma ich za dużo.

Tata tylko skinął głową, widać nie miał nic przy Azorze do roboty.

– A ja mu przygotowuję miksturę na te robaki. – Mama westchnęła.

Nic nie powiedziałam, chociaż miałam wątpliwości, czy Azor na pewno połknie rozgnieciony czosnek. Papka, którą mama później nam przyniosła, nie pachniała jednak czosnkiem, tylko czymś innym, czego nie umiałam zidentyfikować. Azor był wykończony tym dziwnym dniem, po kąpieli na podwórzu i wyrwaniu czternastu kleszczy, które uroczyście rozgniotłam butem. Złorzeczyłam przy tym wszystkim kleszczom i pijawkom tego świata tak głośno, że aż mama wyszła na podwórze i zaczęła mnie rugać, że nie wolno nikomu źle życzyć.

– A Hitlerowi? – spytałam zdumiona. – A tym, którzy zabili Stefana? Mazurowi, co to przez niego umarła Marysia? Tym, którzy splądrowali dom Babci Hrabiny? Też nie wolno złorzeczyć?

Mama patrzyła na mnie wyraźnie wstrząśnięta. Trochę było mi głupio i przykro, bo nie jestem taka pyskata, na jaką wyglądam, ani nawet taka wygadana, ale nie znoszę, jak mama jest taka dobra i wszystkim by tylko wybaczła.

– Boże mój... – powiedziała w końcu i poszła sobie, a ja westchnęłam i zwróciłam się do Azora, który cicho obserwował naszą wymianę zdań.

– No zjedz, piesku, a wyjdą z ciebie robale – poprosiłam, a on sapnął i kęs po kęsie zjadł papkę zawiniętą w chleb. Potem, już z powrotem w domu, wypił mnóstwo wody i zasnął.

Nad ranem zaczął cicho skomleć, więc wyszliśmy na dwór, a on wydalil z siebie tak straszne obrzydlistwo, że sama się mało nie zrzygałam. Potem srał cały następny dzień, a ja nawet nie spojrzałam, czy w tej papce są robaki czy nie. Ale myślę, że były, bo po dwóch dniach brzuch miał miękki, jadł kaszę aż miło, wyprzystojniał po kąpieli i wyczesaniu starym grzebieniem znalezionym w ruinach.

– Pies jak się patrzy – powiedziała Babcia Hrabina. – Jakby rasowy.

– Chyba nie. – Mama, która tymczasem polubiła Azora, może dlatego, że był, a jakby go nie było, uśmiechnęła się. – Nie wygląda na rasowego.

– Ma w sobie coś z wilczura – nie ustępowała Babcia Hrabina. – Owczarka niemieckiego.

– To polski pies – zaperzyłam się.

– Polski, polski – przytaknęła mama.

– Ma trochę z wilczura, ale skrzyżowanego z gończym polskim – podsumowała sprawę Babcia Hrabina, żeby wilk był syty i owca cała.

Azor, który nie czuł się chyba wilczurem, a już na pewno nie gończym polskim, usiadł i uniósł łapę. Mama i Babcia Hrabina spojrzały zdumione.

– Był szkolony, to pewne – stwierdziły i na tym temat rasowości Azora się skończył.

Z ohydneho swetra, który mi Marusiowa dała na bazarze, zrobiłam mu na szydełku obrozę i coś w rodzaju smyczy. Na obróżce wyhaftowałam jego imię i adres, a na smyczy prośbę, że jeśli ktoś go znaj-

dzie, to żeby przyprowadził pod taki i taki adres, czeka nagroda. Azor wprawdzie szedł noga przy nodze, ani mu w głowie było uciekać, nikogo nie atakował i nie wyglądał na bezdomnego, ale nie chciałam, żeby złapał go jakiś rakarz, których w Warszawie było całkiem sporo.

I w dwa dni staliśmy się jak jedno, ja i pies, i nie wyobrażałam sobie czasów, w których byłam sama, bez Azora. Łączyło nas takie porozumienie, że nie potrzebowaliśmy słów, żeby się dogadać. Azor był nieoceniony w wyszukiwaniu starych ubrań i innych rzeczy na gruzowiskach, takich, które dla mnie były bezcenne, a które handlarzom nie mogły się przydać. Wywąchiwał je swoim psim nosem i czekał, aż wydobęde spod gruzu znalezisko. Ale nie ja jedna przeczesywałam ruiny. Szukających były całe szajki. Bywało, że bili się między sobą o jakieś szczególnie cenne gruzy, na przykład po kamienicach, w których mieszkali bogaci ludzie, albo kradli sobie nawzajem łupy. Na szczęście dziewczynka z psem nie wyglądała na konkurencję.

Zwykle znajdowałam rzeczy, które na niewiele się zdały, jak choćby cały serwis z przepięknej porcelany spakowany do pudła i pogruchotany na drobne kawałki. Aż żal było patrzeć na te skorupy, ale jeszcze większy żal człowieka ogarniał, jak sobie wyobraził, kto w tych filiżankach herbatę podawał i ciasteczka na talerzykach i o czym mówił, o jakich nadziejach i planach.

– Jaka szkoda – powiedziałam wtedy do Danusi, która była ze mną.

Pokiwała głową i też wyraziła ubolewanie.

– Można by sprzedać – stwierdziła.

– Co sprzedasz? Szczątki?

– Daj. – Wyciągnęła rękę, a Azor szczechnął przyzwalająco.

Dałam jej te skorupy i byłam bardzo ciekawa, co z nimi zrobi.

Innym razem Azor wywąchał spadochron. Jak zobaczyłyśmy ten wielki toból pod gruzami, to się strasznie ucieszyłyśmy. Myślałyśmy, że złapałyśmy Pana Boga za nogi, bo spadochrony, zrobione z jedwabiu, były najbardziej pożądanym towarem w czasie wojny. Gestapowy szyły sobie z nich bluzki i sukienki. Za spadochron to można było kogoś wykupić z Pawiaka. Ten niestety był cały podarty i przegniły. Nadawał się właściwie do wyrzucenia. Musiałybyśmy go rozłożyć, wykroić dobre kawałki i uprać, ale potrzeba by na to dużo miejsca. Uznałyśmy z Danką, że tymczasem schowamy ten spadochron w piwnicy, kiedyś się nim zajmiemy. Ledwo go zatargałyśmy, bo ważył ze dwadzieścia kilo. I takie to były nasze znaleziska.

Tylko raz naprawdę się obłowiłam. Znalazłam, a właściwie Azor znalazł, wielką skórzaną walizkę pełną drogich męskich ubrań. Były tam trzy garnitury, pięć koszul, dwie kamizelki, dwa swetry i trzy komplety spinek do mankietów, wszystkie z wygrawerowanymi inicjałami UJ. Nie wiem, jakim cudem nikt nie znalazł tej walizki, bo leżała całkiem płytko pod cegłami. Wszystkie ubrania zostały uszyte na wysokiego, bardzo szczupłego mężczyznę, więc dla taty się nie nadawały, bo był szeroki w ramionach. W sam raz na Alka. Ale i tak dałam mu tylko jeden garnitur, czarny, bardzo elegancki, i dwie białe koszule, pozostałe rzeczy poszły na sprzedaż. Dla taty zostawiłam dwa swetry, ale potem rodzina zdecydowała, że wystarczy jeden, a ten drugi też niech idzie między ludzi. Dar to był bezcenny, rodzina Alka dobrze o tym wiedziała i strasznie się krygowali, że nie mogą tego przyjąć, ale byłam nieugięta. Ja znalazłam, to ja mogę zrobić, co uważam. Poza tym nie wszystko rozdałam. Jak to się mówi, wyszłam na swoje. Na tej sprzedaży to omal życia nie straciłam, bo chociaż tata i mama mówili, że sami spróbują te rzeczy sprzedać, to ja wiedziałam, że handlarze z nich jak z koziej... trąba i sama muszę się tym zająć. Poszliśmy zatem z Azorem na Różyca i stanęliśmy sobie z boczku. Ja, dumna jak nie wiem co, zawiesiłam wszystko na sznurku i zaraz się chmara ludzi zleciała, głównie handlarek. Marusiowa się obraziła, bo nie wiedzieć czemu uważała, że ma prawo pierwokupu, ja jednak nie zamierzałam handlować z pośrednikami, a już na pewno nie z takimi, co to zaraz dalej sprzedadzą za dwa razy tyle. I tak nie chciałam drogo, bo po sto pięćdziesiąt złotych za garnitur, po dwadzieścia za koszulę i trzydzieści za sweter, bo był bardzo porządny, angielski.

I szybko trafił się kupiec, taki w czapce oprychówce – stał najpierw w oddali, potem podszedł i mówił do mnie „panienko”.

– Cicho, baby! – Uniósł rękę, handlarki natychmiast się uciszyły, a ja zrobiłam się czujna, bo małe oczka mu się świeciły jakoś tak niepokojąco.

– Panienska skąd to ma, co? – spytał grzecznie.

Wzruszyłam ramionami.

– Po bracie – skłamałam. – Zginął na wojnie, to co się ma marnować.

Gdybym się przyznała, że znalazłam, to mógłby mi wszystko zabrać i powiedzieć, że on też właśnie znalazł. Były już takie przypadki, kiedy handlujący okradali się nawzajem.

– I mamusia, i tatuś panienki? – drażył, spluwając co chwila, co było obrzydliwe i świadczyło o braku kultury.

– Kaleki z nich zostały, dlatego ja muszem pracować – bąknęłam.

Specjalnie tak powiedziałam, „muszem”, żeby sobie myślał, że naprawdę wszyscy zginęli na wojnie, a ja nie mam wykształcenia.

– A nie lepiej, żeby panienka mi powierzyła te rzeczy? – spytał bardzo grzecznie.

– Mogę je panu powierzyć, a jakże. – Pokiwałam głową. – Całość za trzysta pięćdziesiąt złotych.

Popatrzyłam na niego twardo. Gwizdnął przeciągle.

– A wiesz, smarkulo, że ja z policji jestem? I mogę te wszystkie rzeczy skonfiskować?

Trochę się przestraszyłam, ale nie dałam tego po sobie poznać.

– Nie jest pan z policji. Raczej przeciwnie. – Też splunęłam i nawet mi to wyszło dobrze, bo oprych się roześmiał.

– Mądra z ciebie dziewczuszka – stwierdził i dodał: – Trzysta.

– Trzysta dwadzieścia. – Znów splunęłam, tym razem trochę gorzej mi poszło, ale już byliśmy z oprychem zakumplowani.

– Trzysta – powtórzył.

Zrobiłam minę, że niby myślę, a potem kiwnęłam głową.

– Stoi. – Wyciągnęłam rękę.

– Towar teraz i pół ceny, reszta wieczorem. – Już wyciągał wielką łapę, kiedy ja cofnęłam rękę.

– Nie. Płaci pan pieniądze i te rzeczy są pana. Od razu.

Patrzył na mnie spode łba. Co to dla takiego trzysta złotych, pomyślałam. Widać, że handluje i forsy ma jak lodu.

– A walizkę panienka dorzuci?

– Nie na sprzedaż – oznajmiłam mu, chociaż chciałam ją sprzedać, bo po co mi taka walizka. Jak trzeba będzie się przenieść, to się włoży rzeczy do worka i weźmie na plecy. A tak w ogóle to my nigdy się nigdzie nie przeniesiemy. Nie teraz, skoro przeżyliśmy.

– Pięćdziesiąt złotych – powiedział, a ja się roześmiałam.

– Dwieście – odparłam.

Nagle z boku podszedł do nas drugi oprych i odsunął tego pierwszego.

– Dam czterysta za wszystko – stwierdził, a tamtemu oczy wyszły z orbit.

– Ja tu byłem pierwszy – wycedził i uniósł pięści.

Rozejrzałam się za Azorem, ale gdzieś pobiegł, akurat teraz, kiedy był mi naprawdę potrzebny.

– Panowie, spokój – spróbowałam załagodzić sytuację, bo ludzie się zlecieli i ani chybi policja naprawdę by tu przyszła i kto wie, czy by nie zabrali mi tych rzeczy.

Pierwszy opuścił pięści i wyjął zwitek banknotów.

– Masz tu trzysta pięćdziesiąt i uciekaj – powiedział i rzucił mi je na ziemię, ale wcale się nie obraziłam, tylko podniosłam szybko pieniądze, przeliczyłam i odwróciłam się do nich tyłem, żeby schować je w miejscu, które nie nadaje się do wymawiania.

Kiedy znów się odwróciłam, koło pierwszego oprycha stało już kilku innych, a tamten drugi się wycofywał.

– Daj pan setkę i walizka twoja – pisnęłam do tego drugiego, ale wtedy pierwszy, spoglądając groźnie na pozostałych, powiedział, że on tę walizkę bierze za setkę. Dał mi pieniądze i wziął walizkę, a ja nie czekałam na obrót sytuacji, tylko się zmyłam, licząc, że Azor mnie dogoni albo że czeka za bramą.

Tyle że za bramą czekało ich na mnie trzech, każdy w oprychówce, jakby się w jednym złodziejskim salonie ubierali. Nie miałam pojęcia, czy są od tego, co kupił, czy też od tego, co się musiał obejść smakiem, ale było mi wszystko jedno. Nogi mi się trzęsły ze strachu i chciało mi się do ustępu.

– Dawaj forszę – zażądał najniższy i splunął.

Co oni wszyscy z tym pluciem mają!

– Nie mam – pisnęłam, a oni zaczęli się śmiać, bo było widać, że się boją.

Wtedy mikrus podszedł i już miał mnie łapać za chabety, kiedy skądś wypadł Azor i jak nie skoczy na niego, wyjąc i szczekając niczym potępieniec. Przewrócił łobuza na plecy i wyglądał, jakby mu chciał zatopić kły w szyi. Zresztą może i chciał, bo ja nie znałam Azora od tej strony. Zrobiło się zamieszanie, bo pozostali zamarli na chwilę, ale zaraz zaczęli krzyczeć, że „mordują” i „bestia”. Ja się trochę zacukałam, bo nie wiedziałam, co robić. Czy uciekać i czekać, aż Azor mnie dogoni, ale wtedy musiałabym go zostawić z tymi oprychami, czy też go odwołać, ryzykując, że nas dopadną. W końcu, kiedy

jeden z oprychów wyciągnął nóż sprężynowy, odzyskałam mowę i zawołałam Azora, bo jeszcze by mu krzywdę zrobili. Uciekliśmy stamtąd. Pieniędzy nie ukradli, ale już wiedziałam, że na Różycu nie mam czego szukać. Mama zobaczyła mnie taką zziąjaną i spytała, co się stało. Nieopatrznie powiedziałam i po raz pierwszy wyglądała, jakby mi miała złoić skórę.

– Mówiłam, żebyś tam nie szła! – krzyczała. – Ale ty jesteś taka nieposłuszna, taka krnąbrna!

– Mireczko, przecież mogło się stać nieszczęście – utyskiwała Babcia Hrabina, najwyraźniej przeżona.

– Żadne nieszczęście, bo Azor mnie obronił – stwierdziłam, machając ręką, bo już się uspokoiłam.

– Tylko żal, że nie mogę tam wrócić.

– I całe szczęście – powiedziała moja niezaradna mama, po czym obie z Babcią Hrabką zaczęły tłumaczyć, co jest szczęściem, a co nieszczęściem.

Na to weszła Tereska i trzeba jej było opowiedzieć, co się stało, a ona wzruszyła ramionami i spytała, ile pieniędzy zarobiłam, wprawiając mamę w zdumienie, że można być tak obojętnym. Przecież ryzykowałam, że mnie zamordują! Tereska stwierdziła, że „co ma wisieć, nie utonie” i że to było tylko „potencjalne nieszczęście, jakie mogło się stać moim udziałem”. No ta to na literatkę się nadaje, pomyślałam sobie, ale nic nie powiedziałam. Wyjęłam z majtek pieniądze i podałam mamie.

– Aż tyle? – Oczy jej wyszły z orbit.

Pokiwałam skromnie głową. Zatrzymałam dla siebie sto złotych, nie żeby coś tam sobie kupować, tylko żeby mieć na handel. Od razu wymyśliłam, że zamieszczę ogłoszenie, że szyję ubrania, a przecież musiałam mieć na materiały, bo nie każda klientka przyjdzie z własnymi.

– Ty się lepiej do nauki jakiejś weź – poradziła mi Tereska.

– Są wakacje. – Wzruszyłam ramionami.

– Tereska ma rację – wtrąciła się mama. – Jak się skończą wakacje, to będziesz musiała zdać egzamin wstępny.

– No to zdam – stwierdziłam z niezmaconą pewnością siebie. – A na książki i zeszyty trzeba zarobić.

Już mi o tym ze trzydzieści razy mówiła. Że do szkoły będą egzaminy. Każdy będzie musiał przystąpić i na tej podstawie się ustali, kto do której trafi klasy. Zupełnie się tym nie martwiłam, bo czytałam, pisałam i liczyłam bardzo sprawnie, zwłaszcza liczenie mi wychodziło świetnie, jak wszystkim w naszej rodzinie. Wprawdzie specjalizowałam się w algebrze, bo jak się na kompletach zaczęła geometria, to wyjechaliśmy na wieś, ale żadna strata. Jak już człowiek umie dodać dwa do dwóch i obliczyć, ile musi mieć wkładu własnego w stosunku do zysków, to jakieś tam pole koła czy objętość graniastosłupa zawsze się policzy. Biologii ani geografii też się nie bałam, bo dzięki panu Piaseckiemu umiałam tyle, co niejednen licealista.

– O książki się nie martw – powiedziała mama, jakoś tak niby ostro, ale nie do końca – bo my z tatą pracujemy i kupimy, co trzeba.

– Wiem, że pracujecie, ale... – zaczęłam i nie dokończyłam, bo mama uniosła rękę.

Pewnie bała się, że powiem coś o tym, ile ludzi muszą utrzymać ze swojej pracy, i Babcia Hrabina się obrazi czy coś, bo przecież ona u nas była na łaskawym chlebie. Ale ja wcale nie to chciałam powiedzieć, tylko że ja też mam dwie ręce i mogę pracować, do czego Tereska się nie nadaje. Zanim jednak znów otworzyłam usta, wtrąciła się moja siostra.

– To mama ma pracę? – spytała.

Faktycznie, przecież kiedy mama powiedziała, że znalazła pracę, Tereski w domu nie było.

– Tak – odparła mama z dumą w głosie. – Pracuję w gazecie. Piszę artykuły o tych, którzy ocaleli. Tereska stała z rozdziawionymi ustami.

– Tata wie? – spytała głupio.

– Oczywiście, że wie. – Mama spojrzała na nią jak na wariatkę.

– I dużo płacą za taką pracę? – Teraz ja zaczęłam dociekać, bo jakoś wcześniej nie spytałam.

– Nie bardzo dużo, ale płacą, Mireczko. Więcej niż się spodziewałam.

Najwyraźniej myślałam, że w zrujnowanej Warszawie można żyć tylko z tego, co się znalazło pod gruzami i sprzedawało na boku, względnie z szycia. To miło, że się myliłam.

– A czy ja też bym mogła tam pracować? – spytała Tereska i zaraz taka grzeczna się zrobiła i miła, a mama obiecała, że się dowie, ale nie jest pewna, czy się uda, bo zgłosiło się bardzo dużo ludzi.

– A papieru może mama trochę do domu przynieść? – zapytałam, bo przyszło mi do głowy, że zamiast kupować albo zdobywać kartki na ogłoszenia, to przecież mogę skorzystać na mamy pracy.

– A po co tobie papier? – Wszystkie trzy wytrzeszczyły na mnie oczy.

Wyjaśniłam, że będę zamieszczać ogłoszenia, że szyję i skupuję materiały krawieckie, ale mama znów się zdenerwowała, że kombinuję jak dziecko cwaniaków i że jeszcze przekupa ze mnie wyrośnie.

Tereska, chociaż miała akurat na sobie bluzkę, którą jej uszyłam, żeby mniej płakała za Alkiem, bezczelnie mamie sekundowała, że prawda, że wstyd tak się zachowywać i że tylko bym sprzedawała, kupowała i inwestowała.

– Powiedziała, co wiedziała. – Nie dałam się sprowokować, bo ja przekupą nigdy nie byłam i nie będę. Mam swoją klasę i styl. Ale co innego pracować w handlu i budować swoje imperium od zera. Tak robili wszyscy wielcy przemysłowcy w Ameryce i ja też zamierzałam tak postąpić. Nie chciałam jednak nic więcej mówić, ani o tej bluzce, ani że Tereska jest niewdzięcznicą, bo mama zaraz by podniosła lament, a mnie by się może wysnęło to o Alku. A o tym to jeszcze chciałam milczeć, bo sama musiałam najpierw przemyśleć całą sprawę. No i szczerze mówiąc, nie wierzyłam, kiedy Danusia mi powiedziała w największym sekrecie, że Alkowi się bardzo polepszyło, bo nieoczekiwanie do Warszawy wróciła jego żona.



## ***Pamiętnik Tereski***

*Nikt jej tu nie znał. Wzięła się nie wiadomo skąd i zabrała mi ukochanego. Teraz jest niby jej, ale nie, ja się na to nie zgadzam. To nie może być prawda. Gdyby był jej, a nie mój, nie uciekałby przede mną. Powiedziałby „wybacz”. A on nie stanął ze mną twarzą w twarz. Żona Alka. Alek ma żonę. Poślubił ją w powstaniu, dla mnie to się nie liczy. Tak sobie powtarzam. Nie liczy się. Nie chciał tego. Poddał się chwili, nastrojowi śmierci. Nie kocha jej. Nasza miłość się liczy. Moja i jego. Nie tamta, obca dziewczucha, nie powstańcze historie. Czyżby? „Nie było cię, więc nie wiesz”, słyszałam i wciąż słyszę szepty z każdej strony.*

*Nigdy nie daruję ojcu, że nie pozwolił mi pójść walczyć za Ojczyznę. Gdzieś w głębi duszy, w najskrytszych zakamarkach serca wiem, że gdybym uciekła z domu i przyjechała do Warszawy, tobym zginęła. Rodzice także to czuli. Nic to, nie byłoby teraz tej męki. Nie byłoby teraz tych słów, że nie wiem, nie rozumiem, że jestem gorsza od tych, którzy kładli na szalę swoje młode życie. Alek wie, że jestem odważna. Nie raz widział mnie w akcji. Wtedy, kiedy mnie zabrali z łapanki i nie mogłam uciec, bo otoczyli nas ze wszystkich stron i zagnali do samochodu. Związałam im, dopiero kiedy wjeżdżali na Pawiak.*

*– Niech mi pan pomoże... – Osunęłam się wdzięcznie w ramiona niemieckiego żołnierza.*

*Tak, mógł mnie zastrzelić albo co najmniej uderzyć, kazać mi iść z wszystkimi do więzienia, ale on był tak zdumiony, że okazał troskę. Spytał, co mi jest.*

*– Słabo mi, duszno – wyjęczałam po niemiecku. – Spodziewam się dziecka...*

*Zaprowadził mnie do ambulatorium. Tam jedna z lekarek-więźniarek wskazała mi, gdzie jest magazyn. Schowałam się w pojemniku z brudami. Siedziałam tam całą noc, trzęsąc się z zimna, ale miałam szczęście, bo nad ranem mnie wywieźli. Wyskoczyłam z ciężarówki i wróciłam do domu. Jak opowiedziałam Alkowi o tym wszystkim, to mnie całował po rękach. Tata bał się, że prześcieradła były zakażone tyfusem czy inną zarazą, co dzień mnie oglądał, kazał trzymać się z daleka od Mirki, żeby jej nie zarazić, ale ja byłam zdrowa. Nic mi nie było. I rozpiełała mnie duma, że wystrychnęłam Niemca na dudka.*

*– Jaka jesteś odważna – powtarzali wszyscy, kręcąc z podziwem głową.*

*Zawsze byłam odważna. Jak wtedy, kiedy pod okiem Niemców wpuszczałam gaz do kina i jeden z nich mało mnie nie złapał. Trzymał mnie już za rękaw, ale tak mocno się wyrывalam, że wydarłam kawałek materiału. Udało mi się uciec, chociaż strzelał za mną. Wtedy również Alek patrzył na mnie z podziwem. Zawsze patrzył z podziwem. Z podziwem i miłością. Zawsze podkreślał, jaka jestem piękna i odważna. A potem musieliśmy wyjechać, bo groziło nam aresztowanie. I wszystko szlag trafił.*

*Ona ma na imię Renata i wcześniej nie walczyła. Nie była nawet w Szarych Szeregach. Nie roznosiła ulotek, nie pisała na murach „Polska walczy” ani „Tylko świnię siedzą w kinie”. Pracowała jako pielęgniarka w szpitalu. Nie wiem dokładnie w którym. Zresztą wszystko jedno. W powstaniu najpierw poszła za szpitalem, bo ich ewakuowali, potem razem z innymi wyszła na ulicę, żeby opiekować się rannymi. Robiła ponoć wszystko, opatrywała, karmiła, zszywała rany, asystowała przy operacjach. Imponująca. Taka dzielna, chociaż nie wystrzeliła jednego pocisku. Żeby ją szlag.*

*Poznała Alka, kiedy wybuchł czołg na Starym Mieście. Niemcy urządzili pułapkę, podstawili naszpikowaną ładunkami wybuchowymi maszynę, a nasi niby ją zdobyli. Czołg wybuchł. Ze trzysta osób wtedy zginęło. Rozerwało je na strzępy, flaki ponoć fruwały po całej okolicy, a ręce, nogi i głowy trzeba było omijać, bo można się było poślizgnąć. Alka tam nie było, ale zaraz przybiegł, kiedy dowiedział się, co się stało. Znalazł Stacha, naszego przyjaciela, który miał tylko urwaną dłoń, i zaniósł go na plecach na Długą, do szpitala polowego. I tam była ona. Nic więcej nie wiem, bo nikt nie chce mi powiedzieć, jak się to wszystko zaczęło. Pytałam Mirki, ale ona chyba też nie wie. Bo Alek nie rozmawia z rodziną, więc mała Danuśka niczego nie podsłucha i tym samym nie powtórzy mojej siostrze.*

*A ja? Chciałam i nie chciałam wiedzieć. Ze strzępków rozmów utkałam całą tę historię. Na Długiej wszyscy byli zajęci, bo właśnie przywieziono nowy transport rannych. Lekarze operowali, pielęgniarki asystowały. Ona kończyła zakładać szwy na głowie jakiejś dziewczynki.*

*– Mam rannego! – krzyczał Alek.*

*– Tu wszyscy ranni! – ktoś odkrzyknął.*

*Wtedy ona podeszła. Jasna, czysta, mimo że wkoło pył i gruz. Wyglądała jak anioł. Nie zwróciła na Alka uwagi, bo to Staszek cierpiał.*

– Już się panem zajmuję – powiedziała i najpierw starannie obejrzała ranę.

Z dłoni Staszka prawie nic nie zostało. Reszta była cała, ale Staszek przed wojną grał na fortepianie, myślał o studiach kompozytorskich. Alek nie powiedział jej tego, nawet kiedy Staszek zemdlął z bólu.

– Mój Boże, biedak. – Kazała Alkowi położyć Staszka na kawałku koca, który nosił ślady poprzednich nieszczęśników.

– Pani jest taka spokojna – powiedział Alek, a może nie powiedział, tylko ja sobie to wyobraziłam, bo Staszek leżał zemdlony i nie mógł wiedzieć, co się wtedy stało.

– Ktoś musi być – odparła krótko i uśmiechnęła się do Alka.

– Pani się nie boi? – spytał i zapewne miał wtedy przed oczami mnie, bo ja byłam tą najodważniejszą, najdzielniejszą kobietą, jaką dotychczas spotkał.

Ja bym odpowiedziała na to pytanie: „Nie. Niczego się nie boję”. Ale ona zapewne wypowiedziała inne słowa. Może brzmiały tak: „Bardzo się boję. Tylko głupiec się nie boi”. Albo tak: „Boję się, ale ktoś musi pomóc”.

To musiały być znaczące słowa, takie, które sprawiły, że zapomniał o mnie, o moich oczach, ustach, głosie i zaczął myśleć o niej.

– Trzeba zoperować pana przyjaciela – powiedziała pewnie, przerywając Alka myśli. – Nie wystarczy opatrzyć. Myślę, że ręki nie uda się uratować, ale może kiedyś medycyna tak się rozwinie, że...

Czy przypomniał sobie wtedy, że miałam być lekarzem? To ja miałam ratować ludzkie życie, a nie jakaś pielęgniarka. A może zdecydował, że on będzie inżynierem i zamiast budować wielkie domy, stworzy dla Stacha sztuczną rękę? Czy myślał tylko o jej dłoniach, którymi bandażowała strzęp nadgarstka? Nigdy się nie dowiem.

To nie może być prawda.

## MIRKA

Przysięgam ci, że nie wiedziałam – zapewniła mnie Danusia, a ja uwierzyłam, bo po jej minie poznałam, że nie tylko nie wiedziała, ale też nie pochwałała tego, że Alek ukrywał ożenek przed wszystkimi.

– Nie wiem, co powiedzieć. – Było to dla mnie stanem raczej nienormalnym, bo co jak co, ale języka w gębie nigdy nie zapomniałam.

– Mama się rozplakała – dodała Danusia. – I to wcale nie ze szczęścia.

Nie wiedziałam też, co o tym myśleć.

– Czemu nic nie powiedział? – spytałam w końcu.

Rozłożyła ręce.

– Nikt nie wie.

– Może ze względu na Tereskę? – zapytałam z nadzieją, bo było mi jej strasznie żal. Chodziła po domu smutna, nie chciała jeść. Nie chciała gadać z rodzicami, ani z mamą, ani z tatą – miała do nich żal, że nie puścili jej do Warszawy. Ja myślę, że dobrze się stało, przecież by ją zabili, ale nigdy tego nie powiedziałam, na pewno nie jej, bo ze mną też nie chciałyby gadać.

– Raczej nie... – Danusia westchnęła. – Może myślał, że ta żona umarła.

– Albo ona myślała, że umarł, kiedy go wywieźli do oflagu...

– Może. – Danusia miała ten zagadkowy wyraz twarzy, kiedy nie chciała czegoś powiedzieć. Nie żeby ukrywała coś przede mną, ale sama nie zawsze wszystko rozumiała.

Ja też nie bardzo rozumiałam, dlaczego Alek ożenił się z jakąś Renatką w piwnicy na Hożej, porzucając moją siostrę. Któż zresztą mógł wiedzieć, co sobie Alek myślał.

– Powiem ci tylko tyle – dodała w końcu Danusia – że to dziwne.

– Co jest dziwne? Że wołał ją od Tereski?

– Dziwne jest, żeby się żenić z kimś, kogo znasz kilka dni! – wybuchła Danusia.

To było dziwne, ale z tego, co już wiedziałam, wiele osób tak robiło. Niemcy ich bombardowali, myśleli, że jutro ich nie będzie, i brali śluby. Żeby pochować ich razem, w razie czego. Gdyby Stefan mnie o to poprosił, wzięłabym z nim ślub, pomyślałam i moje serce znów przeszył żal.

– Stabowczyk – powiedziała Danusia. – Ten kolega Alka, ten taki niski, ten, co to...

– Wiem – przerwałam jej. – Co z nim?

– Ożenił się z Anką Macierzanką. Oboje zginęli następnego dnia. Jedno na Starówce, drugie na Żoliborzu.

– I co? – Wzruszyłam ramionami.

– I to, że oni się ponoć wcześniej mieli ku sobie i postanowili, że tak zrobią.

Pokiwałam głową.

– Może... Mama opowiadała o jakiejś swojej koleżance nauczycielce, która też wyszła za mąż za powstańca. Ona przeżyła, on nie. I ponoć wcześniej chodził do niej na komplety, więc może się znali, tylko w obliczu, no tego... śmierci, zrozumieli, że...

– Sama byłam w obliczu śmierci, a nie przyszło mi do głowy, żeby się żenić – prychnęła Danka.

– Bo masz dwanaście lat? – spytałam kpiąco.

– Prawie trzynaście. W sumie też prawda – zgodziła się ze mną. – Ale Sabina Bednarska i Maciek Szczęsny się nie znali. A wzięli ślub.

Nie wiedziałam, o kim mówi, ale wyjaśniła, że to jacyś koledzy brata Tadka, z Woli.

– A oni przeżyli?

– Nie, on został ranny zaraz pierwszego dnia i leżał w Szpitalu Wolskim. Ona się nim opiekowała. Czwartego września wzięli ślub, piątego ich zabili. Razem z innymi rannymi, lekarzami, sanitariuszami...

Słyszałam o tym i aż miałam ciarki na plecach. Ponoć Niemcy wystrzelali wtedy ze dwadzieścia tysięcy ludzi, kobiety, dzieci, starców. Trudno mi było sobie wyobrazić taki ogrom zabitych ludzi. We wsi Grzegorzewskich mieszkało osiemset osób. Wiem, bo pytałam. Do naszej szkoły w Warszawie przed wojną chodziło dwieście. To ile by takich szkół i wsi Niemcy musieli zabić, żeby było dwadzieścia tysięcy? Jakimi musieli być draniem. Nie poszłam na Wolę, nie mogłam. Być może tam był grób Stefana, może nigdy go nie odnajdę, żeby godnie pochować, ale po prostu na Wolę iść nie mogłam.

– Czego dowodzą te śluby? – spytałam Danki.

– Nie wiem, ale w domu jest dziwnie. Bo najpierw, wiesz, wszyscy się cieszyli, że przeżył, a teraz znów niedobrze, że ma żonę. Chociaż w sumie to wszystko jedno przecież.

No, z punktu widzenia Tereski to nie wszystko jedno.

– Może Alek i ta Renata znali się wcześniej? – zasugerowałam.

– Nie. Akurat to wiem bardzo dobrze. Dopiero się poznali. Byli ze sobą ze dwa dni i buch – ślub.

– Mnie to co innego dziwi – stwierdziłam.

– No co? – najeżyła się Danusia, jakby się spodziewała, że mam ją zamiar skrytykować. – Pewnie, że taki młody i zaraz ślub, tak? Moi rodzice tak powiedzieli. Mnie jak raz to najmniej przeszkadza.

– Nie, chodzi mi o to, że dziwne, że ksiądz im udzielił ślubu.

– A czemu miał nie udzielić? – Danuśka znalazła stłuczoną solniczkę i teraz obracała ją w palcach i oglądała na wszystkie strony.

Solniczka była śliczna, szklana ze srebrnym wieczkiem, które wyglądało jak pysk ryby. Sól wylaływała przez dziurki w rybach łuskach na czubku głowy. Zastanawiałam się, jaka to ryba. Karp albo sum. Byłoby to cudo i jedno z naszych największych znalezisk, gdyby szklana część nie była pozbawiona dna.

– Dlatego – wzięłam solniczkę z jej rąk i sama zaczęłam ją oglądać, bo może by się jeszcze na coś przydała – że nie powinien takich ślubów udzielać. „Ślubuję ci miłość, wierność i uczciwość...” – zaczęłam recytować. – Oni nie byli świadomi tego, co mówią.

– Ale z ciebie mądrała... – Danka się skrzywiła.

A tak, kiedyś słyszałam, że tak się mówi podczas ślubu, i zrobiło to na mnie wielkie wrażenie. Kiedy usłyszałam o Alku i Renacie, to długo się nad tym zastanawiałam i doszłam do wniosku, że nikt pod ostrzałem snajperów i chwilę po wybuchu czołgu-pułapki nie jest świadomy tego, czym jest małżeństwo. Znałam kilka małżeństw, choćby moich rodziców i rodziców Danusi, Alka, Tomka i Halinki, państwa Piaseckich, Babci Hrabiny, no i Mazurów oraz Stefaniaków. Wszystkie te małżeństwa były na swój sposób dobre. No i żadne nie wydawało się zawarte w pośpiechu, po dwóch czy trzech dniach znajomości. Taka Babcia Hrabina i jej hrabia mąż na pewno znali się ze trzy lata wcześniej, tańczyli na balach, a potem były zaręczyny i ślub z całą hrabiowską otoczką.

– Mamusia mówiła, że tato zalecał się do niej od matury – oznajmiła nagle Danka.

Mój tata opowiadał, że zobaczył mamę w ogrodzie, pod kwiatem jabłoni, jak siedziała i czytała książkę. To było na wsi, gdzie mama mieszkała z moją prawdziwą babcią. Tata był tam na letnisku z drużyną harcerską. Ponoć uciekał z obozowiska, żeby chociaż przez chwilę porozmawiać z piękną panną. I mama była bardzo nim zainteresowana, ale babcia ją krótko trzymała, mówiła, że panienka nie powinna rozmawiać z nieznanym, zwłaszcza takim, który przyjechał na letnisko. Bo wiadomo, pojedzie sobie do domu i tyle z tego będzie. Ale babcia nie miała racji, bo tata i mama pisali do siebie listy, a potem mama przyjechała na studia do Warszawy i nie musieli już do siebie pisać. I tak chodzili ze sobą kilka lat, zanim w końcu mogli założyć rodzinę.

– Moi tak samo – przytaknęłam Danusi, która wyciągnęła rękę po solniczkę.

– Daj! – zażądała.

Oddałam solniczkę niechętnie, ale się należało, bo to ona ją znalazła.

– Nic niewarte – westchnęła w końcu i już chciała rzucić cacko, ale ją powstrzymałam.

– Co robisz, głupia? Przecież ryba jest całkiem dobra i na dodatek srebrna!

– Akurat srebrna. – Wciąż trzymała solniczkę, jakby ją miała wyrzucić. – Wcale nie srebrna! Żelazo! Taka ciemna!

– To tym bardziej dawaj! – wrzasnęłam, aż Azor zaczął szczeleć. – Jak wyrzucisz, to w życiu się do ciebie nie odezwę.

– Może to i lepiej! – odrzyknęła, ale zastanowiła się chwilę i pewnie doszła do wniosku, że nikt inny oprócz mnie nie będzie wysłuchiwał jej gadania i nikt nie będzie z nią chodził na poszukiwania w ruinach, bo mi ją dała.

– Dzięki – mruknęłam, a Azor mlasnął ozorem. Już ja się z tobą policzę, jak zostaniemy sami, pomyślałam. Gdzieś ty chodził, zamiast szukać rzeczy, co?

Azor jakby zrozumiał moje pytanie, bo położył uszy po sobie i spojrzał w bok.

– Jest twoja. – Danka machnęła ręką. – A z Alkiem to nie wiem, co będzie. Tyle wiem, że ona nie ma się gdzie podziać i będzie mieszkała z nami.

Zamurowało mnie na chwilę, ale przecież była w tym logika. Żelazna, można powiedzieć.

– Są małżeństwem – bąknęłam i zaraz coś mi przyszło do głowy. – Słuchaj, a może on żałuje tego pośpiesznego małżeństwa? Dlatego jest taki? Przecież jej nie zna. Wystarczy powiedzieć, że się papiery

spaliły...

– No właśnie nie! – Danka załamała ręce zupełnie tak samo jak jej mama, więc zaczęłam się śmiać.

– Czemu nie? – spytałam w końcu.

– Mama też mu to mówiła. I tata. Słyszałam przez dziurę. A on, że niczego nie będzie unieważniał, bo ją kocha i poślubił przed Bogiem.

Nie wiem, co zrobiło na mnie większe wrażenie: to, że Alek kocha dziewczynę, którą znał przez kilka dni, a już nie kocha mojej siostry Tereski, którą znał niemal całe życie, czy to, że naprawdę czuje się mężem tej Renatki. Takim prawdziwym, bo przysięgał przed Bogiem i wiedział, co robi.

– To jak będzie?

– Ona ma z nami mieszkać – powtórzyła Danka. – Pojechała do Otwocka, bo stamtąd pochodzi. Mieszkała gdzieś na stacji. Pojechała po swoje rzeczy i jakieś papiery załatwiać. I ma przyjechać.

– Ale gdzie ona się pomieści?

Frankońscy zajmowali przed wojną czteropokojowe mieszkanie. Teraz zostały im dwa pokoje. W kuchni nie można było gotować, łazienka się zawaliła. Wszyscy chodzili do ustępu na zewnątrz. Była też łazienka w budynku, ale wody nie było, no i kawałek dachu. A z kuchni korzystali piętro wyżej. Wszyscy lokatorzy, także z innych mieszkań. Tą kuchnią rządził ojciec Danki i Alka, lokatorzy mieli klucze, musieli określić, w jakich godzinach z niej korzystają, i nie wolno im było udostępniać jej innym, zwłaszcza za opłatą. U nas było podobnie. Też mieliśmy dwa pokoje, łazienkę na korytarzu, ustęp działał, bo lokatorzy naprawili, i na szczęście miał cały dach, bo nie wiem, co bym zrobiła, gdyby mi na głowę padało w trakcie, za przeproszeniem, korzystania. My też dorobiliśmy w domu klucze, bo raz zastaliśmy tam jegomościa, który spał w wannie i stwierdził, że w tej łazience zamieszka. Tata nie poszedł tego dnia do pracy, bo się z tym człowiekiem musiał handryczyć. Tak potem opowiadali wszystkim. A handryczenie się polegało na tym, żeby tego biedaka wynieść z domu, pilnować, żeby nie wrócił, dorobić szybko klucz i zamknąć łazienkę, bo zaraz inni by wpadli na ten sam pomysł.

– Co chcesz – mówiła potem mama do taty. – Zachowała się niemal cała kamienica. Musimy wszystkiego pilnować, bo inaczej będzie tak jak u Baški.

Baška to była jej koleżanka z pracy, matematyczka. Okropna kobieta. Jak wybuchło powstanie, to zamknęła swoje mieszkanie na cztery spusty, a mieszkała na Szucha, blisko Gestapo, i wyjechała w kieleckie. A jak wróciła, to stwierdziła, że dom stoi, mieszkanie, owszem, całe, ale w nim już dwie rodziny, dzicy lokatorzy. Nie chcieli się wynieść, chociaż nawet nie byli z Warszawy. A ta Baška, czego ona nie robiła. Sama się wepchnęła do domu, zamknęła się w pokoju, nie chciała wyjść, bo się bała, że jak za potrzebą pójdzie, to już nie będzie mogła wrócić. Po policję posłała, ale ci bezradnie rozłożyli ręce, że nic nie mogą, sprawę trzeba w sądzie założyć i czekać. A z sądami to i przed wojną nie było takie hop-siup, też swoje trwało. A teraz wszystko się odbudowywało, tworzyło na nowo, i budynki, i ludzie. Były też ważniejsze sprawy, bo takich ludzi jak Baška nie brakowało. To znaczy takich, którzy mieli jakieś sprawy mieszkaniowe. Albo im się lokatorzy do domów wprowadzili, albo sami się komuś do mieszkania włąmali. Myśmy to mieli takie szczęście, że nie wiem.

W końcu Baška przypomniawszy sobie, że się na matematyce zna, i przedstawiła tym rodzinom kalkulację, że jak ona ich do sądu pozwie, to sprawę wygra, ale tymczasem mogą z nią mieszkać, tylko mają jej płacić. Podpisali nawet jakąś umowę i Baška była zadowolona, bo mogła z łazienki skorzystać spokojnie i po chleb wyjść.

A z łazienką wcale tak prosto nie było, bo zanim wodociągi zaczęli łątać i znów była woda w rurach, to też trochę czasu minęło. Swoją drogą odgruzowywali tę stolicę już kilka miesięcy, ale gruzów prawie nie ubywało. Za dużo ich było. Wciąż po Warszawie kręcą się żołnierze, głównie radzieccy saperzy, którzy przeczesują ulice, kamienice, od piwnic aż po dachy. Mnie przed minami i niewybuchami ostrzega Azor. Jeden żołnierz to chciał mi nawet go zabrać, bo taka sobaka to skarb, jak powiedział, ale ja bym nigdy Azora nie oddała, nawet za góry złota, chociaż ten żołnierz żadnych pieniędzy mi nie proponował, tylko chciał mu dać kawałek kiełbasy. Azor to wie, co taka kiełbasa może oznaczać, dlatego nie wziął, a Rosjanin tym bardziej go chciał. Kiełbasę zaczął proponować mnie i Dance, aleśmy uciekły. Strasznie kocham Azora, gdyby któregoś dnia go zabrakło, to serce by mi pękło z żalu, jeszcze bardziej jak za Stefanem.

– Kiedy ona przyjeżdża? – spytałam. – Ta Renata?

– Jutro zaraz z rana – odburknęła Danka. – Ale będzie chodziła do pracy.

– Gdzie? W szpitalu?

Danka się skrzywiła.

– Nie słyszałam dokładnie, ale Alek twierdzi, że ona ma pracę „w zawodzie”. Pewnie w szpitalu. Sam też będzie chciał czegoś poszukać, bo rodzice uparli się, że odbudują piekarnię. I znów spróbują piec chleb.

Ucieszyłam się, bo to była bardzo dobra wiadomość. Po Warszawie chodzili inspektorzy budowlani i oznaczali budynki, które trzeba zburzyć i całkiem od nowa zbudować, i takie, które można naprawić. Jak doszli do piekarni, to strasznie długo dumali i dywagowali, aż wreszcie ustalili, że skoro piec jest niemal nietknięty, to resztę można odbudować. Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić. Ci inspektorzy pojęcia nie mieli, że piec to jedno, a do pieczenia chleba potrzeba jeszcze mnóstwo innego sprzętu, o mące i zaczynie nie wspominając. Wszystko sprowadzało się do pieniędzy, których Frankońscy niestety nie mieli, bo poszły z dymem. Niczego sprzedać nie mogli, bo nic im nie pozostało. Przed wojną na ich ścianach wisiały Kossaki i inne warte majątek obrazy, mieli pieniądze i złoto, ale przyszła wojna i koniec. Frankońscy się jednak nie poddali, bo cieszyli się, że przeżyli; inni, wiadomo, tyle szczęścia nie mieli. I jak to ludzie, którzy prawie przymierali głodem, chcieli jak najszybciej zacząć sprzedawać chleb i odzyskać majątek. Ja tam ich rozumiałam. Zapożyczyli się na mąkę i drożdże, a potem rozpalili w tym nieszczęsnym piecu, ale zaraz zaczęło się strasznie dymić i coś wybuchło. Bo się okazało, że w kominie był pocisk. Na szczęście mały, bo jakby to była bomba, toby wszyscy na tamten świat się przenieśli, a tak tylko strzeliło, zadymiło i już. Tyle że Frankońskim odechciało się pieczenia chleba, ale na szczęście nie na zawsze.

– No i teraz mają kilka worków mąki i nie wiedzą, co z tym zrobić – pożałowała się Danka.

– Niech sprzedadzą – powiedziałam rozsądnie.

– Myśleli o tym, ale jak sprzedadzą, nie będą mieli ani mąki, ani pieniędzy, bo je muszą oddać! A jak oddadzą, to znów nie będzie na odbudowę sklepu i odkupienie sprzętów, których potrzebują.

Bo tam wszystko rozkradli. Skrzynie na mąkę porąbali i spalili. Metalową szuflę znalazłyśmy z Danką pod gruzami, ale co z tego, jak komuś służyła za osłonę i była cała podziurawiona pociskami. Sita nigdzie nie było. Dzieże do rozczywania i miesienia ciasta na chleb mieli Frankońscy dębowe, bardzo solidne, pewnie dlatego nie przetrwały. Kosz został jeden, z tych, co się go wyklada płótnem i przenosi do niego ciasto drożdżowe albo na zakwasie, żeby podeszło. Stolnica, noże, wagi, deski na gotowy do pieczenia chleb, półki na upieczony... nic z tego się nie uchowało. Ktoś niby widział, że jacyś handlarze sprzedawali formy, ale chyba nieprawda, bo jakieśmy poszły, to nikogo takiego nie było. Danka mówiła, że jej rodzice nie mogą się doliczyć, ile to pieniędzy trzeba, żeby w ogóle zacząć.

– To po co kupowali mąkę?

Danka też tak myślała, ale musiała bronić rodziny, co ja jak raz rozumiałam.

– Mama chciała przygotować wszystko w domu. A bochenków to by tylko ze sto upiekli. I jak by sprzedali, to następne. I tak po kolei. Mama nie chciała słyszeć, że to się nie uda, a teraz płacze.

– I zaczyn w garnku? – pytałam bezlitośnie.

– Dla chcącego nic trudnego – najeżyła się Danusia, więc przestałam gadać.

– Może to jest pomysł? – stwierdziłam w końcu. – My mamy taki wielki gar żeliwny, co się ostał, mama nie wie, co z nim zrobić, to może by wam dała na zaczyn?

Danka aż się zaświeciły oczy.

– Dałaby?

Tu się trochę speszyłam, bo najpierw wypadało spytać mamy, ale byłam przekonana, że nawet jak nie da na zawsze, to przynajmniej pożyczę.

– Na pewno – powiedziałam z mocą.

Danka rzuciła mi się na szyję tak gwałtownie, że aż Azor zaszczekał, bo się bał o moje życie.

## „KURIER PORANNY”

Budynek mieścił się przy ulicy Sienkiewicza, sąsiedował z Filharmonią. Weszłam na pierwsze piętro, minęłam pokój, w którym przy stole zgromadziło się kilku mężczyzn i zawzięcie o czymś dyskutowało, i drugi, gdzie trzy milczące kobiety wystukiwały coś na maszynach do pisania. Mój nowy szef przebywał w trzecim. Zapukałam do drzwi i weszłam, kiedy usłyszałam „proszę”. Pokój był zaskakująco duży i jasny.

– Leszek Maria Skowroński. – Wysoki, szczupły mężczyzna podał mi rękę.

Wydał mi się znajomy, ale nie pytałam, czy mogliśmy się gdzieś spotkać przed wojną. Takich pytań lepiej było nie zadawać. Podałam swoje nazwisko nieco onieśmielona. Skowroński chyba się zorientował, że umieram z tremy, dlatego uśmiechnął się krzepiąco.

– Pani tekst o warszawiakach, którzy nie mogli walczyć w powstaniu i bronić Warszawy, zrobił na nas wielkie wrażenie. Wybraliśmy panią jednogłośnie. Witamy na pokładzie.

– Dziękuję – powiedziałam i odetchnęłam z ulgą.

Co z ludźmi robi wojna? Kiedyś byłam bardzo pewna siebie, śmiała i wesoła. Uczniowie lubili mnie, chociaż wiedzieli, że nie stosuję żadnej taryfy ulgowej. Teraz najchętniej skryłabym się w mysiej dziurze i zrezygnowała z etatu w gazecie.

– Proszę ze mną.

Zaprowadził mnie do pokoju, który mijałam, tego, gdzie dyskutowało kilku mężczyzn. Zawołał jednego z nich.

– Walczak – przedstawił się ów mężczyzna.

Był przeciwieństwem Skowrońskiego. Niski, przysadzisty, łysy. Pod jego pachami wykwitły wielkie plamy potu.

– Kiedy możemy liczyć na pierwszy tekst? – spytał.

Znów się zdenerwowałam.

– A na kiedy trzeba? – Mój głos chrypiało.

– Na wczoraj – odparł Walczak i machnął ręką na kolegów, którzy czekali na niego wyraźnie zniecierpliwieni.

– Niech pan nie przesadza, panie Walczak. – Skowroński uśmiechnął się dobrotliwie, po czym zwrócił się do mnie: – Jeszcze nie wydaliśmy pierwszego numeru.

– Ale jak już wydamy, to ruszymy pełną parą. A tekstów będziemy potrzebowali dużo. Bardzo dużo – oznajmił Walczak.

Patrzyłam to na jednego, to na drugiego i kiwałam głową. Miałam ochotę uciec, gdzie pieprz rośnie.

– O czym ma być ten tekst? – Byłam bliska płaczu.

– Teksty – poprawił mnie Leszek Maria Skowroński.

– Tak, teksty. – Chrząknęłam.

Walczak popatrzył na mnie i zmarszczył brwi.

– Będzie pani pisała o tym, jak warszawiacy przystosowują się do nowej sytuacji. Proszę opisywać zwyczajne życie. Powroty, próby urzędzenia się na swoim – powiedział Skowroński.

– Śmiało, śmiało – zachęcił mnie Walczak i po raz pierwszy się uśmiechnął. – Ma pani dobre pióro. Jesteśmy pewni, że sobie pani poradzi. Teksty proszę przynosić do mnie albo bezpośrednio do pań, o tu – wskazał pokój z maszynistkami – do przepisania.

Znów pokiwałam głową. O czym mogłabym napisać? Całe życie poprawiałam jedynie dziecięce wypracowania, uczyłam o tym, co poeci mieli na myśli. Nic więcej. Jak to? – odezwał się w moich myślach natrętny głos. Zawsze pisałaś, tylko że do szuflady. Teraz też pisałaś tekst o tych, którzy nie mogli walczyć w powstaniu. Po co się zgłaszałaś, skoro nagle wątpisz w siebie? Musisz być dobra, skoro powierzają ci takie zadanie. Po prostu w siebie uwierz. Po prostu.

– Jutro przyniosę dwa teksty do wyboru – oznajmiłam stanowczym głosem.

– Niech pani pobierze papier, bo pewnie z tym krucho – rzucił Walczak i wrócił do zniecierpliwionego towarzystwa.

– Bardzo się cieszę, pani Ireno. – Skowroński uściskał mi rękę i poszedł w głąb korytarza, gdzie murarze pracowicie łatali dziury po bombach i uprzętały gruz.

Wszystko wyglądało tu niemal normalnie.

## MIRKA

W sobotę odbyło się wielkie pieczenie chleba. Ludzie wyglądali na szczęśliwych, ale tak naprawdę to było strasznie smutne wydarzenie, tyle że symboliczne, bo zgromadziło wszystkich, którzy mogli przyjść: naszych sąsiadów, znajomych, a i nieznajomych, którzy wylegli spośród ruin w poszukiwaniu normalności. Nawet szczury się pochowały w uszanowaniu tego, co się miało dziać. Pewnie liczyły na resztki później. W sumie upiekliśmy wspólnie trzysta bochenków chleba na zakwasie. Myślałam, że pani Frankońska oczy wypłacze, kiedy zobaczyła, jak ludzie przychodzą do piekarni, co to tylko z niej piec został, i kupują chleb, dają, ile kto może, często więcej niż był naprawdę wart. Bochenki nie były nawet w połowie tak piękne i równe jak kiedyś, ale my wszyscy patrzyliśmy na wypieki jak na cud. I płakaliśmy. Pan Frankoński, moja mama i tata, nawet Alek, który przyszedł pomagać. I rodzice Halinki – to oni pożyczyci wielki blat, z którego zrobiono stolnicę. Ja też płakałam. A jak się już te płacze skończyły i chleb został kupiony albo rozdany, bo niektórzy dostali, jak my, za pomoc i wkład własny w postaci rąk do pracy i żeliwnego garnka, to Frankońscy przeliczyli pieniądze i okazało się, że starczy na sito, łopaty i kto wie, może nawet na formy. A wtedy Alek po raz pierwszy uśmiechnął się do mnie i powiedział, że mi bardzo dziękuje, że jestem wspaniałą dziewczynką, że wszędzie, gdzie wchodzę, przynoszę radość. Chciałam odpowiedzieć, że Tereska jest taka sama jak ja, ale się powstrzymałam, bo to by było niegrzeczne. Przecież Alek wiedział, jaka jest Tereska. I musiał wiedzieć, że chciałaby się z nim zobaczyć, porozmawiać, ale ze względu na sytuację tego nie robi. Nie przyszła choćby na chwilę, żeby piec chleb, bo tak się bała, że Alka spotka i będzie bardzo niezręcznie.

– Dziękuję ci przede wszystkim za ubranie – dodał i znów się uśmiechnął.

Z wszystkich, co pomagali przy chlebie, zostałam tylko ja, reszta poszła do domu. I pomyślałam, że to dobra okazja, żeby porozmawiać, coś wyjaśnić, ale on znów się uśmiechnął i powiedział:

– To wspaniałe, co robisz dla swojej i naszej rodziny.

Niby co takiego? – chciałam mu odrzec, bo właściwie to nie uważałam się za „wspaniałą dziewczynkę”. Skoro już przeżyliśmy, to trzeba było żyć dalej, coś robić, a nie załamywać ręce nad gruzami. Zresztą ja nigdy, przenigdy nie znosiłam nudy.

– Niech się dobrze nosi – bąknęłam i stałam chwilę jak słup, bo właściwie to zamierzałam nakrzyżować na Alka za to wszystko, co robi Teresce, tylko że słowa uwięzły mi w gardle, bo zjawiała się rzeczona Renatka.

Już u nich mieszkała, ale nie było jej na pieczeniu chleba, bo miała zmianę w szpitalu. Teraz widziałam ją po raz pierwszy i miałam okazję się jej przyjrzeć. Weszła, przywitała się z Frankońskimi, uśmiechnęła do Alka i przytuliła się do niego tak jakoś szczególnie, że aż mnie zakłuło w boku. Potem spojrzała na mnie.

– A zatem to ty jesteś Mirka. Dużo o tobie słyszałam.

I tak szczerze w głębi serca musiałam przyznać, nie sposób jej było nie polubić. I chociażbym nie wiem jak się starała nie znosić tej Renatki ze względu na Tereskę, to widać było, że dziewczyna jest w porządku. Nawet więcej niż w porządku. Wysoka, szczupła, ze ślicznymi rękami i warkoczem do połowy pleców. Miała wielkie, czarne oczy i długie rzęsy. To, co było dziwne, to jej kompletne niepodobieństwo do Tereski. Bo ja sobie wyobrażałam, że będzie taką zastępczą Tereską, którą się zauroczył z braku prawdziwej.

– A co pani słyszała? – spytałam trochę zaczepnie, ale ona, nawet jeśli się zorientowała, nie dała tego po sobie poznać.

– Słyszałam, że jesteś bystra, mądra i pyskata.

I w taki sposób wypowiedziała słowo „pyskata”, jakby to był największy komplement na świecie. Nie mogłam się obrazić.

– Kto powiedział, że pyskata?

– Ja – przyznała się Danką.

– Sama jesteś pyskata. – Chciałam pokazać jej język, ale nie pokazałam, bo weszła pani Frankońska i przyniosła chleb.

Wtedy Renatka klasnęła w dłonie i się rozplakała ze wzruszenia, powtarzając przy tym, że dziękuje Bogu, że to takie normalne, cudowne i tak dalej. A Alek ją objął i pocałował w skroń. Na to pani



Frankońska zaczęła jeszcze bardziej płakać i mówić, że to dzięki Bogu, jej dzieciom i tak dalej. Ja już miałam dość tych płaczów, więc skinęłam na Dankę, żebyśmy wyszły razem. Danką też chyba miała dość wzruszeń, więc tylko wzięłyśmy po pajdzie chleba z solą, chociaż byłyśmy objedzone po uszy.

– Nie pamiętam, kiedy tyle chleba zjadłam – powiedziałam, głaszcząc się po brzuchu, kiedy siedziałyśmy na kawałku dachu i patrzyłyśmy na okaleczone miasto.

Gdzieś tam pod gruzami leżały nieuprzątnięte trupy jego mieszkańców. Słychać było popiskiwanie szcurków.

– Ja też nie – przyznała Danką i dalej siedziałyśmy bez słowa ramię przy ramieniu.

Chciałam, żeby pierwsza zaczęła mówić o Renatce, bo byłam ciekawa, co ma na jej temat do powiedzenia, ale ona chyba nie wiedziała, jak zacząć, więc ją zachęciłam.

– No i co teraz? – zagadnęłam.

– No i nic. – Danką westchnęła. – Miła jest.

– Twoja mama ją lubi – stwierdziłam fakt.

– Lubi.

– Tereskę też lubiła.

– Lubiała.

– Bardziej Renatę? – Uparcie drążyłam temat.

– Inaczej – odpowiedziała natychmiast Danką, więc poznałam, że musiała się nad tym zastanawiać.

– Jak inaczej?

– Nie wiem, ale inaczej – burknęła i znów zamilkłyśmy.

– A ty ją lubisz? – spytałam w końcu, bo trzeba było sobie to wyjaśnić.

– Lubię – odparła niechętnie. – No.

W sumie Danką nie była niczemu winna. Jakby Alek ożenił się z Tereską, tobyśmy nie siedziały na dachu, tylko z nimi, jak kiedyś, przed wojną, kiedy wszyscy byliśmy jak jedna wielka rodzina. Frankońscy i my.

– Patrz!

Danką pokazała palcem jedno z ognisk, które ludzie palili na ulicach, żeby się ogrzać, gdy noc była chłodniejsza albo gdy chcieli coś ugotować.

– Widzę, i co? – Nie wiedziałam, co niby mam podziwiać.

– Tadek i Amelka – powiedziała.

Faktycznie, w blasku ognia można było dostrzec ich twarze.

– I co?

– Czy tam z nimi... – Wpatrywała się. – Nieważne...

Tadek i Amelka podpiekali nad ogniem chleb. Był z nimi ktoś jeszcze, siedział z tyłu, ale nie dostrzegłam twarzy.

– To pewnie chleb od was – stwierdziłam. – Pieką sobie i co z tego?

Chciałam wrócić do rozmowy o Alku, Renatce i Teresce.

– Mówię, że nieważne – mruknęła. – I o tym też nie chce mi się gadać – rzuciła nagle.

– Nie chce ci się, bo nie wiesz, co powiedzieć. Ja rozumiem. Nie mam żalu. Do ciebie na pewno nie. Nawet do Alka nie, bo przecież nas tu nie było. Jakbyśmy byli, toby Renatki nie było. Tylko Tereska. Chociaż Tereska zawsze powtarzała, że zginęłaby w powstaniu. I ja pewnie też bym zginęła, bo jak nic roznosiłabym meldunki. A Tereska jest taka odważna, wszędzie by weszła i pewnie zaraz by ją zastrzelili. Więc Renatka byłaby tak czy inaczej. Z Alkiem. Może w sumie nie ma o co kruszyć kopii.

Gadałam tak i gadałam, bo chciałam, żeby Danusia powiedziała, że między nami nie ma już żadnych żalów ani pretensji, ale ona patrzyła na ognisko Amelki i Tadek i marszczyła brwi.

– Co ty się tam tak gapisz – nie wytrzymałam – kiedy ja takie ważne rzeczy mówię?

– Bo tak mi się wydawało... Tak mi się wydawało...

– No co ci się wydawało?

– Nic – powiedziała w końcu.

– Dobrze, że nic. – Miałam dość, wszystkie kości mnie bolały od tej pracy przy chlebie: pieczenia, wkładania, wykładania, pomaganie i tak dalej. – To ja idę.

– To cześć! – zawołała i już jej nie było, aż mnie zamurowało, bo postąpiła nieładnie, kompletnie bez kultury.

Jeszcze chwilę posiedziałam na dachu. Widziałam, jak leci do tego ogniska, pewnie wyjaśniać, co się jej wydawało. To ja też sobie poszłam, bo co miałam siedzieć na dachu. A w domu napadła mnie

zaraz Tereska i zaciągnęła do pokoju.

– Jaka ona jest? – zapytała bez wstępów.

Spodziewałam się, że tak będzie, więc postanowiłam powiedzieć jej wszystko, co wiedziałam, żeby już odcierpiała swoje i zaczęła żyć jak człowiek.

– Bardzo miła i zupełnie do ciebie niepodobna.

– Brzydka?

– Ładna – odparłam cierpliwie.

– Ładniejsza ode mnie? – zapytała, przy czym patrzyła na mnie tak natarczywie, że mi się nieprzyjemnie zrobiło.

– Nie jest ładniejsza od ciebie, nie jest też brzydsza. Jest zupełnie inna.

– Jak to?

– Ty jesteś jak róża, a ona jak gałązka wierzbowy – stwierdziłam, bo Tereska lubiła wiersze i poetyckie porównania.

Ale znów to, co powiedziałam, się jej nie spodobało, bo zaczęła mnie męczyć, co to znaczy, że gałązka wierzbowy i że na pewno chodzi o jej figurę. Renatki znaczy się.

– Ona jest taka, jakby się miała przełamać na pół – oznajmiłam w końcu.

– Musi być silna, skoro zajmuje się chorymi – nie ustępowała Tereska.

Marzyłam o tym, żeby mama mnie zawołała, ale jak na złość nie kazała kłaść się spać ani nic takiego.

– Pytałaś, jak wygląda, to ci mówię. – Westchnęłam. – Nie jest ładniejsza. Jest zupełnie inna.

Jak jej miałam wytłumaczyć, że nie o warkocz poszło ani o to, że dłonie ma wąziutkie, palce takie długie, tylko pewnie o to, że była. A Tereski nie było. A może to był jedynie początek, a koniec taki, że skoro Renatka się napatoczyła, to już została. No i gwoli sprawiedliwości, przecież nic nie wiedziała o Teresce. Czyli się na żonę Alka nie prosiła.

– Jak on mógł mi to zrobić! – rzuciła Tereska i zaczęła płakać.

Trochę mnie to rozżłościło, bo mnie Stefan umarł, a ja jakoś sobie z tym radziłam i myślałam o innych, a jej nikt nie umarł, a tylko „ja, mnie, o mnie, ze mną” i tak dalej.

– Dałabyś spokój – powiedziałam nieopatrznie i wtedy się zaczęło.

– Wszyscy są przeciwko mnie! – wrzasnęła, aż ściany się zatrzęsnęły. – Nikt mnie nie rozumie!

Nikt!

Na to przyszli i mama, i tata i popatrzyli na mnie, jakby to była moja wina, że osiemnastoletnia siostra wrzeszczy i nie daje ludziom spać.

– To nie moja wina – powiedziałam.

– Oczywiście, że nie twoja – odparł tata, a wtedy Tereska zaczęła mówić, że to wina taty właśnie, bo jej do powstania nie puścił.

W koło Macieju.

– Jakbym cię puścił, tobyś zginęła – tłumaczył, ale ona nic, tylko że wolałaby zginąć, zamiast patrzeć, jak jej ukochany jest z inną.

– Teresko, na litość boską – spróbowała ją uspokoić mama, ale Bóg się nie ulitował, bo moja siostra płakała i użalała się nad sobą do późnej nocy.

Ja już nie chciałam tego słuchać, tylko poszłam spać. Chwilę jeszcze nasłuchiwałam, czy mama i tata czegoś nie powiedzą.

– Mirka jest bardziej dojrzała od Tereski – usłyszałam, jak mówią do Babci Hrabiny.

Jeśli coś odpowiedziała, to bardzo cicho, bo już nie dosłyszałam. A juści, chciałam powiedzieć, ale w końcu czy mi zależało na tym, żeby moje było na wierzchu? Wcale nie. Tylko Tereski żal. I Alka z Renatką. I jeszcze żal mi się zrobiło mamy i taty. I Babci Hrabiny. Bo spali w jednym pokoju i to było bardzo niezręczne. Ja tam wiem, skąd się biorą dzieci. Pan Piasecki nam wytłumaczył. Naprawdę kulturalnie i jak normalny człowiek. I opowiedział o intymności. Że kobieta i mężczyzna potrzebują przestrzeni. Zrozumiałam, że to oznacza – chcieliby być sami. Niestety to było zupełnie niemożliwe. No, ale przecież mieliśmy dach nad głową. I byliśmy dobrzy. Dlatego nie dbaliśmy o to, co Babcia Hrabina ma za majątek, tylko pozwalaliśmy jej spać w jedynym porządnym łóżku w domu.

\* \* \*

Nie chciałam jej wierzyć. Kiedy powiedziała mi, że poprzedniego dnia przy ognisku zauważyła Stefana, byłam przekonana, że się myli.

– A pytałaś Amelki i Tadka? – wychrypiałam, bo myśl, że Stefan jednak nie zginął, była jak zablizniająca się rana, którą ktoś postanowił nagle rozdrapać i posypać solą.

– Pytałam i to jest właśnie najciekawsze, bo powiedzieli, że nie.

Danka patrzyła na mnie z triumfem w oczach. Ulotna nadzieja, która sprawiła mi przykrość, zgasła w jednej chwili. Pozostał jedynie żal.

– Nie zavrcaj głowy. – Odwróciłam się od niej.

– Czekaaj. – Złapała mnie za ramię. – Wiem, że ci zależy, więc...

– Zależy?! – wrzasnęłam, strząsając jej dłoń. – To był mój przyjaciel! Taki sam jak ty! Może nawet większy!

– No przepraszam, nie złość się tak, chciałam dobrze – wycofywała się Danka, nie patrząc na mnie.

– Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy?! Dlaczego postanowiłaś...?! – wydierałam się oburzona.

I co dziwne, Danka, której zawsze musiało być na wierzchu, która jak nie miała ostatniego słowa, to nie mogła zasnąć, jeszcze raz przeprosiła.

– Zapomnij, Mirka – poprosiła. – Naprawdę cię przepraszam. Zapomnij.

O, to nie będzie takie łatwe. Dużo mogłam przeżyć i jeszcze więcej zapomnieć, ale Stefana nie zapomnę nigdy. I Danka o tym wiedziała. Nie dalej jak dwa dni wcześniej znów byłam przy ekshumacjach i oglądałam zmurszałe ciała trzech harcerzy. Na szczęście dwóch z nich miało dokumenty, a trzeci był o głowę niższy od Stefana. Zresztą była przy tym jego babcia, bo mama ponoć zginęła. I ta kobieta tak strasznie płakała i krzyczała, złorzeczyła Armii Krajowej, nazywała ich wszystkich mordercami dzieci. Tak mnie to przygnębiło, że nie dokończyłam bluzki dla klientki na zamówienie i przypomniałam sobie o tym dopiero późnym wieczorem. I pół nocy szyłam przy lampce, żeby na rano była gotowa.

– Dobra – burknęłam i znów się odwróciłam, żeby obetrzeć łzę.

Od czasu, kiedy wróciłam, nie mogłam myśleć o Stefanie, żeby mi się nie zbierało na płacz. Też miałam żal o to powstanie, bo z niego same nieszczęścia były. Ludzi, i to głównie młodych, więcej zginęło niż podczas całej wojny, a Warszawa została doszczętnie zburzona. Przed wojną to było takie piękne miasto. Kochaliśmy je wszyscy.

– Byłabym zapomnią! – Danka uderzyła się dłonią w czoło aż klasnęło. – Pani Piasecka prosi, żebyśmy do nich przyszły.

Nareszcie jakaś dobra wiadomość.

– To pan Piasecki wrócił? – Ucieszyłam się, bo nie zauważyłam, żeby w stróżówce było jakieś poruszenie. – W stróżówce ciemno.

– Wrócił, ale musieli się wynieść ze swojego mieszkania, bo tam ściana grozi zawaleniem.

W wielu miejscach ściany groziły zawaleniem, ale mało kto z tego powodu się przenosił. Widocznie u Piaseckich było gorzej niż u innych.

– A gdzie teraz mieszkają? – spytałam.

Okazało się, że dwie ulice dalej, w mieszkaniu siostry pani Piaseckiej, która zginęła podczas powstania, zasypana w jakiejś piwnicy.

– To może też Tadka i Amelkę weźmiemy? – zastanawiałam się głośno, patrząc na Azora, bo znów coś zwąchał i krążył wkoło muru przysypanego cegłami.

– Nie – Danka niemal krzyknęła, ale zaraz dodała: – Pani Piasecka prosiła, żebyśmy tylko we dwie były, bo pan Piasecki jest bardzo słaby i nie chce hałasu.

– Ale Azor nie robi żadnego hałasu... – oburzyłam się.

– Jakbyś nie wiedziała, o co chodzi – burknęła Danka i wyjaśniła mi, że Azor jest podobny do psów, które mieli Niemcy.

Pokiwałam głową, chociaż wcale nie przypominał niemieckich wilczurów, był dwa razy mniejszy i uszy miał inne, ale nie chciałam się kłócić. Może panu Piaseckiemu psy w ogóle źle się kojarzyły, nie mnie było dyskutować.

Pan Piasecki rzeczywiście był słaby i chudy jak szczapa. Ale ucieszył się na nasz widok. Uśmiechnął bezzębnymi ustami i zaprosił do środka. Miałam ze sobą dwadzieścia deko cukru, a Danka przyniosła chałkę. Pani Piasecka tak się wzruszyła, że objęła nas i głaskała po głowach, aż mi warkocze potargała.

– Jak się pan czuje, panie Witoldzie? – spytałam.

Wiedziała, że był w obozie. Co chwila ktoś wracał z obozu, chudy, bez zębów i z tym przeraźliwym strachem w oczach, którego musiał się tam nabawić – w miejscu, gdzie śmierć była wszędzie.

– Dziękuję, Mireczko – powiedział cicho. – Już lepiej. Niedługo całkiem wydobrzeję.

– I tak pan dobrze wygląda – stwierdziła z wiarą Danka. – Halinka, ta od Murańców, pamięta

pan? Ta, co była taka gruba? To ona też z obozu wróciła.

– Pewnie już nie taka gruba – odparł pan Piasecki, ale wcale się nie śmiał, choć i nie smucił.

– Wszyscy wiedzą, jak było – ciągnęła Danka. – Chodzi mi o to, że ona była w sanatorium i kiedy rodzice ją przywieźli, to wydawało się, że jest tylko chuda, ale ona jeszcze zwariowała.

Zastanawiałam się, po co Danka mówi panu Piaseckiemu takie rzeczy, ale on patrzył poważnie i kiwał głową.

– Sanatorium niektórym nie wystarczy – powiedział w końcu i znów się uśmiechnął. – Nie tym po obozie.

– Może za krótko była w sanatorium – wtrąciłam się. – Bo znów tam wróciła.

Umilkliśmy. Tymczasem przyszła pani Piasecka i usiadła przy nas.

– To opowiadajcie, co dobrego, bo ja nie chcę słuchać o złych rzeczach – poprosił pan Piasecki i oparł się o poduszkę, jedyną na wyliniącej kanapie.

Spojrzałam na tę poduszkę wcześniej i pomyślałam sobie, że warto ją zeszyć i włożyć do niej trochę trocin, bo o pierzu to nie ma co marzyć.

– Nasze rodziny przeżyły – zaczęłam. – Nas to w ogóle nie było w powstaniu, bo pojechaliśmy na wieś.

– Mówiła mi żona – powiedział pan Piasecki i dodał: – Całe szczęście. Tylu ludzi zginęło.

– Za ojczyznę – dodała szybko Danka.

– Za ojczyznę – powiedzieliśmy jednocześnie z panem Piaseckim, a ja dodałam: – Pan wie, że ja bym walczyła, gdybym tu była...

– Wiem. – Pan Piasecki skrzywił się, jakby go coś zabolało. – Jakbym ja tu był, to też bym walczył. Ale byłem w bloku jedenastym w Oświęcimiu.

– Dobrze, że pan przeżył – powiedziałam cicho. – Kiedy znów zagramy w „państwo, miasto...”?

– Jak tylko trochę mi przybędzie sił. – Uśmiechnął się. – Ale zagramy na pewno. Już niedługo.

– Może ty także pojedziesz do sanatorium? – spytała pani Piasecka i zwróciła się do nas: – Są fundusze na ten cel, dla byłych więźniów, ale mąż nie chce jechać.

– Dlaczego? – zdumiałam się. – W sanatorium dobrze karmią, wiem, bo tatuś mi mówił. I szybciej by pan wydobrzeł.

– I na płuca by pomogli. – Pani Piasecka nalala nam herbaty do obtłuczonych kubków, a drżały jej przy tym ręce.

– Ja nie potrzebuję sanatorium – niemal wyszeptał pan Piasecki. – Nie chcę jechać do miejsca, gdzie będą inni więźniowie. Czuję się jak w obozie. Za nic.

Pani Piasecka wzięła go za rękę.

– Tyle wycierpiał – powiedziała ni to do nas, ni to do męża.

Trochę rozumiałam z tego, co mówił pan Piasecki. Nie chciał już opuszczać domu, nawet dla sanatorium, gdzie być może dawaliby mu jakieś lekarstwa. Poza tym wyglądał jak trzy ćwierci do śmierci. Może coś przeczuwał i chciał umrzeć w domu. Na samą myśl znów zachciało mi się płakać, jak za Stefanem. Nie dopuszczę do tego, żeby pan Piasecki umarł.

– Może ja tatę poproszę, żeby pana zbadał? – zasugerowałam.

Państwo Piaseccy spojrzeli po sobie.

– Tata zawsze pana lubił i mówił, że powinien panu płacić za udzielanie nam lekcji – dodałam szybko, bo gołym okiem było widać, że nie mieliby z czego zapłacić. – Poza tym może pan iść do taty do szpitala, jeśli pan nie chce, żeby tu przychodził...

– Bylibyśmy ci bardzo wdzięczni, Mireczko. Poproś tatę – powiedziała w końcu pani Piasecka, a pan Piasecki szybko otarł łzę z policzka.

– Poproszę jeszcze dziś. – Pokiwałam gorliwie głową. – I jeśli pani pozwoli, to pomożemy trochę, bo...

– Bo wiemy, gdzie są jadalnie, gdzie można coś lepszego dostać, wymienić się różnymi towarami... – bąkała Danka.

Miałam nadzieję, że pan Piasecki się nie obrazi, ale widać obóz go nauczył, że jeśli ktoś coś daje, to trzeba wziąć.

– Bylibyśmy bardzo wdzięczni – powiedział, a potem osunął się jakoś tak na bok i zasnął.

Pani Piasecka już zaczęła przeproszać, kiedy Danka wstała, podeszła do niej i poklepała ją po ramieniu jak jakaś ciotka.

– My tylko tak wyglądamy, że nic nie rozumiemy. Ale nas się nie trzeba wstydzić.

Teraz pani Piasecka już szlochała rozdierająco i trzymała nas obie sękatymi rękami.

– Taki słaby, ledwie żywy – szeptała, płacząc.

– Ale żyje – powtarzałam w kółko, wszyscy tak mówili, chociaż nie wiedziałam, czy do pani Piaseckiej to przemówi. – I chce dalej żyć. A jedzenie się znajdzie. Mają państwo dach nad głową. To bardzo ważne.

Przed wojną siostra pani Piaseckiej musiała mieć w posiadaniu całe to mieszkanie, teraz Piaseccy zajmowali tylko jeden pokój, ale całkiem przestronny, zaraz też przy łazience i niewielkiej kuchni. Słowem – mieli więcej szczęścia niż inni. Dobrze i to.

– To prawda, Mireczko. Jesteś mądrą dziewczynką. – Wciąż ścisnęła mnie za rękę.

– I ja też – upomniała się o swoje Danka.

– I ty też, Danusiu. – Pani Piasecka ocierała łzy.

– Czy ja następnym razem mogę przyjść z Azorem? – spytałam i dodałam, że pan Piasecki zawsze bardzo lubił zwierzęta, a Azor jest taki dobry, że na pewno pomoże mu wyzdrowieć.

– Jest bardzo łagodny – potwierdziła Danka. – I wcale niepodobny do niemieckiego wilczura.

Pani Piasecka pokiwała głową.

– Zobaczymy – stwierdziła.

Pan Piasecki zaczął jęczeć przez sen. Wyszliśmy cicho.

## „KURIER PORANNY”

Rozejrzałam się po zrujnowanym podwórzu kamienicy przy Wiejskiej.

– Niech pani tu nie wchodzi! – Wysoka kobieta pojawiła się nagle niczym duch.

– Ja... – zaczęłam. – Jestem z gazety. Piszę o...

Umilkłam. Kobieta przyglądała mi się spod oka.

– O czym? – spytała.

– O życiu w powojennej Warszawie. – Nabrałam pewności siebie. – O tym, jak ludzie odnajdują się w...

– Już tu była komisja budowlana i ci z kwaterunku – przerwała mi.

Przed wojną pewnie miała samochód i szofera. Wyrażała się z niejaką wyższością, charakterystyczną dla żon bogatych albo wysoko postawionych mężów.

– Ja nie jestem z żadnej z tych instytucji. Czy zechciałaby pani...?

– Nie wpuszczę pani do domu – powiedziała stanowczo.

– Nie szkodzi – zgodziłam się pospiesznie. – Nie muszę wchodzić. Może mi pani opowiedzieć o...

– Miałam czterech synów. Został jeden. Najmłodszy – odparła tym samym stanowczym tonem.

Wzdrygnęłam się. Jej słowa przeszły mi na wskroś. Nie wiedziałam, czy to zachęta do dalszych pytań, czy też ostrzeżenie, żeby nie wchodzić z butami w jej zrujnowane życie.

– Ja mam dwie córki. Obie przeżyły. – Próbowałam się uśmiechnąć.

– To szczęśliwa z pani kobieta. – Nie umiała ukryć ironii.

Poczułam się nie na miejscu. Jakie miałam prawo stać tu i pytać tę nieszczęsną o to, jak się jej żyje?

*Odchodzili po kolei, od najstarszego począwszy. Jeszcze w 1941 przejechał go niemiecki samochód. Niemcy ubolewali. Mój Boże, zabili niewinnego człowieka, jakże im było przykro. Drugi zginął w jednej z tych nikomu niepotrzebnych akcji organizowanych przez Państwo Podziemne. Miał 18 lat. W odwecie za tę akcję Niemcy zabili dwudziestu więźniów Pawiaka. Czulałam się winna. Mąż mówił, że poległ za ojczyznę. Przestałam go kochać za te słowa.*

– Przepraszam – powiedziałam. – Pójdę już.

– Dlaczego? – spytała, jakby była autentycznie ciekawa, czemu rezygnuję z wywiadu. – Przecież odpowiadam na pani pytania.

– Dom ocalał niemal w całości – próbowałam nawiązać rozmowę.

– Tak – potwierdziła krótko. – Wszystko wydaje się w porządku, prawda?

– Na pewno nie... – zaczęłam.

– Ależ absolutnie. – Machnęła ręką. – Wygoniliśmy Niemców z Warszawy.

Mówiła, że trzech jej synów zginęło. Czyżby uważała, że taka ofiara jest warta mieszkania w ruinach? Na tej ulicy w 1943 rozstrzelano dziesięciu przypadkowych ludzi. Widziałam to, bo wracałam z tajnych kompletów. Podjechały dwie ciężarówki, zatarasowały drogę z obu stron. Wysypali się uzbrojeni żołnierze. Ludzie zaczęli uciekać, ktoś ukrył się w bramie, jakaś kobieta upadła i straciła przytomność od uderzenia w głowę. Ja stałam i nie mogłam się ruszyć. Łapali metodycznie, jednego po drugim, i ładowali do ciężarówek. Ludzie krzyczeli, pytali, dokąd ich zabierają, ktoś wyciągał dokumenty z kieszeni i przekonywał, że nie mają prawa nigdzie go wywozić. Pogodziłam się wtedy ze śmiercią. „Halt”, powiedział do mnie jeden z Niemców. Zachciało mi się śmiać, bo przecież stałam. Poprosił o papiery. Podałam mu je, ze zdziwieniem zauważając, że ręce mi nie drżą. Spytał, co tu robię. Najczystsza niemieczyną odpowiedziałam, że wracam do domu. „Z pracy?”, dociekał, oglądając moje papiery. Odpowiedziałam, że nie pracuję, ponieważ jestem nauczycielką, a szkoły, jak wiadomo, nie działają. Czego uczyłam? „Niemieckiego”, skłamałam gładko. Oddał mi kenkartę. Musiałam jeszcze tylko patrzeć, jak dobijają tę leżącą kobietę i wywlekają dziesięć osób z ciężarówki. Ustawili je twarzami do muru i zastrzelili. Ot tak. Ja poszłam do domu.

– Przepraszam panią – powiedziałam cicho. – Nie chciałam...

Jutro pójdę do naczelnego i złożę rezygnację. Potrafię pisać, ale nie umiem rozmawiać z ludźmi. Czuję się jak intruz, zaglądając w serce tej kobiety. Co ja powinnam napisać? O jej stracie? Czy o tym, że

miała mimo wszystko szczęście, bo jej został jeden syn? Że ma gdzie mieszkać? Jak mam wlewać w serca ludzi nową nadzieję? Ignorować tragedię, jaka ich spotkała?

– A co pani chciała? – Nagle jej twarz się zmieniła. Już nie była taka obojętna.

*Trzeci poszedł do powstania. Nic nie mogłam na to poradzić. Mogłam tylko nienawidzić tych, którzy mi go zabrali. Nie tylko Niemców. Na cały oddział liczący dwadzieścia osób przypadły dwie sztuki krótkiej broni. Mówił, że mają dużo butelek z benzyną. Kiedy się skończyły i niemal wszyscy zginęli, kazano mu dalej trwać na posterunku. Trwał na nim do śmierci. Najmłodszemu podałam leki nasenne w herbacie, żeby nie miał siły nigdzie iść. Kiedy oprzytomniał, kazałam mu przysięgać na Boga, że mnie nie opuści.*

– Zaczęłam pracę w „Kurierze Porannym” – tłumaczyłam. – Moim zadaniem jest opisywanie, jak Warszawa dźwiga się z ruin.

– Co pani robiła przed wojną? – spytała.

– Uczyłam polskiego.

– Ja angielskiego – odpowiedziała. – Mój mąż był lekarzem. Zginął, kiedy spacyfikowali szpital na Woli. Piątego sierpnia.

To była wielka zbrodnia. Jednego dnia zginęło dwadzieścia tysięcy ludzi. Nie do wyobrażenia.

– Mój mąż też jest lekarzem – powiedziałam. Było mi słabo. Może przez upał.

– Na pewno się znali. – Uśmiechnęła się blado.

– Na pewno – zapewniłam gorliwie.

Z budynku wyszedł wysoki chłopiec. Złapała go za ramię. Zatrzymał się i delikatnie uwolnił.

– Nigdzie nie idę, mam – powiedział uspokajającym głosem. – Chciałem tylko zobaczyć, gdzie jesteś.

Miał tyle lat co Mirka. Ja jej pozwalałam wszędzie chodzić. Trzymałam ją blisko w czasie wojny, ale po tym, jak wróciliśmy do domu, biegała z Danką, gdzie chciała. Miała psa, który wywąchiwał niewybuchy, wierzyłam, że ją ochroni. Poza tym gdzie ona mogła pójść? W ruinach posiedzieć? Zobaczyć, co zostało z Łazienek Królewskich? Ustaliliśmy z mężem, że to ważne, aby żyć dalej. Uciekliśmy z piekła do piekła, teraz wróciliśmy do czyśćca. Trzeba zapłacić za grzechy. Gdyby jednak coś jej się stało...

– Nigdzie nie idź, synu – powiedziała matka, po czym pokazała mu, żeby wrócił do domu. – Ja tylko rozmawiam z tą panią.

Nie przywitał się, skinął mi jedynie głową, a ja jemu.

– Napisze pani to, co powiem? – spytała. – Bez skręcania?

– Tak – zapewniłam ją.

– To opowiem pani, jak żyje warszawska Niobe... Niech pani wszystko spisze. To bardzo potrzebne.

Czyżby?

– Tak, tylko musi być prawda. O tym, co nam wszyscy zrobili. I jeszcze jedno – dodała zimno.

– Tak? – Łapałam powietrze jak ryba wyjęta z wody. Miałam wrażenie, że uchodzi ze mnie życie.

– Tylko bez hysterii. – Przeszywała mnie spojrzeniem. – Musi pani wiedzieć, czego chce.

Trzęsącymi się rękami wyjęłam ołówek i kilka kartek. Przysiadłyśmy na gruzowisku, koło studni.

## PACJENT W.P. I. 50

Był skrajnie wyniszczony. Waga 45 kilogramów, skóra sucha, łuszcząca się, o sianej barwie, bardzo odwodniony. Oddychał ciężko, szybko. Palce miał pałeczkowate, paznokcie wypukłe, przypominające szkiełka od zegarka. To były objawy niewydolności oddechowej. Może przyczyną była gruźlica. Muszę poprosić Mirkę, aby do niego nie chodziła. Jeszcze tego brakowało, żeby się zaraziła.

– Dziękuję panu, panie doktorze – powiedział zaskakująco dźwięcznym głosem, ale zaraz zaniósł się kaszlem.

Mój Boże, jakież był z niego sympatyczny i pełen życia człowiek. Nigdy na nic się nie skarżył, zawsze pogodny, zagadywał, kiedy wychodziłem do pracy, prosił, aby przekazać uszanowanie żonie. Uwielbiał dzieciaki, może dlatego, że nie miał własnych.

– Nie ma za co, panie Piasecki. – Uśmiechnąłem się bardziej radośnie niż to było warte. – I proszę w ogóle nie wspominać o zapłacie. To sąsiadka przysługa.

– Dziękuję – powiedział cicho.

Ten człowiek nie miał płuc. Kiedy przyłożyłem słuchawkę do jego pleców, niemal ogłuszyły mnie świsty i rżenia. Miał wszystkie objawy, które świadczyły o trwałym zniszczeniu pęcherzyków płucnych.

– Proszę nie oddychać – powiedziałem dla porządku, bo nie chciałem, żeby się zorientował, że zbyt szybko kończę osłuchiwanie, mimo że dalsze badanie nie miało sensu.

– Jak bardzo jest źle? – spytał, kiedy wyjąłem oliwki stetoskopu z uszu.

– Może pan się ubrać. – Nie odpowiedziałem, ale patrzył na mnie pytająco, więc wytrzymałem jego wzrok. – Chciałbym wykonać rentgen płuc.

– Czy to pomoże? – Znów zaczął kasłać. Spojrzałem na chusteczkę, którą przytykał do ust, nie było na niej krwi.

– Będę mógł jednoznacznie potwierdzić albo wykluczyć gruźlicę – odparłem.

– Kilka razy miałem zapalenie płuc – powiedział tak cicho, że musiałem się przybliżyć, by go usłyszeć. – Pierwszy raz krótko po tym, jak trafiłem do obozu. Pracowaliśmy przy dziesięciostopniowym mrozie, byłem nowy, dopiero później zdobyłem sweter po jakimś trupie. Gorączkowałem, leków żadnych nie było. Tyle tylko że ktoś się nade mną zlitował i kilka dni mogłem odpocząć w ambulatorium. Potem zrozumiałem, jakie miałem szczęście, że nie poszedłem natychmiast do gazu. – Mówienie sprawiało mu trudności. Przy każdym wydechu słyszałem świst. – Ku zdumieniu wszystkich wydobrałem i wróciłem do baraku. Do pracy. Schudłem dwadzieścia kilogramów. I ponad rok byłem zdrowy. Niemal zdrowy.

Trudno mi było wyobrazić sobie, jak można być zdrowym w takim piekle, jakim był Oświęcim. Tylu ludzi tam zagłodzono i zamęczono niewolniczą pracą. Trafiali tam moi koledzy. Nie wiedzieliśmy o nich nic. Potem, kiedy ocaleni wracali, opowiadali straszne rzeczy, straszniejsze, niż mogliśmy sobie wyobrazić. Znałem Marię Laskowską, to była wspaniała kobieta i lekarka, odważna, niczego się nie bała. Od początku wojny pomagała walczącym z Niemcami. Albo przetrzymywała ich w szpitalu, gdzie była ordynatorem, i wyrabiała papiery „zakaźne”, albo wystawiała akty zgonu i znajdowała bezpieczne miejsce „trupowi”. Była zdrowa i silna, chodziła po górach, była nawet w Himalajach. Oczywiście przed wojną. W Oświęcimiu wytrzymała kilka miesięcy. Albo Zofia Kwakier, uczyłem się u niej ginekologii, wybitna specjalistka i dobry człowiek. Trafiła do obozu za ukrywanie Żydów i lotników angielskich. Nie pamiętam, żeby chorowała. Brała kilka dyżurów z rządu i śmiała się z nas, młodych, że tacy słabeusze. W Ravensbrück umarła na tyfus, chociaż była szczepiona.

– Panie Piasecki... – zacząłem.

– Ja muszę żyć, panie doktorze – przerwał mi. – Ja nie mogę żony zostawić. Ja nie mogę odejść.

Przepęłniła mnie litość. Co miałem powiedzieć temu strzępowi człowieka, który rozpaczliwie trzymał się życia, chociaż ulatywało z niego z każdym oddechem? Tyle razy byłem w podobnej sytuacji. Wielokrotnie żegnałem młodych ludzi, których przywożono do szpitala po zamachach, akcjach sabotażu, ledwie żywych, odchodzących z tym samym wyrazem zdumienia na twarzy. Tylu ich było, z czasem pamięć się zaciera, chociaż ja wiem, że nie chciałem i nie chcę ich pamiętać. Jakbym miał wyrzuty sumienia, że ja przeżyłem, a oni nie. Chciałem przeżyć, na początku tylko przeżyć, ale potem chciałem więcej. Ocalić rodzinę, cokolwiek z dorobku życia, ułożyć je sobie na nowo. Kiedy zaszyliśmy się na wsi,



a bomby spadały na Warszawę, myślałem tylko o tym, czy będzie dokąd wracać. Moja żona modliła się za ludzi – sąsiadów, koleżanki i kolegów Tereski i Mirki, nauczycielki i nauczycieli, których znała. Za nic miała kolekcję książek. Za nic nasz samochód, który nam ukradziono, żeby użyć go w jakiejś akcji odwetowej Szarych Szeregów, a potem miałem wielkie problemy, aby udowodnić Niemcom, że nie wiedziałem o niczym. Moja rodzina nie ma pojęcia, że ledwie uniknąłem aresztowania. Nie chciałem dociekać, czemu skradziono moje auto, ale podejrzewałem, że Teresa maczała w tym palce. Moja głupia córka, opętana ideą walki o wolność, która nie mogła się ziścić. Przynajmniej nie tak, jak wyobrażali sobie Polacy porywający się na siejących terror Niemców jak z motyką na słońce. Dzieci z procą w ręku. Przeróżająca bezmyślność. Szybko straciłem nadzieję. Zaraz w pierwszych dniach, kiedy Francuzi i Anglicy wypowiedzieli Niemcom wojnę, jeszcze wierzyłem. Ale nie ruszyli się, a mimo to Polska cały czas na nich czekała. Cały czas budzili sympatię. O, Francuzi nas zbawią, jak niegdyś Napoleon, ha, ha. Nie mówiłem głośno o tym, co myślę. Chociaż uważałem się za tchórza, brałem udział w działalności konspiracyjnej. Wszyscy lekarze pomagali, jak mogli. Ja też i nie jestem z tego szczególnie dumny. Tak trzeba było. To kwestia etyki i obowiązku. Żadne poświęcenie.

Czy ja modliłem się o życie i zdrowie swoich kolegów? Ja się w ogóle nie modliłem. Modlitwa kojarzyła mi się ze słabością. Po tym, co się stało, nie wierzyłem w Boga, chociaż nie, wierzyłem, ale nie w Boga miłosiernego, dobrego, tylko w okrutnego i ferującego wyroki. Wraca Bóg starotestamentowy, który niszczy całe miasta, bo ludzie tam nie żyją według przykazań, powiedziałem Samuelowi Goldblumowi, genialnemu neurofizjologowi, który prowadził pionierskie badania nad różnymi strukturami mózgu i wszyscy uważaliśmy, że dostanie Nagrodę Nobla. Goldblum był niewierzący, co rzadkie u Żydów. To był wybitnie inteligentny człowiek i pewnie przed wojną toczylibyśmy na ten temat dysputy, ale teraz nie powiedział nic. Wkrótce potem poszedł do getta i tam umarł na tyfus. Czy ja coś zrobiłem, żeby temu zapobiec? Nic, bo niby co bym miał zrobić? Sam zginąć? Zarazić się tyfusem? Kiedy dowiedziałem się, co się stało z Samuelem, myślałem przede wszystkim o tym, co będzie z jego badaniami naukowymi. Może ja bym je kontynuował? Może by się wtedy nie zmarnowały? Już nie chcę operować. Nie mam siły. Nigdy nie powiedziałem tego głośno.

– Panie Piasecki... – Zreflektowałem się, bo chory nadal z oczekiwaniem wpatrywał się we mnie wyblakłymi niebieskimi oczami. – Powinien pan się dobrze odżywiać. To jedyne, co teraz można zrobić.

– Dziękuję panu – odparł głucho.

– Musi pan wzmocnić organizm i odzyskać siły – dodałem, uświadomiwszy sobie, że moje rady mogą brzmieć zdawkowo.

Pokiwał głową i zasnął. Wyszedłem do jego żony.

– Proszę męża odkarmić – powiedziałem, a w jej oczach pojawiło się powątpiewanie. – To teraz najważniejsze. Jeśli odzyska siły i wzmocni organizm...

– A jakieś lekarstwa? – spytała.

Mogłem zaproponować jedynie laudanum uśmierzające ból, ale nie chciałem odbierać im resztek nadziei.

– Dostajemy w szpitalu dary. Wśród nich są witaminy, odżywki. Zobaczę, czy coś się nadaje dla pani męża, i prześlę przez córkę. Dam też takie kropelki, które trochę uspokoją męża. Proszę podawać trzy razy dziennie. Napiszę wszystko.

Zanim zdążyłem temu zapobiec, złapała mnie za rękę i pocałowała. Niemal wyrwałem dłoń. Czuję się jak zbrodniarz.

– Nie trzeba, naprawdę nie – powiedziałem i szybko wyszedłem na poszatowaną pociskami klatkę schodową.

Przez dziurę w dachu przebijało światło słoneczne. W powietrzu unosił się pył. Mój Boże, pomyślałem, ten człowiek nie powinien tu mieszkać.

## *Pamiętnik Tereski*

*Wyszłam do ludzi. Mama mnie wciąż namawiała na spacer, a ja niby się opierałam, ale w końcu sama miałam dość tego zamknięcia.*

*– Czemu siedzisz w domu i nie zobaczysz, co się dzieje na zewnątrz? – pytała, więc któregoś dnia przejawiałam chęć spaceru.*

*Prawda była taka, że bałam się spotkania z Alkiem i jego żoną. Nie wiem, co bym zrobiła, gdybym spotkała ich na swojej drodze. Z drugiej strony nie mogłam ich unikać w nieskończoność, zwłaszcza że chciałam go odzyskać.*

*– Mogłabyś pójść na Różycę i zanieść guziki dla mnie! – wykrzyknęła z radością w głosie Mirka i zaczęła mi tłumaczyć, że ona się tam nie może pokazać, nawet z psem, boby ją zaraz pobili, tak narozrabiała, ale ma partię guzików i szkoda jej zarobku.*

*– Mogłabym – odparłam łaskawie.*

*Wyciągnęłam rękę po guziki. Mirka spojrzała niepewnie.*

*– To mam iść czy nie? – ponagliłam ją.*

*Poszła do szafy, co się ostała, chociaż bez drzwi, i wyciągnęła spod koców płócienny woreczek z guzikami.*

*– Czemu je tak chowasz? – zdumiałam się.*

*– Jak?*

*– W szafie, pod kocami.*

*– Nie mamy szuflad, żadnych półek, komoda się spaliła, jedyne, co zostało, to ta stara szafa – stwierdziła spokojnie moja rozsądna siostra. – Więc tam trzymam. Żeby się nie walały na widoku. Gdzie ty trzymasz swój pamiętnik?*

*Byłam zaskoczona, że o nim wie. Znałam ją jednak jak zły szeląg i byłam przekonana, że nie czytała moich tajemnic. Gdyby tak było, nie pytałaby o pamiętnik.*

*– Nie twoja rzecz. I nie chowam go przed tobą, tylko przed mamą.*

*– Spokojnie – burknęła. – Ja wiem, co w nim jest. Alek, Alek i jeszcze raz Alek.*

*Nic nie powiedziałam, chociaż nie miała do końca racji. Pisałam też o innych sprawach.*

*– Piszę o wszystkim, co tu się dzieje – oznajmiłam obronnym tonem.*

*– Po co?*

*– Żeby pamiętać.*

*– A myślisz, że moglibyśmy zapomnieć o tym, co się stało z naszym domem i ludźmi, których znaliśmy?*

*– Myślę, że tak. Z czasem zapomnimy.*

*– Ja tam nigdy nie zapomnę – stwierdziła smutno.*

*– Na pewno tak, kiedy znajdziemy lepsze mieszkanie, otrząśniemy się z tej biedy i... sytuacji.*

*Przed wojną mieszkanie odzwierciedlało nasz status. Dom nauczycielki i lekarza z dwiema córkami, z których jedna chodziła do Liceum Batorego, była harcerką i przyszłym kwiatem narodu, a druga, mała siostra, nade wszystko pragnęła być taka jak ta starsza. Obrazy na ścianach, piękne meble i kryształ w kredensie. Wszystko szlag trafił. Cholerna wojna. Teraz mieszkaliśmy w ruderze bez bieżącej wody i nie mieliśmy mebli. Spaliśmy pod kocami, jedliśmy najprostsze, skromne jedzenie i wyczekiwaliśmy lepszych czasów, które mogły się ziścić, dopiero kiedy gruzy znikną, czyli w bardzo odległej przyszłości.*

*– W takim razie zapomnisz też o Alku. – Mirka zmarszczyła brwi.*

*– Nigdy – odparłam krótko.*

*– I nie przestajesz walczyć?*

*Nic nie powiedziałam, bo sama nie byłam całkowicie pewna. Jeśli naprawdę go kochałam, nie zapomnę i nie pozwolę mu odejść. Jeśli to tylko sprawa zranionych ambicji – może uda mi się zacząć od nowa. Tymczasem piekło do żywego i w sercu, i w mózgu, a jemu nie mogło być to obojętne, skoro nawet nie spróbował się ze mną spotkać.*

*– Dobrze, daj te guziki. – Ponownie wyciągnęłam rękę. – Załatwię to.*

*– Marusiowa ma budę zaraz po prawej – zaczęła mi tłumaczyć. – Powiedz, że jesteś ode mnie. Weź za nie trzydzieści złotych. Targuj się, bo będzie chciała dać ci mniej.*

– Nie umiem się targować – powiedziałam zgodnie z prawdą.  
– Każdy umie – prychnęła Mirka.  
– Ja nie – upierałam się.  
– No dobrze. – Moja siostra przybrała poważną minę, którą tak lubiłam przed wojną. – To się robi tak... – Stanęła z rękami pod boki i zaimprovizowała dialog:  
– Pani Marusiowa, przyniosłam guziki. Jestem od Mirki.  
– A żeby cię wszyscy diabli, nie znam żadnej Mirki, uciekaj, pókim dobra.  
– Niech pani przestanie, pani Marusiowa, pani czeka na te guziki, pani pragnie tych guzików, śnij się pani po nocach. No przecie ja to wiem...  
– Ile?  
– Czterdzieści pięć.  
– Osiemnaście.  
– Trzydzieści dwa.  
– Trzydzieści.  
– Stoi. Ma pani.  
– Kiedy znów przyjdiesz?  
– Chyba na święty nigdy, pani Marusiowa, bo przecie co mnie tu spotkało...  
Wtem weszła mama, za nią pani Maria i przerwały Mirce jej występy, pytając, co tu się odbywa. Powiedziałyśmy. O dziwo, mama nie sprzeciwiła się, żebym ja załatwiła sprawę siostry.  
– Jesteś dorosła, Mirka nie powinna tam chodzić ani jej praca się zmarnować.  
Zatem poszłam. I zachłysnęłam się świeżym, letnim powietrzem.  
– Jak pięknie – powiedziałam głośno.  
– A jakże – usłyszałam głos.  
Odwróciłam się gwałtownie. Koło studni, na kupce gruzów siedział chudy chłopak, na oko nieco starszy od Mirki, i patrzył kpiąco.  
– A ty to kto? – spytałam.  
– Nikt. – Wzruszył ramionami i już go nie było.  
Poszłam na bazar.  
– Szukam pani Marusiowej – zagadnęłam otyłą handlarzkę o zniszczonej cerze, która sprzedawała flaki. Lubię flaki, ale na widok garnka i chochli, którą mieszała tłustą zupę, zrobiło mi się niedobrze.  
– Tam! – Pokazała palcem.  
Marusiowa okazała się niską, krępką kobietą z małymi, świdrującymi oczkami. Sprzedawała ubrania, wełnę, miała nawet dwa lisy, srebrnego i rudego. Przed wojną musiały zdobić czyjeś eleganckie szyje, teraz wyglądały jedynie na to, czym były naprawdę – na martwe zwierzęta.  
– Jestem siostrą Mirki – przedstawiłam się.  
Kobieta zacisnęła usta.  
– I czegoż chce to dziecko? – spytała cierpkim tonem.  
– Mam guziki. – Wyciągnęłam rękę z woreczkiem.  
Wzięła niechętnie i zajrzała do środka. Widocznie zawartość uznała za cenną, ponieważ wsadziła woreczek do kieszeni fartucha, który miała na sobie.  
– Pięć złotych – powiedziała.  
– Trzydzieści pięć – odparłam i wyciągnęłam rękę po woreczek.  
– Dziesięć. – Skrzywiła się.  
– Trzydzieści. – Nie ustępowałam.  
– Ostatnie słowo: dwanaście.  
Pokręciłam głową, a ona wyjęła guziki z kieszeni i wcisnęła mi je do ręki. Odwróciłam się na pięcie i poszłam, zastanawiając się, co powiem Mirce.  
– Hej, panienko! – dobiegł mnie po chwili głos handlarki. – Co panienka taka prędką...  
Wróciłam na jej stragan.  
– Piętnaście – rzuciła.  
– Dwadzieścia – ja jej na to, dumna, że daje radę.  
– Niech stracę. – Podała mi żądaną kwotę, a ja jej zwróciłam woreczek z guzikami.  
– Mirka pyta, czy pani czegoś nie potrzeba – powtórzyłam jej słowa siostry.  
Najwyraźniej Marusiowa nie potraktowała pytania dosłownie, bo odpowiedziała:  
– Świętego spokoju mi potrzeba, uczciwych handlarzy, zakazu pracy dla spekulantów...  
– Mirka miała na myśli guziki – przerwałam jej.

– Mirka, Mirka... – sapnęła. – A ty co robisz, moja panno? Haftujesz, szyjesz, robisz na drutach?

Miałam dwie lewe ręce do takich prac, w przeciwieństwie do siostry i mamy. Potrafiłam wbijać gwoździe, umiałam zrobić półkę, naprawić krzesło. Mogłabym sobie poradzić z gotowaniem. W czasie wojny z Alkiem i innymi z drużyny chodziliśmy do kościoła św. Andrzeja i tam przygotowywaliśmy jedzenie dla sierot i tych, którym trzeba było pomóc. Tyle że nie wyobrażałam sobie, że po wojnie będę gotowała flaki i sprzedawała je na bazarze.

– Nic nie umiem, niestety. – Uśmiechnęłam się przeproszająco.

– To nie dziwota, że dzieciak sobie ręce urabia po łokcie – powiedziała z kpiną w głosie i odwróciła się do mnie plecami.

Miałam na końcu języka kilka celnych ripost, ale nic nie powiedziałam. Nie będę słuchała baby z bazaru. Jeszcze czego.

W domu wręczyłam Mirce pieniądze.

– Za ile sprzedałaś? – spytała.

– Za dwadzieścia, ale poszłam na lody. – Wzruszyłam ramionami. – Kosztowały dwa złote, czyli... Tak naprawdę lody dostałam za darmo.

– Na lody? – Moja siostra aż się trzęsła z oburzenia. – Na lody?

Czy to moja wina, że chciałam normalności? Nogi same zaniósły mnie na Kruczą. Kamienice przy nr. 48 i 49 zostały starte niemal w proch, ale dom przy Kruczej 46 stoi. A naprzeciwko, przy 47a, była kawiarnia „Pszczółka”, gdzie chodziliśmy z Alkiem na lody. Nie ma jej, ale kawalek dalej, przy Nowogrodzkiej, otwarto restaurację. Może to za dużo powiedziane, bo jest jedno pomieszczenie i kilka stolików. Siedzieli przy nich ludzie i pili herbatę, jedli ciasto. To było takie zwykłe, że zakłuło mnie w sercu. Ja też tam weszłam.

– Panienka czego sobie życzy? – spytał kelner, który w białej marynarce i czarnej muszce wyglądał jak nie z tego świata.

– A czego mogę sobie życzyć?

– Mamy wódkę i śledzia, pierogi, ciasto oraz lody.

– Lody? – Aż łzy zakręciły mi się w oczach.

– Lody. – Pokiwał głową. – Śmietankowe.

– Ile kosztują? – zapytałam drżącym głosem.

– Dwa złote. – Uśmiechnął się.

Zamówiłam i usiadłam przy stoliku.

Przez pękniętą szybę widać było ocalałe dwie kamienice przy Nowogrodzkiej. Przed nimi stały zielone drzewa, cztery albo pięć. Zaczęłam płakać.

– Lody dla panienki. – Kelner postawił przede mną pucharek i z kieszeni wyjął chustkę. Podał mi ją. Wytarłam nos i oczy w dużą, kraciastą chusteczkę z monogramem AR.

– Proszę zatrzymać. – Ukłonił się, kiedy chciałam oddać zasmarkany kawalek płótna. – Lody na koszt firmy – dodał.

– Dziękuję – powiedziałam. – Nawet pan nie wie, jakie to dla mnie ważne.

Ukłonił się w pas. Siedziałam chwilę nad pustym już pucharkiem i patrzyłam w dal. Wydawało mi się, że widzę przechodniów spieszących się do pracy, że jakaś pani potrąca pana i wypada mu parasol z ręki. Pani pana przeprosza, ale ten się złości i wygraża pani ręką. Dalej idzie grupka dziewcząt i chłopców, wśród nich ja i Alek, trzymając się za ręce, Hanka, Grażyna i Ula. A za nami Janek z Franiem, którzy zawzięcie o czymś dyskutują. Hanka zginęła pierwszego dnia powstania. Dostała od snajpera prosto w serce. Janek ponoć wybiegł, żeby zabrać jej ciało, a wtedy i on zginął. Grażynę rozerwała niemiecka „krowa”, gdzieś na Żoliborzu. Ma symboliczny grób, bo praktycznie nie było co zbierać. Franek wziął z Ulą ślub. Nie potajemny, tylko jawny, 20 września, w piwnicy kościoła Świętej Barbary. Ula miała na głowie biały welon zrobiony z firanki, którą ksiądz zdjął z okna. Ponoć na ślubie nikt nie płakał, tylko wszyscy się cieszyli. Przyjaźniłam się z Ulą. Czy myślała o tym, że nie ma mnie w najważniejszym dla niej dniu? Żyli jeszcze dziesięć dni. Zginęli oboje w kanałach. Niemcy wrzucili tam granat. Rozerwało ich.

Odsunęłam gwałtownie krzesło i pobiegłam do domu, ale już nie płakałam.

– Za fatygę – odpowiedziałam, patrząc w oskarżycielskie oczy mojej siostry.

– Za fatygę? – spytała oburzona. – To ja się postaram, żebyś już więcej nie musiała się fatygować. Nie wiem, czemu tak się zeźliła, przecież sama chciała, żebym wyszła.

– Złatwiłam sprawę – przypomniałam jej.

Pomyślałam, że mogłabym w ogóle pełnić rolę pośredniczki między Mirką a Marusiową, skoro ona nie może pójść na bazar, ale zanim jej to zaproponowałam, mama wtrąciła swoje trzy grosze.

– Oddam ci, Mireczko, te pieniądze – powiedziała i spojrzała na mnie jakoś tak krzywo.  
– Nie trzeba – sapnęła moja siostra, po czym też spojrzała na mnie i wyrzuciła z siebie: – Na zdrowie.

Stałam z zaciętą miną i mama, jakby niepewna, po której stronie się opowiedzieć, dodała szybko:

– Skoro tam podają lody, to w najbliższym czasie pójdziemy całą rodziną.

Mirka rozchmurzyła się nagle, jakby słońce zaświeciło, a mnie się zrobiło trochę lżej. Bo one nie rozumiały, że nie chodziło o te dwa złote, tylko o odrobinę poczucia, że nic się nie stało, że tej strasznej wojny nie było, że nie ma tych zniszczeń, śmierci, pustki i braku. Że przez chwilę naprawdę czułam, że może jeszcze być jak dawniej.

– A sprzedawać będę na Koszykach – oznajmiła Mirka, zakręciła się na pięcie i poleciała gdzieś z psem, pewnie, żeby obejrzeć nowe miejsce handlu albo włóczyć się po gruzowiskach.

– Dlaczego jej pozwalasz? – spytałam mamy, kiedy siostra wybiegła z domu, trzasnąwszy drzwiami. – Jeszcze będzie z tego nieszczęście.

– Na co? – Mama stała zdumiona.

– Na to, żeby przeszukiwała ruiny, żeby obszywała guziki i sprzedawała je na bazarach?

Myślałam, że mama wypomni mi moją bezczynność, ale nie.

– To nikomu nie szkodzi, a Mirce pomaga – powiedziała cicho. – Ona opiekuje się panem Piaseckim, pomaga Frankońskim. W ten sposób stara się zapomnieć o swoich kolegach, których już nie ma.

Ja też bym mogła się czymś zająć, żeby zapomnieć. Albo przeciwnie – żeby pamiętać bardziej. Kto będzie pamiętał, jeśli wszyscy tak usilnie starają się zapomnieć?

## „KURIER PORANNY”

Kamienica na Złotej była niemal nienaruszona. Front poszarpany kulami, dach częściowo dziurawy, ale mieszkania na dwóch piętrach całe i pełne ludzi.

– Prawie wszyscy ocaleliśmy – powiedziała niska, bardzo szczupła dziewczyna w chuście na głowie i dwóch swetrach, mimo że z nieba lał się żar.

– Prawie – przytaknął jej chłopak ze szpakowatą czupryną, po czym zwrócił się do mnie: – Oboje walczyliśmy w powstaniu. Wzięliśmy ślub zaraz na początku.

Zupełnie jak Alek z Renatą.

– Znalście się jeszcze przed wojną? – odważyłam się zapytać.

– O tak. – Dziewczyna się uśmiechnęła. – Ale nie chcieliśmy czekać.

Alek ożeniłby się z Tereską, gdybyśmy nie uciekli z Warszawy.

– Mieszkałem tu z rodzicami. – Chłopak wskazał na pierwsze piętro. – W lipcu kazałem im jechać do rodziny, do Żyrardowa. Ocaleli, ale nie chcą wracać.

Rozumiałam to. Nigdy nikomu nie mówiłam, ale kiedy pierwszy raz zobaczyłam Warszawę i nasz dom, pomyślałam, że powinniśmy jechać na zachód. Słyszałam, że tam jest mniej ruin i więcej możliwości. Tyle że ani Tadeusz, ani Mirka, a zwłaszcza Tereska nie chcieli o tym słyszeć.

– I my... – próbowała coś powiedzieć dziewczyna, ale zamilkła, zeszywniała i zaczęła drżeć na całym ciele.

Chłopak natychmiast ją objął i głaskał po obleczonej w chustkę głowie.

*Włosy nie odrastały, a chciała być dla niego piękna. Bała się, że ją opuści, bo już nie była tą samą dziewczyną, z którą się ożenił. Nie po tym, jak niemieccy lekarze kaleczyli ją i wszczepiali jej różne zarazki. I nie po tym, jak przeszła piekło zgotowane przez wyzwolicieli. Jej ciało nie należało do niej ani do niego. Cóż mu po niej.*

– Raczej już pójdziemy – powiedział chłopak i spojrzał przepraszająco. – Niech pani porozmawia z naszą stróżką, Dominiakową – poradził, machając ręką na zażywną kobietę, która zerkała na nas przez okno.

– Dziękuję. Czy ja mogłabym w czymś pomóc...

Pokręcił głową, po czym wziął żonę na ręce i zniknął za drzwiami. Przełknęłam ślinę.

– Na służbowce tu byłam, za dozorczynię – opowiadała Dominiakowa, jakby tylko czekała, aż ktoś ją zacznie wypytywać. – Pani napisze, że przed wojną w suterenie się gnieździliśmy z mężem i trzema synami. Pani napisze, że teraz mieszkam jak człowiek.

– Gdzie...? – wtrąciłam, ale kobieta natychmiast mi przerwała.

– Po sprawiedliwości, pani to napisze. – Zamachała miotłą, którą nie wiedzieć czemu wzięła ze sobą. – Na mansardzie mieszkała taka jedna. Urszula, nie powiem, jak jej było. I zaraz jak się tylko nadarzyła okazja, to się obnosiła, że Ulla Herring, Niemka znaczy. Ja tam rozumiem, każdy chce żyć, ale niechby cicho siedziała i Niemców sobie tu zapraszała na herbatkę. Czasem to nawet lepiej było, że Niemcy do domu przychodzą. Najciemniej pod latarnią, pani to napisze. Ale mało jej było, że jej w twarz nie plujemy. Trzeba było, toby swoje miejsce znała. Tu też mieszkali tacy Janiccy. Dwóch synów i córka. Biegali po Warszawie. Pani rozumie. Ja tam udawałam, że nie widzę, chociaż się bałam, że nieszczęście sprowadzą. Ale to Szwabka sprowadziła tu Gestapo. Zaraz Janickich wywieźli, wszystkich.

Pewnie zajęła po nich mieszkanie.

– Pani napisze, że ja poszłam, gdzie trzeba, i powiedziałam. Ja wiem, kto i gdzie. Nie boję się. Pani to napisze. No i przyszli, powiedzieli parę słów i skończyła z kulą w głowie. Marnie skończyła.

Sprawiedliwość. Taka dziwna sprawa, kiedy jest wojna.

– My czekaliśmy na tych Janickich, ale nie wrócili. I mnie pani Grzegorska, porządna rodzina, adwokaci, powiedziała: pani Dominiakowa, pani bierze to mieszkanie po nich. Moi synowie... – Zawahała się. – Wszyscy przeżyliśmy, dzięki Bogu, i jeszcze innym tu pomagaliśmy, bo ludzie z kamienicy to zawsze dla siebie dobrzy byliśmy. Jak przyszli po córkę Grzegorskiej, to ja ją za chabety i do tapczanu u mnie. Nie znaleźli.

– Szlachetnie – zdołałam wtrącić, bazgrząc na kolanie.

– Pani napisze, że nam się należało. Mąż mnie umarł, ale na płuca, w trzydziestym siódmym,

świeć, Panie, nad jego duszą, palacz był w kotłowni, w Dzieciątku Jezus. Ciężko było, ale co miałam zrobić. I teraz żyjemy jak ludzie. Najstarszy syn to wyzwał Oświęcim z Armią Czerwoną. Nie chciał opowiadać, co tam się działo. Mówił: mamusia nie chce wiedzieć. Wierzyłam. A średni to do wojaczki się nie nadawał. Oj nie...

Na chwilę przestała mówić.

– Pani Dominiakowa... – Chciałam spytać o tę parę, z którą rozmawiałam, ale znów nie zdążyłam, bo stróżka nabrała powietrza i ciągnęła swoją opowieść:

– I przetrwał wojnę w Siedlcach. Tam mieliśmy taką dalszą rodzinę, brata mojego dziadka syn. Bezdzietny, to i mnie pomagał. Syna wziął, cukierki robili przed wojną. W czasie wojny to się nie dało, ale też sobie radzili, jak wiedzieli, skąd cukier wziąć, a cukier – wiadomo...

– Proszę mi opowiedzieć o tej parze, co tu była przed panią – przerwałam jej gwałtownie.

Zrobiła zbolaną minę.

– Z niej to już nic nie będzie. – Pokręciła głową. – Pani tego nie pisze. Po powstaniu wszystkich ich wywieźli. Najpierw byli w Pruszkowie. Wiem, bo od nas, tu z domu, Fela i Mela z trzeciego piętra też były. Ale je się udało wykupić. Ja tam, nie chwając się, pomogłam. Syn, ten, co to w Siedlcach, znał tego i owego i można było... Ale to dużo kosztowało. Udało się z Felą i Melą.

Ciekawe, jak się jej udało. Może ten syn z Siedlec rzeczywiście pomógł.

– Pytałam o tę dziewczynę, co... – Brakowało mi cierpliwości do Dominiakowej.

– To mówię, ale pani tego nie pisze. Oli się nie udało wykupić i ją wywieźli do obozu. I wróciła taka. Robili na niej eksperymenty jakies. Wróciła, ale trzy ćwierci do śmierci, jak zjawa wygląda. Nie ma włosów pod tą chusteczką. Odkarmić się nie da, chociaż Staszek przy Wiśle odgruzowuje, tam najciężej, ale najlepiej płacą, wie pani...

Nie wiedziałam.

– Żeby mieć na jedzenie dla niej, ale nic z niej nie będzie. Dzieci to z tego też nie będzie... – trajkotała. – A teraz potrzeba dzieci. Oj, potrzeba.

– Może im się uda – bąknęłam coraz bardziej speszona.

– Im nie – gadała Dominiakowa. – Ale tym z drugiego piętra to się urodziło dziecko w piwnicy, jak bomby spadały. I zdrowy chłopak. A teraz ona znów przy nadziei, bo tam, gdzie można, to trzeba rodzić. Wszystkim to mówię, pani napisze. Ale o Oli nie.

*Myślała tylko o tym, że ze sto osób siedzi w ciasnej piwnicy, a ona z podkasaną sukienką i bez majtek leży na sienniku, bezbronna, targana bólem. Ciekawski Igor z sąsiedniej kamienicy zaglądał jej w krocze. Zginął dzień później, jak poszedł po wodę. Urodziła na szczęście szybko. Nie miała pokarmu. Mały jednak ssal tak długo i uparcie, aż wreszcie wydała z siebie mleko. Dobrzy ludzie dali jej resztkę zupy. Dziecko nie płakało. Bała się, że nie przeżyje.*

– Bardzo pani dziękuję – powiedziałam z bólem głowy.

– Pani napisze, że my tu Bogu dziękujemy, bo nas oszczędził. Jedna tu mała Hania umarła, ale nie od wojny. Coś tam jej w brzuszku wyrosło i lekarze nie poradzili. Stanisławskim. Tym, co mieszkają po prawej. – Pokazała palcem. – Porządni ludzie. Mówię im, żeby sierotę jakąś wojenną wzięli, ale nie chcą. Dzieciak jest dzieciak, nie? Pani tak napisze. Żeby ludzie sieroty brali. Żeby dzieci się rodziły.

To, co mówiła ta kobieta, miało głęboki sens.

– Napiszę – zapewniłam ją.

– Pani idzie? – spytała. – A ja pani do domu nawet nie zaprosiłam. Na podwórzu stoimy jak te przekupy. Pani wejdzie, herbaty zrobię. Mam. Pani napisze, że takie szczęście mieliśmy. Wszyscy żyjemy. No, Janek Niechcińskich, tych, co tu po lewej mają okna, na wojnę poszedł i nie wrócił, ale Karol i Wanda przeżyli. Mieliśmy szczęście.

– Napiszę – powtórzyłam. Rozpaczliwie pragnęłam wyjść z tego podwórza.

– Bo tam, dwa domy dalej, o, widzi pani?

Nie widziałam, bo nic tam nie było. Pokręciłam głową.

– Cały dom zburzyli. Tam ich też wszystkich znałam. Tam to prawie sami Żydzi mieszkali. I wszystkich do getta wywieźli. Było dużo chętnych na mieszkania po nich. Nawet mnie pytali, czy ja bym nie chciała, bo to było przed Janickimi, ale ja bym na takim nieszczęściu to nigdy nie chciała. Pani to napisze. I pokarało tych, co ich mieszkania zajęli. Cały dom zniszczyli. W powstaniu. I żaden Żyd z getta nie wrócił. Żaden. Z całej ulicy. Ani jeden. Pani to też napisze.

– Wszystko napiszę – znów ją zapewniłam i dopiero wtedy pozwoliła mi odejść.

## MIRKA

Niech pani nie dziękuje, pani Piasecka, bo nie ma za co – powiedziałam, a potem szybko uciekłam, bo miska zupy nie jest warta tego, żeby się tak roztkliwiać.

Na dole czekali na mnie Danka i Azor, który wciąż nie mógł wchodzić do Piaseckich, żeby nie przypominać panu Piaseckiemu niemieckich psów z obozu.

– I co? – spytała Danka.

– I nic. Dałam tylko rosół i poszłam.

– A pytałaś o sanatorium? – dociekała.

– Nie pytałam, ale zaraz możemy pójść do taty, do szpitala, i poczekać, może będzie miał dla pana Piaseckiego jakieś odżywki z darów.

Danka zaczęła cmokać, co zwiastowało niechybnie, że powie coś, co w jej mniemaniu będzie dla mnie przykre.

– Bo twój tata to też... – wyrzuciła w końcu i zaczęła przedrzeźniać mojego ojca: – Żeby się dobrze odżywiać. Dbać o siebie...

Uciekłam wzrokiem. Ja również chciałam, żeby tato dał panu Piaseckiemu czarodziejski eliksir, dzięki któremu ten kochany człowiek byłby taki jak dawniej. Tymczasem kazał mi przyjść po jakieś krople, które miały sprawić, że pan Piasecki będzie więcej spał i mniej cierpiał. Ale jak spytałam, czy to lekarstwo, to powiedział, że nie całkiem. Dobrze chociaż, że witaminy się znalazły.

– Mieszkają w ruderze – utyskiwała Danka. – Póki ciepło, jakoś dadzą radę, ale co będzie z nimi później? Nie mają pracy i pewnie pieniędzy, wszystko stracili... No, nie gniewaj się, ale...

– Nie gniewam się – uspokoiłam ją. – Ale co miał tato zrobić? Zbadał pana Piaseckiego i zalecił, co mógł. Pieniądzy przecież nie wziął.

– Mógł jakieś lekarstwa zalecić – nie ustępowała.

– A jakie lekarstwa?

– Nie wiem. Jakieś lekarstwa! – Zamachała rękami. – Lekarstwa są od leczenia, a jedzenie tylko do przeżycia. Już przeżył, a teraz trzeba go wyleczyć. Z jego choroby.

Niby miała rację, ale nie do końca. Sama nie rozumiałam, co tata mówi, ale wiedziałam, że dużo by dał, żeby panu Piaseckiemu pomóc. I z tymi witaminami to też nie było takie hop-siup, żeby je zdobyć.

– Jak nie wiesz, to co mówisz. – Rozeźliłam się. – Jakby były jakieś lekarstwa, toby je zalecił, a wzmocnienie organizmu jest teraz najważniejsze.

– Może i nie wiem, ale tak mi żal.

– Mnie też żal. I nie gadaj głupot, bo sobie pójdę – zagroziłam.

Chwilę stałyśmy w milczeniu, aż Azorowi się udzieliła ciężka atmosfera i zaczął szczeakać.

– No, nie gniewaj się – powtórzyła Danka.

– Nie gniewam się – odpowiedziałam, chociaż było mi trochę przykro. Pewnie dlatego, że słyszałam, co tato mówił do mamy o panu Piaseckim: że za parę tygodni umrze, bo jest bardzo chory, i dziwne, że w ogóle jeszcze żyje.

– To co się tak boczysz? – spytała Danka już całkiem ugodowo.

Szłyśmy w stronę Rynku. To ja ją prosiłam, żeby poszła ze mną. Nie wiem, co mnie wciąż tam ciągnęło, pewnie to wspomnienie o Stefanie i wiadomość, że właśnie tam zginął.

– Nie boczę się, tylko zawsze tak mam, jak idziemy na Starówkę.

– To po co mnie tam ciągniesz? – spytała zrzędliwie.

Znów była dawną Danką, lekko poirytowaną i z wszystkiego niezadowoloną.

– Bo muszę – odpowiedziałam. Teraz byłam nową Mirką, która nie mogła usiedzieć nawet minuty, żeby czegoś nie planować, dokądś nie iść, czegoś nie szukać czy załatwić. Ta nowa ja musiała to robić, bo śmierć i zniszczenia, które wyzierały zewsząd, byłyby zbyt trudne do przyjęcia, gdyby tak siedzieć beczynnie.

– A potem pójdziemy na lody? – spytała.

Opowiadałam jej o lodach Tereski, więc i ona strasznie chciała pójść.

– Możemy – przytaknęłam.



Miałam przy sobie trochę pieniędzy, Danka pewnie też dostała od rodziców pieniądze. Już im się lepiej powodziło, bo co dzień wypiekali chleb. Po sto, dwieście bochenków – tyle dawali radę bez wszystkich potrzebnych udogodnień. Bochenki rozchodziły się niemal na pniu. Ludzie stali pod piekarnią i czekali, aż się wypieka. Za utarg Frankońscy kupowali tyle mąki, żeby starczyło na nowy chleb, bo nie mieli jej za bardzo gdzie składować, a kradzieże niestety były wciąż powszechne. O szczurach nie mówiąc, bo się wszędzie panoszyły. Niewielki zysk inwestowali w odkupienie rzeczy, które się zniszczyły. Opornie to szło i z boku trochę żałośnie wyglądało, jakby walczyli z wiatrakami, ale oni byli tak szczęśliwi, że wracają do normalności. Pracowali bardzo ciężko i cieszyli się, że mają co robić.

Alek trochę pomagał, ale głównie pracował przy odgruzowywaniu Politechniki. Nie wiedzieć czemu to było dla niego ważniejsze niż piekarnia rodziców. Danka pracowała tylko przy układaniu gotowych bochenków i potem przy sprzątaniu piekarni.

– Patrz pod nogi. – Złapała mnie za ramię, w sam czas, żebym nie przewróciła się o jakąś kość wystającą spod gruzów.

– Brr... – Aż mną zatrzęśło, chociaż wyglądało na to, że kość jest psia, a nie ludzka.

Coraz trudniej było odwiedzać Starówkę, bo mnóstwo ludzi przychodziło. Jedni na pewno szukali bliskich, bo ekshumacje szły, że tak powiem, pełną parą, ale inni to przychodzili popatrzeć albo kraść. Bardzo to przykre, ale im więcej przeprowadzano ekshumacji, tym więcej można było wyszabrować, ukraść nieszczęsnym trupom i sprzedać pokątnie w bramie. Bo ludziom nie wystarczyło, że przeżyli, musieli jeszcze nadać temu przeżyciu jakiś sens. Niektórzy głębszy, taki niby filozoficzny, a niektórzy po prostu – uznali, że im się należy. Brzydziło mnie to.

– No i co? – spytała Danka, kiedy stanęliśmy przed kiedyś pięknymi, najstarszymi murami Warszawy.

Niemal wyczułam strach ludzi, którzy siedzieli w tutejszych piwnicach i bali się wyjść, bo Niemcy szczególnie upodobali sobie Stare Miasto. To tę kolebkę Warszawy chcieli zniszczyć, żeby kamień na kamieniu nie pozostał. I właściwie im się udało.

– No i nic. – Prawie się popłakałam, kiedy na to patrzyłam. Stefana nie odnajdę, a nawet jeśli, to co mogę zrobić, żeby go godnie pochować?

– Musimy tu przychodzić? – marudziła Danka.

– Więcej nie przyjdziemy – uspokoila ją.

Grupa żołnierzy polskich i radzieckich pracowała przy odgruzowywaniu jednej z kamienic. Azor szczerknął na Rosjanina, który śmiał się głośno. Żołnierz odwrócił się i wyszczerzył do nas zęby w uśmiechu. Miał dwa złote kły. Wyglądał jak zwierzę.

– Mama mówiła, że oni stali za Wisłą i nie pomogli, jak się tu ludzie wykrwawiali – powiedziała Danka.

– *Naszli! Naszli!* – zaczął krzyczeć inny radziecki żołnierz.

Wiedziałyśmy, co znaleźli. Pewnie piwnicę pełną trupów. Odwróciłyśmy się do nich plecami.

## „KURIER PORANNY”

To jest pan Jan Walter Roztworowski, a to pani Irena Pataczkova – przedstawił nas sobie redaktor naczelny. – Będziecie razem pracować.

Jan Walter Roztworowski miał smutną twarz.

– Bardzo mi miło. – Uścisnął mi rękę.

Naczelnny odszedł i zapadło niezręczne milczenie.

Niepotrzebnie przyznałam się szefowi, ile trudności sprawia mi wybranie tematu i napisanie tekstu. Pocieszał, że wszyscy to czują. Zapewniał, że płaczą, kiedy czytają moje teksty. Prosił, żebym się nie poddawała. Dowodził, że nawet w tym nieszczęściu ludzie muszą czuć iskierkę nadziei.

– Zrobimy tak, pani Ireno – powiedział mi naczelny, uśmiechając się serdecznie. – Ja się zastanowię, jak pani pomóc, a panią proszę o to, aby nie traciła ducha. To, co robimy, jest bardzo ważne. Sam... Sam straciłem wiele osób, bliskich osób, i rozumiem, przez co przechodzą inni. Proszę mi wierzyć, że...

Zapewniłam go, że dam radę. Potrzebowałam jedynie rozmowy z nim, słów otuchy i wsparcia. Było mi z jednej strony bardzo ciężko, z drugiej czułam wdzięczność, że żyję, że moja rodzina ocalała, że mój dom stoi. Czy mogłabym prosić Boga o więcej? Teraz, kiedy pokazał, jak mało może dać? Kim zatem był ten smutny, stary mężczyzna, z którym miałam pracować?

– Pewnie pani się zastanawia, o co chodzi. – Roztworowski uśmiechnął się do moich myśli.

– Właśnie tak – odpowiedziałam niezręcznie. Chciałam, żeby sobie poszedł. Było w nim coś odpychającego, czego nie umiałam nazwać. Może aura smutku albo zniszczone, chociaż czyste ubranie. Powiem naczelnemu, że nie o takie wsparcie mi chodziło.

– Jestem rysownikiem, nie redaktorem – wyjaśnił. – Będę pani towarzyszył w pracy. Pani zbiera materiały, ja rysuję.

Poczułam złość na naczelnego. Mógł powiedzieć, że to ilustrator.

– W takim razie... – Zawiesiłam głos.

Nie byłam specjalnie towarzyska; kiedy poznawałam kogoś nowego, wychodziła na jaw cała moja nieśmiałość. Nigdy nie wiedziałam, co powiedzieć, aby się wydać rozmówcy inteligentna lub choćby zabawna. Tak było i tym razem. Stałam i patrzyłam na własne buty. Na szczęście Jan Walter nie wydawał się zainteresowany rozmową czy też wymianą doświadczeń. A już na pewno nie chciał, żebyśmy się polubili od pierwszego wejrzenia.

– W takim razie bierzmy się od razu do roboty – zaproponował wypranym z emocji tonem.

Najlepiej czułam się, kiedy prowadziłam lekcje. Ze swobodą omawiałam Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, podkreślałam najważniejsze cechy ich twórczości, porównywałam ich i oceniałam. Cudze dzieci słuchały mnie zawsze uważnie, w przeciwieństwie do moich własnych, które już dawno lekcewały to, co miałam do przekazania i powiedzenia. Większość moich uczniów zginęła. Podobnie ich rodzice, dziadkowie, bliscy. Moje koleżanki ginęły w obozach, koledzy na froncie. Po wojnie została nas garstka. Wszyscy puści w środku. Niektórzy gotowi dalej uczyć. Niektórzy bez wiary i siły. Ja stałam gdzieś pośrodku, próbując zbudować całą swoją przyszłość na wdzięczności za ocalenie życia. Odczuwałam wdzięczność, nie wiedziałam tylko, wobec kogo.

Przez całą drogę na Nowe Miasto ilustrator nic nie mówił, ja też się nie odzywałam. Wreszcie, kiedy stanęliśmy na Podwalu i popatrzyliśmy na gruzowisko, przemówił schrypniętym z emocji głosem:

– Stąd i z Wąskich Dunajów prowadziły schody w dół. Na podwórzu siedziało mnóstwo ludzi. Dopiero później zeszli do piwnic.

Wyjęłam notes i zapisałam jego słowa. On zaś wyjął szkicownik, usiadł na gruzie i zaczął rysować.

– Mieszkałem tu – powiedział i wskazał palcem kawałek muru, nie odrywając oczu od kartki, a ja znów nie zapytałam o nic, bo jasne było, że stracił wszystko. Miałam nadzieję, że zatrzyma swoją opowieść dla siebie.

*Siedział na krześle w kuchni i pił herbatę, kiedy nagle zniknęła ściana jego domu. Ogluchł od wybuchu. Oszolomiony podszedł na krawędź pokoju i spojrzał w dół. Nic tam już nie było. Pod gruzami zapadła śmiertelna cisza.*

– A pani gdzie była podczas powstania?

Znów się zawstydziałam, że przetrwaliliśmy tę hekatombę z dala od stolicy.

– Byliśmy z mężem w konspiracji. Ktoś nas zadenuncjował, ale na szczęście przyjaciele nas uprzedzili. Wyjechaliśmy na wieś i wróciliśmy dopiero teraz na wiosnę. Wszyscy dzięki temu przeżyliśmy – wyjaśniłam jednym tchem.

Nie miałam odwagi spojrzeć mu w oczy, tak jak wszystkim tym, którzy siedzieli w piwnicach i modlili się o życie albo szybką śmierć. Czułam się wobec nich winna i nic nie mogło tego zmienić.

– Całe szczęście – usłyszałam. – Mnie uprzedzano, ale nie wierzyłem, że Armia Krajowa może się zdecydować na taki krok. Miałem szczęście, bo przeżyłem.

*Nagle dźwięk wrócił. Pisk i ogłuszający huk niemal pozbawił go tchu. Krzyczała mała dziewczynka uwięziona na szczycie schodów. Trudno powiedzieć, czy bardziej przerażała ją ziejąca poniżej dziura czy ciało jej siostrzyczki, które bomba rozerwała na strzępy i które zwiślało teraz koło niej na poręczy schodów.*

Podniosłam oczy. Rysował zawzięcie.

– Dla pani wiadomości – dodał wpatrzony w swój rysunek – nikt mi nie umarł. Nikogo po prostu nie miałem. Nikogo prócz sąsiadów, znajomych i dzieci, dla których ilustrowałem książki. Tych rzeczywiście umarło mi najwięcej.

– Mam córkę, Mirkę, ma prawie trzynaście lat – powiedziałam. – Na pewno czyta ilustrowane przez pana książki.

– Proszę spytać i koniecznie mi powiedzieć – odparł poważnym tonem i wreszcie na mnie spojrzął z ogromną uwagą, jakby to, czy moja córka zna jego ilustracje, było najważniejszą sprawą pod słońcem.

– Powiem – zapewniłam go.

*Koło niego wciąż znajdowały się schody, więc zszedł z innymi, pozostawiając za sobą krzyk tej dziewczynki. Szukał dla siebie miejsca na podwórzu, ale było wypełnione mrowiem ludzi, którzy tłoczyli się i przepychali. Mijał piękne sanitariuszki, które tamowały krwotoki i ścisnęły kikuty oderwanych kończyn. Za nim upadła piszcząca dziewczynka i roztrzaskała się o bruk.*

– Pięknie pan rysuje – powiedziałam.

– Nie umiem nic innego.

## PACJENT M.D. I. 40

Nie znaleźliśmy się przed wojną, chociaż słyszałem, że doktor D. jest wspaniałym chirurgiem. A właściwie był, bo ma sparaliżowaną prawą rękę i już nigdy nie będzie operował.

– Skierowano mnie do pana po morfinę – powiedział bez ogródek.

Żrenice miał wąskie jak szpilki, pewnie nadużywał narkotyku, ale nie mnie było go oceniać ani mu odmawiać.

– Oczywiście – odparłem. – Chciałbym jednak pana przedtem zbadać.

Zdrową ręką zdjął marynarkę, potem zaczął rozpinać koszulę. Spróbowałem mu pomóc, ale nie pozwolił.

– Mogę sam to zrobić – stwierdził, krzywiąc się z bólu.

Poniżej obojczyka miał zabliznioną ranę.

– Po kuli – wyjaśnił. – Oberwałem prosto w splot nerwowy.

Dotknąłem delikatnie blizny.

– Wydaje mi się, że w nerwie tkwią odłamki – powiedziałem. – Stąd ból. Trzeba by je usunąć.

– Wiem o tym – odpowiedział spokojnie. – Nie chcę ich usuwać.

Ból musiał być nie do zniesienia. Dlatego uzależnił się od morfiny. Ale dlaczego nie pozwalał sobie pomóc?

– Dlaczego, doktorze? – spytałem. – Proszę pozwolić na otwarcie rany i wyjęcie odłamków.

Obaj wiedzieliśmy, że nie przywróci to sprawności ręki, ale zmniejszy cierpienie.

Nie odpowiedział. Wzruszył jedynie zdrowym ramieniem. Wypisałem zatem, co trzeba, i poleciłem, żeby zgłosił się do dyżurki siostr na zastrzyk dożylny.

– Gdyby pan zmienił zdanie... – zacząłem.

– Nie zmienię – przerwał mi.

– Rozumiem – powiedziałem.

Wtedy się obruszył.

– Nic pan nie rozumie – rzucił ostro.

– Przepraszam... – zacząłem.

Spojrzał na mnie. Szpilki żrenic kontrastowały z błękitem tęczy.

– Byłem na Woli, operowałem jednego z rannych, kiedy wtargnęli na salę operacyjną. Zastrzelili pacjenta, który leżał na stole, kolegę, który operował ze mną, potem instrumentariuszkę. Mnie nie zabili tylko dlatego, że Niemcowi zaciął się pistolet. Kazali mi zejść na dół ze wszystkimi. Nie zdjąłem nawet fartucha ani rękawiczek. Na dziedzińcu szpitala stał tłum lekarzy, pielęgniarek, pacjentów, tych, którzy mogli chodzić. Zaczęli zabijać od razu. Nikt nie odczytał żadnego wyroku śmierci, jakiegokolwiek wyjaśnienia, które tłumaczyłoby tę rzeź. Choćby na ich pokrętny, hitlerowski sposób. Mieszkałem niedaleko, przecnicę od szpitala. W domu została żona z córkami. Miałem nadzieję, że chociaż moja rodzina jest bezpieczna, bo przecież ja już byłem trupem, ale ktoś wyciągał ludzi z domów i zabijają. Nie wiem, jakim cudem nikt mnie nie zauważył, nikt do mnie nie strzelił, ale udało mi się wydostać ze szpitala. Niemcy stali w bramach, schodzili do piwnic i pukali do drzwi. Wyciągali stamtąd ludzi. Żona i córki już stały w podwórzu i czekały na śmierć. Poczułem ulgę, że zginiemy razem. Wszystkie trzy płakały. Niemcy zabijali seriami. Brali po sześciu, siedmiu pod mur, strzał w głowę, od przodu albo od tyłu. Potem następni. Czekaliśmy chyba z godzinę, aż przyszła nasza kolej. Stanęliśmy przed wysoką na piętro pryzmą trupów. Trzymaliśmy dziewczynki za ręce. Młodsza się zsiusiała ze strachu. Musiałem odruchowo pochylić głowę albo Niemiec był już zmęczony, bo strzał przeszył tylko moje ramię. Upadłem na trupa starszej córki. Byłem przekonany, że mnie dobijają, ale już podchodzili następni. Znowu strzały i na mnie zważyło się ciało chłopca, na oko dziesięcioletniego. Żyłem, chociaż nie chciałem żyć. Skończyli dopiero wieczorem. Leżałem pod kilkoma warstwami ciał i oddychałem zapachem zakrzepłej krwi. Kiedy strzały ucichły, wydostałem się spod stosu zamordowanych ludzi i poszedłem na Długą, do szpitala. Nikt mnie nie zabił. Nikt. Do dziś żałuję.

Wyszedłem, żeby odprowadzić go do gabinetu zabiegowego. Pożegnał się ze mną krótkim uściśkiem lewej dłoni.

– Proszę lepiej niż ja wykorzystać fakt, że pan przeżył – powiedział, wchodząc do zabiegowego.

Stałem i wpatrywałem się w drzwi, świeżo pomalowane na biało, wyglądające dziwnie w otoczeniu ściany zniszczonej kulami i z dziurą po wybuchu granatu.

– Potrzeba panu czegoś?

Drgnąłem, nie wiedzieć czemu czymś przestraszony. Stała za mną z wyniosłą miną.

– Nie. Odprowadziłem tylko doktora D.

Spojrzała na białe drzwi gabinetu.

– Myśli pan, że dobrze zrobił? – spytała mnie nieoczekiwanie.

Nie okazywała mi szacunku, nie rozumiałem dlaczego.

– A co miałem zrobić?

Nie spuszczała ze mnie wzroku.

– Przychodzi tak często, jak się da. Po morfinę. Nikt nie śmie mu odmówić. Doktor Radomski proponował operację. Uważa, że udałoby się przywrócić częściowo sprawność w chorej ręce. Doktor D. odmawia.

– I sądzi pani, że mimo wszystko należy dalej go namawiać na leczenie?

– Zgromadził tyle morfiny, że wystarczyłoby, aby uśpić konia. A pan mu dał następną dawkę – stwierdziła, a potem odeszła.

Patrzyłem za nią. Czarny warkocz tańczył jej na plecach.

## *Pamiętnik Tereski*

*Będę odbudowywać Politechnikę. Razem z Alkiem.*

*– Tylko się tak nie ekscytuj – utyskiwała mama, z jakiegoś powodu sceptycznie nastawiona do tego pomysłu.*

*– Nie ekscytuję się, wiem, ile jest zniszczeń.*

*– No – włączyła się Mirka. – Połowa zabudowań jest kompletnie zrujnowana.*

*Potem zaczęła paplać, że były tam z Danką i oglądały gruzy.*

*– Tylu ich tam zginęło – powiedziała mama i westchnęła.*

*– W powstaniu? – spytałam.*

*Ciągle to powtarzali, że tylu zginęło, takich młodych i zdolnych. Przecież najważniejsze było to, że myśmy ocaleli. I Alek. Nie mogli się zdecydować. Ani ona, ani tato.*

*– Mam na myśli wykładowców akademickich, profesorów, inżynierów, naukowców... Kto teraz ten kraj odbuduje...*

*– No właśnie tacy jak ja – oznajmiłam z mocą. – Kwiat młodzieży. Ci, którzy będą potem korzystać z dóbr tego gmachu. Studenci, którzy będą tam studiowali. Ja. Alek.*

*– Kwiat młodzieży leży pod gruzami – odezwała się Mirka. – Pan Piasecki tak mówi. A ty mówiłaś, że będziesz lekarzem.*

*– Będę architektem – odpowiedziałam.*

*– Przecież Alek skończył studia w oflagu – ciągnęła Mirka.*

*– Pani Frankońska mówiła, że owszem, ale takie ogólne. Jeśli chce być architektem, musi studiować przynajmniej rok i zdać egzaminy.*

*No to mamy przed sobą przynajmniej jeden wspólny rok. Wszystko może się zmienić.*

*– Chcesz po prostu chodzić tam, gdzie jest Alek – upierała się Mirka. – W nosie masz Politechnikę i inne zagruzowane miejsca.*

*– Ty zawsze musisz coś powiedzieć. – Zdenerwowałam się. – I to jakbyś Amerykę odkryła.*

*– A tak... – zaczęła Mirka, ale mama ją uciszyła.*

*– Teresko – powiedziała z troską wypisaną na twarzy – wy możecie co najwyżej odgruzować te budynki. Te i inne. Mnie chodzi o ludzi, którzy odbudują polską naukę i kulturę. Nie w sensie dosłownym, ale metaforycznym.*

*Przypomniała sobie, że jest nauczycielką, i zachciało się jej metafor.*

*– Do końca roku mają uruchomić wszystkie przedwojenne wydziały – oznajmiłam.*

*– Wiem o tym, oby się udało. Ja mówię o czym innym... – Mama wykręcała palce.*

*– Bo tobie chodzi o to, żeby było jak dawniej. – Mirka roześmiała się nagle i wycelowała we mnie palec. Znow zaczęła obgryzać paznokcie. – Jak przed wojną. Żeby wszyscy zachowywali się jak kiedyś, mówili jak kiedyś, cieszyli się jak kiedyś i planowali przyszłość jak kiedyś.*

*Chciałam zaprzeczyć, ale moja siostra trajkotała już jak najęta:*

*– A nigdy nie będzie jak dawniej. Odbudują Stare Miasto, ale to już nie będzie to samo Stare Miasto. Szkoły też zbudują i będziemy do nich chodzić, ale kto nas będzie uczył? Wszyscy zginęli.*

*– Nie wszyscy – zaprzeczyłam. – Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy – dodałam nieco patetycznie, ale nawet mama, która lubiła takie klimaty i bardzo się angażowała w opisywanie odbudowy stolicy, miała niepewną minę.*

*– Może i tak – zgodziła się ze mną i pogroziła palcem Mirce, która wyraźnie miała ochotę na dyskusję. – Mirko, proszę, żebyś nie komentowała wszystkiego. Tereska podjęła bardzo szlachetną inicjatywę, którą będziemy wspierać.*

*– A róbcie sobie, co chcecie. – Moja siostra wzruszyła ramionami, a pies, który zachowywał się tak, jakby rozumiał, o czym mowa, szczeknął potakująco.*

*Jedynie pani Maria siedziała cicho i nie brała udziału w dyskusji. Może nie chciała się wtrącać w rodzinne sprawy, a może nie miała zdania na temat tego, co powinnam studiować. Kiedy jednak na nią spojrzałam, od razu odwróciła wzrok. Zrobiło mi się jakoś przykro. Nie zależało mi na tej kobiecie, nie rozmawiałam z nią nawet sam na sam, ale to było frustrujące, że nie odezwała się w mojej obronie. A może powinnam ją poznać lepiej?*

## MIRKA

Stałam jak wryta i nie mogłam wypowiedzieć jednego słowa.

– No powiedz coś – zaniepokoiła się Danka. – Albo chociaż oddychaj.

Amelka, Tadek i Marysia zwana Marlenką siedzieli wokół ogniska rozpalonego przy Hożej i piekli kromki chleba nadziane na patyki. Stefan stał z boku i przyglądał się tańczącym językom ognia. Patrzyliśmy na nich zza węgła.

– Żyje – wykrztusiłam w końcu.

– Mówiłam, że żyje, a ty mi nie wierzyłaś.

Nie wierzyłam, teraz też wydawało mi się to niemożliwe, żeby Stefan przeżył, wrócił i się do mnie nie odezwał.

– Pójde tam – postanowiłam.

– Nie – zaprotestowała nagle czymś przerażona Danka i złapała mnie za bluzkę.

– Stefan! – Wyrwałam się jej i wynurzyłam z ciemności.

Drgnął na mój widok i zerwał się na równe nogi, jakby chciał uciec. Dlaczego? Nie rozumiałam tego.

– O, Mirka – odezwał się Tadek. – Co tu robisz?

Co tu robię? Co ja tu robię? Nie odrywałam wzroku od Stefana, a on ode mnie.

– Chcesz chleba? – spytała Amelka. – Musisz sobie upiec.

– Nie chcę chleba – odpowiedziałam, patrząc w oczy Stefanowi.

– To chociaż usiądźcie z nami. – Amelka zaprosiła nas wielkopańskim gestem.

– No – dodała obojętnie Marysia. Nie wiem, czy nie chciała nas w swoim towarzystwie, czy chodziło raczej o to, co możemy zjeść.

Zrobiłam krok do przodu, ostrożnie, jakby Stefan był dzikim zwierzęciem, które można spłoszyć.

– Ja usiądę, a Mirka niech pogada ze Stefanem – zadecydowała Danka, a Stefan po kilku chwilach, które zdawały się wiecznością, skinął głową.

Odeszliśmy na bok. Było bardzo późno, może koło północy. Mimo letniej pory trzęsłam się z zimna. Wiele chciałam mu powiedzieć, ale nie wiedziałam, od czego zacząć. O tyle spraw chciałam zapytać. Wreszcie podeszliśmy do siebie i rzuciliśmy się sobie w ramiona. Ja zaczęłam płakać, a on gładził mnie po głowie. Przed wojną byliśmy blisko, ale nie pamiętam, żeby mnie kiedykolwiek dotknął. Czulałam zapach dymu, jakim przesiąkło jego ubranie. Płakałam coraz głośniejsze, z ulgi i tej dziwacznej niepewności, której doświadczałam, a której zupełnie nie mogłam pojąć. I przede wszystkim ze smutku, że wrócił nie do mnie.

– Stefan – powiedziałam, kiedy znów udało mi się cokolwiek wykrztusić.

– Już nic, nic. Nie płacz. – Wciąż mnie obejmował i gładził po głowie.

Wreszcie oderwałam się od niego, ale wciąż trzymaliśmy się za ręce. Ja zasmarkana, potargana, ale szczęśliwa, on z miną niepewną, rozbieganymi oczami.

– Dlaczego się nie odzywałeś? Myślałam, że nie żyjesz. Stefan odebrał to jak wyrzut.

– Miałem swoje powody – burknął i puścił moje ręce.

– Jakie powody? – zdumiałam się. – Coś ci grozi? Ktoś chce cię skrzywdzić?

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem, a ja naprawdę nie wiedziałam, o co mu chodzi, co może mu grozić, teraz, kiedy ocalał i wrócił do domu.

– Z całej mojej rodziny zostałam tylko ja – powiedział.

– Wiem i tak bardzo... – zaczęłam, ale mi przerwał.

– Idzie mi na czternasty rok. Jestem sam, mojego domu nie ma. Jedyne krewne, jaka mi została, to jakaś ciotka spod Lublina. Dziesiąta woda po kisielu. Tata zawsze się śmiał, że dziwaczka... Nigdy jej nie odwiedzaliśmy. Przypadkiem się dowiedziałem, że żyje.

– Stefan... – znów próbowałam wtrącić swoje trzy grosze.

– Nie chcę iść do domu dziecka, nie rozumiesz?

Rozdziawiłam buzię ze zdumienia.

– Do jakiego domu dziecka? – Nic z tego nie rozumiałam.

– Do takiego, do którego idą sieroty – odparł. – Takie jak ja, jak Tadek, Amelka i Marlena.

– Amelka ma babcię – zaprotestowałam.  
– Ale ta babcia nie zabierze jej do siebie, do Łodzi, bo tam nie ma warunków. A do Warszawy nie przyjedzie, bo domu, w którym mieszkali, także nie ma.  
– Wszystko odbudują... – powiedziałam żarliwie, z wielką wiarą w przyszłość.  
– Pewnie tak, ale to potrwa. Tymczasem nie mamy się gdzie podziać.  
– Możesz... – Chciałam dodać „mieszkać u nas”, mama na pewno się zgodzi, kiedy się dowie, że Stefan przeżył.

– Nie, nie mogę – rzucił stanowczo. – I żebyś mi się nie ważyła więcej o tym mówić.  
– Ale Stefan...

Tamta chwila pełna uniesień, kiedy obejmowaliśmy się, minęła. Miałam nadzieję, że ta bliskość jeszcze wróci. Tymczasem Stefan złapał mnie za ramię i pociągnął w stronę ogniska. Usiedliśmy. Wzięłam podany kawałek chleba. Wciąż drżałam z zimna. Zaczęłam jeść, zastanawiając się, co czuję, dlaczego to nie jest najpiękniejszy i najbardziej radosny moment w moim życiu.

– Nie wygada? – Marysia wskazała na mnie palcem.

– Nie wygadam – oburzyłam się.

– Jak wygadasz, dostaniesz w mordę – powiedział spokojnie Tadek, a ja nawet się nie obraziłam.

Nie miałam siły.

Rozstaliśmy się grubo po północy i bałam się, że mama albo Tereska odkryją moją nieobecność. Tata miał nocny dyżur w szpitalu, jego się nie obawiałam. Mama w życiu mnie nie uderzyła, teraz też by mnie nie sprąła, ale mogła się przerazić, że w coś się wplątałam, i zamartwiać na śmierć. Teraz, kiedy zaczęła pracować w gazecie i opisywać te wszystkie nieszczęścia, jakby przejrzała na oczy. Wcześniej wydawało się, że nie do końca przyjmuje do wiadomości śmierć i zniszczenie. Powtarzała tylko, że my ocaleliśmy, że mamy dach nad głową, jakie to szczęście i tak dalej. Planowała, kiedy odkupimy łyżki, talerze i kto nam skleci jakąś porządną szafę. Utyskiwała na ojca, że za dużo pracuje, na mnie, że się całymi dniami włóczę, zamiast się uczyć, na Tereskę, że za dużo patrzy w lustro. Omawiała z Babcią Hrabina, kiedy by tu pojechać na wieś i wreszcie zobaczyć, co się dzieje z majątkiem, chociaż ojciec jej tłumaczył, że lepiej się tam nie pokazywać, bo Rosjanie nas jeszcze zastrzelą. Babcia Hrabina się z nim zgadzała, a mama powtarzała, że to inni Rosjanie niż tamci, prawdziwi wybawiciele, a nie fałszywi. Ona, która truchlała na widok każdego radzieckiego żołnierza i uciekała na dźwięk rosyjskiej mowy, teraz nagle chciała w nich widzieć szlachetnych wojowników. Jakby żyła nie na tym świecie. Może tak sobie radziła z tym wszystkim, a może naprawdę nie chciała wiedzieć, ilu ludzi zginęło.



## „KURIER PORANNY”

Po co wydobywać z gruzów nuty, skoro nie ma instrumentów ani ludzi, którzy mogliby na nich grać?

– To ważne – powiedział, kręcąc głową.

Filharmonia umarła wraz z całą muzyką, która się w niej rodziła przed wojną. Tak uważałam. Bywaliśmy na koncertach, jak wszyscy kochałam Beethovena, Mozarta, ale i Chopina, Moniuszkę, Wieniawskiego. Zwłaszcza tego ostatniego.

– Ludziom domy trzeba odbudować – burknęłam nie wiedząc czemu zła.

– Muzyka jest ważna tak samo jak słowo – upierał się.

*Kiedy spadły pierwsze bomby na Warszawę, Feliks grał na fortepianie. W sobotę miał się odbyć bardzo ważny koncert i pozostało mu niewiele czasu do tego uroczystego wydarzenia. Jego profesorka wciąż była niezadowolona, zbyt mało lekkości było w jego palcach i fraza robiła się zbyt ciężka. Ciężki był fortepian, który się zawalił i uwięził go pod sobą, miażdżąc mu palce, które trzeba było obciąć. Z profesorki nic nie zostało.*

– Moja Tereska odbudowuje Politechnikę – pochwaliłam się.

Pokiwał głową i wyjął szkicownik.

– Nie rysuj tych ruin – zaprotestowałam.

– Nie zamierzam.

Zajrzałam mu przez ramię. Z szybkością błyskawicy naszkicował stary gmach Filharmonii, dumny i dostojny.

– Państwo z gazety?

Za nami stał niski, szczupły mężczyzna z przedwcześnie posiwiałymi włosami.

– Zapraszam do środka – powiedział bez powitania.

Jan potrzebował ledwie kilku kresek, aby dokończyć rysunek, ale posłusznie zamknął szkicownik.

– Nie chcę pokazywać wam ruin, zniszczonych instrumentów. To już za nami. – Otarł pot z czoła.

– Chcę wam pokazać coś wyjątkowego – zaznaczył.

Ruiny. Dziwna rzecz. Niby było ich tyle, że człowiek nie zwracał na nie uwagi, a jednocześnie każda kupa gruzu była odmienna. Inaczej wyglądały gruzy po domach, w które trafiła spadająca bomba, a inaczej po tych, w których wybuchły miny. Mimowolnie nauczyłam się odróżniać ich pochodzenie.

– Proszę...

Weszliśmy do niewielkiego pomieszczenia.

– Nuty – wyszeptał Jan z podziwem.

Serce mi zapulsowało bólem. Cmentarzysko nut.

– W czasie wojny Niemcy wywieźli cały zbiór do Ciechocinka – mówił kustosz. – Bardzo długo się staraliśmy o ich odzyskanie.

– Na nieszczęście się udało – stwierdził Jan.

– Tak. Na nieszczęście. – Kustosz się zamyślił. – Zwieźliśmy je do stolicy, żeby gruzy je pogrzebały.

– Co teraz? – spytałam. – Jak je uratować?

– Oooo... – Mężczyzna się uśmiechnął. – Sądziłem, że i państwo będą mnie namawiali, żebym je wyrzucił.

– Tak byłoby najprościej – powiedział Jan. – Ale to, co proste, nie zawsze jest właściwe.

– A my już doświadczyliśmy wyrzucania zniszczonych rzeczy – dodałam.

*Esterka wygrała konkurs skrzypcowy przed wojną, a potem pojechała do Niemiec na koncerty. Towarzyszył jej na prośbę rodziców. Chcieli, żeby się nią zaopiekował. Nie zdołał się nią zaopiekować w czasie wojny, chociaż dołożył wszelkich starań, aby przeżyła. Mieszkała z nim na Szucha, pod okiem Niemców; najciemniej pod latarnią. Przekonywał, że nie może iść do getta, żeby zobaczyć rodziców, bo tam zginie. Kto wie, czemu wyszła na ulicę i skierowała się w stronę Śródmieścia. Minęła kilka patroli i zdumionych żołnierzy niemieckich, którzy musieli się zastanawiać, dokąd idzie dziewczyna, której semicka uroda aż rzuca się w oczy. Zagryzł ją pies. Nie trzeba było strzelać.*

– Widzi pani... – Kustosz znów otarł pot z czoła. – Większość tych, którzy korzystali z biblio-

teki... już z niej nie skorzysta. Mógłbym bez końca wymieniać, kto...

Domyśliłam się, że większość uczniów zginęła. Zapewne w getcie, a po jego likwidacji – w obozach koncentracyjnych.

– *Non omnis moriar?* – spytał Jan, szkicując biblioteczne brudne kartki nutowe z tworzącymi osobliwe martwe natury ósemkami, ćwiartkami i całymi nutami, które ożywały dopiero pod czyimiś palcami.

– Tak, tak... – Kustosz się uśmiechnął. – Zwoziłem je do Szkoły Chopinowskiej. Bibliotekarki mi pomagały. Wiecie, jak to robiliśmy? Wykładałem kartki nutowe widłami na stos. Potem je przebieraliśmy. Kartka po kartce, oglądaliśmy, a potem składaliśmy, żeby były z jednego utworu.

– Mrówcza praca – powiedziałam z podziwem.

– Prościej byłoby oddzielać ziarna maku od ziaren piasku – odparł nieco chępliwie.

– Ale nie syzyfowa – podsumował Jan.

– Dla Syzyfa nie było nadziei. Dla nas jest. Czyściliśmy te karty chemikaliami, gumką, szczoteczkami, także wodą. Potem je suszyliśmy i prasowaliśmy. Łataliśmy i zszywaliśmy. Do wszystkiego konieczny był dobry słuch i pamięć muzyczna.

– Kiedy trzeba było uzupełnić brakujące fragmenty – domyślił się Jan.

– Tak, tak... – Mężczyzna się zadumał. – Ale wciąż zostało mnóstwo do zrobienia. Mamy dopiero około dwustu dzieł. Jeszcze kilka lat pracy i będzie tego z tysiąc.

– Moja córka odbudowuje Politechnikę – pochwaliłam się tym razem kustoszowi.

– Pięknie – odpowiedział. – Zawsze się cieszę, kiedy słyszę, że jakieś dzieciaki przeżyły. Wszędzie tragedia ludzka i nieszczęście. Ale dzwigniemy się. Powoli.

W tym mężczyźnie było tyle nadziei, że powstydziałam się swoich wcześniejszych myśli. Spojrzałam na Jana. Zapamiętał rysował, jak zawsze.

– Napiszecie o nas? – spytał kustosz. – Bo dobrze by było, żeby ludzie nam pomogli. Oczywiście ci, którzy wiedzą, czym są nuty.

– Napiszemy. – Pokiwałam energicznie głową. – I damy ogłoszenie, że potrzebni są...

– Kopciuszki, którym niestraszna mrówcza praca – dokończył za mnie Jan.

Niemal się roześmiałam. Jan wydawał się przez chwilę mniej smutny i szary niż zwykle.

– Albo kopciuchowie – dodał z powagą kustosz.

Potem Jan pokazał mi rysunki. Najbardziej podobał mi się portret dziewczyny o semickich rysach, która w zapamiętaniu grała na skrzypcach. Miała długie, kręcone włosy i smukłe palce. Przed nią na pulpicie leżały zniszczone, niekompletne nuty. Rysunek był tak doskonały, że niemal słyszałam wygrywane przez skrzypaczkę dźwięki.

– Masz wielki talent – powiedziałam ze szczerym podziwem w głosie.

– Chciałbym znów pójść na koncert – odparł.

Ja także tego zapragnęłam. Chciałam mu towarzyszyć.

## *Pamiętnik Tereski*

*Weszłam do budynku i zaczęłam się rozglądać w poszukiwaniu Alka.*

*– Panienska wie, gdzie jest jej stanowisko? – spytał chudy, pryszczaty mężczyzna, rzucając mi pełne dezaprobaty spojrzenie. Byłam ubrana w letnią sukienkę. Na nogach miałam sandały na koturnach.*

*– Niestety nie, bo ja pierwszy raz – odparłam niepewnie. – Ale mogę robić cokolwiek.*

*– Niech się pani nie gniewa, ale w tym stroju trudno będzie pracować. Może się pani przebierze w coś gorszego i...*

*W tej chwili dostrzegłam Alka. Wiózł na taczce stertę cegieł, wesolo pogwizdując. Miał na sobie stare, zniszczone spodnie i kurtkę. Ubranie i głowę przyprószył mu pył. Na jego twarzy widziałam szczęście. Odwróciłam się gwałtownie, żeby mnie nie zobaczył.*

*– To ja wrócę za godzinę – powiedziałam szybko.*

*Żegnana pełnym politowania uśmiechem pryszczatego opuściłam potężne niegdyś gmaszysko, teraz niemal kompletnie zrujnowane, i tak szybko jak mogłam pobiegłam do domu. Trafiałam prosto na awanturę. Mama krzyczała na Mirkę. Wyglądało, jakby miała ją za coś stłuc na kwaśne jabłko.*

*– Muszę się przebrać, żeby odgruzowywać Politechnikę – rzuciłam. – Mamy jakieś łachy?*

*W mamę jakby piorun strzelił. Przestała wrzeszczeć na moją siostrę, a zaczęła na mnie.*

*– Łachy?! Łachy?! Mamy same łachy i śmieci! I jesteśmy na dodatek wdzięczni, że je mamy...*

*Nie lubiłam, kiedy tak mówiła. Z jednej strony upierała się, że mamy patrzeć w przyszłość, z drugiej nie mogła uwolnić się od przeszłości.*

*– Oj, mamó... – poprosiłam.*

*– Co „oj, mamó”? Dlaczego wy się tak zachowujecie?*

*– Jak?! – wykrzyknęła Mirka. – To ty się tak zachowujesz!*

*Przez chwilę mama znów wyglądała, jakby miała zdzielić Mirkę, ale się opanowała.*

*– Nie tobie mnie oceniać – stwierdziła zimno.*

*Mirka nie wyglądała na przekonaną do tej odpowiedzi, a ja spieszyłam się do Alka i chciałam tylko złagodzenia sporu. Spojrzałam na panią Marię, do której wciąż nie umiałam mówić „babciu”, a która od jakiegoś czasu niemal się nie odzywała, potem przeniosłam wzrok na siostrę.*

*– Mirko, mama ma rację – powiedziałam z mocą, a następnie zwróciłam się do mamy: – Mamó, Mirka ma rację. Czymś się przejmujesz, coś cię dręczy, ale nie mówisz nam co.*

*Moja siostra zacisnęła zęby i rzuciła mi nienawistne spojrzenie. Mama machnęła ręką.*

*– Nie mogę sobie z wami dać rady – powiedziała zrezygnowana, ale na szczęście już spokojnie. –*

*Wszystko robicie nie tak. Mirka z gorliwości, ty – wręcz przeciwnie.*

*Znów nie wiedziałam, o co chodzi, ale desperacko pragnęłam zakończyć tę dyskusję.*

*– Ja tylko chciałam pójść odgruzowywać Politechnikę – bąknęłam obronnym tonem.*

*– Ty tak się wybrałaś pracować? – wtrąciła Mirka z pogardą w głosie. – W takim stroju?*

*– Tak, ale poszłam po rozum do głowy i wróciłam, żeby się przebrać – odparłam, by ukrócić jej kpiny. – A co tu się odbywało, zanim weszłam?*

*– Nie było Mirki pół nocy! – Mama oskarżycielsko wycelowwała w moją siostrę palec.*

*– Przecież chcę ci powiedzieć, gdzie byłam, a ty na mnie krzyczysz... – pyskowała Mirka.*

*Postanowiłam tym razem wziąć stronę siostry i tylko jej, nigdy nie wiadomo, na co się jej wdzięczność przyda w przyszłości.*

*– Mirka ma rację. – Wzruszyłam ramionami, a one obie popatrzyły na mnie, jakby zobaczyły ducha. – Mamó, spytaj, gdzie była. Po pierwsze, sama chce o tym opowiedzieć, po drugie – to chyba coś ważnego.*

*Moja siostra wysapała jakieś podziękowania.*

*– Stefan wrócił – powiedziała uroczystym tonem.*

*Z trudnością przypominałam sobie, o kogo chodzi. Mama zaś zasłoniła usta ręką, a w jej oczach zalsniły łzy.*

*– Co ty mówisz? – Zalkała. – Jakie to szczęście.*

*Najpierw na nas wrzeszczy, a potem mówi, że szczęście, i płacze. Cała mama.*

– I musiałaś się z nim spotykać w nocy? – spytałam w tej samej chwili.  
– Teresko, ty się nie wtrącaj. – Nasza rodzicielka nie znalazła dla mnie lepszej riposty, ale znów zaatakowała Mirkę: – A to nie mogło poczekać do rana?  
– Mamo... – Moja siostra przewróciła oczami.  
– Mama się o was po prostu martwi – odezwała się pani Maria.  
– Nie trzeba... – zaczęła Mirka.  
– Trzeba – przerwała jej pani Maria. – Wojna się wprawdzie skończyła, ale jej pokłosie będziemy jeszcze długo zbierać.  
– Jeśli chodzi o niewybuchy... – Mirka próbowała się targować.  
Jej pies zaczął szczekać, jakby chciał powiedzieć, że niewybuchy to on wyczuwa nosem i jego mała pani może nawet dorabiać z saperami.  
– Nie chodzi o niewybuchy. – Pani Maria wzięła na siebie ciężar dyskusji, a mama patrzyła na nią z wdzięcznością. – Chodzi o to, co może wam grozić na co dzień. Mówi się...  
– Nocą jest niebezpiecznie! – przerwała jej mama i znów zaczęła krzyczeć na Mirkę: – Dobrze o tym wiesz! I wychodzisz, jakby się ukrywał czy co.  
– Tak – odparła cierpliwie Mirka. – Bo on jest sierotą, zniszczyli jego mieszkanie i ukrywa się w ruinach, żeby nie pójść do domu dziecka.  
Milczaliśmy obie – i mama, i ja. Nigdy się nie zastanawiałam, co się stanie z tymi dzieciakami, których rodzice zginęli. Mama najwyraźniej też nie. Już przed wojną była naiwna jak dziecko, potem słyszałam, jak pani Maria Grzegorzewska mówiła do taty, że to dobrze, bo ocali ją to przed złem tego świata.  
– Przecież to dobre rozwiązanie – odezwała się w końcu mama.  
Dobre mogło się wydawać tylko komuś, kto był bezdomnym i samotnym dzieciakiem. Komuś, kto miał szczęście, że jego dom ocalał, a mąż miał pracę i był w stanie utrzymać rodzinę.  
– Nie dla niego – powiedziała Mirka. – On nie chce do sierocińca.  
Pani Maria zakryła usta dłońmi i zaczęła gwałtownie oddychać. Mama natychmiast usadziła ją na krześle i pobiegła po wodę.  
– Dlaczego dopiero teraz wrócił? – zainteresowałam się.  
Chciałam jak najszybciej wyjść, historia koleżanek i kolegów Mirki nie tyle mnie nie obchodziła, ile była ogromnie przygnębiająca. Ale współodczuwałam z siostrą wdzięczność za to, że jej przyjaciel przeżył. Tyle mogłam przynajmniej dla niej zrobić.  
– Był ciężko ranny – wyjaśniła Mirka. – Akurat wtedy, kiedy go postrzelono, Niemcy pozwolili, żeby wywieźć chorych. Pojechał z innymi do Brwinowa. Tam go zoperowali w jednym z tajnych szpitali. Jacyś ludzie się nim zajęli, karmili go, opiekowali się nim. Dopiero jak wydobrzał, to wrócił. Zobaczył, że nic nie zostało. Od Amelki i Tadka dowiedział się, że wszyscy jego bliscy zginęli.  
– A gdzie jest Brwinów? – spytałam.  
– Pod Warszawą – odparła Mirka zniecierpliwiona.  
– Spytałam w opiece społecznej, jak można mu pomóc – wróciwszy z wodą, zadeklarowała mama, w tamtej chwili wyraźnie ujęta nieszczęściem Stefana. Ja zaś nawet sobie nie przypominałam, jak ten chłopiec wyglądał.  
– Wszystko się ułoży. – Poklepałam Mirkę po chudych plecach. – Najważniejsze, że go w tym Brwinowie uratowali.  
– Wody... – poprosiła pani Maria.  
Mama i Mirka zajmowały się już tylko staruszką, a ja skorzystałam z okazji, przebrałam się błyskawicznie i wróciłam na grzyzy Politechniki.  
Pojawiłam się przed pryszczatym w drelichowych spodniach, zwykłej bluzce i zniszczonym swetrze, z którego nawet Mirka nie zdołała wypruć kawałka porządnej wełny.  
– Niech panna idzie za mną – powiedział.  
Z jego miny wynikało, że nie spodziewał się mnie tu znów zobaczyć. Poczłapałam za nim posłusznie, bez targów, chociaż chciałam pracować z Alkiem. Poprowadził mnie na tyły, do jakiejś sali wykładowej, gdzie już uwijała się grupka dziewcząt i jeden ryży, chudy chłopak. Pryszczaty powiedział, że jestem Tereska i zostałam przydzielona do pomocy. Dziewczyny się ucieszyły, jakby nie było nic miłszego niż moja obecność. Wszystkie też przyleciały z uśmiechem się przedstawić. Natychmiast zapomniałam ich imiona.  
– Michał! – jedna z nich, chyba Krysia, zwróciła się do ryżego chłopaka, który stał przy regałach z książkami i coś tam majstrował. – Chodź, przywitaj się z Tereską.

*Rzeczony Michał odwrócił się i powoli, powłócząc jedną nogą, podszedł do mnie.*

*– Michał. – Uścisnął mi szybko dłoń i wrócił na swoje miejsce.*

*– Był ranny – wyjaśniła druga z dziewczyn, chyba Irka.*

*– Kto nie był – wymamrotałam.*

*Pewnie w głowę, stąd taki dziwny, pomyślałam, ale nie powiedziałam tego głośno. Okazało się, że dziewczęta i takich jak Michał kieruje się do lepszych prac, czyli do porządkowania w salach wykładowych albo pracowniach. Znajdowałam się na wydziale architektury w pomieszczeniu, gdzie było pełno stanowisk do pracy dla architektów, rysunków z rozplanowanymi budynkami i książek. Przynajmniej kiedyś, bo teraz wszystkie półki były zapyłone, niektóre regały zdewastowane, stojaki pourywane, a mapy wymieszane i częściowo zniszczone.*

*– Mogę odgruzowywać – powiedziałam. – Jestem silna.*

*Tak bardzo chciałam spotkać się z Alkiem.*

*– Tu się też przydasz, skoro jesteś silna – odezwał się ten Michał.*

*Chciałam odpowiedzieć, że nikt go nie pytał o zdanie, ale nie wypadło naskakiwać na kalekę, więc poszłam za rudą Ziotką i zaczęłam porządkować półki.*

*Michał miał rację. Po dwóch godzinach pracy byłam biała od pyłu, ręce pulsowały mi bólem. Całe szczęście, że nie dorabiałam jak Mirka szyciem, boym przez tydzień nie utrzymała igły w ręku. Bolały mnie też plecy i kark, a przy tym pracy ubywało tylko w nieznacznym stopniu.*

*– Uważaj! – pouczył mnie Michał, kiedy zwałiłam z górnej półki całe naręczcie jakichś rysunków, zeszytów i zapisków, a tuman kurzu sprawił, że niemal wszyscy zaczęli kasłać.*

*Byłam z siebie dumna, bo weszłam najpierw na czterometrową drabinę, potem znów na ozdobny gzyms. Ryzykowałam życie, ale chyba nikt tego nie docenił.*

*– Przepraszam – odpowiedziałam, bo dziewczyny także spojrzały na mnie z dezaprobatą.*

*– Ja to zrobię. – Michał odsunął mnie stanowczo na bok.*

*– Hej! – Zdenerwowałam się. – Gdyby nie ja...*

*Krysia i Irka podeszły do mnie i pociągnęły mnie na drugą stronę pomieszczenia.*

*– Staramy się ocalić, co się da. Dla przyszłych pokoleń – rzuciła Krysia tonem nauczycielki ze szkoły podstawowej.*

*– Mamy obowiązek wobec ojczyzny – dodała równie patetycznie Ziotka.*

*Była ubrana w bluzę od munduru harcerskiego, a włosy miała uczesane w kucyki. Równie dobrze mogła mieć piętnaście jak dwadzieścia pięć lat.*

*– Też się staram – odpowiedziałam natychmiast. – Będę się tu uczyła, mój chłopiec odgruzowuje korytarz, a ja...*

*– Wszyscy będziemy się tu uczyli – przerwała mi Irka, widocznie komentarz o „moim chłopcu” nie zrobił na niej żadnego wrażenia. W sumie to całkiem dobrze, bo Alek nie był „moim chłopcem”, a na dodatek miał żonę, czego wciąż nie chciałam przyjąć do wiadomości.*

*– Ja miałem się zacząć uczyć w trzydziestym dziewiątym – rzucił nagle Michał. – Ale...*

*Krysia i Irka zrobiły pełne współczucia miny.*

*– Wiadomo, wojna – powiedziałam życzliwie.*

*– Tak, wojna – stwierdził ironicznie, po czym przywołał mnie do siebie.*

*Podeszłam grzecznie, chociaż miałam już dość tej pracy. Szans na spotkanie z Alkiem tymczasem nie było.*

*– Pomóż mi segregować te wszystkie papiery – poprosił. – Trzeba usunąć z nich pył, przetrzeć suchą szmatką. Rysunki odkładaj tam, gdzie ta czysta szuflada, zeszyty na razie tu. – Pokazywał palcem.*

*Pokiwałam głową. Ta robota była znacznie lepsza, no i w towarzystwie tego Michała całkiem przyjemna. Irka wskazywała na nas i chichotała – ja udawałam, że tego nie widzę, a Michał nie wyglądał na takiego, którego by to obchodziło.*

*– On był ranny w powstaniu – powiedziała Krysia, kiedy chłopak wyszedł na chwilę. – Dostał w nogę i w głowę, wciąż ma w niej kulę.*

*Zrobiłam minę pełną współczucia.*

*– Do tego przysypało go i siedział w jakiejś piwnicy przez tydzień. Cudem go znaleźli i odratowali – dodała Irka.*

*– No i jest teraz trochę dziwny, ale to bardzo porządny chłopak. – Krysia kreśliła rękami koła w powietrzu.*

*– Byłam z nim w drużynie – dodała znów Irka i rzuciła z dumą: – W klasie też. To był najmądrzejszy chłopak na świecie. Nasz matematyk, pan Sroczyński, zawsze stawiał go za wzór.*

– Teraz nie wiadomo, czy będzie się mógł uczyć – stwierdziła Krysia.  
– Dlaczego? – spytałam, chociaż niezbyt mnie to obchodziło. Myślałam tylko o tym, że skoro Michał mógł wyjść na chwilę, to ja też mogłabym wyjść i poszukać Alka. Chciałam, żeby zobaczył, jaka jestem dzielna i pracowita.  
– Dlatego, że ma kulę w głowie. Mówiłam ci.  
Krysia chciała jeszcze coś dodać, ale wrócił Michał, więc i ona odmaszerowała do swojej pracy.  
– Pewnie ci powiedziały, że mam w skroni kulę, tak? – spytał bez ogródek. – Zawsze mnie żałują i wszystkim o tym opowiadają. – Odgarnął włosy z boku głowy. Zobaczyłam bliznę. – Miejmy to nomen omen z głowy. – Uśmiechnął się.  
– Nie... tak... – plątałam się, oglądając niewielką bliznę.  
– Nie przejmuj się tak. – Wzruszył ramionami. – Wracam na uczelnię, jak tylko otworzą wydział architektury. Ręce mam sprawne. Czasem mnie tylko głowa boli. No i to nie była kula, ale odłamek. Na dodatek ktoś go wyjął z czaszki i zaszył ranę.  
– A w Szarych Szeregach to gdzie działałeś? – spytałam.  
– W „Zośce”. Niewielu nas przeżyło. A ty?  
Wpatrzyłam się w niego, jakby był nadczłowiekiem. Podalam mu nazwę swojego batalionu. Także zrobiło to na nim wrażenie.  
– Odważna jesteś. A w powstaniu gdzie walczyłaś?  
I to była chwila, która przekreślała zwykle wszystko. Mogłam skłamać, powiedzieć, że tu i tam, ale nie chciałam.  
– Przed wybuchem powstania wyjechaliśmy z rodziną na wieś, bo groziło nam aresztowanie.  
Popatrzył na mnie uważnie. Miał miłą, ładną twarz i niezwykle kolor oczu – szary jak zachmurzone niebo.  
– Całe szczęście – powiedział, a ja aż drgnęłam ze zdumienia i ulgi. – To była rzeź. Nie powinni byli na to pozwolić.  
Kiedy w końcu udało mi się wyjść, od razu natknęłam się na Alka. Byłam tak zmęczona, że nie poczułam radości. Przeciwnie – serce mi niemal stanęło. On wpatrzył się we mnie, jakby zobaczył ducha.  
– Cześć, Alku – rzuciłam, po czym odeszłam na bok.  
Czekałam, aż za mną zawoła, ale nie zrobił tego. Natomiast kiedy się odwróciłam, zobaczyłam, że wciąż tam stoi i patrzy w moją stronę. Dałabym głowę, że w oczach miał tęsknotę.

## „KURIER PORANNY”

Z kwaterunku? – zapytał wrogo chudy mężczyzna po tym, jak weszliśmy do kamienicy przy Wilczej.

Jan swoim zwyczajem się nie odezwał, tylko otworzył notatnik i zaczął rysować otoczenie.

– Nie, nie – uspokoiłam chudego. – Nie z kwaterunku.

Na zniszczony korytarz wylegli inni lokatorzy.

– To skąd wy tu, co? – spytała zażywna jejmość z głową w loczkach.

Loczki miała schowane pod siateczką i wzorzystą chustką. Jan natychmiast odwrócił się w jej stronę, przyjrzał niczym eksponatowi w muzeum, po czym zaczął ją szkicować.

– Co pan robisz?! – rozdarła się jejmość.

– Rysuję – odpowiedział powściągliwie Jan.

– To rysuj pan gdzie indziej – zażądała piskliwym głosem i rozejrzała się wokoło, oczekując najwyraźniej wsparcia we współlokatorach. Ci jednak, choć spoglądali na nas niechętnym wzrokiem, nie wzięli jejmości w obronę. Nijaki mężczyzna ze źle przystrzyżoną brodą wysunął się na przód.

– Kim jesteście i jakim prawem nas nachodzicie? – spytał.

Głos też miał nieco piskliwy, zastanawiałam się, czy to nie ze strachu. Ludzie tyle przeszli, że wizyta tajemniczych osób z jakiejś instytucji mogła budzić strach. Dlatego pospieszyłam z wyjaśnieniem:

– Proszę państwa, jesteśmy z „Kuriera Porannego”, piszemy o mieszkańcach miasta, którzy wrócili...

– Na nowe śmieci i ruiny – wpadł mi w słowo chłopak z gęstą, rudą czupryną, po czym oparł się o futrynę, co nie było najlepszym pomysłem, bo zaraz zaczął się sypać tynk i pokrywać bielą plecy chłopaka.

Jan nie przestawał rysować.

*Jego domu już nie było, ale stał ten obok. Ten, w którym mieszkała Wandeczka, najładniejsza dziewczyna w całej dzielnicy. Wandeczki też już nie było, chociaż przeżyła powstanie. Zestali ją do Oświęcimia i tam po miesiącu rzuciła się na druty. Może uznała, że i tak nie ma do kogo ani do czego wracać, skoro jej rodzice i dwie młodsze siostry zginęli. A teraz mieszkał w domu po Wandeczce. Stawiał stopy tam, gdzie ona, wyglądał przez okno, przez które ona patrzyła. I to, co widział, sprawiało, że jej zazdrościł. Też by ze sobą skończył, tylko nie miał odwagi. Bo to Wandeczka była odważna, a on nie.*

– Mamy opisywać państwa życie, to, jak warszawiacy próbują przetrwać.

Jan oderwał ołówek od kartki i uśmiechnął się uprzejmie do jejmości.

– Pani Irena pisze, a ja ilustruję tekst – oznajmił i natychmiast wrócił do rysowania, po czym na celownik wziął chudego chłopaka.

– Ale nie z kwaterunku? – chciała się upewnić jejmość już nieco łagodniejszym tonem.

– Nie, szanowna pani – odezwał się znów Jan. – Ale rozumiem, że boicie się państwo dokwaterowania. Może zdołalibyśmy pomóc w tym zakresie...

Spojrzałam na niego zdumiona, bo niby jak moglibyśmy komukolwiek pomóc czy przeszkodzić. Nie mieliśmy na nic wpływu. Właściwie nie zastanawiałam się tak do końca, dlaczego mamy pisać o Robinsonach stolicy. Czy to ku pokrzepieniu serc tych, którzy stracili domy i rodziny, czy też aby zapewniać ludzi, że grzyzy kiedyś znikną, a Warszawa będzie taka piękna, jak była przed wojną. Chyba nikt w to nie wierzył.

– A tak! – jejmość znów zaczęła krzyczeć. – Żyjemy tu na kupie! Jak zwierzęta! Trzeba pilnować swego!

Nagle na korytarzu zawrzało jak w ulu.

– A jak?! – odezwała się inna kobieta, nie tak starannie ubrana ani uczesana jak jejmość. – A pani co by chciała? Żeby pilnować pani łachów? I śmieci?

– Właśnie! – wykrzyknął mężczyzna w przepoconym podkoszulku, z włosami starannie wyczesanymi i ukrytymi pod siateczką.

– Won, skąd przyszła – wycedził przez zęby inny, stojący dotychczas najbardziej z tyłu, niski, nieogolony mężczyzna w dziurawym swetrze.

*Przed wojną całe mieszkanie było jego. Adolf Ruciński, adwokat. To brzmiało dumnie. Zaraz po*

wybuchu wojny przestało. Sąsiedzi odwracali się plecami, jakby sam wybrał sobie imię. Ktoś powiedział, że podpisał volkslistę. Ktoś splunął jako pierwszy. Listę podpisał, po tym jak wywlekli go z kawiarni i chcieli wywieźć do obozu. Pokazał papiery. Imię uratowało mu życie. Lista uratowała mu życie. Niestety nie uratowała mieszkania, do którego wprowadziło się kilkoro dzikich lokatorów. Pozostał mu kawałek pokoju, w którym kiedyś stało biurko z marmurowym blatem i biblioteka. Książki spalono, bibliotekę porąbano, losu biurka nie poznał. Zmienił imię na Rudolf, ale za plecami wciąż słyszał śmiech.

– To teraz mój dom. – Jejmość okręciła się na pięcie i już chciała wejść do mieszkania, kiedy odezwał się kawał tynku z sufitu i spadł jej pod nogi. – Nastają na moje życie! – wrzasnęła.

Stałam jak wryta, niepewnie zerkając na sufit, podczas kiedy Jan obracał kartkę i rysował zapamiętałe, jakby życie od tego zależało.

Na korytarzu zaczęły się przepychanki i kłótnie, wśród których królowała jejmość chwytająca się za serce i krzycząca, że umiera.

– I dobrze – odezwał się mężczyzna o piskliwym głosie. – Zajęła pani najlepszą część mieszkania. Bezprawnie. Jak przyjdzie kwaterunek, to panią wydalą. Wszyscy odetchniemy.

– Wy zdrajcy, wy... – sapała kobieta.

Spojrzałam błagalnie na Jana. Nie wiedziałam, czy powinniśmy się wycofać, czy też brnąć w tę sytuację do końca.

– Nie ma co się denerwować – powiedział serdecznie Jan i wreszcie zamknął notes. – My naprawdę nie chcemy zrobić nic złego. Możemy tylko pomóc.

Jejmość przestała sapać. Wszyscy się nagle uspokoiли, jakby słowa Jana miały moc sprawczą.

– Jeśli państwo pozwolą – odezwałam się – chcielibyśmy wejść do środka.

Mieszkanie wyglądało jak siedem nieszczęść. Pod tym względem moje własne, składające się z dwóch samodzielnych pomieszczeń i kawałka kuchni, prawie wcale niezniszczonych, było niczym pałac królewski. Wielki niegdyś pokój został podzielony na kilka mniejszych pomieszczeń, z których kąt z przysłoniętym dyktą oknem należał do chudego młodzieńca, drugi, przy drzwiach, do jejmości. W jej części pokoju stała kuchenka gazowa i gotowała się na niej jakaś zupa. Błady mężczyzna patrzył na nas spođe łba.

– To wszystko było kiedyś moje – powiedział.

– Może znów będzie – odparł spokojnie Jan. – Miasto zostanie odbudowane. Wszyscy, którzy stracili domy, dostaną nowe.

Myślałam, że reszta lokatorów go zakrzyczy, ale nie. Odezwała się tylko jejmość, i to do chudzielca.

– Trzeba się dzielić z innymi, panie Adolfie. – Jej ton brzmiał zjadliwie.

Mężczyzna aż drgnął.

– Mam na imię Rudolf! Rudolf! – krzyknął.

– Imię można zmienić... – perorowała jejmość. – Ale podpisu na liście pan nie wycofasz...

– Adolf! Adolf! – Rudy młodzian chichotał.

– Rudolf – wycedził właściciel. – A ty, smarkaczu, co? Powstanie w piwnicy przesiedziałeś, ściany się trzymałeś i szczałeś pod siebie ze strachu... A teraz co? Panisko? Bo siennik sobie postawiłeś na nie swoim?

– A pan co? – Rudy się najeżył. – Walczył w powstaniu?

– Ja przynajmniej nie siedzę na cudzym – żołądkował się Rudolf vel Adolf. – I nie zgrywam bohatera.

– Ludzie, uspokójcie się – powiedział mężczyzna w podkoszulku, a chociaż jego żona przytaknęła, to nie uspokoiło właściciela.

– A wy cicho, bo naszczam do kapusty i nie będzie co sprzedawać na bazarze – rzucił.

– I tak sprzedadzą – odgryzł się rudy, ale zorientował się, że wystąpił przeciwko tym, co go bronili, więc zamilkł.

– Szanowni państwo, trochę kultury – poprosiłam.

– A pani to co? Z choinki się urwała? – odparował ze śmiechem chudy.

Kiedy wyszliśmy stamtąd, nie miałam żadnego pomysłu na artykuł, za to Jan miał wiele rysunków.

– Czemu się tak zachowujesz? – spytałam.

– Jak? – Spojrzał na mnie zdumiony.

– Zostawiasz mnie samą.

– Cały czas z tobą jestem. Nawet na minutę nie odszedłem.



– Wiesz, o co mi chodzi! Tylko rysujesz, a ja muszę z nimi rozmawiać. Widzisz, że nie umiem.

Pokręcił głową.

– Świetnie sobie radzisz – stwierdził.

– Świetnie? Nie mam ani jednej historii do spisania, a tam było tylu ludzi. Co ja mam teraz napisać?

Wzruszył ramionami.

– Potrafisz. – Uśmiechnął się.

Mówiłam tak do uczniów, kiedy oddawałam im kajety z wypracowaniami pozakreślonymi na czerwono i słabą oceną na dole: „Napisz jeszcze raz, potrafisz”. A kiedy protestowali, że na pewno nie, obiecywałam, że przekreślę tę dwójkę czy trójkę na szynach, jeśli tylko zastosują się do moich wskazówek. Właściwie zawsze się udawało.

– Potrafię. – Pokiwałam głową. – Ty też potrafisz nie stać jak słup i zachowywać się jak człowiek.

– Potrafię? – Przystanął i spojrzał mi w oczy.

Potem znów szliśmy w milczeniu.

– To może wstąpimy tu na lody? Skoro mam się zachowywać jak człowiek?

Lody smakowały jak ambrozja.

## PACJENT T.K. I. 12

Nogę miał uciętą pod kolanem.

– Mina? – spytałem.

Matka, która z nim przyszła, pokręciła głową.

– Nie, byliśmy w obozie, w Ravensbrück, i niemiecki lekarz robił na synu eksperymenty – wyjaśniła spokojnie, jakby mówiła o zmianach na skórze albo o bolącym uchu.

Aż mi się serce ścisnęło. Chłopiec był w wieku mojej Mirki, buzię miał ładną, wielkie oczy okolone gęstymi, ciemnymi rzęsami. Bardzo ładne dziecko. I mój imiennik.

– Nie boli mnie nic a nic – odezwał się.

Rzeczywiście kikut miał prawidłowo zagojony.

– W takim razie powinieneś mieć protezę. – Uśmiechnąłem się nieco na siłę.

– Bylibyśmy wdzięczni za skierowanie nas w odpowiednie miejsce – powiedziała matka chłopca i uśmiechnęła się do niego, a on odwzajemnił uśmiech. – Te kule są bardzo nieporęczne.

Kule były stare, śruby, które trzymały liche drewno, przerdzewiały.

– Proszę pani... – Wskazałem na kule. – Trzeba by je poprawić. Syn nie może z nich korzystać.

– To po panu Bieleckim, naszym sąsiedzie – wyjaśnił chłopak. – Też nie miał nogi. Dał mi je, zanim umarł.

Matka uspokoiła syna gestem dłoni.

– Tylko to mamy – powiedziała. – Nie stać nas na nowe.

– Proteza jest darmowa – zaznaczyłem. – Wykonamy ją u nas, ale do tego czasu, kawalerze, musisz mieć dobre kule. Proszę pozwolić mi się tym zająć.

Kobieta skinęła głową, a ja przeprosiłem ich oboje, wyszedłem na korytarz i zawołałem:

– Siostró!

Wyszła Ona i szybkim krokiem podeszła do mnie.

– Czy mogłaby pani pójść z tymi kulami do naszej pracowni? Wymagają poprawek.

– Oczywiście, doktorze – odpowiedziała grzecznie i obrzuciła mnie typowym dla siebie obojętnym spojrzeniem.

– Pójdę z panią – zaferowała się matka.

Zostałem z chłopcem sam.

– Niech pan sobie nie myśli – powiedział nagle.

– Nie myślę sobie – zaprotestowałem.

Nigdy nie umiałem rozmawiać z dziećmi. Nie pamiętam, żebym to robił. Jestem jedynakiem, w moim otoczeniu nie było dzieci. Moje córki nie przychodziły do mnie ani z problemami, ani po radę. Byłem od tego, żeby zapewnić rodzinie byt. Może gdybym miał syna...

– Wiem, co sobie pan myśli – nie ustępował chłopak. – Że jestem taki biedny, bo nie mam nogi. A ja się cieszę, że tylko nogę mi ucięli.

Milczałem. Mirka mnie kochała, to wiem na pewno. Ale dla Teresy byłem chyba tym, który pozbawił ją szczęścia doznania bohaterskiej śmierci. Kim zaś byłem dla mojej żony, która patrzyła na mnie jak na mebel, przejmowała się tylko tym, czy jej wydrukują artykuł w gazecie, i zdawała się nie widzieć, że mimo wszystko już nie mamy siebie? Nasza rodzina była tylko pozornie pełna, spajały nas tak kruche więzi, że w każdej chwili mogły się rozerwać. Wiele w tym było mojej winy. Jediną osobą, której zależało na tym, żebyśmy pozostali razem, była Mirka. Ale to za mało, aby przetrwać. Chociaż się przeżyło.

– Dostaniesz protezę – powiedziałem do chłopaka. – Będziesz chodził prawie tak jak dawniej.

– Ja wiem, że nic nie będzie tak jak dawniej. Mamusia mówiła, że jak będę miał protezę, to będę chodził bez kul.

– To prawda – potwierdziłem wciąż zdumiony radością, jaka emanowała z tego dzieciaka.

– Miałem szczęście, że trafiłem do obozu z mamusią. Oboje przeżyliśmy i wróciliśmy razem do domu. I nasz dom ocalał. Mamy wprawdzie tylko jeden pokój, no i tatuś zginął, ale jesteśmy razem.

Uśmiechnąłem się do niego, bo nie wiedziałem, co powiedzieć. Wróciły jego matka i moja pielęgniarka.

– Naprawią kule – zwróciła się do mnie Ona. – Ale Tadeusz musi zejść z nami na dół. Panowie pobiorą miarę na protezę już dziś.

Matka podeszła i wzięła chłopca na ręce. Chciałem pomóc, ale pokręciła głową.

– Poradzimy sobie – powiedziała, po czym zwróciła się do niej: – Dziękuję, siostrze. Jest pani taka życzliwa.

Kiedy poszli, Ona spytała:

– Potrzebuje pan czegoś jeszcze?

– Żeby mnie pani nie oceniała – wyrwało mi się, zanim pomyślałem.

Nie okazała zdziwienia.

– Nie oceniam pana. Nic o panu nie wiem. Pan sam siebie ocenia. I to surowo, z tego, co widzę.

– Źle pani patrzy.

– Potrzebuje pan czegoś jeszcze, doktorze? Mam mnóstwo pracy.

– Nie, dziękuję.

Kiedy wyszła, długo za nią patrzyłem.

## *Pamiętnik Tereski*

*Przed wojną były na Królewskiej. Wróżki. Przyjaciółka opowiadała mojej mamie przy herbacie, że była u takiej jednej, która przepowiedziała jej, że do końca życia będzie bardzo szczęśliwą kobietą. Ta przyjaciółka rzeczywiście niedługo później poznała inżyniera, wyszła za niego za mąż i świetnie im się wiodło. W czasie wojny wyjechali na Zachód i już nie wrócili. Mama mówiła, że zginęli, ale ja w to nie wierzę.*

*Przebrnęłam przez stertę gruzu, w którą zamieniła się Królewska. Weszłam na jedno z podwórek, a tam bawiły się dzieci. Głośno krzyczały. W rogu dwóch mężczyzn ładowało gruz na taczki, żeby go wywieźć za bramę, na inną przymę gruzu. Między dziurami po oknach rozpięto sznurek. Jakaś kobieta wieszała na nim pranie. Pachniało gotowaną kapustą. To podwórko było podobne do naszego. Niby tliło się w nim życie, a tak naprawdę było martwe. Jeden z bawiących się chłopców potrącił mnie. Odwróciłam się zniecierpliwiona, bo dzieciak był brudny, a ja miałam na sobie ładną sukienkę.*

*– Uważaj – syknęłam.*

*Miałam tylko dwie ładne sukienki. Obie sprzed wojny. Jedną, zieloną, uszyła mi Mirka, a druga była biała w czerwone różyczki, z dekoltem w łódkę i bufkami zamiast rękawów. Alek mówił, że wyglądam w niej jak motyl. Julka, nasza koleżanka, która zginęła w 1941 na Pawiaku, śmiała się, że raczej jak ważka, bo motyla to ja nie przypominam. Alek mnie bronił wtedy jak lew. Tę w różyczki uszyła mi pani Pająkowa, z Siennej, najlepsza krawcowa w mieście. Mama utyskiwała, że nie pasuje do mojej chłopięcej urody, ale Pająkowa powiedziała, że to bzdury, i uszyła, jak uważała. Z panią Pająkową się nie dyskutowało. Szyla, jak chciała, brała jak za zboże i zawsze było dobrze. Jak Mirka się dowiedziała, ile to wszystko kosztowało, to obejrzała całą sukienkę kawalek po kawalku i oświadczyła, że ona umiałaby taką samą uszyć, z tym że zupełnie za darmo. Mirka już taka była. Powinna zostać dyrektorką wielkiej fabryki albo chociaż szkoły. Żadna śrubka by się nie zmarnowała, a na pewno nic by nie zginęło. Droczyłam się z nią wtedy, że co innego kunszt Pająkowej i wieloletnie doświadczenie, co innego jej dobre chęci. Moja siostra upierała się, że nie święci garnki lepią, i mordowała mamę, żeby kupiła jej kawalek materiału „na naukę”. Mama dała się przekonać albo sama była ciekawa, jak siedmioletnia Mirka sobie poradzi z tym zadaniem, i zamiast kupować, wyjęła z szafy zapomnianą zieloną krepę, z której miała sobie coś kiedyś uszyć. Mirka ochoczo wzięła się do pracy i uszyła sukienkę podobną do tej w różyczki, tyle że z prostymi rękawami. Kiedy Alek mnie w niej zobaczył, pocałował tak, że zabrakło mi tchu. Zabrałam tę sukienkę ze sobą na wieś, chociaż mama pytała, po co mi tam elegancka toaleta, ale ja się uparłam i pilnowałam, żeby mole jej nie zjadły. Gdybym tego nie zrobiła, toby przepadła jak wiele innych rzeczy. Oprócz tych sukienek ocalały tylko dwie spódnice, bluzki i drelchowe spodnie, w których na wsi wynosiłam gnojówkę, a w mieście odgruzowywałam Politechnikę, żeby się przypodobać Alkowi. A tę zieloną sukienkę jeszcze włożyłam na ślub z Alkiem. Oczywiście wtedy, kiedy unieważni poprzedni.*

*– Kogoś panna szuka? – zawołała do mnie kobieta, która wieszała pranie.*

*– Wróżki – odpowiedziałam.*

*Dzieci przerwały zabawę i zaczęły się śmiać, pokazując mi palcami. Kobieta zastanowiła się chwilę.*

*– Tylko Marlena została. Inne zginęły albo wyjechały.*

*– Gdzie znajdę tę Marlenę? – spytałam z nadzieją.*

*– Trzy domy dalej – odchrząknęła.*

*Dzieciaki znów zaczęły się śmiać.*

*– Trzy gruzowiska dalej! – wrzasnął jeden chłopak. – Tylko pani uważa, bo tam w zeszłym tygodniu bombę wyciągnęli.*

*– Jak wyciągnęli, to już nie muszą uważać. – Obrzuciłam go karcącym spojrzeniem.*

*– Lala! Bucik ci się rozwała! – ryknął największy z łobuzów.*

*– Maciek, do domu! – krzyknęła kobieta z okna.*

*– A czemu?! – odchrząknął. – Jedzenie jest?*

*Nie słuchałam wyjaśnień matki ani próśb syna, który chciał pobiegać „jeszcze troszkę”, tylko wyszłam i uważając na buty na korku (bezcenne), przedzierałam się przez Królewską. Dużo gruzów z ulic zostało już usuniętych, głównie tam, gdzie nawierzchnia była w miarę cała i można było przejechać. Co*

z tego, kiedy przejść po chodnikach ledwie się dało, a z kikutów domów mogła spaść człowiekowi na głowę cegła.

– Szukam wróżki Marleny – zagadnęłam staruszkę siedzącą przy misce i piorącą bieliznę. Jakby wszyscy na Królewskiej się zmówili i zajmowali praniem.

– To ja – powiedziała, wyżymając bieliznę. Od widoku szarych, barchanowych majtek zrobiło mi się niedobrze.

– Chciałam, żeby mi powróżyć – powiedziałam, przetykając ślinę.

– Dobrze. – Kiwnęła głową i wymieniła kwotę.

Miałam tyle pieniędzy przy sobie, ale cena była wyższa, niż się spodziewałam.

– Dużo – bąknęłam.

– Czasami biorę więcej, czasami mniej. Bywa, że za darmo wróżę. – Wróżka Marlena przyjrzała mi się uważnie.

Nie była taka stara, jak początkowo sądziłam, tylko sterana życiem i smutna. Może wróżenie tak na nią działało.

– A czemu mi pani nie powróży za darmo? – spytałam, starając się przybrać jak najbardziej przytulny wyraz twarzy. – Nie mam tyle.

– Masz, panienko. Tyle masz. – Uśmiechnęła się.

Musiała być dobrą wróżką, skoro bezbłędnie odczytała zawartość mojej kieszeni.

– To pójdziemy gdzieś? – Rozejrzałam się dokoła. Strasznie chciałam poznać swoją przyszłość. – Gdzieś, gdzie pani mieszka?

Wróżka Marlena wylała zawartość miski wprost na podwórze, rozwiesiła majty na kawałku sznurka i wskazała mi dwa stojące nieopodal pieńki.

– Tutaj – stwierdziła krótko.

Jeśli bierze tyle za wróżby, to mogła znaleźć jakieś lepsze miejsce, pomyślałam, a wróżka jakby czytała w moich myślach, spytała:

– Nie pasuje?

– Pasuje. – Przestraszyłam się, że odmówi. – Tylko jak pani tyle wróży i różne rzeczy widzi, to przecież można znaleźć inne miejsce do życia. Nawet teraz.

Nie obrazila się. Westchnęła tylko.

– Dokąd mam iść? Moja córka tu zginęła. Sanitariuszka, pseudonim Halinka. Śliczna dziewczyna.

– Pani nie wiedziała, że ona zginie? – zapytałam niezbyt taktownie, ale co tam, muszę wiedzieć, czy pomoże za te pieniądze, których żąda ode mnie.

Wróżka Marlena prześlizgnęła się po mnie spojrzeniem. Przeszył mnie dreszcz.

– Niezbyt panienska jest grzeczna – powiedziała w końcu. – Ale ja panience odpowiem. Siły ciemności zasłaniają przed nami, jasnowidzącymi, całą wiedzę dotyczącą nas samych. Miałyśmy jechać na wieś, do rodziny. I trafiłyśmy na lapankę tuż za rogiem. Jak przeczekaliśmy w domu, to potem pociąg nam sprzed nosa odjechał. Czulałam, że to dobrze. Potem się okazało, że Niemcy weszli do tego pociągu, wywelekli jakichś chłopaków i pozabijali. Myślałam, że to jest znak. Żeby zostać w domu. I zostałyśmy. Jak wybuchło powstanie, już wiedziałam, że co ma się stać, to przyjdzie. Prosiłam, żeby nie szła, ale była nieugięta. Wiedziała, że zginie. Ona też „widziała”.

– Cześć jej pamięci – odezwałam się niepewnie.

Chwilę siedziałyśmy w milczeniu.

– Co panienska chce wiedzieć?

– Pani wie, o czym myślę...

Wróżka Marlena wyciągnęła rękę. Wręczyłam jej pieniądze, a ona wyjęła z kieszeni fartucha karty. Kazała mi ich dotknąć, potem wybrać jedną. Resztę zaczęła rozkładać na odwróconej miednicy.

– Panienska to jest lepszy numer – stwierdziła w końcu. – Ale panienska ma złe intencje.

– Nie mam złych intencji! – niemal wykrzyknęłam. – On kochał tylko mnie! Tylko mnie...

A teraz...

Uciszyła mnie gestem.

– Panienska słucha, ja mówię.

Kiwnęłam głową.

– Miłość... – Westchnęła. – Miłość nie zawsze jest dobra. Chora, przeżarta robactwem. Jeśli panienska go kocha, to chce, żeby był szczęśliwy, czyż nie?

Chciałam, żeby był szczęśliwy ze mną.

– My powinniśmy wziąć ślub. I tak by się stało, gdyby ojciec puścił mnie do powstania – zapewni-

łam gorliwie.

– Może tak, może nie. Bo właśnie tak było pisane.

Miałam dość jej zagadek.

– Niech mi pani powie, czy on do mnie wróci – zażądałam.

Patrzyła zagadkowo. Czyli jednak nie? To nie może się tak skończyć, on jest mój, myślałam gorączkowo.

– Co muszę zrobić, żeby wrócił? Może mi pani pomóc? Babcia mi kiedyś mówiła, że są sposoby.

– Sąd. – Marlina znów mi się przyglądała. Naprawdę nie była wcale taka stara.

– Jakie? – spytałam natarczywie.

– Trudne. – Droczyła się ze mną.

– Zrobię wszystko. Wszystko.

– To zrób jedną rzecz. – Wróżka Marlina odłożyła karty i splotła ręce.

– Jaką? – spytałam pełna nadziei.

– Pozostaw sprawy swojemu biegowi, bo w przeciwnym wypadku nigdy go nie odzyskasz.

Wstałam i otrzepałam sukienkę.

– Pani nic nie wie. Plecie tylko jakieś dyrdymały i nie ma pojęcia, co czuję.

Wyjęła pieniądze i wręczyła mi je z powrotem. Poczulałam ulgę, bo część sumy wzięłam z pudełka, w którym Mirka trzymała swoje oszczędności.

– Ty nic nie czujesz, dziecko – stwierdziła. – Mylisz miłość z chciwością, chcesz się poświęcić, ale żądasz za to zapłaty. Daleko na tym nie zajdziesz. Nie będziesz mieć żadnego ukochanego albo się zmienisz i wtedy wszystko być może...

Była żalosna, kiedy tak cytowała Oleńkę Billewiczównę na gruzach własnego domu.

– Co pani wie o poświęceniu?! – wykrzyknęłam, ale ona mnie już nie słuchała, tylko wzięła swoją miskę i zniknęła w dziurze muru.

Powlokłam się do domu i czym prędzej włożyłam z powrotem Mirki pieniądze do pudełka. Zaraz by zauważyła, że zniknęły, bo codziennie je przeliczała, chociaż mama zapewniała, że nikt jej nic nie ukradnie. Nie chciała powiedzieć, na co jej te pieniądze, a wiem, że nie wydawała na głupoty, co najwyżej Azorowi kupowała jakieś przyzwoite mięso, bo strasznie kochała tego futrzaka.

Niech szlag trafi wróżki!

## „KURIER PORANNY”

Patrzyliśmy na ten exodus, na rozpacz zgromadzonych ludzi. Powinni się przecież cieszyć, że mogą opuścić ruiny, w których koczowali bez wody, sanitariatów, najpotrzebniejszych sprzętów. Powinni sami ładować się na ciężarówki i Bogu dziękować, że znalazły się dla nich lokale zastępcze w Legionowie, Mińsku i Rembertowie. Kto by chciał mieszkać w ruinach na Siennej czy Wspólnej. A jednak. Coś ścisnęło mnie w gardle. Jan, jak zwykle milczący, rysował i rysował, to był jego sposób na wszechobecne nieszczęście i wszechogarniający smutek.

– Co rysujesz? – spytałam go. – Pamiętasz, że nie może być smutne?

Szkicował jakąś babinę, która uparła się, że do nowego „domu” zabierze wszystko, co jej zostało. Nikt jej nie chciał pomóc, dlatego sama dźwigała przerdzewiałą sprężynę i usiłowała ułożyć ją na pace samochodu. Dopiero łapówka wręczona kierowcy pomogła i sprężyna wraz ze spleśniałą pierzyną znalazły się na ciężarówce.

– Będzie bardzo wesołe – mruknął Jan.

– Państwo skąd? – Podeszło do nas dwóch drabów.

Cofnęłam się o krok, Jan przeciwnie – ani drgnął i nie przestawał rysować.

– Z „Kuriera Porannego”. Piszemy na zlecenie o tym, jak idzie przeprowadzka. – Wyciągnęłam legitymację z torebki, Jan wyjął z kieszeni swoją i podsunął tajniakowi pod nos.

– Uważajcie, co piszecie – rzucił tamten i odeszli.

– Uważamy. – Jan wzruszył ramionami.

– Jak ty to robisz, że rysujesz jedną ręką, a drugą możesz robić coś zupełnie innego?

– Mój stryj był naukowcem – wyjaśnił spokojnym tonem. – Neurologiem. I tłumaczył mi kiedyś, że obie półkule mojego mózgu pracują jakby niezależnie od siebie.

– To możliwe?

Pokiwał głową.

– Sama zobacz.

Obok samochodu zaczęło się poruszenie.

– Pani Tobolasta! – krzyknął kierowca na babinę. – Dosyć będzie tego majdanu!

*Do jej pracowni przychodziły klientki z wyższych sfer, żony adwokatów i polityków, najpopularniejsze artystki. Bo pani Stefa Pająkowa z Siennej 35 była najlepszą krawcową w Warszawie. Teraz jest nikim. Ale dzięki swojemu fachowi przeżyła. Dosłownie. Kiedy zaczęli strzelać, stała za manekinem. Trafili w niego. Padł cały podziurawiony kulami. Mówiła, że sprowadziła go z Paryża, ale tak naprawdę jej siostra przywiozła go z Żywca. Zamknęła się w piwnicy, gdzie trzymała wszystkie materiały, nici, guziki, dwie bezcenne maszyny do szycia Singer oraz praskę do guzików. Siedziała w zalanej wodą piwnicy całe powstanie. Kiedy wyszła, ledwo chodziła. Ręce miała spuchnięte, palce powykręcane. Sprzedała maszyny i guzikarkę, żeby mieć na chleb.*

– Dla innych miejsca nie zostało! – żołądkowała się jakaś dziewczyna z dwójką małych dzieci uczeponych jej spódnicy.

– Myślałby kto, że macie co do wywiezienia! – rozdarła się babina.

Podeszłam do dziewczyny, wyciągnęłam notatnik.

– Czy pani jest zadowolona, że otrzyma od państwa nowe mieszkanie?

Dziewczyna była dla mnie miła, patrzyła z żalem na rumowisko – do niedawna jej dom.

– To nie będzie dom, tylko pokój, kuchnia i łazienka na zewnątrz. Stare, ale ponoć niezniszczone.

Niektórzy to nawet wodę będą mieli.

– To pani dzieci? – spytałam.

Pokręciła głową.

– To dzieci mojej starszej siostry. Ona i rodzice zginęli. Tylko ja im zostałam. W Legionowie pójdę do pracy, a one do domu dziecka. Państwo się nami zaopiekuje. Jesteśmy wdzięczni – proszę to napisać.

*Jagienka i Kostek mają radosne buzie. Obiecano im zabawki i kredki. Dużo kolorowych kredek, które są w świetlicy. Codziennie dostaną też szklankę mleka i ciepłą zupę. Kostek zapomni, jak Niemiec wywlókł ich matkę z piwnicy, zgwałcił, a potem strzelił jej w głowę. Był za mały, żeby zrozumieć, co się*

wydarzyło. Jagienka nie zapomni, bo stała całkiem blisko, a Niemiec, kiedy skończył z jej matką, wskazał na nią. Już szła do niego, bo czuła, że takiemu panu żołnierzowi się nie odmawia, kiedy złego pana żołnierza zabili. Wzięła zatem braciszka za rękę i wrócili do piwnicy.

Jan usiadł na kępcie trawy, ułożył sobie szkicownik na kolanach. Z torby wyjął drugi ołówek i naostrzył go kozikiem.

– Gotowa? – spytał.

Potwierdziłam skinieniem głowy. Zaczął rysować jednocześnie obiema rękami, prawą od prawej, lewą od lewej. Prawa rysowała babinę z tobołami na pace oraz starsze małżeństwo, które cicho i zgodnie czekało na swoją kolej, aby wsiąść do ciężarówki, lewa – dziewczynę z dziećmi, której ktoś pomagał wdrapać się na górę, i dwójkę nastolatków – dziewczynę i chłopaka z harcerskimi plecakami na ramionach. Kiedy skończył, zaczął rysować na dole tłum ludzi, który żegnał wyjeżdżających.

– To nie jest możliwe – powiedziałam, kiedy skończył.

– Jest. – Uśmiechnął się do mnie. – Tylko niezwykle rzadkie. Ponoć.

– Nie znam drugiego takiego. – Patrzyłam na Jana ze zdumieniem i podziwem.

– Ja też nie – odpowiedział z prostotą. – Nawet jeśli taki był, to pewnie zginął.

Patrzyliśmy, jak kierowca zamyka z tyłu klapę, siada za kierownicą. Rusza ostrożnie – wcześniej drogę uprzątnięto, nawet radzieckie opony nie pokonałyby gruzów, musiałyby tu wjechać czołg. Odjeżdżają.

– Państwu dziękujemy. – Tajniak pokazał nam, żebyśmy sobie poszli.

– Ależ nie ma za co. – Jan uśmiechnął się do nich wylewnie. – Po to jesteśmy.

Dopasowałam się nastrojem do Jana i uśmiechnęłam radośnie do mężczyzny. Na jego tępej twarzy zagościło coś między pełnym niedowierzania grymasem a uśmiechem. Ludzie poklaskali, a potem rozeszli się do swoich ruin. Kolejny transport miał być jutro.



## MIRKA

Daliby nam węgla, gdyby piwnice nie były pełne gruzów i trupów. Tak powiedzieli żołnierze radzieccy. Nie tylko nam, ale wszystkim. Tata mówił, żeby im nie wierzyć, bo Rosjanie to samo zło, a mama stała i nic nie mówiła. Pani Frankońska, która także próbowała zdobyć węgiel, twierdziła, że zło to pojęcie ogólne. Owszem, tyczy się Związku Radzieckiego, ale nie poszczególnych żołnierzy, którzy odgruzowują stolicę ramię w ramię z Polakami i usuwają miny. Chyba każdy miał trochę racji. Pamiętam, jak Rosjanie weszli do naszej wsi. Upijali się, zabierali nam wszystko, co mogli, i mama kazała nam się chować z Tereską, żeby nas nie zobaczyli.

Co do tych min, to jest ich coraz mniej, bo Niemcy raczej bombardowali Warszawę, a nie bawili się w jej zaminowywanie. Miny były właściwie na Starym Mieście, bo Niemcy zamierzali dopilnować, żeby tam kamień na kamieniu nie pozostał. Ale co prawda, to prawda, saperzy szukają min i niewybuchów po piwnicach. Znajdują wciąż bardzo dużo trupów. Tata powiedział, że żołnierze tacy chętni do ich wyjmowania, bo nierzadko warszawiacy schodzili do piwnic z całym majątkiem i w kurtkach trupów można znaleźć dużo pieniędzy albo kosztowności. Ja się wtedy wyrwałam, że kosztowności to w komin-kach zamurowywali, głównie Żydzi, i tam trzeba szukać pieniędzy. Rzadko się jednak odzywam, bo jak już coś powiem, to mama i ojciec patrzą na mnie i wcale nie jest to wzrok pod tytułem: „Skąd ta nasza Mirka taka mądra?”, tylko: „Dziecko nie powinno się odzywać, kiedy dorośli rozmawiają”. Na szczęście przeważnie Tereska mnie broni, bo mama się nie zorientowała, że przez tę wojnę to nie tylko ja wydorosłałam, ale większość tych, co przeżyli. Są i tacy, co nie chcą dorosnąć, na przykład Tereska, która niby chodziła odgruzowywać Politechnikę, ale jak Alka przenieśli w inne miejsce, to zaraz odechciało jej się ratowania wydziału architektury.

Z Tereską to w ogóle jest kłopot, bo żyje nie na tym świecie co reszta. Wszyscy się godzą z tym, co mają, ale nie ona. Chyba nawet przed wojną jej tak na Alku nie zależało jak teraz. W jej rzeczywistości nic się nie zmieniło, a tego, co się zmieniło, nie przyjmuje do wiadomości. Nie wiem, jak zamierza doprowadzić do tego, żeby Alek ożenił się jednak z nią, ale wiem, że usilnie się stara. Mam tylko nadzieję, że pieniędzy, które mi próbowała podkraść, nie chciała użyć do tego, żeby zabić Renatkę, bo to by było nie w porządku.

Renata jest bardzo miła, tylko taka strasznie poważna. Właściwie to mało ją znam, bo jej prawie nie ma w domu. Ciągłe pracuje, jak nie w szpitalu, to w sierocińcu, i wszystkim wkoło pomaga. Wystarczy jej tylko powiedzieć, że ktoś czegoś potrzebuje, i ona zaraz wie, co zrobić, czy do szpitala, czy zastrzyk, czy co innego. Powiedziałyśmy jej z Danką o panu Piaseckim i od razu poszła zobaczyć, co z nim. Jak wróciła, to nas pochwaliła, że takie jesteśmy dobre, bo Piaseckim pomagamy. Danką się rozanieliła, mnie też było przyjemnie, ale co do pana Piaseckiego, to ja nie uważam, żebym coś szczególnie wielkiego robiła. Poleciałyśmy z Danką do szpitala po odżywkę i kropelki, bo pani Piasecka nie ma siły. Czasem podrzucę im mięso, bo pamiętam, co tata mówił o dobrym odżywianiu, a Danką przynosi chleb. Zakupy im też zrobimy, trzeba tylko uważać, żeby pani Piasecka się nie domyśliła, że dokładamy pieniędzy ze swoich, bo ona jest bardzo honorowa i by nie chciała. Teraz sporo rzeczy można dostać na targu, nawet owoce i warzywa, trzeba tylko mieć pieniądze. Dużo szyję, więc mam.

Renata pracuje w szpitalu z dziećmi i chyba chciałaby mieć własne, słyszałam, jak pani Frankońska mówiła to do mojej mamy. A mama, zamiast pomyśleć, że Teresce byłoby okropnie przykro, to powiedziała, że bardzo dobrze, bo teraz trzeba dzieci mieć, żeby odbudować naród. Zapytałam taty, ile dzieci trzeba, żeby naród odbudować, i w jakim czasie, bo przecież na początku są malutkie, ale nie wiedział. Muszę spytać Renaty, może ona mi powie. Renata i Alek tak patrzą na siebie, że widzę, że Tereska nie ma żadnych szans. Zresztą bardzo dobrze. Po co psuć, jak coś jest ładne. Tereska powinna sobie innego chłopaka znaleźć i zainteresować się, czy będziemy mieli gdzie mieszkać zimą, bo już rodzice mówią, że komisja stwierdziła, że jednak może wyburzą nasz dom, a wtedy to nie wiem, gdzie się podziemy. Myślałam, że może pojechalibyśmy do Babci Hrabiny, przecież ma duży dom, a wojna się skończyła, ale znów usłyszałam, że Rusczy go zajęli i ona się nie może tam pokazać, a w ogóle, żebym nie mówiła, że z nami mieszka. Trochę się zdziwiłam, bo ja bym domu z majątkiem nie zostawiła, ale nikt mi nie chciał wyjaśnić, o co chodzi. Dowiedziałam się jedynie, że mama z nią poszła do urzędu i tam powiedziały, że Babcia Hrabina to nasza prawdziwa babcia, ale nie ma papierów, bo się spaliły w powstaniu.

I teraz Babcia Hrabina nie nazywa się Maria Grzegorzewska, tylko Karolina Czubowa. Może mi to kiedyś wyjaśnią, ale i tak żal tego majątku oraz domu. Stamtąd to można by węgla przywieźć albo drewna na zimę. Tyle tego było. No nic, będziemy martwić się zimą, jeśli nas nie wyburzą. Teraz martwimy się szkołą, która zarządziła nie tylko egzaminy, ale również kursy przygotowawcze. Siadłyśmy z Danką na kawałku chodnika przy Hożej i zaczęłyśmy dumać, co tu z tym zrobić.

– Nie ma co się zastanawiać, matka mi kazała iść – stwierdziła Danka.

– Mnie też kazała i nie nad sobą się zastanawiam. – Przewróciłam oczami.

– A nad kim? – Danka najpierw się zdumiała, potem zrozumiała. – Mówisz o sierotach?

Ubodło mnie to słowo, chociaż było prawdziwe.

– Mówię o Amelce, Tadku i Stefanie – powiedziałam, z naciskiem wymawiając ich imiona.

– Jest jeszcze Wiesia od Niedbalskich i Ola Potocka.

Zapomniałam o istnieniu Oli Potockiej, może dlatego, że była od nas dwa lata starsza i nie bawiła się z nami. Profesorska córka, wychuchana jedynaczka. Najładniejsza dziewczynka w szkole. Dwa grube warkocze, kokardki równe, ubranka wyprasowane przez służącą, żadnej dziury w rajstopach. Jak kiedyś padał deszcz, a ona nie miała parasola, to stała w bramie dwie godziny, czekając, aż przejdzie, bo nie chciała zniszczyć płaszczyka. Patrzyłam na nią wtedy z okna. Nie wiedziałam, czy mam ją podziwiać, czy raczej nad nią ubolewać.

– Ona też nie ma nikogo? – zainteresowałam się.

– Ojca wywieźli na wschód, a matka umarła, ale nie przez Niemców. Tak chyba sama z siebie.

– Jak umarła sama z siebie? Co ty mówisz? – Nie wyobrażałam sobie, że ktoś podczas wojny mógł po prostu odejść z tego świata niezastrzelony pod murem, niewywieziony do obozu, zakatowany na ulicy czy w więzieniu. Nawet zarazy były przez Niemców. Wszystko było przez nich.

– Miała zapalenie czegoś w żołądku. I to coś pękło, no i umarła.

Pewnie wyrostek, szkoda, że nie poszła do szpitala. Ktoś taki jak mój tata na pewno by jej pomógł.

– A służąca też umarła? – spytałam.

Danka popukała się w czoło.

– Służąca to nie rodzina, głupia – odparła.

Przed wojną tak było. Służba była dochodząca, ale u bogatych ludzi, takich jak Potoccy, mieszkała przy rodzinie.

– Zresztą ona też nie przeżyła – dodała Danka.

O dom Oli nie pytałam, bo wiem, że kamień na kamieniu nie został. Nigdy u niej nie byłam, ale pewnie mieli bibliotekę większą niż nasza i więcej porcelany. Nagle coś sobie przypomniałam.

– Ona miała takiego dużego psa! – wykrzyknęłam i zaczęłam głaskać Azora, który spał sobie u moich stóp i zdziwił się, że czegoś od niego chce.

– Doga arlekina – burknęła Danka. – Jakoś tak z angielska się nazywał. Banty czy jakoś tak.

– Bentli – poprawiłam ją. – Chyba.

– Nie widziałam z nią tego psa. – Danka pokręciła głową.

Pogłaskałam Azora po łbie. Ten Bentli to pewnie zginął.

– No i co z nią i Wiesią? – wróciłam do tematu.

– A co ma być? – Danka wzruszyła po swoim ramionami. – Mieszkają w ruinach z innymi.

To Ola mieszka razem ze Stefanem? Poczulałam ukłucie zazdrości, a potem się zawstydziałam, bo przecież nie było czego zazdrościć.

– Ja myślę, że powinni iść do tej szkoły – oznajmiłam w końcu.

W szkole czekało nas coś w rodzaju kursów przygotowawczych, żeby jako tako wyrównać te sześć lat, które straciliśmy. Pewnie byli tacy, co nie umieli nawet czytać, i inni, tacy jak ja i Danka, którzy spokojnie mogli iść do piątej klasy i kontynuować naukę. Ale po kursach mieliśmy jeszcze zdawać egzaminy.

– Ja też tak uważam – zgodziła się ze mną Danka. – Mówiłam nawet Stefanowi. Że jak ich mają na siłę wsadzić do domu dziecka, i tak to zrobią. A jeśli będą chodzili do szkoły w Warszawie, to znajdzie się jakaś bursa czy może taki lepszy sierociniec...

Naiwne to było pewnie myślenie, ale i ja chciałam w to wierzyć.

– A może Renaty spytać, co o tym sądzi?

Danka nie była przekonana.

– A jak zakapuje ich do urzędu? – spytała.

Faktycznie, Renata była dorosła. Mogła to zrobić dla ich własnego dobra. Dorosli zawsze tak

mówią: że coś robią dla czyjegoś dobra. Nawet w czasie wojny robili różne rzeczy dla czyjegoś dobra. Tylko że wtedy dobro oznaczało coś zupełnie innego niż teraz. No, ale też nie do końca.

– Może nie zakapuje, tylko wymyśli coś innego, żeby pomóc – myślałam na głos.

Danka siedziała i dłużyła patykiem w wyschniętej ziemi.

– Nie rób tak – skarciłam ją. – Jeszcze coś wydłubiesz.

– Może jakie kosztowności. – Uśmiechnęła się krzywo.

– Trupa przędź, i to dżdżownicy, nawet nie człowieka – burknęłam.

Nic nie odpowiedziała, ale przynajmniej przestała.

– A ty jej nie nienawidzisz?

Zaskoczyła mnie tym pytaniem.

– A niby czemu miałabym nienawidzić? – Szczerze się zdumiałam.

– Przez nią cierpi twoja siostra – wyjaśniła, jakby to było coś oczywistego.

– Nieprawda. Nie przez nią.

Teraz Danka patrzyła na mnie jak na wariatkę.

– Przecież gdyby jej nie było, to Alek by się z nią nie ożenił.

– Nieprawda – powiedziałam spokojnie.

– Jak nieprawda? – Danka tak mocno szorowała patykiem po piachu, że go złamała. – Przecież wszyscy to wiedzą prócz Renaty! Bo jej Alek słowa o Teresie nie powiedział!

– Nieprawda – powtórzyłam cierpliwie.

– No jak?!

Danka wyglądała na wstrząśniętą, aż mi się jej żal zrobiło. Postanowiłam wyjaśnić swoje stanowisko. W domu nikt by mnie nie słuchał, przynajmniej nie Tereska, tylko z Danką mogłam się podzielić swoimi przemyśleniami.

– Tereska uważa, że to przez ojca, który nie puścił jej do powstania, i przez Renatę, która akurat była przy Alku. Ja uważam, że tylko się oszukuje. Renata nie wiedziała o istnieniu Teresy. A gdyby Alek tak kochał moją siostrę, toby się z inną nie żenił. Nie musiał. Tylko chciał. Nie wiem, czemu zapomniał o Teresce, ale najwyraźniej tak było.

– Ty to mądra jesteś. – Danka z podziwem zagwizdała. – Może byś Teresie to powiedziała?

– Ona nie chce słuchać. Mama też nie. Tacie próbowałam powiedzieć, ale chyba nie zrozumiała.

– No, ale jak pójdziesz z czymś do Renaty, to Tereska powie, że jesteś zdrajca.

Wzruszyłam ramionami.

– Niech powie. I tak tylko śledzi Alka, chodzi tam, gdzie on, i pewnie źle życzy Renacie.

– Jak można komuś źle życzyć?

– Teraz to jest łatwiej niż kiedyś – stwierdziłam.

– Jak to? – oburzyła się Danka.

– A tak to. – Na ten temat też miałam przemyślenia. – Kiedyś ludzie żyli pogodzeni z tym, co mają. Jeden był bogaty, drugi biedniejszy, trzeci żebrak. Jeden Żyd, drugi Polak. A teraz... Bogaty jest biedniejszy od tego, co był kiedyś żebrakiem. Żydów nie ma, a Polacy... Prawie każdy sierota, a tylko draniom niczego nie brakuje.

– Masz rację. Łatwiej jest teraz komuś źle życzyć.

– A nie mówiłam? – Westchnęłam i dodałam nieoczekiwanie dla siebie samej: – Boję się zimy.

– Nie eksmitują was – powiedziała łagodnie Danka.

– Może nie. – Znów westchnęłam. – Ale dużo ludzi pójdzie na bruk. Ja to się boję o Piaseckich.

Wiesz, jacy oni są. Jak im się każą wynosić, to pójdą. A mnie się jakoś wydaje, że póki pan Piasecki jest blisko nas, póki go odwiedzamy i mu pomagamy, to żyje.

– Mnie się też tak wydaje – wyznała Danka.

Jeśli pan Piasecki nie przeżyje, a Stefana wywiozą do domu dziecka, to nic nie będzie miało sensu.

– To co? Pójdziemy do Renaty? – Danka zerwała się na równe nogi.

Kiwnęłam głową i gwizdnęłam na Azora.

## „KURIER PORANNY”

Widziałam przed wojną ślepego, który miał puste oczodoły – powiedziała pani Natalia dystyngowanym głosem. – Dlatego ja noszę ciemne okulary.

Jan rysował kobietę, ja słuchałam jej opowieści. Ubrana była czysto, chociaż bardzo skromnie. Biała niegdyś bluzka, teraz poszarzała, spódnica spięta agrafką. Buty pamiętające czasy poprzedniej wojny, pończochy pocerowane. Ciekawe, kto jej pomaga, przecież pani Natalia nie widzi, zastanawiałam się.

– Trochę widzę – powiedziała, jakby czytała w moich myślach, i potrząsnęła głową, aż jej kapelusz nieco się zsunął na czoło.

Jan rysował pluszowe kapelino ze wszystkimi jego wadami, dziurą po molach i piórkiem, któremu brakowało piór.

– Czy ktoś pani pomaga w przeprowadzce? – zapytałam.

Kiwnęła głową.

– Tak, są dobrzy ludzie wkoło – odparła obojętnie. – Mnie jest, wie pani, wszystko jedno, gdzie mieszkam, skoro mojego domu już nie ma.

*Rośliny nie miały przed nią tajemnic. Znała na wylot Ogród Botaniczny, w którym pracowała. Nie potrzebowała ludzi, miała kwiaty. Czy może być coś piękniejszego? Doglądała roślin całą wojnę, trzęsła się nad każdą sadzonką, siedziała z nimi, pilnowała, żeby się nie bały. A potem przyszła hekatomba. Ona by ich wszystkich, tych powstańców, tych niszczycieli, zabiła i zakopała, żeby na nich wyrosły nowe rośliny. Bezradnie patrzyła, jak pada budynek po budynku, szklarnia po szklarni, grzebiąc jej ukochane dzieci. Ślepotą była błogosławieństwem.*

– Przykro mi – powiedziałam.

Mirka kochała Ogród Botaniczny. Chodziliśmy do niego w prawie każdą niedzielę. Kiedy wróciliśmy do Warszawy, poszła tam od razu i przybiegła do domu z płaczem. Prosiłam, żeby tam nie zaglądała. Sama nie chciałam doświadczyć tego strasznego zniszczenia.

– Już raz mnie zawieźli do Rembertowa, do domu spokojnej starości – dodała pani Natalia. – Ale zarządca się pomylił i nie było dla mnie miejsca. Wróciłam zatem i teraz znów czekam.

Zerknęłam na rysunek Jana. Za plecami pani Natalii narysował zrujnowany ogród. Wywierał straszne wrażenie.

– Dlaczego to zrobiłeś? – Aż mnie ścisnęło w gardle. – Mamy nieść nadzieję.

– Niesiemy – odpowiedział niemal wesoło. – Przecież ta historia dobrze się kończy. Pani Natalia przeżyła, a teraz będzie mieszkać w miłym, bezpiecznym otoczeniu, w lesie...

Popatrzyłam na Jana, nie dowierzając. Nigdy nie był cyniczny, chociaż co ja tam o nim wiem.

– Jak byś się czuł, gdybyś sam stracił wzrok? – spytałam.

– Zabiłbym się – odparł z prostotą.

Rozdziawiłam usta.

– Szukałem pretekstu, żeby to zrobić – dodał beznamiętnym tonem. – Ale mi się nie udało.

– Jak to? – Głos ochrypl mi z wrażenia.

Milczał.

– Musimy żyć dalej. – Trwałam przy swoim.

– Czyżby? – rzucił nieco mniej beznamiętnie, po czym przyjrzał mi się uważnie. Wiem, że moja twarz pokryła się ciemnym rumieńcem, zupełnie jakbym była nastolatką.

– Piękna z ciebie kobieta – powiedział w końcu poważnie.

## PACJENTKA C.B. I. 14

Dziewczynka była drobna, wychudzona, wyglądała na dużo młodszą od mojej Mirki, mimo że miała skończone czternaście lat. Przyszła z nią wysoka, postawna kobieta o władczym głosie.

– Celinko – zwróciła się do dziewczynki nieco protekcyjnym tonem – powiedz panu doktorowi, jak się czujesz.

– Dobrze – odezwała się dziewczyna.

– Zdejmij, proszę, bluzeczkę, zbadam cię – powiedziałem łagodnie.

Dziewczyna zaczęła odpinać guziki, nieco za wolno i niezdarnie. Opiekunka ponaglała ją, czymś zdenerwowana. Może gdzieś się spieszyły.

– Spokojnie – powiedziałem.

– Nie mam całego dnia – wyrwało się opiekunce. – W domu zostawiłam męża, jest schorowany, nie wstaje z łóżka.

Ja i Ona popatrzyliśmy na siebie, zrozumieliśmy się bez słów.

– Nie musisz się spieszyć, dziecko. – Ona uśmiechnęła się łagodnie do dziewczynki, po czym przeniosła wzrok na kobietę. – Proszę wracać do męża i odebrać Celinę, kiedy pani wygodnie. Po badaniach może poczekać w świetlicy.

Mamy świetlicę od niedawna. To niewielkie pomieszczenie, które kiedyś było zapleczem jednej z sal operacyjnych. Ostało się prawie niezniszczone. Ściany całe, nawet futryny wytrzymały, tyle że z okien wyleciały szyby. Nakładem sił własnych, także moim i jej, oczyściliśmy je. Szkło i pył zniknęły, śmieci zostały wyrzucone. Każdy przyniósł, co mógł. Moja Mirka uszyła dwie poduszki. Ona przyniosła wełniany koc, który wydawał się królewskim darem. Pan Wiesław, przedwojenny woźny, sobie tylko znanymi sposobami sklecił kilka krzeseł i stół. Drewno wziął ze sterty podziurawionych pociskami desek. Było nawet jedno łóżko. Dzieci mogły tam wejść, przysiąść, odpocząć, porozmawiać z rówieśnikami.

– Chciałabyś zostać u nas w świetlicy? – spytałem, przykładając słuchawkę do chudziutkich pleców.

– Tak. – Dziewczynka zerknęła na towarzyszącą jej kobietę. – Bardzo.

Kobieta skinęła głową i wyszła, upewniwszy się, jak długo dziecko może przebywać na terenie szpitala.

– Oddychaj głęboko – poprosiłem.

Płuca miała czyste, poza wychudzeniem nic jej nie dolegało.

– Wypadają ci włosy, tak? – zapytała nagle Ona.

A więc to był powód wizyty lekarskiej. Albo jeden z powodów.

– Tak – odpowiedziała dziewczynka. – I nie mogę już grać.

– Na jakim instrumencie grałaś? – spytałem.

– Na skrzypcach.

Poprosiłem, aby poruszała palcami, potem zbadłem napięcie mięśni dłoni, przedramienia i ramienia, odruchy, wszystko było prawidłowe. Jedyne, co zwracało uwagę, to paznokcie obgryzione do krwi. Dlaczego nie mogła grać?

– Dlaczego nie możesz grać? – zadałem to pytanie, a zobaczywszy, że Ona spojrzała na mnie karcąco, dodałem: – To znaczy według ciebie, dlaczego?

– Przez tyle lat tylko patrzyłam na futerał. Wcześniej ćwiczyłam po kilka godzin dziennie – odparła dziewczynka. – Teraz zaczynam grać i wydaje mi się, że przyjdą po mnie. I... nie mogę.

Na to nie sposób było poradzić. Może czas uleczyłyby takie rany, ale kto wie, czy życia starczy, żeby ta dziewczynka zapomniała, że cała jej rodzina spłonęła w krematorium. Ta opiekunka, która z nią była, to przyjaciółka jej matki. Przyjęła dziewczynkę, kiedy rodzina poszła do getta. Nusia Szwarzman, bo tak naprawdę się nazywała Celinka, była słabowita i pięknie grała na skrzypcach, a Wareccy zawsze chcieli mieć córkę, po tym jak ich własne dziecko urodziło się przedwcześnie i wkrótce zmarło.

Bogata rodzina. Mąż tej kobiety był lekarzem, wchodził do getta, uczestniczył w pokazowych operacjach. Przynajmniej na początku Niemcy starali się sprawiać wrażenie, że getto powstało tylko dlatego, że wśród Żydów szerzy się tyfus i należy zapobiegać zarazie. Potem zamknięto bramy. Jeszcze przez jakiś czas można było wyrobić przepustkę i dostarczyć nieszczęśnikom chleba czy pieniędzy.

Potem już nie. Któregoś dnia Celinka była sama z opiekunem w domu. Opowiadała po czasie ciotce, że on popatrzył jakoś dziwnie i przewrócił się na bok. Chwilę później nie żył.

– O czym pan myśli, doktorze? – spytała Ona, kiedy odprowadziliśmy Celinkę do świetlicy.

– Chciałaby pani, żebym powiedział, że myślę o wszechświecie? – burknąłem niezbyt grzecznie.

Dotychczas to Ona okazywała mi niechęć.

– Zastanawiałam się, czy o tym samym co ja.

– Czyli? – spytałem, wciąż patrząc na nią niechętnym wzrokiem.

Była zbyt poważna, nawet jak na czasy powojenne. Jej koleżanki przebierały się po pracy w kolorowe bluzki i umawiały na lody. Ona wkładała niezmiennie tę samą szarą sukienkę z długimi rękawami, zawsze upraną, uprasowaną, z czyściutkim białym kołnierzykiem, i udawała się w nieznanym kierunku. Nigdy nie zażartowała, nie powiedziała nic miłego.

– Myślę, czy ktoś pomoże takim dzieciom.

– Sądzi pani, że tylko dzieci potrzebują pomocy?

– Pan jej potrzebuje?

– Nie wystarczy przeżyć, może jeszcze pani tego nie zauważyła.

– Ja wiele rzeczy widzę, chociaż niekoniecznie...

– Za chwilę przyjdą tu na badania dzieci z sierocińca – przerwałem jej. – Uprzedziła pani u rentgena?

Pokiwała głową, ale wróciła do rozmowy, jakby uznała, że albo teraz porozmawiamy, albo na zawsze pozostaniemy wrogami.

– Moja mama mówiła, że im kto młodszy, tym lepiej sobie poradzi. – Uśmiechnęła się blado.

Zastanawiałem się, czy jej odpowiedzieć. Miała nade mną zbyt dużą władzę.

– A pani patrzy na mnie i uważa, że ja sobie nie radzę, tak?

Wyraz twarzy miałem obojętny, przyglądałem się jej badawczo. Uciekła wzrokiem.

– Nie chciałam pana urazić, doktorze – powiedziała cicho.

Nie uraziła. Byłem szczęśliwy, że okazuje mi uwagę, że chce ze mną rozmawiać. A jednocześnie nie mogłem pozwolić, żeby zauważyła, jak szukam jej wszędzie, czekam na każde słowo, wybieram dyżury, na których i Ona jest.

– Nie uraziła mnie pani. Ta dziewczynka siedziała pod łóżkiem przez kilka lat, bo po śmierci jej opiekuna ciotka zaczęła szyc zarobkowo i przyjmowała w domu klientki. Nie było mowy o tym, aby ćwiczyła grę. Dźwięk skrzypiec kojarzył się jej wyłącznie ze strachem. To uczucie zostało tak mocno wdrukowane w głowę tego biednego dziecka, że nie ustąpiło z chwilą, kiedy ogłoszono, że wojna się skończyła, kraj dźwiga się z ruin i już nikt nikogo nie będzie zabijał.

– Wiem. Wiem też, co się działo z tą małą podczas powstania.

Kiedy Niemcy bombardowali stolicę, ciotka zeszła do schronu, ale nie chciała zabrać ze sobą dziewczynki. Dziecko nadal leżało pod łóżkiem, bojąc się, że nadszedł kres.

– Jeśli pyta pani, czy kiedykolwiek wróci do poprzedniego życia, to jako lekarz powiem, że nie widzę powodu, aby nie miała kontynuować gry na skrzypcach. Skoro jest tak zdolna, nadrobi stracony czas.

– A jako człowiek?

– Jako człowiek zastanawiam się, czy w ogóle mam prawo wygłaszać jakiegokolwiek opinie, posiłkując się poczuciem człowieczeństwa.

– Przepraszam – wyszeptwała.

Kochałem ją coraz bardziej.

## MIRKA

Przyjechali nad ranem. Cały samochód żołnierzy z bronią. I zaraz poszli w ruiny. Danka ich widziała, bo o piątej wstała do piekarni.

– Normalnie jak rakarze – opowiadała, dygocąc z przerażenia. – Łapali dzieci jak psy.

Siedziałam i nie mogłam wydusić z siebie słowa.

– A dzieciaki co? – spytałam w końcu.

– Uciekały, ale oni je wyłapywali wszystkie. Mówiłam ci.

– Widziałaś, jak brali Stefana? – Łudziłam się, że może uciekł.

– Widziałam. Jego, Amelkę i Tacka normalnie wynieśli z ruin. Chyba spali.

– Dokąd ich wywieźli?

– Wysłałam zaraz z mamą i tatą, żeby zapytać. Ale nie chcieli z nami rozmawiać. Wzięli ich do domu dziecka. Tak powiedzieli.

– Ale do jakiego?! – wrzasnęłam ze złością.

– Nie wiem... – Danka rozłożyła bezradnie ręce. – Nie wiem do jakiego. Oni sami chyba nie wiedzieli.

– Co robić? Co robić? – gorączkowałam się.

Kiedy powiedziałam w domu o Stefanie, rodzice od razu stwierdzili, że i on, i jemu „podobni” powinni znaleźć się w domach dziecka. Bo przecież nie będą mieszkali w ruinach, na pewno nie w nieskończoność, argumentowała mama, a ojciec mówił coś o opiece. Poprosiłam ich, żeby adoptowali Stefana, a oni zaraz zaczęli kręcić głowami, że nie, że to niemożliwe, absolutnie, a na moje pytanie dlaczego tylko popatrzyli po sobie. Nie chcieli, ale nie wiedzieli dlaczego.

– Trzeba go stamtąd wyciągnąć – zdecydowała Danka.

– Bez dorosłego to się nie uda. – Byłam sceptyczna. Serce ścisnął mi strach, że już go nigdy nie zobaczę.

– Więc co robić? Może porozmawiam z Renatą? – zaoferowała się.

To raczej nie miało sensu, skoro Renata nam wytłumaczyła, że „tak będzie lepiej”.

– Poproszę mamę, żeby się dowiedziała, dokąd go zawieźli – stwierdziłam.

– Myślisz, że się zgodzi? I że jej powiedzą w tej gazecie?

– Prędzej jej powiedzą w gazecie, niż my się same dowiemy.

Mama jednak nie potrafiła albo nie chciała nam pomóc. Zawiodła mnie. A może to ja ją zawiodłam, bo nie chciałam słuchać żadnych „racjonalnych argumentów”. Byłam tak strasznie zła, kiedy dowodziła, że takim dzieciom będzie lepiej w domu dziecka, a ja jestem za mała, aby to zrozumieć, że aż się rozryczałam i wrzasnęłam:

– Stefan nie jest „takim dzieckiem”! A ja nie jestem „za mała”! To wy wszyscy jesteście obojętni! Odwracacie wzrok!

– Mama akurat nie odwraca oczu, Mireczko – wyszeptwała Babcia Hrabina, a ja ledwo się powstrzymałam, by nie odpyskować, że łatwo jej mówić, jak się nią dobrzy ludzie opiekują, a ona nawet nie chce na wieś pojechać i zobaczyć, co z domem.

– Odwraca! – znów wrzasnęłam.

– My po prostu nie możemy wszystkim pomóc. – Głos mamy był zdławiony.

– Nie chciałam pomagać wszystkim! – krzyczałam. – Tylko Stefanowi!

– Naprawdę nie... – zaczęła znów mama, ale jej nie słuchałam. Poszłam do „siebie” i rzuciłam się na siennik, by wypłakiwać wszystkie swoje żale i tęsknotę za Stefanem. Tylko że łzy mi się skończyły, a to nic nie pomogło.

## „KURIER PORANNY”

Wśród dzieci nie było Stefana Zamienieckiego. Odetchnęłam z ulgą, bo nie miałam pojęcia, jak mogłabym temu chłopcu spojrzeć w oczy. Zaraz potem pojawił się wstyd. Dzieciak był w potrzebie, a ja nie chciałam pomóc.

– Świata nie zbawisz – odparł filozoficznie Jan, któremu przed wyjazdem do domu dziecka powiedziałam o małym Zamienieckim.

– Mogłabym ocalić jedno życie.

– On już ocalał, a teraz trzeba zapewnić mu opiekę. Jemu i jemu podobnym. – Jan nie wyjmował szkicownika, wpatrywał się w zgromadzone w świetlicy dzieci. – Który to?

– Tu go nie ma – wyszeptalam.

*Wywlekli ją, kiedy spała. Podeszli cicho i otoczyli ruiny, w których koczowała razem z siostrzyczką i jej koleżanką. Nawet nie krzyknęła, bo sparaliżował ją strach. Hawa się zsiusiła, a potem zaczęła płakać. Dopiero wtedy odzyskała głos. Kazala jej być cicho i zapewniła, że to nie są Niemcy. To byli dobrzy ludzie, chcieli dla nich jak najlepiej, tylko dlaczego nie mówili, dokąd jadą. Jedynie że będzie ciepło i dostaną cukierki. To nie była prawda. Nie dostały cukierków, lecz kawę zbożową z sacharyną.*

– Dzień dobry, dzieci – przywitałam się nieco ochryple.

– Dzień dobry – odpowiedziały chórem.

Czułam się jak w szkole, tyle że nie miałam żadnej władzy nad tymi biedakami, którzy patrzyli na nas z rezygnacją w oczach. Ich twarze, pochylone ramiona i trzęsące się ręce chwytaly za serce. Najpierw stracili wszystko, bliskich, dom, majątek, potem także możliwość odbudowania chociażby namiastki dawnego świata.

– Proszę napisać, że mają tu opiekę – zażądała szczupła kobieta z zaciśniętymi ustami, którą nam przedstawiono jako wychowawczynię.

Jan wciąż nie wyciągał szkicownika.

– Napiszemy – zapewniłam.

Mój wzrok mimowolnie padł na zakratowane okna oraz drzwi bez klamek oddzielające świetlicę od korytarza, w którym pewnie były pokoje do spania.

– Co to za miejsce? – spytał Jan.

– Przed wojną to była restauracja – powiedziała wychowawczyni.

Nie pytaliśmy o nic więcej. Jan wyjął wreszcie szkicownik i ołówek, ale kiedy zaczął rysować, przycisnął go tak mocno, że złamał grafit.

– Czy mogę prosić o nóż do naostrzenia ołówka? – spytał grzecznie.

Wiedziałam, że w torbie ma węgiel i kilka innych ołówków.

– Tak – odparła kobieta i wyszła z pomieszczenia, otworzywszy drzwi klamką, którą wyjęła z kieszeni.

– Dobrze wam tu? – spytał Jan, kiedy kobieta opuściła pomieszczenie.

Ja nie mogłam wykrztusić słowa.

– To dla naszego dobra – powiedziała wysoka dziewczynka i wzięła za rękę inną, małą, która ssła kciuk i toczyła dokoła przerażonym wzrokiem.

– Tak, to dla waszego dobra – potwierdził poważnie Jan, ale zaraz dodał: – Ktoś tak nie uważa?

Wystąpił niski, przysadzisty chłopak.

– Mój dom częściowo ocalał – powiedział. – Za miesiąc skończę szesnaście lat. Odzyskam swoje mieszkanie.

*Przyszedł tu dobrowolnie. Nie trzeba go było łapać. Dzięki temu trafił do domu dziecka w Warszawie, a nie pod Otwockiem jak jego przyjaciel. Wprawdzie ta raszpla, która tu rządziła, nienawidziła ich wszystkich, ale dawali jeść i po raz pierwszy od roku spał w łóżku z pościelą. Kiedy tylko przestaną ich pilnować, ucieknie stąd. Tak jak uciekł wcześniej z getta i przetrwał wojnę po aryjskiej stronie.*

– Mogę cię narysować? – Jan popatrzył na chłopaka, który stał z tyłu, krył się za plecami dwóch dziewczynek z czerwonymi kokardkami na mysich ogonkach.

Chłopak spojrział spode łba.

– Jak trzeba – burknął.



Wróciła wychowawczyni z kozikiem. Jan naostrzył ołówek i oddał kobiecie nóż.

– W zasadzie nie powinien pan rysować naszych wychowanków – powiedziała z niechęcią.

– Może narysuję panią? – Uśmiechnął się uroczo.

– Mnie? – Nagle maska niechęci opadła z twarzy tej kobiety. – W zasadzie to lepiej mnie niż te nieszczęsne dzieci. Gdzie to się ukaże?

– W „Kurierze Porannym” – wtrąciłam się, ale kobieta już nie słyszała i nie widziała ani mnie, ani dziesięciorga dzieci stłoczonych na wąskiej ławie.

Wpatrywała się z ekstatycznym wyrazem twarzy w Jana.

*Powiedział, że odchodzi i będzie mieszkał z nią. Ponoć życie jest zbyt krótkie, żeby spędzić je z osobą, której się nie kocha. Kto romansuje w czasie wojny? Kto myśli o szczęściu, kiedy tyle nieszczęścia dokoła? Następnego dnia wybuchło powstanie, a ona zginęła tego pierwszego dnia. Myślałam, że do mnie wróci, ale powiedział, że jego życie się skończyło. Walczył, a ja za nim chodziłam. Na Wolę, Starówkę, Żoliborz. Szukałam śmierci, ale mnie omijała. On też szukał, ale i jemu nie dane było zginąć. Dopilnował, by tamta miała pogrzeb. Zaopiekował się jej dziećmi. Wyjechał z nimi gdzieś na południe.*

– Dziękujemy – odezwałam się, kiedy Jan skończył.

Wychowawczyni odprowadziła nas do furtki.

– Proszę opiekować się tymi dziećmi. – Jan spojrzał jej głęboko w oczy.

– Tak, tak – przytaknęła gorliwie. – Będę się opiekowała. Proszę nas odwiedzać. Proszę pytać o Wandeczkę.

Na następnej przecznicy sięgnęłam ręką po szkicownik.

– Chcę zobaczyć – poprosiłam.

Podał mi bez słowa. Otworzyłam go. Rysunek przedstawiał wszystkie dzieci siedzące na ławie. Ich twarze ukazywały najmniejsze szczegóły. Jak on to zrobił? Patrzył przecież na tę kobietę, kiedy rysował. Ani na chwilę nie odrywał od niej wzroku.

– Jak to możliwe? – spytałam.

Uśmiechnął się w odpowiedzi.

## MIRKA

Ptaki wracają do Warszawy. Nie, nie gołębie, one zawsze były, tylko przyczały się na dachach i okaleczonych strychach. Prawdziwe ptaki wracają. Dudki, modraszki, kawki, szczygły. Uwielbiam szczygły. Kiedy byliśmy na wsi w czasie wojny, liczyłam bażanty. Grałam w taką grę ze sobą. Jeśli codziennie naliczę pięć bażantów, mojej rodzinie nic się nie stanie. Zawsze się udawało, chociaż nieraz musiałam za bażanta liczyć przepiórkę. Wtedy pewnie Alek żenił się z Renatką, a rodzina Stefana zginęła. Więc może nie dość dobrze wiedziałam, kto należy do mojej rodziny, a kto nie. O Stefanie zawsze myślałam, ale o Alku Tereski przyznam się, że nie. Może stąd to nieszczęście? Tylko czy to naprawdę jest nieszczęście? Tereska ciągle chodzi odgruzowywać Politechnikę, bo Alek jest na miejscu. Dziwnie tak, że za nim lata, a jednocześnie robi wszystko, żeby go nie spotkać. Przynajmniej ma jakieś zajęcie, tak mówi mama, która z kolei znika na całe dni, żeby dokumentować życie warszawiaków. Przynajmniej nie siedzi w domu – tak mówi z ulgą tata, który z kolei całymi dniami siedzi w szpitalu i tam nie wiem, co robi, bo nie chce powiedzieć. Twierdzi, że leczy wszystkich jak popadnie, czy na głowę, czy na nogi, i operuje albo osłuchuje, słowem – robi wszystko. Nie wiedziałam, że jest taki zdolny. Przed wojną narzekał, że szef go nie ceni i woli pchać na stanowiska swoich. Poznałam kiedyś tego szefa, jak mi coś wpadło do oka i tata zabrał mnie do szpitala, żeby mi to coś wyjęli. Bardzo miły człowiek. Nie wyglądał na takiego, co pcha kogokolwiek, albo żeby miał do taty jakieś „ale”. Przeciwnie, kiedy zostaliśmy sami, bo tata poszedł szukać okulisty, spytał mnie, co mi wpadło do oka, a ja powiedziałam, że kawałek zwierciadła, które diabeł upuścił. Najpierw się zdziwił, że znam tę bajkę, potem powiedział, że on też ją zna i to jego ulubiona, i jeszcze dodał, że jestem bardzo mądrym szkrabem. Oburzyłam się, bo wcale nie byłam żadnym szkrabem, umiałam pisać i czytać i swoje wiedziałam. I wtedy on zauważył, że mi się zrobiło przykro, i przeprosił. Pierwszy raz się zdarzyło, żeby dorosły człowiek mi powiedział, że przeprasza. To znaczy jeszcze taki wujek mnie przeprosił, jak mi nadepnął na nogę niechcący, ale to się raczej nie liczy.

– Głupstwo – mruknęłam, ale byłam, jak to się mówi, bardzo ujęta i pełna podziwu, bo w końcu pan profesor mi to szkiełko sam wyjął.

– Nie mogliśmy się doczekać okulisty – wyjaśnił, kiedy tata wrócił. – A ta młoda dama cierpiała, uznałem zatem, że spróbuję.

– Bardzo dziękuję, doktorze Goldstein – powiedział tata, ale chyba mu się jakoś nieprzyjemnie zrobiło, że sam mi tego czegoś nie wyjął. Widocznie nie potrafił albo może własnej rodziny się nie leczy, bo można zaszkodzić.

Doktor Goldstein dał wtedy tacie wolne, żeby się „zajął rekonwalescentką”. Poszliśmy więc sobie na spacer w Łazienkach i na lody i było tak przyjemnie, że każdego dnia mogłoby mi coś wpadać do oka.

Wtedy też powiedziałam tacie o mojej fascynacji ptakami i okazało się, że tata bardzo dużo wie o ptakach. I że też lubi zięby. Ale najbardziej dzwońce.

– Czemu dzwońce? – spytałam.

– Nie wiem – odpowiedział. – Czasem jest tak, że coś ci się podoba, kogoś lubisz, bo to on. Nie ma specjalnego uzasadnienia.

Zaczerwieniłam się, bo zaraz pomyślałam o Stefanie.

– Może one są bardziej pożyteczne niż inne, te dzwońce? – dociekałam.

– Wszystkie ptaki są pożyteczne. Zjadają owady.

– A kruki? Kruki i wrony też są pożyteczne?

Myślałam, że zaprzeczy albo się chociaż zawaha, ale nie zrobił tego.

– Kruki są jak najbardziej pożyteczne. Co więcej, kruki są szczególnymi ptakami.

– Tak? – Nie rozumiałam. Poprzedniego dnia widziałam w bibliotece książkę pod tytułem *Rozdziobią nas kruki, wrony*.

– Tak – potwierdził. – Kruki są bardzo mądre. Pewnie dlatego, że długo żyją i zdobywają doświadczenie.

– Jak długo?

– Ponoć nawet do czterdziestu lat. Ludzie uważają je za szkodniki, ale niesłusznie. Jedzą padlinę, jak nie ma nic innego.

Widziałam kruki, jak jadły padlinę i dzieliły się między sobą kawałkami trupów. Nie gardziły ani szczurami, ani ludźmi. Straszny to był widok. Powiedziałam o tym tacie już po wojnie. Nie pamiętał naszej rozmowy w Łazienkach. Sprawilo mi to przykrość. Chciał tylko wiedzieć, gdzie ja chodzę, że widuję ptaki wydziobujące oczy trupom. Nigdy czegoś takiego nie powiedziałam, tylko widziałam, jak dziobały w brzuchu jednego chłopca. To po pierwsze. A po drugie, tata nie wiedział, że w Warszawie jest mnóstwo trupów pod gruzami? Może mama by mu powiedziała, bo chyba o tym właśnie pisze. A ten miły pan Jan, co patrzy tak smutno i uśmiecha się jedynie kącikami ust, na pewno rysuje nie tylko żywych, ale i trupy. Jest bardzo zdolny, sama widziałam, jak potrafi obiema rękami równocześnie narysować domy i ludzi chodzących ulicą. Wyglądają jak żywi, jakby kto zdjęcie zrobił.

– Przykro mi, że to widziałas – powiedział tata. – Raczej nie chodź tam, gdzie możesz być narażona na takie widoki.

To musiałabym chyba z domu nie wychodzić, a i to nie do końca mogłoby mnie uchronić. W zeszłym tygodniu obiegła ludzi wieść, że jak się ściana zawaliła w jednej kamienicy, to się okazało, że ktoś za ścianą trupa замуrował. Bo to był trup sprzed wojny. Właściciele wywieźli do obozu i zabili, to nie mogli pójść pod sąd. Zresztą nie wiadomo, czy to oni. Nikt mi nie chciał powiedzieć, ile ten trup mógł mieć lat. To tak na marginesie opowieści o krukach. A tacie wtedy obiecałam, że dobrze, nie będę chodziła w takie miejsca, boby i tak nic nie zrozumiał. Od kiedy wojna się skończyła, jest jakiś inny. Może chodzi o to, że tyle pracuje i musi oglądać kalekich ludzi. Mamie czasem opowiada, ale w sumie nie bardzo. Mama też mu nie opowiada, co robi, a tata nie pyta.

– I nie podoba mi się, że biegasz po bazarach i handlujesz jak dorosła – dodał, a ja zatrzęślam się z oburzenia. Przecież potrzebowałam tych pieniędzy, i to nie dla siebie. Tylko skąd on mógł to wiedzieć? – Co to za pomysły w ogóle, żeby tak się zachowywać? Jesteś panienką i musisz postępować jak dama.

Jak dama?

– Jak mała dama – poprawił.

Jeszcze lepiej.

– Spójrz na Tereskę – perorował. – Rozmawiałem z nią i zaprzestała zachowań, które stawiały ją w złym świetle.

Akurat. Mało nie parsknęłam śmiechem. Gdyby on tylko wiedział.

– Albo na mamę. Pracuje. Pomaga ludziom.

Ach tak. Pomaga ludziom.

– Oboje z mamą strzeżemy naszego cudem uratowanego domu i staramy się odzyskać to, co nam zabrano. Chodzi głównie o honor i godność. Bo pieniądze są do odzyskania. Zapamiętaj to sobie, moja panno, że dama, nawet tak młoda jak ty, nie wychodzi przed szereg. Siedzi spokojnie i czeka, aż ją znajdą.

Też coś. W życiu nie będę damą. Nawet na starość.

– Dobrze – obiecałam po raz drugi. – Nie będę chodziła tam, gdzie nie chodzi dama.

I on sobie poszedł do swojej pracy, nie zastanawiając się, czy aby na pewno powiedziałam prawdę. Chociaż nigdy nie kłamałam, postanowiłam być tak sprytna jak kruki, które całe życie uczą się, jak trzeba się przystosować. Bo zamierzałam tatę okłamać i uznałam, że to coś w rodzaju szlachetnego kłamstwa. Jak niby miałam zdobyć pieniądze dla pana Piaseckiego, żeby wyzdrowiał, i dla Stefana, żeby nie musiał siedzieć w domu dziecka? Bo ja zamierzałam Stefana wykupić, tylko jeszcze nie wiedziałam jak.

A kiedy do naszego mieszkania wprowadzili się dzicy lokatorzy, miałam swój moment triumfu. Bo takich nasłanych to tata nie chciał i z kimś załatwił, żeby nam nikogo nie przysyłali. Chyba dlatego, że jest lekarzem, nie wiem. Ale ci, co tu nastali z tobołami, skorzystali z chwili, kiedy nikogo nie było w domu, i po prostu weszli, zajmując dwa pokoje, z których nie korzystaliśmy, bo były na drugim końcu korytarza i nie miały wszystkich ścian, a te, które miały, groziły zawaleniem, dach był dziurawy, a podłoga całkiem spalona. Tata zamierzał uczciwie się starać o odbudowanie całości mieszkania, a tu taki klops. Tak się kończy siedzenie w kącie, czekanie i gadanie, że wszystko można załatwić, wystarczy chcieć. Rodziną z dwójką rozwrzeszczanych dzieci, która gotuje w pokojach kapustę i handluje lisami. Swoją drogą skąd oni brali tyle tych lisów, to nawet ja nie miałam pomysłu.

A miły doktor Goldstein umarł w getcie na tyfus. Strasznie mi go było szkoda.

## „KURIER PORANNY”

Wychudzona kobieta patrzyła na nas pełnym rezygnacji wzrokiem.

– Nie wiem, co państwu odpowiedzieć – wyszeptwała. – Moja historia jest bardzo prosta. Mąż umarł tuż przed wojną na zawał. Syn był dla mnie wszystkim. Błagałam, żeby nie szedł do powstania, ale nie słuchał. Poszedł i zginął.

– Bardzo nam przykro – powiedziałam, świadoma niestosowności swoich słów, i popatrzyłam błagalnie na Jana.

– Proszę przyjąć serdeczne wyrazy współczucia – odezwał się.

Na mnie nawet nie spojrział.

– Właściwie to nie mam po co żyć – powiedziała nagle kobieta.

*Chciała wyjść z piwnicy, ale jakiś człowiek jej nie pozwolił. Mówił, że przed wojną był zakonnikiem. Opowiadał jej, jak opuścił braci zakonnych i poszedł żyć jak zwykły człowiek. Nie chciała słuchać, ale on wciąż opowiadał o Bogu, o ludziach, o powinności wobec Niego i nich. Mówił, że na zewnątrz zginie, a syn nie chciałby odwiedzać jej grobu. Teraz ona odwiedza jego grób. I nienawidzi.*

– Proszę tak nie mówić. – Co innego mogłabym jej powiedzieć?

Znow poszukałam wsparcia u Jana, ale mi go nie udzielił. Patrzył w kartkę jak sroka w gnat. Nawet nie podniósł oczu na tę kobietę.

– Dlaczego? – spytała z nagłym ożywieniem w głosie. – Dlaczego mam tak nie mówić?

– Bo nie wiadomo, co przyniesie nam los – odparłam i uciekłam wzrokiem, żeby nie widzieć sztywności w jej twarzy.

– Los odda mi syna? Tak pani myśli?

– Nieznane są wyroki Pańskie albo, jak kto woli, losu – odezwał się Jan. Jego głos był cichy i pełen szacunku.

Kobieta uspokoiła się nagle.

– Co pan rysuje? – spytała. – Mnie? Proszę mnie nie rysować.

– Nie rysuję pani – odpowiedział i na dowód pokazał białą kartkę.

– A co? – dopytywała.

– Nic.

– No właśnie. Nic mi nie zostało. Nic.

*Tamta dziewczynka trzymała mnie za rękę. Kiedy znalazłam grób Jana. Ona szukała mogiły przyjaciela. Wtedy nie znalazła, może następnego dnia się jej „poszczęściło”? Chociaż ile z tych bezbronnych dzieciaków ma mogiły? Ginęły rozerwane na strzepy niemieckimi pociskami. Zostawały z nich ręce, nogi, trzewia wiszące na drzewach. Czasem tylko głowy. A kruki wydziobywały im oczy. Mój Jan ma grób. Ja też będę miała grób.*

– Dlaczego ty nigdy...? – zaczęłam, kiedy wyszliśmy. – Dlaczego ty nigdy się nie odzywasz...?

Spojrzał na mnie uważnie. W jego oczach nie było nic. Ani żalu, ani pretensji, ani kpiny.

– Wiesz, że tak mówią żony? Ty nigdy nie, ty zawsze coś?

– Ja tak nie mówię do męża – odparowałam.

– To szczęściarz z niego – odpowiedział wciąż śmiertelnie poważnie.

Nikt nigdy nie nazwał mojego męża szczęściarzem. Mnie nazywano tak wielokrotnie. Mam szczęście, że moim mężem jest taki człowiek, taki mężczyzna, taki lekarz. Mam szczęście, że to on jest ojcem moich dzieci.

– Nie kpj sobie – poprosiłam.

– Nie kpię. – Westchnął. – Naprawdę uważam, że ma wielkie szczęście. A nie znam jegomościa.

– Mnie też nie znasz.

Pokręcił głową.

– Trochę znam. Dlatego mówię, co mówię.

– Proszę... – Uciekłam wzrokiem. Serce mi biło jak szalone. – Pokaż, co narysowałeś.

Otworzył notes. Był pusty.

– Nic – powiedział niepotrzebnie. – W tej kobiecie nic nie zostało. Nie była żywa.

Nie rozumiałam go. Nie rozumiałam też siebie. Nic nie rozumiałam. Poczucie bezpieczeństwa,

które miałam nadzieję osiągnąć wraz z końcem wojny, nie nadchodziło. Życie, które próbowaliśmy odbudować razem z mężem i córkami, rozpadało się na naszych oczach. Nie potrafiłam się temu przeciwstawić. Nie umiałam sobie z tym poradzić. A przecież ludzie przeżywali straszne tragedie, otrząsali się z nich i pazurami wyrywali dla siebie jakąś cząstkę życia, przestrzeń, w której mogli funkcjonować.

Miałam nieść nadzieję, a nie potrafiłam wykrzesać z siebie żadnej iskry, aby sama dalej żyć. Jan mi nie pomagał. Właściwie czemu miałby mi pomagać? Kimże ja dla niego byłam?

## *Pamiętnik Tereski*

*Dziwne to były dni. Płynęły wolno niczym strumyk na równinie. Godziny wypełnione ciężką pracą biegły nieco szybciej, ale leniwe wieczory w domu dłużyły się niemilosiernie. Na Politechnice rzadko widywałam Alka, chociaż przychodził codziennie, żeby odgruzowywać. Notabene pracujemy od świtu do nocy, chętnych przybywa, a gruzów ledwie ubywa. Bardzo to frustrujące, bo zaczęło mi zależeć na tym, aby od października wrócić do nauki. Dyrektor odbudowy i majstrowie, którzy nadzorowali naszą pracę, mówili, że tak czy inaczej wrócimy, tylko to, w jakich warunkach będziemy się uczyć, zależy od nas. Chciałam się uczyć, zależało mi na wykonaniu zadania, chociaż nie było tak spektakularne jak te, które mi zlecano podczas wojny. Ale najbardziej zależało mi na odzyskaniu Alka. Pracowaliśmy jednak w innych skrzydłach Politechniki. Początkowo robiłam wszystko, żeby się przenieść i widywać go częściej przy pracy, ale w końcu się poddałam, bo majster, któremu tłumaczyłam, że mogę dźwigać ciężkie cegły i betonowe kloce, pukał się w czoło. Dziewczętom nie pozwalano pracować tak ciężko jak chłopcom. Przyznać muszę, że i moja praca nie była lekka. Ale polubiłam ją z czasem. I choć na początku przychodziłam tylko, żeby zobaczyć Alka, to potem – żeby odgruzować Politechnikę. Oczywiście nigdy nie zrezygnowałam z Alka, ale zauważyłam, że im mniej zwracam na niego uwagę, tym bardziej on stara się mnie zobaczyć. I to napawało mnie nadzieją. Codziennie rano przychodził się przywitać, niby przypadkiem zerknął przez drzwi albo pytał o mnie dziewczęta. Nie lubił Michała, wyraźnie to widziałam i uznałam za dobry znak. Tylko patrzeć, jak pogoni tę swoją pozał się Boże żonę i do mnie wróci. Grunt to spokój, mawia Irka, której się zwierzyłam z moich rozterek.*

*– Żartujesz! – Zrobiła wielkie oczy, kiedy jej opowiedziałam swoją historię.*

*Zaraz zresztą zawołała Kaśkę i jej wypaplała, co i jak. Miałam początkowo żal, że nie dochowała tajemnicy, ale potem nie żalowałam, bo Kaśka знаła tę Renatę.*

*– To bida była. Taka mysz – powiedziała, a ja poczułam, jakby kto lał balsam na moje rany.*

*Niepotrzebnie sobie wyobrażałam tę dziewczynę jako bohaterkę, która wyciągała rannych pod ostrzałem wroga i z narażeniem życia ratowała walczących.*

*– Strasznie się bała – stwierdziła Kaśka. – Przynajmniej na początku. Jak były huk, to aż podskakiwała.*

*Zaczęłyśmy się śmiać.*

*– Ja bym się nie bała. – Zacisnęłam zęby, ale potem zrobiło mi się wstyd, bo przypomniałam sobie, że mnie tu nie było, a powstanie, sądząc po zniszczeniach, nie przypominało żadnej akcji Szarych Szeregów ani Armii Krajowej. Przypominało koniec świata.*

*– Byłaś na ich ślubie? – zapytałam.*

*Pokręciła głową.*

*– Na ślubie nie. Tylko przelotnie ją widziałam.*

*Chciałam spytać, skąd w takim razie wie, że Renata jest strachliwa i zahukana, ale nie zdążyłam, bo zaraz wtrącił się Michał:*

*– Może byście przestały plotkować niczym stare ciotki i poukładały ze mną te woluminy?*

*– A co dostaniemy w nagrodę? – przymilala się Irka.*

*Ten Michał bardzo się jej podobał. Rzeczywiście miał w sobie trudny do opisanego chłopięcy urok, ale nic więcej. Był zarozumiały, władczy i lubił wydawać polecenia, czego ja nie znosiłam. Nawet kiedy byłam w konspiracji, musiałam gryźć się w język, żeby nie kwestionować poleceń dowódcy. Rozkazy bowiem czasami były zupełnie od rzeczy albo przy odrobinie sprytu można było akcję przeprowadzić lepiej. Ale rozkaz to był rozkaz. Inaczej jest teraz, kiedy wojna się skończyła. Można dyskutować z dowódcą, zwłaszcza samozwańcym, i pytać, czemu trzeba robić coś, na co nie ma się ochoty. Chętnie z tego korzystałam, aż się zorientowałam, że ludzie mnie nie lubią. Niby mi na tym nie zależało, żeby mnie lubili, ale w końcu odpuściłam. Nawet zaczęłam się przymilać.*

*– A co będziemy z tego miały? – I ja uśmiechnęłam się szeroko do Michała.*

*Wiadomo, że to był nasz obowiązek, ale nie zaszkodzi trochę się poprzekomarzać.*

*– Czemu mamy układać te woluminy tak wysoko? – spytała Janinka i potrząsnęła głową owiniętą chusteczką.*

*Janinka wróciła z obozu i jeszcze jej włosy nie odrosły. Ponoć przed wojną miała warkocz długi*

aż do pasa i gruby jak pięść. Dwie osoby jej musiały pomagać, kiedy myła głowę.

– Bo to stare podręczniki, z których raczej nie będziemy się uczyć. Te nowsze postawimy niżej – odpowiedział jej Michał, na mnie nie zwracając uwagi.

To miało sens, więc nie protestowałam, ale czułam się dotknięta tym, że mnie ignoruje.

– No dalej, dziewczęta, ta sala jest prawie wysprzątana! – zachęcał.

Faktycznie po tygodniu wytężonej pracy, od której bolały mnie ręce i kasłałam pyłem, sala zaczęła przypominać pomieszczenie do nauki. Wprawdzie szafy nie miały przeszklenia, a po parkietach nie było śladu, ale naprawiliśmy i oczyściliśmy półki, poskładaliśmy do kupy ławy dla studentów i uratowaliśmy z księgozbioru, co się dało.

– No dobrze, ale miałaś powiedzieć, co nam za to dasz. – Postanowiłam jednak upierać się przy swoim.

– Zaproszę was na lody – stwierdził nieoczekiwanie i westchnął teatralnie, co Irkę wprawiło w najwyższe szczęście, a Kaśce aż zalsniły oczy, bo była, z tego, co się zorientowałam, wielkim łasuchem.

– To my już, już, na jednej nóżce – zerwała się Irka i zaczęła zagarniać jeszcze dwie inne dziewczyny do roboty, Małgosię i Lusię, chociaż Michał zaznaczył, że na lody zaprasza tylko nas trzy.

– Mnie też? – wdzięczyłam się jak słodka idiotka, sprawdzając, czy mnie Alek akurat widzi.

– Ciebie też – oświadczył Michał, nie patrząc na mnie. – Niech będzie moja strata.

– Jak masz tak stracić, to ja nie idę – oświadczyłam, ale zaraz zobaczyłam Alka, który zaglądał do nas, i zaczęłam się przymilać. – Albo dobrze. Pójdę na lody.

Michał patrzył kpiąco na tę moją pantomimę, ale nic nie powiedział, za to ja pomachałam ręką i zawołałam:

– Alek!

A kiedy podszedł i przywitał się z dziewczętami i Michałem, poprosiłam, żeby wniósł najcięższy wolumin na najwyższą półkę, a on zrobił to bez gadania. Wszystkie pięć trzymałyśmy drabinę, a Michał sterował Alkiem, mówiąc, gdzie ma postawić księgę, „trochę bardziej w prawo, lewo”, aż wreszcie stała, gdzie trzeba. To znaczy według Michała, bo wcale nie jestem pewna, czy trzeba było ją tam umieszczać. Przy tym wszystkim Alek o mało co nie spadł, bo nagle wszystkie puściłyśmy drabinę i ona przechyliła się na bok. Szczęśliwie Michał ją złapał. Byłam mu bardzo wdzięczna, bo jakby Alek spadł z pięciu metrów, to byłoby nieszczęście.

– Nic ci się nie stało?! Nic ci się nie stało?! – wykrzykiwała Luśka, a mnie skręcało jak nie wiem co, kiedy się tak dopytywała.

– Nic, wszystko dobrze. Po prostu Tereska chciała mnie wysłać na tamten świat, ale na szczęście Michał mnie uratował – stwierdził Alek i zaśmiał się po dawnemu.

Zrobiłam się czerwona i zaczęłam zaprzeczać, że przecież ja bym nigdy, a Alek powiedział, że przecież wie i że żartował. I już nie zwracał na mnie uwagi, tylko zaraz gdzieś poszli z Michałem, chyba pogadać, jak to chłopcy.

Stałam tam szczęśliwa, bo Alek wymówił moje imię, i to tak jak dawniej, bardzo miękko, przedłużając „s”.

– Może się obrazi na ciebie? – spytała Kasia. – Sam mówił, że go mało nie zabiłaś.

Wzruszyłam ramionami. To akurat świadczyło o tym, że wraca mój dawny Alek i wszystko być może – że znów sięgnę do słów Oleńki Billewiczówny. A poza tym Alek teraz zaprzyjaźnił się z Michałem i na pewno będzie częściej wpadał do naszego miejsca pracy. Widział przecież, że potrzeba nam silnego i sprawnego mężczyzny, bo Michał przecież nie mógł wykonywać wszystkich prac.

– Nie wyglądasz na takiego silnego – powiedziałam do Michała, kiedy już siedzieliśmy przy stolikach i jedliśmy lody. – A przytrzymałaś tę drabinę z Alkiem. Ani drgnęła.

– Mam żelazny chwyt i sprawne ręce. Przed wojną byłem mistrzem Warszawy w tenisie – odburknął. – Mówiło się, że pojadę na mistrzostwa Europy.

Znałam przed wojną taką jedną dziewczynę, Lilkę. Jak była mała, spadła z drzewa i uszkodziła sobie biodro. Potem kuśtykała tak zabawnie jak kaczka. Nie znosiła, kiedy się nad nią litowano albo pomijano milczeniem jej kalectwo. Mówiła, że dopiero wtedy czuje się gorsza od całkiem zdrowych. Tak mówiła – całkiem zdrowi. Z kolei Remek, syn ojca kolegi z pracy, był dzieckiem słabowidzącym. Upierał się, że widzi normalnie, chociaż czytał książki pisane alfabetem Braille'a i chodził do specjalnej szkoły. Którym typem osobowości był Michał? Postanowiłam go zapytać, zwłaszcza że Irka i Kaśka szeptały coś między sobą i się nami nie interesowały.

– Nie lubisz, jak się mówi o twoim kalectwie?

Skrzywił się.

– Nie lubię słowa „kaleka”.  
– Pewnie ci szkoda, że już nie zagrasz w tenisa? – dociekałam.  
– Nie szkoda mi. – Popatrzył na mnie jakoś dziwnie. – Gdzie bym teraz grał w tenisa?  
– Uprzątniemy nie tylko Politechnikę – odpowiedziałam spokojnie, oblizując łyżeczkę. Lody były pyszne.  
– Z czasem odbuduje się obiekty sportowe, jak korty na Legii na przykład.  
– Tak, ale mimo wszystko nie będę mógł tam zagrać. I nie, nie żal mi. Bardziej mi żal, że nie zagrają tam moi koledzy i koleżanki.

Chwilę milczał. Ja nie naciskałam, bo nie wiedziałam, czy chce mówić o kolegach czy też nie. W końcu zaczął:

– Miałem przyjaciela, Olgierda Paczuskiego, rywalizowaliśmy. Raz on wygrywał, raz ja. Ostatni mecz on wygrał, ale zaraz we wrześniu umówiliśmy się na rewanż. Nigdy nie zegraliśmy.

Pewnie zginął.

– Zginął. Niemcy rozstrzelali go na ulicy. Łapanka – potwierdził.

– Przykro mi – powiedziałam.

Pokiwał głową.

– To w końcu masz odłamek w głowie czy nie? – zapytałam.

Popatrzył na mnie z przerażeniem w oczach.

– Ty naprawdę jesteś dziwna – odpowiedział. – Pytać o takie rzeczy.

– Czemu nie? – zdumiałam się. – Sam mi pokazywałeś bliźnę. Rozmawiamy. Jak nie chcesz, to nie mów. Czemu nie mogę zapytać?

– Bo to nie wypada! – wykrzyknął, a Irka i Kaśka przestały paplać, popatrzyły na nas i zaczęły się dopytywać, o co chodzi.

– No wiesz, Teresko... – rzuciła Irka, kiedy już się dowiedziała, jaka to jestem bezczelna.

Może i miały rację. Może wprawiliam Michała w zakłopotanie. Może to nie była moja sprawa, aby pytać, komu pomarli rodzice, dzieci, a komu tylko albo aż przyjaciele. Pora zacząć zachowywać się przyzwoicie.

– Przepraszam – bąknęłam w stronę Michała. – Sądziłam, że po wojnie, skoro wszyscy tyle przeżyliśmy, nic nie jest...

– Jest! – przerwała mi Kaśka.

Patrzyła przy tym na mnie z taką dezaprobatą, że Michał postanowił mi pomóc.

– Wszystko przez nogę i bliźnę na głowie – powiedział i spojrzał karcąco na dziewczyny. – Rozgłazacie nie wiadomo co. Dostałem odłamkiem w głowę, ale mnie tylko drasnęło. Za to w nodze mam całą kulę. Trafily mnie dwie, jedną udało się wyjąć, druga jest ponoć bardzo blisko żyły i nerwów i mógłbym mieć nogę całkiem sparaliżowaną. Albo gdyby ktoś uszkodził naczynie, to nawet...

Pewnie mógłby umrzeć z upływu krwi.

– Naprawdę przepraszam – powiedziałam z głębi serca. – Mój tato jest lekarzem i mogę...

– Nie trzeba! – wykrzyknął, więc umilkłam.

Wyobraziłam go sobie, jak wygrywa w tenisa, jak unosi ręce w zwycięskim geście i skacze z radości. Nagle wydał mi się niemal przystojny.

– Ważne, że przeżyłeś. Tak mówi moja siostra – dodałam.

Tym razem spojrzał na mnie wrogo.

– Zawsze musisz mieć ostatnie słowo? – wycedził przez zaciśnięte zęby.

On chyba raczej był podobny do tego słabowidzącego, który udawał, że widzi dobrze. Ja wolalabym, żeby był inny.

– Zawsze – potwierdziłam. – Zwłaszcza kiedy mam rację.

– My już pójdziemy. – Kasia i Irka wstały i obie jak grzeczne uczennice wyrecytowały, że dziękują za lody i że to było bardzo miłe.

Michał się rozchmurzył.

– Odprowadzę cię – powiedział, kiedy poszły, i zawołał kelnera, żeby zapłacić.

– Miło mi znów panią widzieć – zagadnął kelner, kiedy do nas podszedł. Poznałam go. To był ten sam, który wtedy mnie obsługiwał.

– Mnie także miło pana widzieć. – Uśmiechnęłam się najładniej jak umiałam, a to chyba niedobrze, bo Michał znów się nachmurzył.

– A co to za znajomek? – spytał podczas drogi do domu.

– Kiedyś jadłam tu lody i... byłam bardzo smutna. Rozmawialiśmy trochę – wyznałam.

– Aha... Niedobrze mu z oczu patrzyło.



– Normalnie mu z oczu patrzyło – oburzyłam się. – Nie chciał, żebym zapłaciła.

Aż przystanął.

– A chciał coś w zamian?

– Ty bezczelny jesteś! I co sugerujesz?

– Ty możesz mnie pytać wprost i zawstydząć, a ja nie mogę robić tego samego?

Nie chciałam, żeby mnie Michał odprowadzał. Po pierwsze, miałam blisko i byłabym w domu raz, dwa, a Michał chodził bardzo wolno. Po drugie, nie chciałam, żeby mama albo Mirka mnie zobaczyły, bo jedna i druga, zwłaszcza Mirka, zamęczałyby mnie pytaniami, kto to, co to i czy zapomniałam o Alku. Chociaż gdyby mnie Mirka zobaczyła, na pewno wypaplałaby Dance, a ta powiedziałaby w domu i kto wie, czy Alka by to nie ruszyło i nieco jaśniej by się opowiedział co do swoich uczuć.

– Nie możesz, bo ja jestem dziewczyną – stwierdziłam i dumnie uniosłam podbródek.

– Może jeszcze damą? – zakpił.

– Nie – odparłam z godnością – nie jestem damą. Damy nie biegają z pistoletami, nie strzelają do ludzi, nie ukrywają się w ziemiankach przed Rosjanami i nie niszczą sobie rąk, pracując fizycznie. – Wypowiedziałam te słowa z dumą. Nie chciałam, żeby myślał, że całą wojnę spędziłam na wsi. Myślałam, że mnie przeprosi, ale widocznie był bardziej zacięty ode mnie.

– Ja tam jestem za równouprawnieniem. – Mrugnął do mnie wesoło (to było zadziwiające, jak mu się co chwila zmieniał nastrój), po czym złapał moją rękę i pocałował.

Wyrwałam ją czym prędzej. Po pracy szorowałyśmy ręce i myłyśmy prawdziwym mydłem, które nam dostarczali, ale i tak ręce miałam strasznie zniszczone, paznokcie połamane, a skórę szorstką.

– Żegnam! – rzuciłam nieco patetycznie, bo już nie wiedziałam, czy jestem obrażona czy nie.

Zaczął się śmiać, a ja się zrobiłam czerwona. To było bardzo dziwne. On i ta cała rozmowa.

– Czolem! – padło z tyłu, a kiedy odwróciłam się gwałtownie, zobaczyłam Alka, który do nas machał roześmiany i bardzo z czegoś zadowolony.

– Alek! – zawołałam. – Chodź tu!

Miało to zabrzmieć normalnie, ale wypadło jakoś prosząco. Michał uniósł brwi, a ja zrobiłam się jeszcze bardziej czerwona.

– Nie mogę, bo żona na mnie czeka! – odkrzyknął Alek, a ja poczułam, jak mi lzy napływają do oczu.

– A więc to tak... – powiedział Michał i popatrzył na mnie jakoś smutno. – To dlatego...

I kiedy sądziłam, że już gorzej być nie może, to za moimi plecami usłyszałam tupot stóp i dwa dziewczęce głosy:

– Dzień dobry! Jestem Tereski siostrą. Jestem Mirka, znaczy się – paplała, a Danką gadała, że jest siostrą Alka. – Dużo o panu słyszałam – trajkotała dalej Mirka, a ja miałam ochotę ukręcić smarkuli łeb.

– Tak? – zdziwił się Michał i nieco wyprostował. – A co?

– Same najlepsze rzeczy – wybrnęła Mirka po swojemu.

Tej małej to na mękach by nie pokonali.

– Do domu! – Rzuciłam jej spojrzenie gorgony, ale ona się nie przejęła.

– Gdzie pan mieszka? – spytała bez ogródek.

Świetnie, teraz Michał sobie pomyśli, że cała nasza rodzina wściubia nos w nie swoje sprawy.

– W Alei Róż, przy Dolinie Szwajcarskiej. – Uśmiechnął się.

– Fiu, fiu – odezwała się Danką. – Pewnie nie ma pan dzikich lokatorów.

– Sam jestem dzikim lokatorem – powiedział z powagą, a dziewczynki zaczęły się śmiać.

– Niech pan nas koniecznie odwiedzi – dodała jeszcze Mirka, zanim niemal wepchnęłam ją na podwórze.

Kiedy już w domu wyjrzałam przez okno, wciąż tam stał i mi pomachał. A potem powoli poszedł w stronę Marszałkowskiej, patrząc przy tym pod nogi.

## MIRKA

Zmajstrowałeś dzieciaki, to teraz im trza dać jeść! – darła się nasza nowa lokatorka, budząc przy tym Azora, który się rozszczękał straszliwie. Nie lubił Dzikusów. Nawet bardzo.

Nazywałyśmy z Danką tę rodzinę Dzikusami. Była Dzika – matka, Dziki – ojciec, Dzikuska – dziewczynka, na oko pięcioletnia, i Dzikus – mały synek. Dzikus był śliczny jak aniołek, zupełnie niepodobny do swoich rodziców przypominających raczej neandertalczyków z obrazka z takiej jednej książki, którą tata trzymał w bibliotece.

– To jest niewyobrażalne – powiedziała mama i wycelowała oskarżycielsko palec w ojca. – Miałość coś z tym zrobić.

– Zrobiłem – odparł ojciec spokojnie – ale z kwaterunkiem. Nikogo nam nie przyślą. Nie mogę nic poradzić na dzikich lokatorów.

– Chciałam, żeby Stefan z nami mieszkał, to by teraz Dzikich nie było – odezwałam się znad robótki.

Nieopatrznie użyłam ich wymyślonego nazwiska, ale rodzice się nie zorientowali, tylko zaczęli narzekać, że się wtrącam do rozmowy.

– Trzeba było zabić deskami te otwory drzwiowe – narzekała mama.

Tamte dwa pokoje nie miały drzwi, a jeden z nich nie miał nawet ściany. Dzikim to najwyraźniej nie przeszkadzało. Zasłonili drzwi dyktami. Uważali, że pokój jest wolny i im się należy. Nie spytali o właścicieli, o nic nie pytali. Wprowadzili się i tyle. Nie mieli też w ogóle wstydu i bez żadnego problemu mówili mamie i ojcu „dzień dobry”. Dzika chciała nawet soli pożyczyć, bo jej zabrakło, i mama dała, ale tak na nią spojrzęła, że Dzika więcej niczego nie pożyczyła.

– Też żałuję, że tego nie zrobiłem, ale sądziłem, że skoro kwaterunek zobaczył ten pokój i natychmiast odstąpił od zasiedlania naszego mieszkania, a na dodatek wpisali nas do „odnowy”, to nie będzie żadnych chętnych.

Czwarty pokój nie miał dwóch ścian, więc może nikt tam nie zechce mieszkać, pomyślałam, chociaż widziałam tam wężącą Dziką. Powiedziałam o tym tacie i on zabił otwór drzwiowy deskami, bo się bał, że ktoś wypadnie z tego „pokoju” i się zabije, a on „pójdzie siedzieć”.

– Widać się znaleźli. – Mama załamywała ręce.

Dzicy byli wyjątkowo uciążliwi, to trzeba przyznać. Podsłuchiwałam ich rozmowy i mogłam stwierdzić, że nawet nie byli z Warszawy. Przyjechali z jakiejś wsi, bo ich wieśniacy z domu wyrzucili. Dzika kiedyś wypomniała Dzikiemu, że gdyby nie „to, co było”, toby teraz na roli siedzieli i chałupę mieli. Snułyśmy domysły z Danką, o co też chodziło, i doszłyśmy do wniosku, że pewnie Żydów jakichś wydali, albo Polaków co gorsza, w ostateczności po prostu z Niemcami się trzymali, a po wojnie – wiadomo, samosądy, znikający w ziemi ludzie. Przecież wszystko można zwalić na wojnę. Nie ma gdzie mieszkać – w czasie wojny zburzyli. Nie ma świadectwa – w czasie powstania się spaliło, nie ma świadków – zginęli rozstrzelani. Taki świat. Niezbyt dobry.

– Rozmawiałem z nimi – odparł tato. – I oni nawet słyszeć nie chcą o wyprowadzce.

– Rozmawiałaś z nimi? – spytała ironicznie Tereska.

– Tak, rozmawiałem – rzucił ojciec i odłożył artykuł medyczny, który przyniósł ze szpitala, żeby w spokoju przeczytać.

Wczoraj Tereska narzekała na ból głowy, kiedy Dzikusy zaczęły w pokoju, wprost na podłodze, gotować jakąś zupę. Śmierdziało kapustą okropnie i Tereska, która wróciła skonana z Politechniki, mało się nie rozpląkała, że taki straszny smród.

– Prosiłeś, żeby nie gotowali w mieszkaniu? – zapytała taty.

– Nie prosiłem, tylko zażądałem – odpowiedział, zaciskając przy tym pięści.

Tato był dziwny. Niby spokojny i wszystko znosił, ale jak go coś doprowadziło do ostateczności, to gotów był bić i zabić. Tak jak wtedy, kiedy nie chciał Tereski puścić do powstania.

– Widać z marnym skutkiem – odparowała Tereska.

Zwracała się przy tym do ojca zupełnie bez szacunku, a tato nic. Nie bili nas przed wojną, co najwyżej kilka razy posłali mnie do kąta, ale teraz było inaczej i bałam się, że Tereska w końcu oberwie za swój ton i za to, co wygaduje na oboje rodziców. Że słabi, nieudacznicy, że każde sobie coś tam robi i nie

widzi, co się dzieje dokoła. Może i tato nie widział, bo rano wychodził do szpitala i wracał wieczorem, ale mama na pewno widziała. Chodziła po ruderach wszelkiej maści i pisała, jak ludzie żyją i co czują. Szczerze mówiąc, myślałam, że w związku z tym będzie broniła Dzikich, ale przeciwnie, nienawidziła ich ze szczerego serca. Powiedziała nawet, że gdzieś tam zainterweniuje, żeby ich wyeksmitowali. Moim zdaniem, jak ich nie zakwaterowali, to ich nie wyeksmitują. Ale nikt mnie nie słuchał.

– Jeden mój kolega ma kulę w nodze – powiedziała nieoczekiwanie Tereska. – Mógłbyś go zoperować i mu ją wyjąć?

Zapadła cisza.

– Jaki kolega? – spytał tato, jakby to miało jakieś znaczenie.

– Ja wiem jaki – odezwałam się. – Bardzo miły. Pracuje z Tereską na Politechnice. Kaleka, a pracuje.

– On nie lubi, jak się na niego mówi „kaleka”. – Tereska się skrzywiła.

– No to dobrze – zgodziłam się. – Kuleje, a pracuje.

– Gdzie ma tę kulę? – Tato złożył gazetę i wpatrzył się w Tereskę, jakby wreszcie zaczęła mówić do rzeczy.

– Gdzieś w nodze – odparła. – Oberwał podczas powstania. Dwie kule. Jedną mu wyjęli, a drugiej nie.

– Dlaczego? – indagował dalej tato.

– No właśnie, dlaczego? – wtrąciłam się. Ten Michał był bardzo miły i tak ładnie patrzył na Tereskę. Może by coś z tego było, gdyby nie kulał. Bo Tereska chyba go takiego nie chciała. Nawet gdyby już nie kochała się w Alku.

– Ponoć jest blisko nerwów i jakiejś tam żyły.

Tato zastanawiał się, a my czekałyśmy w napięciu.

– Musiałbym go zbadać – powiedział. – Niech przyjdzie do mnie.

Tereska się ucieszyła i nawet podeszła do taty i cmoknęła go w policzek.

– Dziękuję...

– Nie ma za co. Od tego jestem – odparł tato zwyczajnie, ale widać było, że też się ucieszył.

I jak już było miło, to powiał wiatr i do pokoju wpadł smród kapuchy. Mało nie rzygnęłam. Dzicy byli okropni, nawet Azor ich nie znosił. Poza Dzikusiem, naturalnie, bo Dzikus był jak nie z tej rodziny. Blondynek, oczka niebieskie, uśmiechnięty od ucha do ucha. Swoją drogą ciekawe, bo reszta Dzikich była czarna, oczy mieli jak węgle. Może go komu ukradli?

– Jak ich stąd nie wyrzucisz, to sama się wyniosę – zagroziła tacie Tereska.

Ciekawe dokąd.

– Wszędzie pełno dzikich lokatorów – zaczął tłumaczyć tato cierpliwie. – Ludzie napływają do Warszawy niczym szarańcza. I wchodzą, gdzie się da, do domów, piwnic, byle kawałek ściany znaleźć.

– Ale u nas nie ma ściany – argumentowała Tereska, a minę miała przy tym tak zaciętą, jakby gadała do Dzikich, a nie do ojca. Chociaż kto wie, co tam sobie umyśliła, bo mówiła bardzo głośno, jakby miała nadzieję, że Dzicy ją usłyszą. Ale nawet jakby usłyszeli, toby sobie nic z tego nie zrobili. I już nie była grzeczna i miła jak przed chwilą, kiedy prosiła tatę, żeby się zajął rudym Michałem.

– Mają trzy ściany, to więcej niż niektórzy – wtrąciłam kwaśno, a moja siostra wyjątkowo nie kazała mi zamilknąć.

– I jak będą tu mieszkać, gdy się zimno zrobi? – Krążyła nerwowo po pokoju.

– Jak się zimno zrobi, to się wyniosą – stwierdziłam, chociaż nie byłabym taka pewna co do Dzikich.

– Akurat – sapnęła Tereska. – Nie po to się tu urządzają, żeby się wyprowadzać.

Na to weszła mama i spytała, kto się ma wyprowadzać. Wyjaśniłam jej pokrótce całą sprawę.

– Jak śnieg spadnie, to pójdą – mama przyznała mi rację. Widać już się pogodziła z tym, że będzie musiała ich znosić przez resztę lata i całą jesień.

– Akurat! – powtórzyła Tereska. – Jak spadnie śnieg, to nam tu zajmą jeden pokój.

Nikt się nie roześmiał.

– Jezu... Przecież to całkiem możliwe. – Mama aż zbladła.

– Spokojnie, Azor do tego nie dopuści. I oni to wiedzą – spróbowałam pocieszyć i mamę, i siostrę.

– Jeśli zrobią tak, jak mówię, to ich zabiję – rzuciła Tereska i zrobiła minę pod tytułem „nie żartuję, jeszcze zobaczycie”.

A ja bym mogła zabić. W obronie mojej rodziny albo przyjaciół. I to nie na wojnie. Tereska była

na to za słaba, chociaż w buzi mocna. Poza tym już widzę, jak strzela do Dzikiego. Gdzie by go pocho-  
wała? A Dzikusia? Też by zabiła? Bzdury i tyle. Szkoda, że nie próbowała na tej swojej Politechnice  
popytać, czy nie ma jakiego pokoju, żeby Dzicy mogli się przenieść. Ludzie własnymi siłami łatali dziury  
w ścianach, szklili okna, robili porządki i wynajmowali takie pokoje, żeby zarobić parę groszy. Dzicy  
pewnie nie chcieli wydawać pieniędzy, ale musieli się liczyć z tym, że w zimie nie będą mogli tu miesz-  
kać. Co prawda, to prawda.

– Nic nie mogę zrobić – odezwał się w końcu tato. – Siłą ich stąd nie wyrzucę.

Też racja. Trzeba sposobem. Już ja coś wymyślę.

– Może wychodek deskami zabić? – burknęłam.

– To będą srali na podwórzu! – wrzasnęła Tereska całkiem wyprowadzona z równowagi.

Babcia Hrabina, która przyszła za mamą, złapała się za serce.

– Nie odzywaj się w ten sposób! – krzyknęła mama, a Tereska już otwierała buzię, żeby jej odpy-  
skować, kiedy ktoś pod domem zagwizdał i ja, i Tereska rzuciłyśmy się do okna, żeby zobaczyć kto to,  
bo każda z nas uznała, że to do niej.

– To moja koleżanka! – krzyknęła, narzuciła na siebie sweterek i poszła.

– Jak ona się wysławia. – Mama westchnęła.

– Jest zdenerwowana – usprawiedliwiła Tereskę Babcia Hrabina.

– Bo Dzicy są nie do zniesienia, mamó – powiedziałam ugodowym tonem, a oni wyjątkowo mnie  
nie uciszili. – Gotują w domu i jeszcze nam wysadzą to, co z niego zostało. Z tym sraniem na podwórzu  
to Tereska też nie przesadziła. Widziałam Dzi... tego pana, że to robił. O sikaniu nie wspomnę.

– Boże... – Mama ukryła twarz w dłoniach.

Byłam w bardzo złym humorze, bo jedna baba z targu mnie oszukała. Dogadałam się z nią i mia-  
łam jej dostarczać swetry i bluzki. Babie dobrze z oczu patrzyło, Azora pogłaskała, a ja cieszyłam się, że  
znów będę sprzedawać – tyle że teraz na Koszykach, bo z oczywistych względów bałam się iść na  
Różycę. Zaniósłam jej bluzkę zrobioną z trzech innych, i jeszcze dwa kołnierzyki wydziergane na szy-  
dełku, baba mi zapłaciła sto złotych za bluzkę i po dziesięć za kołnierzyk. A potem zobaczyłam, że  
Baniakowa z Marszałkowskiej chodzi w tej mojej bluzce. Dumna byłam jak paw, bo Baniakowa, chociaż  
nazywała się jak wieśniaczka, była z eleganckiej rodziny. Tylko wyszła za Baniaka, który był adwoka-  
tem. W każdym razie ja do niej, czy zadowolona, a ona mi mówi, że bardzo, tylko strasznie droga ta  
bluzka. Coś mnie tknęło i spytałam, ile za nią dała, a ona, że pięćset złotych. To mnie szlag trafił i wróci-  
łam do tej baby, i mówię jej, że to jest rozbój w biały dzień. A baba, że jak mi się nie podoba, to żebym  
sama sprzedawała, ale ona dołoży starań, żebym musiała się opłacać tym i owym, bo każdy, kto tu sprze-  
daje, to płaci swoje. No i się zorientowałam, że zapłaciłam frycowe po raz kolejny. Niech to diabli.  
Wszystko dlatego, że jestem taka młoda. A przecież nie dla siebie handlowałam, bo ja jeść miałam co.  
W dodatku nie mogłam się poskarżyć w domu, bo mama by zawału dostała, że chodzę na targ i coś sprze-  
daję. W sumie wiedziała, że ciągle coś szyję, ale myślała, że zarabiam grosze i wydaję na cukierki, a ja jej  
z błędu nie wyprowadzałam.

Chciałam zdobyć pieniądze dla Piaseckich i na wykup Stefana. Pani Piasecka poszła wprawdzie  
do pracy, ale nie była to robota dla niej, bo przy sprzątanii, a ona była słaba i stara. No, ale przynajmniej  
nie przy sprzątanii Politechniki ani nie przy Wiśle, bo tam chyba było najciężej, tyle że dobrze płacili.  
Pani Piasecka sprzątała tam, gdzie była mamy gazeta, i to mama jej załatwiła tę robotę. No, ale wróży-  
łam, że długo to nie potrwa, bo pani Piasecka miała niewiele więcej sił niż pan Piasecki. Bardzo chciałam  
pomóc, bo im było naprawdę ciężko. Pan Piasecki uparczywie trzymał się życia, a ja z Danką zaparłam  
się, że razem wyciągniemy go z objęć śmierci. Wiem, że to patetycznie zabrzmiało, ale ilekroć przypomi-  
nałam sobie, jak tato mówi, że „ten człowiek nie powinien żyć”, tyle razy zaciskałam zęby i wyciągałam  
spod ziemi jakieś szmaty, przerabiałam je na coś przyzwoitego i sprzedawałam. A teraz to aż mnie  
w dołku ścisnęło, że koło nosa przeszło mi czterysta złotych. No i moja handlowa duma cierpiała straszli-  
wie po tej porażce. Co do Stefana, to odkąd wzięli go do domu dziecka, zbierałam pieniądze, aby do  
niego pojechać. Ponoć wywieźli ich do Tworek. Tam w szpitalu dla wariatów urządzili sierociniec. Pisał  
do mnie i Danki. Przekazał list przez siostrę miłosierdzia, która przyjeżdżała regularnie do Warszawy  
i zgodziła się dostarczyć nam wiadomość. Niech ją Pan Bóg błogosławi. Miałam plan, żeby Stefana  
wyciągnąć z tego sierocińca i gdzieś umieścić, tylko jeszcze nie wiedziałam gdzie. I potrzebowałam pie-  
niędzy. Jemu tego nie powiedziałam, bo mógłby się unieść honorem i przestać pisać, a Dance też nie  
chciałam mówić, bo jej tak na Stefanie nie zależało jak mnie; pogodziła się z tym wszystkim i uważała,  
że w domu dziecka będzie mu dobrze. Ja tak nie uważałam. Nikomu nie jest dobrze w sierocińcu,  
w dodatku tak daleko od domu. A jeśli tam zostanie, to zaraz o mnie zapomni, bo będzie chodził do tam-

tejszej szkoły i pozna inne towarzystwo. A ja nie mogłam do tego dopuścić. Myślałam i myślałam i nic nie mogłam wymyślić, poza tym, by namówić państwa Piaseckich, żeby go adoptowali. Ile razy tam byłam, otwierałam buzię, by to z siebie wydusić, i ciągle coś stawało na przeszkodzie albo mnie dławiło w gardle i nie mogłam.

I jak tak sobie siedziałam i myślałam po raz kolejny, co tu zrobić, znów się rozległo ciche gwizdnięcie i tym razem byłam pewna, że to do mnie, bo Tereska już poszła. Ale nawet nie musiałam wyglądać, bo wiedziałam, kto tak gwizdże. Zastanawiałam się tylko, co tu Stefan robi i czy się nie wplątał w jakieś kłopoty, bo raczej nie wyglądało, żeby go z tych Tworek wysłali na wycieczkę do Warszawy.

\* \* \*

– Uciekłem – stwierdził rzecz dla mnie oczywistą, głaskając Azora. – Co tam słychać u ciebie, piesku?

– Ale jak to? – spytałam i odsunęłam Azora na bok, bo włożył na Stefana i zaczął go lizać po twarzy.

Azor położył się zatem koło nas, a my siedliśmy w kucki na naszym podwórzu, za dziurą w ścianie prowadzącą do piwnicy. To był bardzo dobry punkt, żeby się schować, bo niby osłonięty z wszystkich stron, ale widać, czy kto nie idzie.

– Tak to. – Wzruszył ramionami. – Nie pilnowali za bardzo. Tam jest duży park i drzewa. Jest jedno miejsce, w którym można się wydostać. Przy rzeczce, gdzie kończy się płot. Zaraz niedaleko jest droga. Podwiózł mnie jeden taki wieśniak, furmanką. I jestem.

– A co mu powiedziałaś?

– Że do Warszawy jadę. On też jechał – na targ z towarem.

– Jakim towarem? – dopytywałam tak, żeby zyskać na czasie, bo zbierałam myśli. Zupełnie nie wiedziałam, co powiedzieć i co zrobić.

– Mięso miał – wyjaśnił krótko Stefan. – Towar pewnie trefny, ale to nie moja sprawa. Jechaliśmy opłotkami. Chyba się zorientował, że uciekam. Jakby nas zatrzymali, to chciał, żebym powiedział, że jestem jego synem.

Nigdy nie widziałam handlarzy, którzy w biały dzień by handlowali mięsem na Różycu. A na Koszykach to już w ogóle. Powiedziałam to Stefanowi, a on spojrzał na mnie jak na głupią i popukał się w czoło.

– Zgłupiałaś chyba – burknął. – W nocy uciekłem. Jak wszyscy poszli spać. Na klucz nas zamykają, ale wcześniej zwinąłem jeden ze stróżówki. Wybiegłem temu wieśniakowi na drogę, jak usłyszałem rzenie konia. Normalnie chciałem do domu piechotą iść, a tak to byliśmy, zanim zaczęło świtać.

No tak, co ja sobie myślałam.

– A czemu uciekłeś? – spytałam i złapałam go za rękę. – Bili cię tam?

Wyrwał się i stanął na równe nogi.

– Głupia jesteś! – wrzasnął, nie przejmując się, że ktoś może usłyszeć. – Nikt mnie nie bił! Żałuję, że tu przyszedłem!

Znów złapałam go za rękę, ale tym razem mocno, i chociaż się wrywał, nie puszczałam. I Azor na niego warczał, bo czuł, że musi mi pomóc. Azor to chyba był zazdrosny o Stefana.

– Przepraszam! Przepraszam! Zostań!

W końcu przestał się wrywać i usiadł z powrotem na kamieniach.

– Wszyscy byli dla nas mili – powiedział w końcu. – Jak to dla sierot. Ale ja nie umiem tak żyć.

Zamilkł, a ponieważ długo nie wyjaśniał, o co chodzi, a ja nie mogłam znieść ciszy, to zaczęłam mu opowiadać o tym, co się ostatnio działo. O babie, która zarobiła na mnie czterysta złotych, o Teresce, którą odprowadza do domu nowy absztyfikant, o Alku, który zamierzał się wyprowadzić z domu z Renatą, czego nie mogła przeżyć pani Frankońska. Słuchał, ale się nie rozchmurzał. W końcu opowiedziałam mu, że pan Piasecki czuje się znacznie lepiej, co mnie niezmiernie cieszy, bo odkąd mój ojciec powiedział, że pan Piasecki umrze, czułam się okropnie.

– Ja też bym nie chciał, żeby on umarł. Jakby umarł, toby było tak... jakby, jakby...

– Jakby wszystko było bez sensu – dokończyłam.

Spojrzał na mnie jak dawny Stefan i sam wziął mnie za rękę.

– Mirka... – zaczął.

– Zrobię wszystko, przecież wiesz – odparłam, a serce mi mało co nie wyskoczyło z piersi.

– Ja nie mogłem tam zostać. Jeść na gwizdek, spać na gwizdek, spacer na gwizdek... Miałem pomagać młodszemu, bo jak się jest harcerzem... A te dzieci w kółko płakały i mówiły, że chcą do mamy, taty, babci...

– Rozumiem...

W takich chwilach żałowałam, że mnie ktoś nie umarł. Nie żebym nie umiała sobie wyobrazić, co czuje Stefan czy tamte sieroty, ale miałam wyrzuty sumienia, że mnie się tak dobrze powodzi.

– Oni po mnie przyjdą. – Westchnął, a w jego głosie zabrzmiała rezygnacja. – Nie wiem, po co uciekałam.

– I wrócisz do Tworek, tak? – spytałam ze ściśniętym sercem.

– Nie wiem, czy do Tworek. Mówili nam, że jak będziemy uciekać, to nas czeka nie dom dziecka, tylko poprawczak. Bo widzisz, Mirko, część z nas, sierot, to potencjalni przestępcy, których należy pilnować.

Tym razem nic nie rozumiałam.

– No dobrze – rzuciłam, bo nachmurzył się po dawnemu i wiedziałam, że znów może się obrazić, pójść gdzieś i coś zmalować, a wtedy go potraktują jak przestępcę, cokolwiek to znaczy. – To co teraz robimy?

– Pójdę chyba do domu...

Miał na myśli te ruiny, w których mieszkał, zanim go zabrali.

– Tam cię zaraz zgarną – zaprotestowałam. – Trzeba znaleźć lepsze miejsce.

Zaświtał mi pewien pomysł, ale należało sprawę obgadać z Danką. Bo Frankońscy szukali kogoś, kto by chciał nocować w piekarni i jej pilnować. Już kilka razy próbowano się tam włamać. Frankońscy nie wiedzieli, czy to dzicy lokatorzy, czy złodzieje. Ja stawiałam na lokatorów, bo złodzieje byłiby bardziej stanowczy. Wybiliby szybę albo zerwali kłódkę i weszli do środka, żeby wynieść to, co z takim trudem udało się rodzicom Danki odkupić.

– No nie wiem... – Stefan się wahał. – A nie zakapują mnie?

– Na pewno nie – odparłam stanowczo. – Co najwyżej od razu powiedzą, że nie mogą się zgodzić i musisz wracać do domu dziecka. A wtedy powiemy, że wróciłeś, i znajdziemy inne miejsce.

– Twoja pani jest bardzo mądra, piesku – zwrócił się do Azora, a ja pokraśniałam z dumy.

I zaraz mi też przyszło do głowy, że pójdę do Baniakowej i spytam, czybym mogła dla niej szyć. Ona będzie płaciła mniej niż na bazarze, a ja zarobię więcej. I życie znów mi się wydało całkiem znośne.

\* \* \*

Frankońscy, o dziwo, się zgodzili, a nawet ucieszyli. Zapytali jedynie, skąd Stefan wziął się w Warszawie, ale on odpowiedział tak, jak ustaliliśmy z Danką, że cały czas mieszka w domu dziecka, tylko przyjechał na małe wakacje, żeby ustalić prawo własności do lokalu, który zajmował z rodzicami przed wojną, i zapisać się tu do szkoły. Z tym lokalem to ja wymyśliłam, a ze szkołą Danką. Frankońscy łyknęli sprawę bez żadnych zastrzeżeń. Na wszelki wypadek powiedzieliśmy im to wszystko, kiedy w pobliżu nie było Alka. On mógłby podejrzewać, że z tymi wakacjami to nie do końca pasuje. No i moim rodzicom też słowa nie pisnęłam, bo nie wiem, co by zrobili. Jak znam mamę i jej szlachetne pomysły, to zaraz by jakieś władze powiadomiła, tak z dobrego serca oczywiście.

Stefan zaczął sypiać w piekarni. Pomyślałam wprawdzie, że gdyby przyszli prawdziwi złodzieje, to mogliby mu zrobić krzywdę, ale Frankońscy postanowili tak to rozwiązać, że zapalali w środku lampę i na drzwiach wisiała kartka, że w piekarni jest „zły pies”. Najpierw to śmiać mi się chciało, bo gołym okiem było widać, a raczej nie było widać żadnego psa, ani złego, ani dobrego, ale na dłuższą metę to działało. Każdy, kto chciał zobaczyć, gdzie ten pies, widział, że jest ktoś, kto pilnuje. I odchodził. Przy najmniej teoretycznie, bo przez cały tydzień Stefan mieszkał sobie spokojnie w piekarni, spał i jadł chleb i nic się nie działo. A potem wydarzyły się dwie rzeczy naraz.

Nie mogłam spać, bo za ścianą Dzicy coś gotowali i bałam się, że spalą dom. Mama i tato spali jak zabici, Tereska pochrapywała (swoją drogą muszę jej powiedzieć, że chrapie, bo jak jej to mąż powie podczas nocy poślubnej, będzie głupio). Wstałam i podeszłam do okna. Jak się bardzo wychylić, to widać było piekarnię, więc spojrzałam sobie, bo tam przecież spał Stefan, bliski mi jak nigdy dotąd. I zobaczyłam, że drzwi są uchylone, zaraz zresztą ktoś je zamknął, a światło w oknie zamigotało. Aż mi się gorąco zrobiło na myśl, że ktoś się włamał do Stefana i jeszcze mu krzywdę robi. Kiwnęłam głową na Azora, szybko narzuciłam na grzbiet sweterek i zaraz poszliśmy go ratować. Tyle że jak zajrzałam przez okno, to zobaczyłam, że Stefan siedzi z Danką. Ona mu trzyma głowę na ramieniu, płacze i coś mówi, a on ją klepie po plecach. No i tego było dla mnie za wiele. Zdrajcy! Weszłam do piekarni, bo drzwi nie zamknęły, i stanęłam w nocnej koszuli, rozczochrana i wściekła. Odskoczyli od siebie jak oparzeni.

– Mirka! – wykrzyknęła Danką.

– Poczekaj – dodał Stefan, chociaż stałam tam i się nie ruszałam.

– A więc to tak – powiedziałam do Danki.

Osoba, która miałaby chociaż trochę honoru, nie weszłaby do piekarni i nie zrobiła sceny. Pewnie cierpiałaby w milczeniu. Ale ja taka nie byłam. I guzik mnie obchodziło, co sobie Stefan pomyśli. Nie wiem, co mnie bardziej bolało – zdrada Danki czy też atencja Stefana dla niej. Danka zawsze była śliczna. Może nie miała warkoczy jak ja, ale dwie kitki, które sterczały jej nad uszami, sprawiały, że była urocza. Tak mówiły starsze panie. I nie miała takich burych oczu jak ja, tylko niebieskie, wielkie. No i nie była taka koścista, nie mówili na nią „Patyczkówna”. Słowem – mogła się podobać Stefanowi. Tylko że ja nie umiałam się z tym pogodzić. Przynajmniej nie w nocy, nie wtedy, kiedy Stefan wrócił do mnie. Albo i nie do mnie.

– To nie tak, Mirka. Nie tak – płakała Danka.

Stefan stał i nic nie mówił. No to ja postanowiłam sobie pójść, skoro już się wydało, że się w nim kocham.

– Chodź, Azor, nic tu po nas. – Gwizdnęłam na psa, który zachował się bardzo w porządku w stosunku do mnie, bo nawet nie podszedł do Stefana ani do Danki, żeby się przywitać.

Myślałam, że nie zasnę do rana, ale w końcu udręczona płaczem zapadłam w sen. A kiedy wstałam rano, to okazało się, że Danka na mnie czeka na dole. Nie chciałam z nią w ogóle rozmawiać, bo i o czym.

– Idź sobie! – rzuciłam i dodałam, że nigdy więcej się do niej nie odezwę.

– Stefan zniknął! – krzyknęła, a ja stanęłam jak wryta.

Chwilę zastanawiałam się nad tym i uznałam, że to dobrze. Nie mogłabym na niego patrzeć.

– Uciekł od ciebie – stwierdziłam z satysfakcją.

– Trzeba go znaleźć – powiedziała proszącym tonem.

Stałam w milczeniu.

– Gotów zrobić jakieś głupstwo – przekonywała.

Głupstwo to on już zrobił. Jeśli zamierza zrobić inne, to bez mojego udziału. I czemu miałabym im pomagać?

– To nie moja sprawa – wycodziłam przez zaciśnięte zęby.

– Jak ty nic nie rozumiesz – zachlipała i pobieгла przed siebie.

Rozumiałam wystarczająco dużo. I postanowiłam, że naprawdę się do Danki nie odezwę już nigdy w życiu. Co do Stefana, to tak mi było żal i przykro, i tak mnie serce bolało, że nawet nie myślałam, czybym się do niego odezwała czy też nie. W ogóle nie chciałam o nim myśleć. Bo jeszcze bym pomyślała, że szkoda, że przeżył, że szkoda, że ja przeżyłam. A ja za nic nie chciałam tak myśleć.

– Co się stało, Mireczko? – spytała Babcia Hrabina, kiedy wróciłam.

Nikogo innego nie było w domu. Za ścianą kłócili się Dzicy, ale nie słyszałam o co. Było mi wszystko jedno.

– Nic – powiedziałam, licząc, że zostawi mnie w spokoju.

– Gdybyś chciała porozmawiać...

– Niech Babcia się nie gniewa, ale ja teraz po prostu nie mogę... – wyznałam szczerze, bo widziałam, że chce dobrze.

Uśmiechnęła się do mnie jak prawdziwa babcia, tak z miłością w oczach. Moja własna tak się do mnie nie uśmiechała.

– Rozumiem. – Pogłaskała mnie po twarzy.

Przytuliłam się do niej na chwilę, a potem poszliśmy z Azorem się położyć. Nawet nie płakałam, starałam się myśleć o czymś innym niż zdrada Stefana i niepostrzeżenie zasnęłam. A kiedy wstałam, to wciąż nikogo nie było prócz Babci Hrabiny, która tymczasem usmażyła naleśniki. Po dwa dla każdego. Były nawet konfitury truskawkowe, nie wiem skąd, może to ojciec dostał od jakichś pacjentów ze wsi.

– Jedz, kochanie. – Znów się tak samo uśmiechnęła, a ja się rzuciłam na te naleśniki, jakbym tydzień nie jadła. Były pyszne.

I jak sobie pojadłam, to od razu mi się lepiej zrobiło. Nie zupełnie dobrze, ale lepiej. Już mi się nie chciało spać, tylko zaczęłam obmyślać, co ze sobą dalej zrobić. W sensie: w życiu co miałabym robić. I postanowiłam, że naprawdę pójdę do Baniakowej, powiem jej wprost, że mogę dla niej szyć.

– Usmażyłam dwa dodatkowe, bo wiem, że ty... – powiedziała Babcia Hrabina. – To dla tego pana, któremu pomagasz.

Rzuciłam się jej na szyję, bo pomyślała o Piaseckich. Ciekawe, czy wszyscy wiedzieli, czy tylko Babcia Hrabina.

– Nie wiem, czy twoi rodzice wiedzą, a Tereska...

No właśnie, Tereski to nic nie obchodzi oprócz Alka.

– Ale Babcia wie, tak? – spytałam.

Pokiwała głową.

– Czasem rozmawiam z panią Piasecką. To jest bardzo dobra kobieta. I ona mi powiedziała.

– Musimy uratować pana Piaseckiego – odparłam z mocą. – Bo inaczej...

– Uratujemy. – W głosie Babci była taka pewność, że znów się jej rzuciłam na szyję i pocałowałam w oba policzki.

Potem odskoczyłam, bo przypomniałam sobie, jaka jest dostojna, i zaczęłam ją przeproszać.

– Już nie jestem tą samą osobą. I nazywam się inaczej, pamiętasz?

Teraz ja pokiwałam głową i się do niej uśmiechnęłam. A potem zawinęłyśmy ciepłe i pachnące jak niebo naleśniki w papier, wzięłam Azora i poszłam do Piaseckich. I to był bardzo ważny dzień.



## *Pamiętnik Tereski*

Gruzów jednak ubywało. Udało się przygotować kilka sal, w których można było się uczyć. Myślałam, że zostaną uroczyste otwarte jakoś na jesieni i dopiero wtedy zacznie się nauka, ale nie. Ustalono, że zajęcia rozpoczną się natychmiast, chociaż takie zupełnie nieoficjalne.

– Chodzi o to, żeby zobaczyć, jak to będzie funkcjonowało, żeby ułożyć program na najbliższe lata – tłumaczyła Iśka.

– Jak to? – Nie rozumiałam.

– Wszyscy jak tu stoją, każdy, kto chce się tu uczyć, jest w innej sytuacji. Jedni powinni zaczynać... – Michał włączył się do rozmowy.

– Jak ja! – przerwałam mu.

– ...inni powinni być na drugim, trzecim roku albo kończyć studia – dopowiedział, nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi.

– Nawet jeśli ktoś powinien być na trzecim roku, to przecież zacznie od początku – wtrąciła się Luscia.

Siedzieliśmy pod jedną z sal, którą właśnie mieliśmy zacząć sprzątać po wywiezieniu gruzów. To Alek i jego drużyna wyczyścili ją dla nas.

– Niby tak, ale nie można przecież studiować do trzydziestki.

– Dlaczego? – spytała Krysia, śliczna blondyneczka, zupełnie nowa w naszej grupie.

Nie lubiłam jej. Wdzięczyła się do Michała i robiła jak najwięcej, żeby robić jak najmniej.

– Dlatego że trzeba pracować i z czegoś żyć – wyjaśniłam jej – a jednocześnie się uczyć.

– Właśnie. Dziękuję, Teresko. – Michał przyjął z aprobatą moje słowa, a ja cała pokraśniałam.

– Dlatego chcą zacząć naukę wcześniej – olśniono Krysię, która nie była zbyt mądra i założyła się, że nadal nic nie rozumiała, tylko chciała się Michałowi przypodobać. Lepiej by zrobiła, gdyby się wzięła do prawdziwej roboty, zamiast stroić te swoje minki.

– Tylko problem jest też z tymi, którzy nie mają matury – dodał Michał, nagle strapiony.

Wiedziałam, o czym mówi. Tajne komplety nie dawały wszechstronnego ani równego wykształcenia. Raczej podtrzymywały wolę nauki i poczucie przynależności do okupowanego narodu, niż przekazywały solidną wiedzę. Chociaż niektórzy kończyli medycynę na tajnych kompletach, co, jak mówił tato, nie wydawało mu się w ogóle możliwe, to jednak poziom edukacji przez te lata znacznie spadł.

– Nawet ci, którzy zdawali maturę, stracili papiery – zauważyła Luscia.

– Już widzę, jak przychodzi tłum ludzi i wszyscy jak jeden mąż mówią, że zdali na piątki, tylko im te piątki spłonęły w ogniu – wyłośliwiłam się.

– Co ty możesz o tym wiedzieć? – zaperzyła się Kryśka.

W twarz uderzyła mnie fala gorąca. Przecież niewiele z nią rozmawiałam, a na pewno nie o tym, że podczas powstania byłam poza Warszawą. Ktoś musiał jej powiedzieć. A skoro tembr jej głosu był taki a nie inny, ktoś musiał wypowiedzieć się o mojej nieobecności z pogardą. Popatrzyłam po wszystkich twarzach niemal jednocześnie. Kto śmiał? Tylko dwie osoby spuściły wzrok. Iśka i Michał. Czy to jemu przeszkadzało, że nie walczyłam?

– Jak śmiesz? – wycodziłam.

– Ale co, ale co? – Krysia zasłoniła się rękami, jakbym ją chciała uderzyć.

– Nic – rzuciłam i wyszłam na zewnątrz, trzasnąwszy drzwiami.

Łzy płynęły mi z oczu, ale w środku gotowałam się ze złości. Kiedy ludzie zapomną, że mnie nie było?! Kiedy przestaną mnie lekceważyć, bo nie walczyłam o wolność Warszawy?!

Dostrzegłam Alka. Instynktownie pobiegłam do niego. Odstawił taczkę i dopadł do mnie jednym susem.

– Co się stało? – spytał.

W jego oczach dostrzegłam coś więcej niż niepokój. Zobaczyłam strach i dawne, gorące uczucie.

– Co się stało, Teresko, co? – dopytywał się.

Chciałam mu opowiedzieć, jak mnie traktują, jak krzywdzą, ale tylko patrzyłam i ronila łzy, napawając się jego bliskością i szczęściem, które nieoczekiwanie stały się moim udziałem. Już nie miałam żalu do Krysi, bo nagle znalazłam się w jego ramionach. Obejmował mnie jak dawniej, mocno oplatając

ramionami, tak, że ginęłam w nich. Czulałam się bezpiecznie, dobrze, jak dawniej. Nic się nie zmieniło. Wiedziałam, że Alek jest mój. Wiedziałam, czulałam, że ten ślub i wszystko to jedno wielkie nieporozumienie. Chciałam zatrzymać tę chwilę na zawsze, zasnąć, nawet umrzeć, byleby trwała, i nic mnie nie obchodziło, że w auli są jacyś ludzie, że mogą się na nas gapić. Alek był mój. Jak kiedyś. Jak zawsze. Słyszałam jego bijące serce i czulałam brodę, którą dotykał mojej skroni. Zawsze miał bardzo mocny zarost. Golił się dwa razy dziennie, bo wieczorem wyglądał, jakby był umorusany. Pomyślałam, że wyjdziemy stąd razem, teraz, brudni, spoceni, ale znów należący do siebie. Przenikniemy do naszego świata, którego nigdy nie utraciliśmy. I niech się dzieje, co chce.

– Co się stało, Teresko? – powtórzył, może trochę bardziej natarczywie.

Oderwałam głowę od jego piersi, nie przestając go obejmować.

– Oni... – dukalam, starając się nadać głosowi szlachetny tembr – oni mi dokuczają.

Dziecinnie to zabrzmiało, ale wydawało się, że Alek rozumie.

– Kto? – spytał.

Staliśmy tak objęci na środku, chciałam, żeby wszyscy nas zobaczyli.

– Kto ci dokucza? – dociekał. – Co się dzieje, Teresko?

Zanim odpowiedziałam, zbliżyłam wargi do jego warg, a potem spojrzałam mu głęboko w oczy. Nie odsunął się. Jego źrenice zwężyły się i wtedy go pocałowałam. Wpiłam się w jego usta i z radością poczułam, że na ułamek sekundy i on oddał pocałunek.

– Tak cię kocham – wypowiedziałam samymi ustami.

Dopiero wtedy odsunął się ode mnie, patrząc z przerażeniem.

– Boże – westchnął.

Złapałam go za rękę.

– Alek – wyrzuciłam z siebie.

Patrzył z coraz większym przerażeniem, jakbyśmy się dopuścili zbrodni.

– Proszę cię. Ja wszystko wiem, rozumiem, wybaczam ci – plątałam się, bo ten jego wzrok odebrałam jednoznacznie. Że zrozumiał, co zrobił mnie i tej dziewczynie, że teraz już przestanie ją oszukiwać, mnie unikać i będzie, jak powinno być. Ona rozumie. Ja wybaczę.

Odsunął się jeszcze dalej. Zrobiłam krok w przód. On ponownie się cofnął.

– Myślałem, że coś ci się stało – powiedział w końcu. – Chciałem...

Muszę wzbudzić w nim żal, pomyślałam.

– Powiedziały, że nic nie rozumiem, bo mnie nie było w powstaniu! – rzuciłam. – Dokuczają mi, śmieją się za moimi plecami. Ja teraz mogę walczyć! Nawet teraz mogę...

– Co ty mówisz? – przerwał mi. – Co ty mówisz? Muszę wracać do pracy.

– Do jakiej pracy?! – wykrzyknęłam. – Musimy iść do domu i powiedzieć wszystkim.

– Co powiedzieć? – Nie rozumiał. – Skoro to nic takiego, możemy porozmawiać później.

Wokół nas gromadzili się gapie. Dostrzegłam ryżą głowę Michała i blond włosy Kryśki i Iśki. Nie mogłam tak tego zostawić.

– Nic takiego?! – wykrzyknęłam. – Tylko ty możesz mnie obronić! Tylko ty możesz mi pomóc!

Znów złapałam go za ręce i wpatrzyłam się w niego błagalnym wzrokiem.

– Porozmawiamy później. Nie rób tutaj cyrku – prosił.

– Porozmawiamy teraz! – wrzasnęłam urażona do żywego. – Bo zobaczysz, co to jest cyrk!

Michał i dziewczyny szczęśliwie schowali się z powrotem do pomieszczenia.

– Dobrze – powiedział Alek. – Porozmawiajmy teraz. Już dawno powinniśmy porozmawiać i to moja wina, że do tej rozmowy nie doszło.

– Powiedz to wreszcie, powiedz... – Znów zaczęłam płakać.

– Przede wszystkim nikt nie ma do ciebie ani żalu, ani pretensji o to, że nie walczyłaś – zaczął. –

Kiedy sam o tym myślę, to dziękuję Bogu, że cię nie było.

Nie to chciałam usłyszeć. Czekałam na słowa o miłości.

– Tylko cudem przeżyliśmy – tłumaczył. – Umieraliśmy każdego dnia, rozerwani pociskami wroga albo zabijani przez snajperów. Czasem zabijały nas rozkazy naszych własnych dowódców, którzy wysyłali nas na pewną śmierć. Nie wiem po co, bo ani razu nie zatriumfowaliśmy.

Co on mówił, Boże, co on mówił?

– Ale... – Nie rozumiałam.

– Niektórych nie dało się pochować. Ze Staszka zostały tylko jelita, które wisały na drzewie. Z Lilki jedna ręka się ostała. Pamiętasz, jakie miała piękne ręce? Co dzień mi się śnią i zawsze wtedy myślę, że dużo bym dał, żeby ich tam nie było. Dużo bym dał, żeby mnie nie było!

*Patrzyłam przerażona.*

*– A ja bym wszystko dała, żeby walczyć z tobą ramię w ramię – wydusiłam w końcu chrapliwym z emocji głosem. – Żeby zginąć. Żeby nie musiała patrzeć...*

*– Nie mów takich rzeczy! – wykrzyknął.*

*Podszedł do nas kierownik budowy.*

*– A wy tu tak długo będziecie gruchać? – burknął.*

*Alek złapał mnie za ramię i powiódł w kąt. Przybliżył do mojej swojej twarz. Znow pomyślałam, że mnie obejmie, przytuli, wytłumaczy, dlaczego zrobił mi tak straszną rzecz.*

*– Ty jesteś opętana – usłyszałam zamiast słów miłości. – Tą ideą walki, śmierci, krwi, która musiała zalać to miasto. Ty jesteś...*

*– No jaka? – Spojrzałam mu prosto w twarz. – Odważna?*

*– Przestań już – poprosił. – Wojna się skończyła. Musimy wszystko odbudować. Zacząć nowe życie.*

*Nie chciałam tego słuchać.*

*– Powiedz jej, że odchodzisz – zażądałam.*

*– Co? – Skrzywił się. – Komu? Co?*

*– Renacie powiedz – ponowiłam żądanie. – Mnie kochasz. Za mną tęsknisz. Mnie całowałeś.*

*Złapałam go za ramiona. Wyrwał się po chwili.*

*– Nie, Teresko.*

*– Co nie? Rozumiem, że unosisz się honorem. Bóg, honor, ojczyzna – recytowałam – ale...*

*– Nie! – znów ten gniewny szept. – Mam żonę i kocham ją z całego serca, z całych sił i całym umysłem!*

*– Nie wierzę ci! – Złapałam go jeszcze raz za ramię i nie puściłam, mimo że się wyrwał. – Mnie znasz całe życie, ją...*

*– Przestań mnie ranić, to ja też nie zranię ciebie – poprosił cichym głosem. Nie wyrwał się, ale nie patrzył mi w oczy.*

*– Ja ciebie ranię? Ja?*

*– Kocham Renatę i ani przez chwilę nie żałuję, że ją poślubiłem – powiedział, kiedy znów zwrócił wzrok w moją stronę. – Nigdy więcej nie prowokuj takich sytuacji.*

*– Nie... – Nie dawałam za wygraną.*

*– Jeśli możesz, wybac mi. A jeśli nie potrafisz – trudno.*

*Znajome uczucie złości zaatakowało mnie ze zdwojoną siłą.*

*– Nigdy ci tego nie wybaczę – wycedziłam. – Ani jej.*

*– Zostaw ją w spokoju – powiedział zimno. – I mnie. Poproszę kierownika o inny przydział pracy – dodał po chwili. – Uważam, że nie powinniśmy się spotykać.*

*Odszedł, pozostawiając mnie z wyrwą w sercu. Przywarłam do ściany i ukryłam twarz w dłoniach. Koło mnie ktoś przystanął. Otworzyłam oczy w nadziei, że to Alek wrócił, ale nie. Obok stała Iska z fałszywym uśmiechem na twarzy.*

*– Michał pyta, czy wrócisz do pracy.*

*Zmierzyłam ją zimnym spojrzeniem.*

*– Nie – odpowiedziałam. – Nie wrócę.*

*Potem wybiegłam z Politechniki.*

## „KURIER PORANNY”

Jedyny dom, który ocalał w getcie, mieścił się przy ulicy Nowolipki 30, obok kościoła św. Augustyna.

– Ach, mój miły Augustynie, wszystko minie, minie, minie... – zanucił Jan.

Nagle osunęłam się na gruzy, moje oczy zaszyły mgłą, a w ustach pojawił się słodki smak. Nie mogłam się poruszyć.

– Co tobie, co tobie? – słyszałam, jak Jan powtarza te same słowa.

– Nie wiem... – wymamrotałam.

Ból mnie wręcz obezwładnił. Byłam przekonana, że umieram, a potem zawstydziałam się tej myśli. Tu inni umierali. Setkami, tysiącami. Wszyscy niewinni, mężczyźni, kobiety, dzieci. Inżynierowie, adwokaci, lekarze, artyści... Tylu zamordowano z obojętnością, niczym w maszynie śmierci, która miała ludzkie losy.

– Ireno... Irenko...

*Dzieci bardzo się bały, ale były grzeczne. Noemi też się bała, ale nie bardziej niż wtedy, kiedy pani Stefa obciąła jej piękny warkocz, bo włosy roily się od wszy. Pani Stefa płakała, więc Noemi pomyślała, że nadchodzi koniec, skoro kobieta, która była jak skała, płacze nad warkoczem. Najgorsze było to, że koniec świata nadchodził falami, a ona by wolala, żeby ją zmiotł z tej ziemi raz a dobrze. Cokolwiek mieli jej zrobić, chciała, żeby nie bolało.*

– Już dobrze – wyszeptalam, kiedy pomógł mi wstać.

Milczał, patrząc na mnie z troską. Trzymał moją dłoń.

– Tu był dom doktora Korczaka – powiedziałam.

– Wiem – rzekł krótko.

– Mój mąż z nim pracował. – Próbowałam uspokoić oddech. – Doktor mógł się uratować, ale on...

Pokręcił głową.

– Nikt by się nie uratował... Tyle razy to słyszałem. Powiedz nam, co wiesz, a przeżyjesz. Ucz nasze dzieci, a przeżyjesz. Trenuj naszych sportowców, a przeżyjesz...

Nigdy nie myślałam w ten sposób.

– Chodźmy stąd – poprosił.

– Nie – zaprotestowałam. – Musimy... Musimy dokończyć artykuł.

– Nie napiszemy tu o nadziei – powiedział łagodnie.

Naczelnny nas prosił, żebyśmy odwiedzili getto, a raczej to, co z niego zostało. Jan jak zwykle się nie odzywał. Chciałam tu przyjść, a teraz przeklinałam chwilę, w której mi się wydawało, że udźwignę widok ruin jak każdego innych warszawskich zgliszczy.

– O nich. – Wskazałam palcem na licznych żołnierzy i cywilów, którzy uwijali się przy odgruzowywaniu Nowolipek.

– Jedyne, co dobrego możemy zrobić, to spróbować ocalić kamienicę Korczaka. Uchowała się, a chęć ją rozebrać.

– Może powinni to wszystko rozebrać? Żeby kamień na kamieniu nie pozostał.

– Uważam, że trzeba pamiętać – odparł szorstkim głosem i odwrócił głowę, jakby miał do mnie żal za to, co powiedziałam. Trudno.

– Trzeba zapomnieć, bo pomrzemy wraz z tymi wszystkimi ludźmi.

Wyjął szkicownik.

*Jego synowie Samuel i Haim mieli bilet życia. Trzeci syn, Dawid, próbował przeżyć po aryjskiej stronie, ale szmalcownik go wydał. Wywlekli jego i rodzinę, która go ukrywała. Dawida, dobrego człowieka i wspaniałego lekarza, zabili od razu, a tamtych ludzi wywieźli do Oświęcimia. Nie wie, czy przeżyli. On sam przeżył Treblinkę, chociaż nie miał prawa przetrwać tego piekła. Samuel i Haim nie, chociaż mieli bilet życia. Był teraz zupełnie sam. I nie miał nic.*

Rysował robotników, którzy taczkami wywozili kamienie. Większość z nich paliła papierosy. Niektórzy opowiadali coś sobie, śmiejąc się głośno. Chciałam im zwrócić uwagę, że śmiech w tym miejscu nie przystoi. To jedno wielkie cmentarzysko, miejsce pamięci, ale zrezygnowałam. Może tak radzili

sobie z bólem. Raptem dostrzegłam wśród pracujących kobietę. Podeszłam do niej.

– Jestem z „Kuriera Porannego” – przedstawiłam się. – Czy zechce pani ze mną porozmawiać?

– O czym? – Zrobiła zdumioną minę, po czym zaciągnęła się łapczywie papierosem.

– O tym, co tu robicie. – Zatoczyłam ręką dokoła.

– Wywozimy gruz i trupy, jeśli jakieś zostały. Chociaż jak raz tu trupów jest najmniej.

– Dlaczego pani akurat tutaj pracuje? – dopytywałam niezręcznie.

– Gdzieś trzeba. – Uniosła cienkie, poczerwione ołówkiem brwi. – Mam córkę i matkę na utrzymaniu. A tu dobrze płacą. Najlepiej przy Wiśle, ale tam trzeba mieć krzepę. Kobiet nie przyjmują. Nie bez znajomości.

– A co pani robiła przed wojną? – spytałam.

– Byłam kucharką – odparła. – W Batorym.

Budynek szkoły został niemal kompletnie zniszczony. Pierwszego piętra właściwie nie było. Słyszałam jednak, że szkoła już pracuje.

– Też tak słyszałam, ale tam nie pójdę.

– Nie ma kuchni?

– Co trzeci z tych chłopaków zginął, droga pani. Nie mogę tam iść.

Rzuciła peta na kamienie i poszła. Wróciłam do Jana.

– Kto to był? – spytał.

Wyjaśniłam mu. Pokazał mi rysunek. Oprócz robotników na gruzach narysował także piękny „dom Korczaka”, odnowiony, z szybami w oknach, jasny i biały. Na frontowej ścianie była narysowana tabliczka, która głosiła, że w tym miejscu jest muzeum pamięci Janusza Korczaka. W tym rysunku był przemożny smutek, większy niż na poprzednim, na którym śmiejący się robotnicy wyciągnęli kawałek nadpalonego stołu i kłócili się, kto ma ten mebel zabrać do domu. Oprócz smutku była także pustka. Wszystkie rysunki Jana pulsowały życiem, nawet te, które ilustrowały śmierć. Ten był inny, nie przedstawiał nic konkretnego. Luźne kreski.

– Ty nie potrafisz rysować rzeczy, których nie ma – domyśliłam się.

– Potrafię – zaprzeczył gwałtownie. – Nie umiem narysować rzeczy, które były, a których nigdy już nie będzie.

Coraz lepiej go rozumiałam. Miał coś więcej niż talent ilustratora. Kiedy brał do ręki ołówek, stawał się wizjonerem.

## PACJENTKA B.R. I. 35

Ratowała swoje dziecko, które ukradło chleb, żeby zanieść matce. Tak przynajmniej twierdziła. Prawda była nieco inna. Ona mi o tym powiedziała. Strzelali od rana, a matka i córka za nic nie chciały zejść do piwnicy. Mała Hania miała diabła za skórą i zorientowała się, że Wachowscy w mieszkaniu, które było wyżej, urządzili wędzarnię. Wyniuchała boczek i kiełbasę. Była przy tym jak pies. Czekala tylko na okazję, żeby się wspiąć po rynnie i spróbować zabrać bezcenne znalezisko. Ja dla ciebie, mamusi, wyszeptala ponoć, kiedy matka trzymała ją zakrwawioną, z rozbitą głową, ledwie żywą.

– Przyszłam po witaminy i odżywki – powiedziała kobieta. – Dla mojej Hani, żeby wydobrzała.

– Pani Barbaro – odparła Ona – w zeszłym tygodniu była pani po odżywki. To niedobrze dla dziecka tak je karmić witaminami.

– Witaminy dobre. – W oczach kobiety pojawił się lęk.

– Dobre – tłumaczyła Ona łagodnie. – Ale nie w takich ilościach. Poza tym są inne dzieci, które też potrzebują witamin.

Przychodziła co tydzień i prosiła o leki i witaminy dla dziecka. Starala się przy tym omijać tych, u których już była. Wszystkie szpitale ją znały. Pani Basia od zabitej dziewczynki.

Bo Hania spadła z trzeciego piętra, nie do końca wiadomo, czy snajper ją trafił, czy też był to nieszczęśliwy wypadek. Kto to widział zgadzać się na takie coś, żeby dziecko w czasie ostrzału po ścianie chodziło jak pajak jakiś, szeptali ludzie i chociaż każdy miał w sercu litość, to trudno ją było znaleźć dla małej złodziejki.

– Matka kradła – wyjaśniła mi Ona. – Ponoć już w więzieniu siedziała, ale jak tylko wojna wybuchła, wszystkich od recydywy wypuścili do domów. Barbarę R. też.

Okradała klientów w kawiarniach i kabaretach. Zdarzało się jej trafić na bogatszego, który brał ją w opiekę, nie wiedząc, że niewinna buzia będzie go drogo kosztowała. Zależnie od okoliczności sprzedawała klientom bajeczkę o mężu, który zginął pod koniec pierwszej wojny, walczył u boku Piłsudskiego, aby powstrzymać bolszewików, albo o tym, że umarł jej na rękach trawiony hiszpańską grypą. Ona została z małym dzieckiem bez opieki i bez miłości swojego życia. Prawda była inna. Ojcem dziecka był sutener, który potem zginął zasztyletowany w jakimś zaułku. Nie ona to zrobiła, ale cieszyła się, bo to oznaczało dla niej nowe życie. Namawiał ją, żeby zostawiła dziecko w przytułku albo spędziła płód. Nie chciała. Zanim zginął, alfons zostawił u niej pieniądze. Nie wiedziała, skąd je wziął, może wygrał w karty, może ukradł. Nikt ich u niej nie szukał. Kiedy wydobrzała po porodzie, nie wróciła na ulicę, tylko postanowiła zdobyć inną klientelę. Dziecko jej w tym pomogło. Mężczyźni zawsze jej wierzyli. Miała w sobie coś takiego, że chcieli się nią opiekować. Żaden nie pytał, skąd ma pieniądze na życie, a jeśli się zdarzyło, to mówiła o pracy szwaczki. Nie u siebie, bo nie stać jej było nawet na maszynę, ale u jednej z modnych krawcowych na Wilczej, które wykorzystywały jej trudną sytuację. Już nie będziesz pracować ponad siły, mówił każdy, a ona korzystała z tej znajomości, póki jej historia nie zaczynała pękać w szwach. Bo prędzej czy później coś się gubiło, znikaly pieniądze z portfela albo banku i panu nie pozostawało nic innego, jak odejść z jej życia. Bo wybierała zwykle żonaty, żeby w razie wpadki szantażować ich wizytą u małżonki. Woleli stracić, niż przyznać się żonom do zdrady. Jeśli żony pytały o pieniądze, mówili, że interesy słabo idą. Ten i ów podbił jej oko, ale wielka krzywda się jej nie stała. Interes dobrze się kręcił.

– Niech pani idzie, pani Barbaro – powiedziałem życzliwie. – Hania powinna po prostu lepiej jeść. Niech jej pani ugotuje rosół.

– Tak, rosół. – Błądą twarz nieszczęsnej kobiety rozjaśnił uśmiech. – Niech panu Bóg błogosławi, panie doktorze.

Kiedy wybuchła wojna, miała tyle oleju w głowie, żeby nie wiązać się z Niemcami. Uznała, że przeczeka całą sprawę. Bywało trudno, musiała nieraz stawać w bramie, żeby zarobić na chleb dla siebie i dziewczynki. Potem chodziły obie na spacer, podczas których Hania odwracała uwagę spacerującej pary, a Barbara kradła portfele albo biżuterię. Potrafiła zdjąć z ręki zegarek, niemal nie dotykając okradanej osoby. Prawdziwy kunszt. Udałoby im się przeżyć. Dopiero powstanie przekreśliło wszystko.

– Czy myśli pan, że to była kara za życie, jakie prowadziły? – spytała Ona, kiedy Barbara R. wyszła.

Rozłożyłem bezradnie ręce. Cóż ja wiem o winie i karze? O winie może trochę więcej. Kocham inną kobietę. Moja żona związała się z innym mężczyzną. Ja o niej wiem, ona o mnie pewnie nie. Kimże jestem, aby kogokolwiek osądzać? Co niedziela chodziłem do kościoła z Ireną, Tereską i Mirką. Jedna Mirka nie miała na sumieniu grzechów. Chwilami serce ścisnął mi żal, a w nocy budziłem się przerażony, że Bóg postanowi ukarać mnie i Irenę za wszystko, co złego zrobiliśmy, i spuści jakieś nieszczęście nie na nas, prawdziwych winowajców, ale na Mirkę.

Przypomniało mi się tamto nieszczęsne dziecko ze wsi, które zginęło, bo ukradło kawałek boczku. Czy to była kara? Wszyscy za to zapłacili. Jej ojciec, którego żona zabiła tyle osób, jej oprawca, który stracił własną rodzinę. Czy ja mogłem coś zrobić? Mogłem, ale nie zrobiłem nic. Kiedy zobaczyłem te dwie dziurki na nodze dziewczynki, od razu wiedziałem, że nie o żadną żmiję chodzi, tylko o ciężkie pobicie. Dziurki ktoś wykłuł nożem, żeby ludzie myśleli, że to żmija życie jej zabrała. Marysia miała połamane żebra, jedno wbite głęboko w serce. To właśnie ją zabiło.

– Coście zrobili? – spytałem Mazura.

– Żmija ją pokąsała – powiedział chłop i wyszczerzył zęby.

– Czym zrobiliście te dziury, że to niby od zębów gada? – nacierałem.

– A doktorek co? – najeżył się chłop, zupełnie nieprzejęty, że wysłał córkę na tamten świat.

– Powiem prawdę – oznajmiłem stanowczo.

– Komu? – rzucił chłop i wziął do ręki siekiere. – Niemcom? Jak mnie wezmą pod mur, to razem z doktorkiem i córeczkami. Już ja się o to postaram.

– Zabiliście własną córkę – odparłem bez tchu. – Nie macie wyrzutów sumienia?

Splunął na klepisko.

– Poszedł won ze swoją prawdą – wycedził.

Długo się zastanawiałem, jaka kara byłaby dobra dla tak podłego człowieka. I nie wiedziałem. Potem, kiedy już Mazurowa wymierzyła sprawiedliwość, pomyślałem, że Mazurowi nie dość cierpień. Jeśli oczywiście był zdolny cierpieć. Miałem tylko nadzieję, że Mirka i Tereska zapomną. Bo my z Ireną nigdy.

## MIRKA

Miałam jej dość. Danki. Ciągłe przychodziła, chciała ze mną rozmawiać, wyjaśniać, nawet przeprosić. Jak do niej dotarło, że nie chcę jej widzieć, to przyłąziła do mamy, Babci Hrabiny, a nawet do Tereski. Bo na tatę, wiadomo – nie można było liczyć, bo się całkiem, jak to Babcia Hrabina powiedziała, zatracił w pracy. Najpierw próbowała z moim psem. Przynosiła Azorowi kości z dużymi kawałkami mięsa. Prawdziwego mięsa. Dla ludzi by się nadawały, co dopiero dla psa. Powodziło im się teraz bardzo dobrze, bo piekarnia pracowała prawie normalnie. To znaczy do normalności, takiej jak przed wojną, to wszystkim było daleko, ale jak się codziennie piecze i sprzedaje chleb, bułki, a nawet chałki, to już można mówić, że jest normalnie. Zatem Danką była z tych bogatszych i miała nie tylko chleba pod dostatkiem, ale i mięso jedli codziennie. Przynosiła Piaseckim, ale nie byłam jej za to wdzięczna, bo nie robiła tego dla mnie, tylko dla nich. A za Azora, owszem, mogła liczyć na moją wdzięczność, ale uznałam, że robi to dla korzyści. I Azor brał, owszem, bo to w końcu pies, ale jeśli liczyła, że za mięso dla psa ja dam się udobruchać, to się przeliczyła. Mama, jak to ostatnio ona, żyła w swoim świecie i bagatelizowała całą sytuację. Cud, że w ogóle coś zauważyła. Danką to chyba jej musiała coś więcej nagadać, bo mama zadała sobie trud i przysłała do mnie specjalnie, żeby porozmawiać.

– Wstyd tak się bocyć na najlepszą koleżankę – tłumaczyła. – Obie przeżyłyście wojnę, to o co się możecie kłócić?

Nic na to nie odpowiedziałam. Jeśli jeszcze raz mi ktoś powie o przeżyciu wojny, to się chyba zabiję.

– No, mówże, o co się pokłóciłyście.

Popatrzyłam w bok. Na mękach bym jej nie powiedziała o zdradzie Danki. O Stefanie tym bardziej.

– Pewnie o bzdurę jakąś poszło?

Ja znów nic, więc mama się zdenerwowała.

– Dlaczego ty mi nie odpowiadasz na pytanie? To bardzo niegrzecznie!

– To jest sprawa między mną a Danką – odparłam z godnością. – I my musimy same ją rozstrzygnąć.

I miałam rację, że nie chciała tak naprawdę wiedzieć, nic jej nie obchodziło, bo od razu sobie poszła ubierać się do pracy, szminkować usta. Rzuciła tylko na odchodnym:

– Dorośli mają prawdziwe problemy, a takie smarkule jak wy...

Mama myślała, że dzieci nie mają uczuć ani nie cierpią. Co ona tam wiedziała? Była teraz całkiem inna niż przed wojną. Jak tak sobie patrzyłam na naszą rodzinę i tych, którzy zostali, to mama zmieniła się najbardziej. Nie tato, nie Tereska ani nawet ja, chociaż przez sześć lat urosłam najwięcej. Właśnie mama. Już nie była „panią doktorową” ani „panią profesorką”. Trudno powiedzieć, kim była, a jeszcze trudniej, dlaczego taka się stała. Początkowo myślałam, że to chodzi o pracę. Że czuje się pożyteczna, zarabia pieniądze, bo przecież po wojnie ludzie nie mają lekko. Nam niczego nie brakowało. Nie musiałybyśmy już szyć. Szyłam zresztą rzadziej i wszystkie pieniądze przeznaczałam na pana Piaseckiego, nie na Stefana, a rodzicom mówiłam, że to na cukierki i lody. Tata miał pracę i mama zarabiała. Słyszałam, jak mówiła do Babci Hrabiny, że musi się utrzymać w gazecie, bo wtedy mamy szansę na godziwe życie. Ale ja wiedziałam, że chodzi jej o coś więcej. Tylko nie wiedziałam o co. Być może coś wspólnego miał z jej zmianą ten miły pan ze smutnymi oczami, który tak ślicznie rysował. A może mama po prostu nie chciała wracać do szkoły i uczyć dzieci. Może już nie chciała takiego życia. Pytałam ją kilka razy, ale mnie zbywała, jakby nie słyszała, co mówię. W ogóle mało zwracała na mnie uwagi, co mi się nawet podobało, bo już mi nie gadała nad głową, żebym nie wychodziła, nie szyła i nie handlowała. Z drugiej strony była, jakby jej nie było. I to wydawało mi się dziwne. Bo nawet Tereski się nie czepiała. Może myślała, że z nią jest w porządku. Odgruzowuje Politechnikę, pracuje, zamiast siedzieć przed lustrem i zachwycać się, jaka jest śliczna. Ale jakby się tak wpatrzeć, to z Tereską było coraz gorzej. Na Politechnikę przestała chodzić jakiś tydzień wcześniej. Licho wie dlaczego. Może jej kto co powiedział i Tereska, jak to Tereska, obraziła się, odwróciła na pięcie i tyle ją widzieli. Tereska na zawsze zostanie niedojrzała, czyli będzie myślała tylko o sobie. Chociaż początkowo wydawało się, że zainteresowała się naszą sprawą i będzie chciała pomóc Dance.



– Gadaj, o co chodzi! – zażądała, wkraczając z impetem do pokoju i niemal ściągając mnie z łóżka.

Dzięki pracy mamy dostałyśmy z Tereską porządne łóżka, pościel i koce. Zwłaszcza koce były śliczne, puchate i kolorowe. Nie wiem, gdzie mama je zdobyła, ale pod takimi kocami lepiej się głowę chowało i lepiej płakało.

– O nic – wymamrotałam.

– Jak o nic, skoro widzę, że o coś.

– Co cię to obchodzi? Nic cię nigdy nie obchodziło i nie obejdzie poza czubkiem własnego nosa!

– Obiecałam Dance, że z tobą porozmawiam. – Usiadła na brzegu pościeli, aż deski, na których stały łóżka, skrzypnęły.

Muszę spytać mamy, kiedy przyjdą naprawiać nam dom. Niby komisja stwierdziła, że się nie zawali, ale obiecali, że „wzmocnią”. I dobrze, bo tym pod nami tynk się sypał na głowę.

– A w zamian za to czego od niej chciałaś? – spytałam jadowitym tonem. – Żeby szpiegowała Alka? Albo wyspała Renacie trutkę na szczury?

– Jesteś pyskata i niemożliwa! – wrzasnęła.

– To odczep się ode mnie! – Pokazałam jej język i znów nakryłam kocem.

– O chłopaka wam poszło? – spróbowała jeszcze.

Przez chwilę mało nie uległam pokusie opowiedzenia jej o mnie i Stefanie, ale natychmiast zrezygnowałam, bo dodała:

– Nie masz pojęcia o prawdziwej miłości.

Prawdziwa miłość polegała według niej na osaczeniu ukochanego i zianiu nienawiścią do jego wybranki. Tylko patrzeć, jak któreś z nich obleje kwasem, podobnie jak ta nieszczęsna Justynka Bogutówna mężczyznę, który ją odrzucił. Ja bym tak nigdy nie postąpiła. Wolę jednak odejść z godnością. Wtedy w nocy chciałam zrobić awanturę, ale dobrze, że nie zrobiłam. A *Granice* czytałam, jak byliśmy na wsi, chociaż mama mówiła, że jestem za mała na takie lektury. Też tak uważam, ale nie było co czytać. Babcia Hrabina, jak uciekała, to wzięła ze sobą tylko kilka książek, w tym Nałkowską, a mnie się na wsi strasznie nudziło.

– Nie mam – zgodziłam się z Tereską, żeby się odczepiła.

Coś tam jeszcze mówiła, że dużo rozumie, ale nic nie rozumiała. Pewnie była na mnie zła, bo gdyby coś miała dla Danki, to ta by jej znów coś powiedziała na temat Renaty, a tak to żadna z nich nic nie ugrała.

Kiedy Tereska sobie poszła, nie wiadomo dokąd, bo nie na Politechnikę, to przyszła Babcia Hrabina. Udawałam, że śpię, bo nawet z nią nie chciałam rozmawiać, chociaż była najmilszą i najżyczliwszą osobą w tym domu.

– Twoja koleżanka... – zaczęła.

Przestałam udawać, że śpię.

– Nie chcę być niegrzeczna dla Babci, ale ja bardzo proszę, żeby mnie nie męczyć i nie pytać, bo to są moje prywatne sprawy.

– Ależ oczywiście. – Babcia Hrabina uśmiechnęła się do mnie. – Nie chcę cię o nic pytać, tylko miałam przekazać, że Danusia „umrze, jeśli z nią nie porozmawiasz”.

– A po co ma umierać? – Nie mogłam powstrzymać złości. – Teraz to mogą sobie żyć długo i szczęśliwie! – Chlipnęłam, bo jakoś nie wierzyłam w to, że Stefan odjechał na dobre.

I tak się właśnie wygadałam, ku zaskoczeniu Babci Hrabiny, która zmarszczyła czoło, bo najwyraźniej dodała dwa do dwóch. A kiedy już się jej rozjaśniło, to zamiast się roześmiać i powiedzieć, że „jeszcze zdążę się zakochać”, spojrzała na mnie poważnie i zapytała:

– Oboje cię zdradzili, tak?

Takiej fontanny łez to ja nawet pod pięknym kocem nie wylałam. Całe szczęście, że nikogo w domu nie było, tylko za ścianą Dzika krzyczała na męża.

– I co ja mam teraz, Babciu, robić? – spytałam, kiedy już jej wszystko powiedziałam jak na świętej spowiedzi.

Zamyśliła się, głaskając Azora po łbie.

– Ja bym porozmawiała z Danusią – powiedziała w końcu.

– Przecież ja patrzeć na nią nie mogę. Jak bym ją zobaczyła, toby mi się zaraz przypomniało, jak oni...

Babcia pogłaskała mnie po głowie.

– Przecież Danusi nie widzisz, a cały czas o tym myślisz.

Też prawda. Mądrze mówiła.

– I co to da? – Wzruszyłam ramionami. – Zaraz zaczęłabym płakać i to by było jeszcze gorsze.

Babcia pokręciła głową.

– Najgorsze już się stało. Teraz może być tylko lepiej.

Miała rację.

– Pogódźcie się – zachęciła mnie.

– Ja nie chcę się pogodzić – stwierdziłam z mocą.

– Myślisz, że jak się będziesz gniewać, to będzie ci lżej? – spytała.

Myślę, że tak. Jak bym z nią porozmawiała, to jeszcze by się okazało, że ona ma jakieś racje i to ja w ogóle jestem winna.

– Pewnie Babcia tego nie rozumie – bąknęłam.

– Rozumiem, a jakże. Nawet nie wiesz, jak dobrze cię rozumiem – powiedziała z powagą.

– A jak to?

Myślałam, że mi nie odpowie, ale popatrzyła w dal i zaczęła mówić cicho:

– Dawno temu był... ktoś. Moi rodzice byli bardzo majątni, a on, chociaż ze szlacheckiej rodziny, to...

– Był biedniejszy? – domyśliłam się.

– Tak. Biedniejszy. Dużo biedniejszy. Mimo to chciał się oświadczyć. Spytał mnie, czy dałabym mu słowo. Ja byłam bardzo zakochana i słowo dałam. Potem poszłam do rodziców, żeby im o wszystkim powiedzieć. Ale moi rodzice się nie zgodzili.

Uśmiechnęła się lekko.

– Ale Babcia go kochała, tak? Tego pana? – zaciekawiłam się, bo dotarło do mnie, że nawet takie Babcie były kiedyś młode.

Pokiwała głową.

– Tak. Ja go kochałam i dałam mu słowo. Rodzice także by się zgodzili, gdyby choć trochę się postarał. Zwłaszcza ojciec chciał mojego szczęścia. Gdyby mój ukochany się oświadczył, zapewnił ojca, że kiedy skończy studia prawnicze, to ptasiego mleka mi nie zabraknie, słowem – gdyby naprawdę mnie chciał, rodzice nie stanęliby na drodze mojego szczęścia.

Czekałam w napięciu na ciąg dalszy.

– A on zaraz oświadczył się mojej kuzynce. – Westchnęła, a ja się aż zachłysnęłam z oburzenia. – Jak nie ta, to inna, widocznie pomyślał. A dla mnie to był dramat...

– Ludzie wstydu nie mają – oświadczyłam i złapałam ją za rękę z taką miną, jakby to było wczoraj. Babcia Hrabina miała rację, kiedy mówiła, że mnie dobrze rozumie. – To okropny, podły człowiek. Nie był Babci godzien!

– Teraz to wiem – przyznała. – Ale wtedy myślałam inaczej. Winiłam raczej rodziców.

– Przecież to on się oświadczył innej.

– Jeśli kwestia dotyczy ludzi, których kochasz, to nie chcesz przyjąć tego do wiadomości. Okłamujesz się, łudzisz, że to błąd i zaraz w magiczny sposób wszystko da się naprawić.

To prawda. Miałam wciąż nadzieję, że Stefan do mnie przyjdzie i powie, że liczę się tylko ja. Ale on nie przychodził.

– I co dalej było?

– Chciałam się z nim spotkać, zapytać dlaczego, błagać, żeby wszystko odwołał. Nawet z nim uciec.

– Tak by się dało? – Nie wierzyłam.

Pokręciła głową.

– Musiałby być człowiekiem pozbawionym honoru, żeby najpierw się oświadczyć, a potem uciec z inną. No i chodziło mu przecież o pieniądze. Lepszy wróbel w garści niż gołąbek na dachu.

– Nawet gdyby się nie oświadczył innej, toby nie chciał z Babcią uciekać, bo rodzice nie daliby wam pieniędzy, tak? – pojęłam.

– Dokładnie tak – potwierdziła.

– I co się potem stało?

Znów się uśmiechnęła smutno.

– Schowałam dumę do kieszeni i zgodziłam się zostać druhną na ślubie tamtej. Tańczyłam na weselu. A potem przyjęłam oświadczenia Jerzego...

– I była Babcia szczęśliwa? – Chciałam się upewnić, że nigdy nie żałowała tamtego kroku.

Tym razem pokręciła głową.

– Nie, nie byłam. To był porządny człowiek, ale zimny. Szanował mnie, otaczał opieką. Ale mam wrażenie, że bardziej dbał o konie. Na szczęście miałam syna... – Łzy zalśniły jej w oczach. – No, ale... – Otarła łzy i znów spojrzała na mnie pogodnie. – Teraz mam was i po raz pierwszy w życiu naprawdę jestem szczęśliwa. Chociaż straciłam rodzinę i majątek.

Z chwilą, kiedy „uśmierciliśmy” prawdziwą hrabinę i w papierach pani Maria Grzegorzewska zamieniła się w naszą poczciwą babcię, nie było czego szukać na wsi. Nigdy mi do końca nie wyjaśnili, dlaczego zrezygnowali z tak ogromnego majątku, ale widocznie były jakieś poważne powody, żeby uciekać nocą ze wsi.

– Naprawdę Babcia uważa, że powinnam porozmawiać z Danką?

– Naprawdę – odpowiedziała poważnie. – Nie ma co chować głowy w piasek.

– I trzeba schować dumę do kieszeni – dodałam. – I stanąć oko w oko z prawdą.

Pogłaskała mnie po głowie.

– Zrobisz, co uważasz. – Uśmiechnęła się jeszcze.

Szkoda, że Tereska nie porozmawiała z Babcią Hrabinią, pomyślałam, kiedy Babcia westchnęła i powiedziała:

– Szkoda, że Tereska nie słucha waszej mamy.

– Albo Babci – stwierdziłam, ciesząc się, że pomyślałam to samo, co według mnie świadczyło o tym, że nie jestem wcale głupia.

– Albo mnie. – Znów westchnęła.

– Żeby z tej jej miłości nie było jakiegoś nieszczęścia – powiedziałam, po czym odrzuciłam koc, ochlapałam twarz wodą z miednicy i oświadczyłam, że idę porozmawiać z Danką.

– A ja ugotować zupę – oznajmiła Babcia.

Gotowała jak anioł. Aż trudno było uwierzyć, że wcześniej miała służbę.

– Babcia gotuje najlepiej na świecie – powiedziałam, wychodząc.

– Nie święci garnki lepią – odrzekła i puściła do mnie oko.

Azor uniósł łeb, chciał iść ze mną, ale uznałam, że siły muszą być równe, i kazałam mu zostać.

## „KURIER PORANNY”

Gdziekolwiek kopać, tam zwłoki i wszechobecny smród. Pierwsze ekshumacje robiły na mnie wstrząsające wrażenie. Ludzie tłoczący się wkoło żołnierzy wydobywających ciała poległych. Na wielkich stołach kładziono wszystko, co mogło pomóc w identyfikacji. Zmurszałe, pokryte krwią i innymi wydzielinami dokumenty, czasami osobiste pamiątki, biżuterię, której trzeba było pilnować, żeby jej nie skradziono. Zdjęcia, te były szczególnie cenne.

*Kochanej Mamie, Lidunia i Kika. Warszawa, Krakowskie Przedmieście 1938. Zdjęcie było niewyraźne, ale napis na odwrocie nie pozostawiał wątpliwości, że wydobyty z ziemi trup to jej piękna, pełna radości córka, a zgniła lalka w ramionach trupa to jej wnuczka.*

Na Czeczota odkryto aż dziesięć ciał. Płacz ludzi, którzy odnaleźli bliskich. Płacz ludzi, którzy ich nie odnaleźli.

– Ja nie mogę na to patrzeć – powiedziałam do Jana.

– Nie patrz – odparł i objął mnie.

Schowałam twarz pod jego brodą, był wyższy ode mnie, silniejszy, dopiero teraz to dostrzegłam. Wtulałam się w to szczególnie u mężczyzn miejsce z boku, gdzie jest najbezpieczniej. Pachniał inaczej niż mój mąż, a raczej wspomnienie o nim, bo nie pamiętam, kiedy byliśmy tak blisko siebie. Janowi też musiało być dobrze, bo obejmował mnie najpierw jedną ręką, potem przerzucił torbę przez ramię i przycisnął mnie do siebie obiema. Serce mu biło najpierw wolno, miarowo, potem szybciej. Uspokajało mnie to. Było w tym biciu serc, bo i moje się dołączyło, coś więcej niż przyzwolenie na słabość.

– Nie puszczaj mnie – powiedziałam, kiedy rozluźnił uścisk.

– Nie zrobię tego – odpowiedział i oboje wiedzieliśmy, że mówimy o przyszłości, o tym, co może nas połączyć, co już nas połączyło, tylko dopiero teraz dajemy temu przyzwolenie.

Na stół trafiła nowa partia pamiątek wyjętych z kieszeni trupów. Jakaś kobieta zaczęła głośno krzyczeć, ktoś ją odciągał. Oderwałam wreszcie moje ciało od jego ciała i odważyłam się spojrzeć mu w oczy. Zobaczyłam to, co pragnęłam ujrzeć. On też to zobaczył w moim spojrzeniu.

– Przesunąć się!

Uskoczyliśmy przed dwoma żołnierzami, którzy nieśli trumnę. Pierwszą do trumny włożyli kobietę, którą matka zidentyfikowała. Zaskakująco spokojnie wypisała na tabliczce imię i nazwisko córki. Do drugiej trumny powędrował nastolatek z urwanymi nogami.

*Mój syn poległ na Starym Mieście. Jego zwłoki wydobyto, włożono do trumny. Nie było wątpliwości. Ale ja, stary ojciec, który został sam, nie umiem się z tym pogodzić. Przed nim było całe życie, które przzerwano, posyłając go na pewną śmierć. Nie potrzebowałem ani jedzenia, ani snu. Musiałem się przekonać, że wszystkie niezawinione śmierci wydobywane są z bezimiennych mogił i kładzione do prawdziwych grobów na wieczny spoczynek. Potrzebowałem tego, abym i ja mógł umrzeć. Chociaż nie umrę spokojny.*

– Co ty narysujesz? – spytałam Jana. – Nic nie widziałeś.

– Zobaczyłem, co chciałem. – Uśmiechnął się do mnie lekko, a potem wyjął szkicownik i w skupieniu narysował matkę, która kładła rękę na zmurszałych zwłokach córki.

Od samego początku naszej znajomości zdumiewało mnie, jak wiele Jan widzi. Nie znałam nikogo innego, kto tyle by widział.

– To nie przejdzie. – Rozłożyłam bezradnie ręce. – Przecież to nie niesie nadziei.

– Wiem. – Nie oderwał wzroku od rysunku. – Rysuję to dla nas. Na pamiątkę.

– Co chcesz pamiętać?

– Bicie twojego serca i zapach włosów, a nie umiem tego narysować – odpowiedział i spojrzał na mnie krótko.

Stałam, rumieniąc się jak młoda dziewczyna opromieniona szczęściem pozostającym w tak jawnej niezgodzie z widokiem dokoła.

– Dla gazety narysuję, co trzeba – zapewnił mnie i jakby chciał to natychmiast udowodnić, zaczął szkicować stół i skupionych w modlitwie ludzi nad zamkniętymi trumnami.

– Gdyby to nie było tak tragiczne, powiedziałabym, że jest piękne – wyszeptalam.

– Brzydota nigdy nie bywa piękna – odparł. – Nawet w moich rysunkach.

A jednak ten obraz był piękny. Ból na twarzy kobiety, ale i ulga, bo odnalazła swoją córkę i może ją godnie pochować. Spokój na twarzy mężczyzny, który ściskał w rękę dłoń małego chłopca spoglądającego poważnie na trumnę, w której spoczywały zwłoki jego ojca. W bólu ocalałych jest spokój. Przynajmniej na tej ulicy, na tym rysunku. Znowu zapragnęłam posłuchać bicia jego serca.

## MIRKA

Danka, jak mnie zobaczyła, to aż dłonie złożyła niczym do modlitwy.

– Mirka, Mirka... – powtarzała.

– Co? – Ja z kolei skrzyżowałam ręce na piersi, co zawsze denerwowało moją mamę.

– Ja... – zaczęła, patrząc na mnie błagalnie. – Może nie dziś, bo całą noc byłam w piekarni...

Dużo mnie kosztowało, żeby tu przyjść, więc nie zamierzałam odpuścić.

– Pogadamy teraz albo nigdy. – Byłam stanowcza.

Niech powie, dlaczego mi to zrobiła, a potem się już do niej nie odezwę. Bo jeśli chce, żebyśmy nadal się z nią przyjaźniła, to nie ma takiej mocy.

– Nie wiem, co powiedzieć – stwierdziła nagle i zaczęła płakać.

Danka nigdy nie płakała. Nawet jak zdarła kolana do krwi. Nawet jak ją mama raz tak stłukła, że nie mogła usiąść przez tydzień. Nawet jak mi mówiła, że Stefan nie żyje. A teraz płakała. I chociaż wiedziałam, że nie umie udawać, nawet nie drgnęłam.

– Ja ci nie powiem, co masz powiedzieć – burknęłam.

– Chodzi o Stefana – chlipnęła.

No pewnie, że chodziło o Stefana, to chyba oczywiste.

– Bo ja chciałam tylko... a Stefan...

Chciała wbić mi nóż w plecy, oto, czego chciała.

– Nic mnie to nie obchodzi – rzuciłam jej w twarz. – Jesteś zdrajcą. I on.

– On nie... – Teraz już szlochała. – Tylko ja...

A to coś nowego. Serce znów mi zaczęło bić mocniej, tym razem z nadzieją.

– Jak mi mówiłaś, że on nie żyje, to mnie się świat skończył, a tobie było wszystko jedno – wypomniałam jej.

– Nie wszystko jedno, ale co miałam robić – zaperzyła się.

– Szukać ze mną grobu, płakać nad nim – powiedziałam, ale zdałam sobie sprawę z tego, jak żałośnie brzmią te słowa.

– A kto go znalazł? – wychlipała. – Ja...

– Sam się znalazł. Przecież słyszałaś.

Znów nie wiedziałam, do czego zmierza.

– Ale się ukrywał przed nami. – Westchnęła. – A ja...

– Ukrywał się nie przed nami, tylko przed władzą. Bo jest sierotą. I po co do tego wracać?

– Bo to ważne. – Wysmarkała się w chusteczkę.

Nie wiedziałam, że nosi chusteczki. Do tej pory smarkała w rękaw. Ja nosiłam chusteczki. Przed wojną. Sama je szyłam i obrębiałam. Może to jest pomysł? Szycie chusteczek? Tylko skąd wziąć jedwab? Nagle mnie olśniło, że przecież u Danki w piwnicy jest spadochron. A z niego powinno dać się wykroić mnóstwo chusteczek. Ale teraz jej nie poproszę, żeby mi go oddała.

– Ważne jest tylko to, że okazałaś się zdrajcą. – Wycelowałam w nią palec.

Pokręciła głową.

– On wcale do mnie nie... On nie...

– Wiem, co widziałam – upierałam się. – I nie wiem, czemu cię raptem obchodzi, co ja czuję.

– Obchodzi – zapewniła żarliwie.

– To daj mi spokój. Idź do niego i żyjcie długo i szczęśliwie – powiedziałam i chciałam odwrócić się na pięcie i sobie pójść, ale Danka złapała mnie za bluzkę.

– Nie zostawiaj mnie tak, Mirka. Ja nic złego nie chciałam. Stefan też nie.

– Zostaw mnie. – Szarpałam się, ale nie puszczała.

– Stefan wrócił do ruin, tylko lepiej się ukrywa – dodała. – Już nie pójdzie do piekarni. Nie chce mnie widzieć, nie chce przyjąć pomocy. Ale może od ciebie zechce.

Teraz ja nie wiedziałam, co powiedzieć.

– A dlaczego miałabym mu pomagać? – spytałam.

– Dobrze wiesz dlaczego – wyszeptowała. – Bo ci na nim zależy, a jemu już chyba na niczym.

Zaczęłam się zastanawiać nad tym, co powiedziała. Jak to „na niczym mu nie zależy”?

– Gdzie jest? – spytałam krótko.

W moje serce znów wlała się nadzieja. Bo skoro nie jest z nią, już nie sypia w piekarni, to może jeszcze nie wszystko stracone?

– Dwie ulice dalej. – Wymieniła dokładną nazwę. – Pod napisem: „Grozi zawaleniem”. Musisz przejść tam, gdzie jest napis: „Miny, teren nieoczyszczony” i zejść do piwnicy.

Stefan był albo sprytny, albo głupi jak but. Albo miał nas obu na tyle dość, że wolał zginąć.

– Jeśli mu się coś stanie – pogroziłam jej – to z tobą koniec.

Pokiwała gorliwie głową.

– Już wolę sama zginąć – zapewniła. – Wyciągnij go stamtąd. Bo wszędzie lepiej. W sierocińcu, u obcych, nawet w piekarni. Tylko nie tam, gdzie miny.

– Pójdę – zgodziłam się. – Spróbuję z nim porozmawiać. Ale nie będę go namawiała, żeby do ciebie wracał.

– Tylko dokąd miałby pójść? Powiedz mu, że może wrócić, a ja już nigdy, nigdy nie... nic nie zrobię.

– Dobrze – odpowiedziałam poważnie.

Chciałam sobie pójść, ale złapała mnie za rękę.

– Mirka – powiedziała błagalnym głosem – ja cię przepraszam, Mirka...

Nie byłam gotowa, żeby jej przebaczyć. Muszę porozmawiać o tym z Babcią Hrabinią. Bo z jednej strony chciałam, a z drugiej nie potrafiłam.

– Porozmawiaj ze mną, proszę cię...

– Nie dziś – odparłam stanowczo. – Teraz najważniejsze jest, żeby Stefan był bezpieczny.

Pokiwała głową i uśmiechnęła się blado.

– I jeszcze jedno – dodałam. – Oddawaj spadochron.

Spojrzała zdumiona, ale kilka razy przytaknęła głową.

## „KURIER PORANNY”

Napiszemy o tych wszystkich nieszczęśnikach, którzy zginęli gdzieś tam i nikt o nich nie będzie pamiętał – powiedziałam. – Już dość pisania o tych, którym się udało przeżyć.

Siedzieliśmy u Jana w domu, na kanapie, jedno obok drugiego, bok przy boku. Nie patrzyłam na niego, a mimo to czułam z nim bliskość.

– Mówisz o żołnierzach na froncie?

Dotknął delikatnie mojej ręki i palcem wskazującym narysował na niej literę M. Moja miłość. To właśnie znaczyło. Najpiękniejsza litera na świecie, najpiękniejszy moment, najpiękniejsza miłość w życiu. Szkoda tylko, że czas i miejsce nam nie sprzyjały.

– Nie. Przypomniała mi się jedna dziewczynka ze wsi, w której byliśmy podczas wojny.

Zabrał rękę. Łatwo go było zranić i odepchnąć nawet nieuważnym słowem. Całą moją przeszłość traktował wrogo.

– To nie tak, jak myślisz – powiedziałam i ujęłam jego głowę w dłoń.

Kochałam tę pooraną zmarszczkami twarz, to poważne spojrzenie i kąciki ust skierowane zawsze do dołu, nawet wtedy, kiedy się śmiał.

– A jak myślę? – spytał.

Wiedziałam i on także wiedział. Myślał o tym, że nasze uczucie przyszło za późno, że jest obciążone wielkim bagażem, że nie mamy do niego prawa. W skrytości ducha myślałam jak on, ale ponieważ nigdy tak nie kochałam, wolałam myśleć, że nie ma oprócz nas nikogo na świecie. Że jesteśmy dwojgiem zakochanych na bezludnej wyspie.

– Myślisz, że nie będziesz potrafił zilustrować tego, czego nie widzisz? – sprytnie zmieniałam temat.

*Przeraziłam się, kiedy zobaczyłam te dwa ślady na nodze. Żmija zabija dzieci w czasie wojny. W dziecku był jad gada, który je zabił. Ale to wojna je zamordowała. Niemcy, którzy stacjonowali gdzieś za wioską i zabiliby wszystkich, gdyby odkryli to, co Marysia zobaczyła. Śmierć za kawałek boczku. Gwałt za nic. Zbezczeszczenie. Śmierć.*

– Jeśli opiszesz mi dokładnie, na pewno będę potrafił to narysować.

Tymczasem rysował mnie. Taką piękną, jaka nie byłam nawet w czasach młodości. Z promiennym spojrzeniem, uśmiechem na pięknych ustach, kochaną, niezwykłą. Gdybym umiała, ja także bym go narysowała.

*Samosąd. Otruła jednych oprawców, innemu wbiła nóż w gardło. Ją dźgnęli widłami w pierś. Nie chciałam oglądać trupów, chociaż cała wieś się zleciała, żeby zobaczyć nieszczęście. Jakby było mało Marysi ze żmijowym jadem w ciele. Źle zrobiłam, że nie poszłam. Wszedł do domu, zaraz po nim dwóch następnych. Rzucili się na mnie jak wygłodniałe psy na sukę. Potem wzięli chleb, słoninę i butelkę samogonu i poszli. Tadeusz wiedział.*

– Kocham cię – powiedziałam. – Odejdę od męża. I od córek, jeśli będzie trzeba.



## MIRKA

Bałam się jak diabli, ale poszłam i znalazłam te ruiny. Wzięłam ze sobą Azora, żeby wywąchał miny albo bomby.

Chociaż kiedy stanęłam na podwórzu, a raczej na gruzowisku, i popatrzyłam, co zostało z domu, to pożałowałam, że tak lekkomyślnie narażałam życie mojego najlepszego przyjaciela. Tak tu było strasznie, że nawet Ruscy nie rozminowali terenu. Pewnie dom został wpisany na listę do wyburzenia, ale nie chcieli tego robić, zanim oczyszczą teren z min. A nie oczyszczali, bo dom mógł się w każdej chwili zawalić.

– Stefan – odezwałam się szeptem.

Odpowiedziała mi cisza. Może nie słyszał.

– Stefan – powtórzyłam głośniejszym głosem.

Dom wyglądał koszmarnie. Zewsząd ziały dziury po wybuchach i sypał się pył. Nawet teraz, kiedy nie było wiatru. Jak na zawołanie oderwała się deska z góry i spadła na ziemię, wzniesając tumany kurzu. Azor popatrzył na mnie, jakby pytał, czy ma wejść do środka. Powstrzymałam go gestem.

– Stój! – rozkazałam.

Szczeknął. Raz. Krótko.

– Mądry piesek – pochwaliłam go.

Stefan znał jego głos. Miałam nadzieję, że go rozpozna i wyjdzie do nas. Staliśmy przez chwilę. Nic się nie działo.

– Stefan! – krzyknęłam. – Bo wejdę do środka!

Znów nic. Wtedy Azor strasznie się rozszczękał. Zupełnie nagle. Szczekał i wył, jakby go ze skóry obdzierali, aż pył się sypał zewsząd jak mąka. Wtedy Stefan wyszedł. Zaspany, zmęczony i brudny stanął na podwórzu.

– Cześć – powiedziałam głosem zachrypłym od emocji.

– Cześć – odpowiedział.

– Co ty tu robisz? – spytałam.

– Mogę cię spytać o to samo – odburknął.

– Dlaczego mieszkasz w takim miejscu?

– Dlaczego pytasz?

– Odpowiedz!

– Co cię to obchodzi?

– Obchodzi!

– Nie powinno.

– A jednak.

Przerzucaliśmy się tekstami niczym bokserzy ciosami na ringu. W końcu to Stefan się poddał.

– Jestem zmęczony – stwierdził i usiadł na gruzach.

Podeszliśmy do niego z Azorem i przysiedliśmy obok. Azor poszukał jego ręki, a Stefan go pogłaskał.

– Dobry pies – powiedział.

– To co zamierzasz? – spytałam.

Westchnął, a potem popatrzył na mnie. W jego wzroku było coś więcej niż smutek. Były rozpacz, beznadzieja i zmęczenie. Ledwie wytrzymałam to spojrzenie. Mnie się to też udzieliło, bo zaraz zachciało mi się płakać.

– Nie wiem – odezwał się w końcu. – Nie męcz mnie.

Ja też nie wiedziałam, co mogłabym zrobić na miejscu Stefana, ale jednego byłam pewna. Nie mógł tu zostać – i powiedziałam mu to z mocą w głosie.

– Tylko tu nie wejdą. – Wzruszył ramionami.

– Ale może ci się coś zawalić na głowę i zginiesz – zaprotestowałam.

– A ciebie co to obchodzi? – rzucił, ale jakoś tak słabo.

Mogłam udawać, tyle że nie chciałam. Niech sobie myśli, co chce. Niech sobie tam robią z Danką, co im się podoba, a ja zamierzam postąpić, jak trzeba.

– Obchodzi – powiedziałam zdecydowanie. – I dobrze o tym wiesz. Jesteś moim najlepszym przyjacielem i dobrze o tym wiesz. Zrobię wszystko, żebyś był bezpieczny, i dobrze o tym wiesz. Teraz, kiedy przeżyłeś i...

– Dobrze o tym wiem – wszedł mi w słowo, a potem spojrzał na mnie krótko, ale już inaczej: z sympatią i odrobiną nadziei.

Przełknęłam łzy.

– No – podsumowałam sprawę.

Siedzieliśmy tak obok siebie i nagle on dotknął ramieniem mojego ramienia. I to było bardzo dobre i nic więcej nie musiał mówić ani o sobie, ani o Dance.

– Nie wrócę do sierocińca. Może mógłbym wyjechać za granicę. Do Ameryki.

– Do srameryki. – Zdenerwowałam się. – Na pewno ktoś cię wpuści na statek, a potem przywita z otwartymi ramionami.

– Mógłbym się ukryć w ładowni.

Odwrociłam się do niego i popukałam palcem w czoło.

– To gdzieś na południe. Łatwiej przekroczyć granicę. Słyszałem, że przez góry można.

– Na srołudnie. – Nie poddawałam się.

– A co ja miałbym tutaj robić?

– Jak to co? – zdumiałam się. – Skończyć szkołę, pójść do liceum, potem na studia. Przecież zawsze chciałeś zostać lekarzem.

– Chirurgiem. – Uśmiechnął się.

– A w Ameryce czy gdzieś tam na południu w Europie to możesz być robotnikiem. I tam cię zapuszczają w domu dziecka albo w więzieniu dla dzieci.

Nie miałam pojęcia, jak jest za granicą, ale wydawało mi się, że raczej nie czeka tam polskiej sieroty świetlana przeszłość.

– Żeby skończyć szkołę, musiałbym wrócić do domu dziecka.

– A czemu właściwie nie chcesz tam wracać? – odważyłam się spytać. – Nawet jeśli znajdziemy lepsze ruiny, będziemy ci pomagać, to co będzie jesienią? A zimą? Będziesz mieszkał pod gołym niebem?

Wzruszył ramionami. Sam nie wiedział.

– Tam jest strasznie – powiedział. – Wolę umrzeć, niż tam wrócić.

– Mówiłeś, że są mili i o was dbają... – zaczęłam i nagle przerwałam, bo do głowy wpadł mi pomysł tak szalony jak nigdy w życiu.

– Wychowawcy tak, ale moi koledzy... – Przy słowie koledzy skrzywił się, jakby go coś zabolalo. – Zmusili mnie, żebym ukradł jedzenie z kuchni, chociaż nam dawali jeść. Nie chciałem, to mnie w nocy tak pobili, że sikałem krwią.

Milczałam wstrząśnięta.

– Nie zgłosiłeś wychowawcom? – spytałam w końcu.

– Żeby mnie zabili następnym razem? – Prychnął. – Dlatego w końcu uciekłem. Bo ukradłem to jedzenie, ale im było mało. Mieliśmy napaść na nauczycielkę i... – machnął ręką – ...nieważne.

– Ale dlaczego? – Nie mogłam tego pojąć. – Dlaczego tak robili?

– Nie pytałem. Zabrałem się stamtąd i nie wrócę.

Znów siedzieliśmy w milczeniu, a ja zastanawiałam się nad swoim szalonym pomysłem i jak go przeprowadzić.

– Wiem, że musiałby mnie ktoś adoptować – powiedział nagle Stefan – żebym nie musiał wracać do sierot. I wiem, że nikt...

– No właśnie! – krzyknęłam wielkim głosem, po czym złapałam go za rękę i wrzasnęłam: – Chodź!

– Ja nie chcę do Danki! – Opierał się.

– Nie idziemy do Danki! – Ciągnęłam go.

– Do ciebie też nie chcę. – Zasłonił się ręką.

– Moja rodzina nie może cię adoptować, nie martw się... – Tu mi trochę głos odmówił posłuszeństwa.

Dużo bym dała, żeby mama się ugięła, ale ani ona, ani ojciec nie chcieli tego zrobić. Przecież zgodnie stwierdzili, że takich dzieci jak Stefan jest „mnóstwo” i wszystkim nie można pomóc. Może i było mnóstwo, ale nie chodziło mi o wszystkie sieroty tego świata, tylko o jednego Stefana. Nieważne. Wiedziałam, kto mógłby go adoptować.

– Państwo Piaseccy też nie mogą – bronił się. – Pan Piasecki jest ledwie żywy, nie chcę im się zwałać na głowę. Poza tym gdzie bym mieszkał, jak oni mają jeden pokój...

– Chodźże wreszcie. – Zdenerwowałam się. – Myślisz, że na głowę upadłam, żeby Piaseckim jeszcze trosk dokładać?

U Piaseckich byłam poprzedniego dnia z naleśnikami od Babci Hrabiny. Spłakałam się znów z panią Piasecką, chociaż nie wiem, czy to z żalu, czy wzruszenia. Bo pan Piasecki po raz pierwszy wstał do nas, zjedliśmy razem te naleśniki, a potem zagraliśmy w „państwo, miasto, rzeka, zwierzę, ptak”, na „le”. I pan Piasecki jak zwykle wygrał, bo wiedział wszystko o wyspie Lesbos i o lemurach, o lnie nie wspomnę. I miał dużo siły, śmiał się i żartował, a pani Piasecka dopytywała się, co tam u nas słychać, a ja jej opowiadałam zabawne historie o tym, jak Azor się do mięsa przyzwyczaił i nie chce już ani zupy jeść, ani ziemniaków. Wtedy pan Piasecki powiedział, że bym koniecznie go przyprowadziła, a ja spytałam, czy jest pewien. Był pewien, więc polecałam po psa i razem wkroczyliśmy do Piaseckich jak bardzo ważni goście i Azor sprawił się doskonale, bo był grzeczny i lizał pana Piaseckiego po rękach, nic nie zebrał ze stołu i grzecznie wypełniał wszystkie komendy. Pan Piasecki powiedział, że to jest pies na medal i że bym już zawsze z nim przychodziła. A ja wtedy wpadłam na pomysł, że trzeba by panu Piaseckiemu kupić atlas, żeby znów mógł pokazywać wszystkie wyspy i lądy, skoro już mu lepiej. Jeszcze nie szukałam po księgarniach, ale zaraz się do tego zabiorę i pieniądze też zarobię, bo będę obszywała jedwabne chusteczki i je sprzedawała. Już mam nawet chętnych.

– To dokąd idziemy? – spytał Stefan.

– Zobaczysz – odpowiedziałam i kazałam Azorowi iść za nami, bo już się zaczął bawić ze Stefanem, myślał pewnie, że pójdziemy szukać fantów.

Pociągnęłam Stefana za sobą i szliśmy tak, potykając się na wciąż nieuprzątniętych ulicach, aż do samej Długiej.

– Dokąd? – pytał zasapany Stefan, a ja go ciągnęłam dalej, chociaż mnie naszły wątpliwości, a w końcu całkiem zwątpiłam w swój pomysł. Tyle że musiałam spróbować, nie mogłam się wycofać ani poddać, bo wtedy to już niewiele by zostało do zrobienia.

– Zobaczysz – powtarzałam.

Wreszcie stanęliśmy przed domem – wydał mi się jeszcze bardziej zrujnowany niż wtedy, kiedy odprowadzałam do niego tę nieszczęsną matkę, której syna grób znaleźliśmy tamtego dnia. I znów się pode mną nogi ugięły, bo przypomniałam sobie jej rozpacz, tamte straszne chwile, kiedy szukałyśmy grobów najważniejszych dla nas ludzi. Ja Stefana, ona swojego syna. I tę chwilę, kiedy ona znalazła grób, a ja nie.

– Idziemy do jednej pani, która... – zaczęłam, ale machnęłam ręką, bo co mu będę tłumaczyła. – Zostań – rozkazałam Azorowi.

– Mirka, co ty wymyśliłaś? – spytał Stefan. – Mirka!

Ale ja już stałam przed drzwiami i pukałam mocno, długo.

– Nikogo nie ma – rzucił Stefan i widać było, że chce uciec, ale ja nie pozwalałam mu na to, mocno trzymałam go za rękę.

– To będziemy tu stali, aż ktoś będzie – powiedziałam z mocą, odrzucając precz myśl, że tamta kobieta mogła wyjechać, umrzeć albo być teraz w pracy czy gdziekolwiek. Może Pan Bóg ją chronił, bo wiedział, co ja dla niej chcę uszykować, i postanowił – czy to z dobroci, czy ze złośliwości – odsunąć ją od nas.

Wreszcie drzwi skrzypnęły i w szparze ukazała się blada twarz.

– Dzień dobry – powiedziałam grzecznie, licząc na to, że całkiem nam otworzy, ale szpara nie poszerzyła się ani o centymetr.

– Słucham – dobiegł nas cichy głos. – Kim jesteście?

Byłam przekonana, że to nie ta sama kobieta. Niewiele widziałam w ciemnym wnętrzu domu, kobieta cofnęła się i dodatkowo przysłoniła oczy ręką, jakby ją raziło światło.

– Jestem Mirka Pataczkówna – przedstawiłam się. – Pani Garwoń?

Czekaliśmy w pełnej napięcia ciszy dobrą chwilę, aż w końcu kobieta powiedziała:

– Tak.

– Pamięta mnie pani? Byłam z panią wtedy, kiedy...

Drzwi otworzyły się nieco szerzej. Zamilkłam, bo to, co zobaczyłam, nie wzbudzało nadziei. Przede mną stała stara, zrozpaczona kobieta, całkiem siwa, o pobrużdżonej twarzy i chuda jak wiór. Z pokoju dochodził niezbyt przyjemny zapach.

– Pamięta mnie pani? – powtórzyłam pytanie.

Kiwnęła głową.

– Znalazłaś grób swojego przyjaciela? – spytała wypranym z emocji głosem.

– Nie – powiedziałam energicznie. – Bo on żyje.

I popchnęłam Stefana, żeby się pokazał. Teraz powinna zapytać, dlaczego przyszliśmy, ale nic takiego nie nastąpiło.

– Proszę nas wpuścić, bo ja... my... – plątałam się – mamy ze sobą do pomówienia.

Nie ruszyła się. Co więcej, wyglądała na taką, co zaraz zamknie nam drzwi przed nosem. A Stefan... Stefan w ogóle nie pomagał. Szarpał się, powtarzał, po co w ogóle tu przyszliśmy, że powinniśmy już iść, więc się zdenerwowałam i zaczęłam sprawę wyłuszczać na korytarzu. Przy czym w ogóle mnie nie obchodziło, że ktoś może usłyszeć.

– Proszę pani, to jest Stefan, mój przyjaciel. Najlepszy przyjaciel. To jego grobu wtedy szukałam, ale nie znalazłam. Bo on żyje.

– Cieszę się bardzo – powiedziała kobieta ledwie słyszalnie.

– Jest całkiem sam, bo wszyscy mu umarli. Mama, tato, dziadkowie i starsza siostra. Wszyscy umarli. Walczył w powstaniu, był ranny i przeżył. Wrócił w te ruiny, bo jego domu nie ma. Sam jak... palec. No.

Zobaczyłam w jej oczach nikłą isierkę zainteresowania, więc wypaliłam:

– Niech mu pani pomoże i go adoptuje!

Nie mogę powiedzieć, że zaległa cisza, bo przecież matka Jana nic nie mówiła. Ale teraz zrobiło się jakby ciszej od ciszy.

– Co?! – wrzasnął Stefan i na powrót zaczął się szarpać.

– Pani jest sama, on jest sam, więc możecie być... razem – przekonywałam. – Tak naprawdę albo na niby, byleby gdzieś podpisać, że naprawdę.

Po jej minie poznałam, że rozumiała, o co mi chodzi, ale nie przyjęła tego najlepiej. W innych okolicznościach pewnie roześmiałyby się nam w twarz, tyle że śmiech był ostatnią rzeczą, której bym się po tej pani spodziewała. Szczerze mówiąc, to nie wiem, czego się spodziewałam. To znaczy miałam nadzieję, że powie „tak”, nawet jeśli na początku wcale się nie ucieszy, i będzie widziała w Stefanie syna.

– Słucham? – Głos pani Garwoń był suchy jak wiór, a słowa brzmiały tak, jakby każde trzeba jej było obcęgami z gardła wrywać.

– Niech go pani adoptuje – powtórzyłam. – Inaczej pójdzie do sierocińca, gdzie go będą bili i... – zacukałam się nieco – i... będzie tam nieszczęśliwy i samotny, i...

– Ale ja nie mogę, dziewczynko – powiedziała wreszcie i zasłoniła twarz dłonią, jakby się bała, że ją uderzę.

– Mirko – odezwał się Stefan i do dziś nie wiem, czy zwrócił się do mnie, czy do pani Garwoń, by jej przypomnieć, jak mam na imię.

Zignorowałam i Stefana, i panią Garwoń.

– Dlaczego? – zapytałam. Wciąż ściskałam rękę Stefana, chociaż się już nie szarpał, tylko stał i słuchał. Może się zmęczył albo wreszcie zrozumiał, że to jedyna droga.

– Nie mogę – odpowiedziała. – Ja nie...

Myślałam, że chce powiedzieć, że nie ma pieniędzy, dlatego zaczęłam ją zapewniać:

– Stefan może pracować i zarabiać na siebie. Nawet jak się zacznie rok szkolny. Ja też mogę pracować. Będę szyła chusteczki i wszystko inne, żeby niczego nie brakowało.

Znów przybrała znużony wyraz twarzy, a dłonie złożyła jak do modlitwy.

– To niestosowne – powiedziała w końcu, przymykając nieco drzwi.

Milczałam, bo nie byłam do końca pewna, co znaczy to słowo. Zrozumiałam tylko, że w jakiś elegancki, pański sposób się wykręca. Nie czekałam więc, aż nam całkiem zamknie drzwi przed nosem, tylko pchnęłam je i weszliśmy ze Stefanem do ciemnego przedpokoju. Mdły zapach niemytego ciała i stęchlizny uderzył nas jeszcze silniej. Zrobiło mi się jej strasznie żal. Kiedy kilka tygodni wcześniej szukałam z nią grobu w ruinach, była zupełnie inna. Widać było jak na dłoni, że za młodu musiała być piękna i szykowna. Pewnie miała porcelanę i samochód. Mówiła przecież, że mąż był lekarzem. Eleganckie mieszkanie, udany syn, spacer w niedzielę, służąca – pewnie taka była jej codzienność. A teraz co? Kawalek dawnego mieszkania, dwa groby, samotność i żadnej radości.

– Proszę pani, ja wiem, jak to brzmi, ale trzeba sobie pomagać, żeby...

Chciałam powiedzieć „żyć dalej”, ale wtedy zauważyłam sznur, który zwisał z sufitu, uwieszony na obtłuczonej lampie. W pierwszej chwili nie rozumiałam, ale potem dotarło do mnie, co ta pani chciała zrobić chyba tuż przed naszym przyjściem. Spojrzałam przerażona na Stefana, on też wgapiał się w ten

sznur, bo i do niego dotarło, że gdybyśmy przyszli kilka minut później, kobieta zdążyłaby się powiesić. Widziałam wiele śmierci i bałam się jej jak diabli. Widziałam, jak Niemcy zastrzelili ludzi, których złapali w łapance, i jak krew ściekała po ulicy. Widziałam, jak żołnierze kolbą karabinu rozbili głowę takiej małej dziewczynce i mózg jej wyszedł na wierzch biały jak robaki. I jeszcze dużo innych rzeczy widziałam, takich, o których chciałam zapomnieć, i nawet by mi się udało, może nie od razu, ale z czasem pewnie by się tak stało. Gdyby nie ten sznur. Nigdy nie byłam świadkiem czegoś tak potwornego.

– Boże... – wykrztusiłam w końcu.

– Idźcie sobie, proszę... – powiedziała kobieta cichutko, nie patrząc na nas wcale.

– Mamy sobie iść?! – spytałam zduszonym szeptem. – Żeby pani... żeby pani... – Słowa „powiesiła się” nie przechodziły mi przez gardło.

I nagle jakby mi coś eksplodowało w środku. Poczułam w sobie wielką kulę, która wzbierała i domagała się wyjścia na światło dzienne. I wiedziałam, że już nikt i nic mnie nie powstrzyma.

– Co ci jest, dziecko? – Kobieta okazała cień zainteresowania. – Czy tobie nie trzeba pomóc?

– Mirka – powtórzył Stefan.

Na początek rzygnęłam na jakiś metr. Rzygowiny się rozbryzgały po brudnej podłodze. Stefan zasłonił usta, jakby też miał zwymiotować. Kobieta stała nieruchomo, obojętna jak przed chwilą, zastygła w swoim cierpieniu i próbie wyprowadzenia się na tamten świat. Pewnie doczekać się nie mogła, aż pójdziemy precz, żeby móc wrócić do tego, co zaplanowała – odebrania sobie życia.

– Ojej... – dosłyszałam apatyczny głos.

Ojej?, pomyślałam. Ojej? I wtedy zaczęłam wrzeszczeć. Krzyk wychodził prosto z moich trzewi, nie z gardła, był głęboki, głośny i nie do opanowania. Jakby nie potrzebował powietrza, żeby istnieć. I był tylko on. Ten mój krzyk. Nic więcej. Wkrótce znużenie na twarzy kobiety ustąpiło zdumieniu, potem przerażeniu. A ja krzyczałam. Cały czas, nieprzerwanie, nie biorąc oddechu, niemal do utraty przytomności. Czułam, że umieram, że z każdym dźwiękiem uchodzi ze mnie życie, wszelka radość i wszystko, za co resztkami wiary byłam wdzięczna Temu Komuś na górze, nie wiem, czy był Bogiem czy kim innym. I kiedy już niemal mdlałam z braku powietrza, zobaczyłam przed oczami obrazy, które chciałam wyrzucić z pamięci, zapomnieć, udawać, że ich nie było, ale coś w mojej głowie zatrzymało je, aby teraz, w ostatniej godzinie, zaprezentować mi je w pełnej okazałości. Ukazały mi się wszystkie osoby, które na moich oczach zamordowano, jedna po drugiej przepływały przez moje pole widzenia, kobiety, mężczyźni, dzieci, młodzi, starzy, w średnim wieku, w większości bezimienni, tylko niektórzy, jak Marysia Mazurówna, mieli imiona. I na ułamek sekundy zobaczyłam to, co się stało z moją mamą we dworze Babci Hrabiny, wtedy, kiedy nie była jeszcze Babcią Hrabiną, tylko panią Grzegorzewską. I ten obraz, najbardziej przerażający, sprawił, że przestałam krzyczeć. Ostatnie, co pamiętam, to ta żmija, która ukąsiła Marysię, chociaż jej tak naprawdę nie widziałam. Potem już tylko czerń.

\* \* \*

Kiedy znów otworzyłam oczy, zobaczyłam nad sobą panią Garwoń i Stefana. Oboje mieli przerażenie na twarzach. A potem coś ciepłego dotknęło mojego policzka i wróciłam do siebie, bo to Azor mnie lizał. A skoro był przy mnie Azor, uspokoiłam się natychmiast. Żyłam. Co więcej, powiedziałam, co chciałam. Byłam bardzo zmęczona. Podniosłam się szybko, w głowie mi się zakołowało, ale Stefan mnie przytrzymał.

– No to chodźmy – spróbowałam powiedzieć do Stefana, ale ku mojemu zaskoczeniu z gardła wydobył mi się jakiś dziwny dźwięk, ni to pisk, ni to skrzek, najwyraźniej tamten krzyk zabrał mój głos, najpewniej na zawsze, ale trudno, nie dbałam o to.

– Zaczekaj, dziewczynko – poprosiła nagle pani Garwoń, ale ja już swoje wykrzyczałam i teraz niech się dzieje, co chce, niech ona się powiesi, a Stefan wróci do sierocińca.

– Mirka – powiedział z naciskiem Stefan i wycelował we mnie palec. – To jest Mirka!

– Mirka – powtórzyła po nim kobieta.

Zobaczyłam, że sznur wiszący na lampie zniknął. Może miała na tyle przyzwoitości, że go zdjęła, kiedy ja leżałam zemdlona.

– Zostańcie – powiedziała.

Pokręciłam głową. Nie wiedzieć czemu, teraz najbardziej w świecie pragnęłam stąd wyjść, wrócić do domu i spytać mamy, czy to, co sobie przypomniałam, było prawdą czy moimi urojeniami. W uszach mi jednak zaszumiało, w głowie się zakręciło i znów pacnęłam na podłogę.

Tym razem nic nie widziałam, czułam tylko lizanie Azora po twarzy i słyszałam ciche skomlenie. Azor, kochany, nie bój się, nic mi nie jest, to nic, przeżyłam tak wiele, przeżyję i to, chciałam powiedzieć, ale nie mogłam otworzyć nawet oczu.

– Mirka – prosił Stefan. – Otwórz oczy, Mirka.

Skoro prosił, to postanowiłam resztką sił je otworzyć, a kiedy się udało, znów spróbowałam powiedzieć, że wychodzimy, bo co tu po nas. I jak poprzednio nie wydałam z siebie głosu, tylko jakiś skrzek.

– Trzeba by jej miodu dać – zasugerował Stefan, a kobieta nagle się ożywiła i stwierdziła, że ma miód, ktoś jej tam dał i zaraz mi „przyrządzi”.

No to ja znów zamknęłam oczy i czekałam na obiecany miód. W końcu pani Garwoń przyniosła mi go w słoiku i tylko po zapachu się domyśliłam, że tam rzeczywiście był kiedyś miód, ale wypłam grzecznie wodę o zapachu miodu i smaku czegoś mdłego, wyobrażając sobie, jak ten specyfik leczy moje gardło.

– Stefan – spróbowałam i tym razem mi się udało. Jego imię zabrzmiało całkiem normalnie, tylko lekko mi drżał głos.

– Mówi. – Ucieszył się.

– Całe szczęście – wyszeptła pani Garwoń, głaskając Azora po łbie. – Całe szczęście.

– Pójdziemy – powiedział do niej Stefan i pomógł mi wstać. – Ale proszę obiecać, że pani tego nie zrobi.

Spojrzał znacząco w stronę lampy.

– Nie. – Pokręciła głową.

Chciałam dopytać o szczegóły, ale Stefan mnie wyręczył.

– Co „nie”? Nie zrobi pani tego czy zrobi?

– Nie idźcie – powiedziała. – Zostań. Zostańcie oboje.

Zostaliśmy. Stefan miał zostać na zawsze.

## *Pamiętnik Tereski*

*Kiedy go zobaczyłam, jak kuśtyka pod moimi oknami, najpierw się ucieszyłam, a potem rozżalowałam. Ucieszyłam się, bo ktoś o mnie pamiętał, komuś na mnie zależało, a złość mnie wzięła, że to właśnie kulawy Michał wybrał mnie na obiekt swoich westchnień, a nie Alek. Postanowiłam oszczędzić mu fadygi i zesłałam na ulicę.*

*– A więc nie masz innego zajęcia? – zaczął, co mnie zdenerwowało jeszcze bardziej.*

*– A muszę? – odpowiedziałam pytaniem na pytanie.*

*– Nie musisz – zgodził się. – Ale miałem cię za kogoś innego.*

*– Jeśli przyszedłeś mi powiedzieć, że cię zawiodłam, to cię zawiodę jeszcze bardziej – wyjaśniłam mu kłótniwie. – Nie muszę spełniać twoich oczekiwań. Nie przyszedłam tam dla ciebie i nie z twojego powodu odeszłam.*

*Może nie powinnam była tego mówić, ale po moim wystąpieniu sprzed trzech dni nie miałam już nic do stracenia. A niech ten Michał myśli sobie, co chce.*

*– Wiem, z jakiego powodu odeszłaś. Ale przyszedłem cię prosić, żebyś wróciła.*

*– I pewnie powiesz, że nie poradzicie sobie beze mnie? – spytałam, starając się, aby jak najwięcej ironii przeniknęło do mojego głosu. – Z trudnością – odparł bardzo poważnie. – Jeśli chodzi o odgruzowywanie, to każdy osilek może wykonywać taką pracę. Natomiast chodzenie po kilkumetrowych drabinach i rusztowaniach, aby wytrzeć kurz czy poukladać książki... Tu – westchnął głęboko – tu niestety nikt nie może pomóc.*

*Nie wiedziałam, co powiedzieć.*

*– Jesteś zwinna jak małpa, przeto cię proszę, abyś nie dostawała małpiego rozumu, tylko użyła nam swojej małpiej zręczności – kontynuował tym samym poważnym tonem, jakby wygłaszał odczyt naukowy.*

*Nie wytrzymałam i roześmiałam się.*

*– Ty sobie ze mnie kpisz – stwierdziłam w końcu.*

*Wzruszył ramionami.*

*– Wrócisz? – spytał.*

*– Jak mi powiesz tak naprawdę dlaczego, to się zastanowię.*

*Przez chwilę myślał nad odpowiedzią. Potem spojrzął na mnie i rzucił:*

*– Bo wszyscy cię lubimy i tęsknimy za tobą.*

*Tak jakbym się trochę wzruszyła.*

*– A ty? – dociekałam.*

*– Mówię, że wszyscy. – Nie przestawał patrzeć mi głęboko w oczy.*

*– Prosiłam tatę, żeby zoperował ci nogę. Może znów będziesz biegał i grał w tenisa.*

*– Serio? – spytał zupełnie zbity z tropu. – Ale jak to?*

*Tata się zgodził obejrzeć tę nogę, ale nie mówił, że da się Michała zoperować, a już na pewno nie twierdził, że może przestać kuleć.*

*– Tak to – odpowiedziałam. – Tato jest najlepszym chirurgiem na świecie.*

*– Dziękuję. – Tarmosił czuprynę.*

*– To co z tym lubieniem? – spytałam.*

*– Zgoda, lubię cię. Jesteś niezwykłą dziewczyną.*

*Umknęłam wzrokiem, bo nagle jakoś tak dziwnie mi się zrobiło. Przypomniałam sobie tę poniżającą scenę na Politechnice i chciałam zapaść się pod ziemię.*

*– Polubicie kogoś innego. – Okręciłam się na pięcie i poszłam w stronę domu.*

*– Czeka! – krzyknął za mną. – Ja lubię cię najbardziej!*

*Zatrzymałam się. Jego wyznanie sprawiło mi wielką przyjemność, nawet większą, niż się spodziewałam. Odwróciłam się powoli.*

*– A zgodzą się? – spytałam, uśmiechając się szelmowsko.*

*Pokiwał kilka razy energicznie głową, ucieszony jak nie wiem co. Chociaż kto go wie, może tylko udawał.*

*– Do jutra! – krzyknął.*

*Potem poszedł, kuśtykając szybciej niż zwykle, a ja już miałam wracać do nas, kiedy zobaczyłam naszą mamę. Stała niedaleko domu z tym panem, z którym pracowała w gazecie.*

*– Ma...! – Nagle krzyk uwięził mi w gardle i zaczęłam się w duchu modlić, żeby mnie nie zauważyli. Bo oni niby nic nie robili złego, stali sobie, milczeli, ale wtedy zrozumiałam już, dlaczego mama jest taka.*

*Zagryzłam wargi i schowałam się za węglem. Boże, Boże, a więc to tak, kotłowało mi się w głowie. Zajęta Alkiem nie zauważyłam, że mama odchodzi od nas gdzieś daleko, najpewniej do tego pana, co to stoją tak sobie, nie dotykają się wcale, ani, ani, a jednak widać, że są tak blisko, jak mama nie jest blisko ani z nami, ani z tatą. Nigdy nie widziałam jej i taty w takiej bliskości. Przed wojną lubili chodzić na spacer, trzymali się za ręce. Mama malowała usta i nosiła kolorowe bluzeczki. Ciągle się śmiała. Kiedy zaczęła się wojna, na jej czole pojawiła się pionowa kreska i cały czas tam była, mniej lub bardziej widoczna. I nawet gdy tak nieoczekiwanie wróciliśmy do Warszawy, gdy okazało się, jakie to mamy szczęście, bo nasz dom nie tylko stoi, ale i bez dzikich lokatorów, nic nie było takie jak trzeba. Sądziłam, że to wina Alka i tego, co zrobił. Ale nie tylko. To także była wina mamy. Bo nas zdradziła. Mnie, Mirkę i tatę.*



## PACJENTKA W.O. I. 40

To pani pierwsze dziecko? – spytałem.

– Drugie – wysapała.

Miała skurcze co minutę i szybko postępujące rozwarcie. Nie zapytałem ani o to, co się stało z pierwszym, ani o ojca dziecka.

– To wie pani, jak to jest. Proszę oddychać spokojnie.

Uspokoiła się nieco.

– Niby wiem – burknęła między skurczami – ale słabo pamiętam. To było dwadzieścia lat temu.

Nic nie powiedziałem, bo weszła Ona. Podeszła do pacjentki, sięgnęła po czystą chustę i otarła rodzącej twarz. Położnica popatrzyła na nią z wdzięcznością.

– Chce pani pić? – spytała swoim czystym i jasnym głosem.

– Tak – wysapała kobieta, a ja się zawstydzilem.

Nie do mnie należało pojenie rodzących – ja czuwałem, żeby sprawnie i szybko rodziły. Ale Ona spojrzała na mnie karcąco i poczułem, że jestem odpowiedzialny za spieczone wargi kobiety, i rozzłościło mnie to.

– Proszę zostać z pacjentką, ja pójdę odpocząć – powiedziałem stanowczo.

Miałem za sobą dwanaście godzin pracy – z tego niemal jedenaście stałem na sali operacyjnej, bo przywieźli dzieciaki, które próbowały samodzielnie zdetonować niewypał. Było ich pięcioro. Wszyscy w wieku mojej córki. Najciężej rannego, z dziurą w brzuchu, nie udało się uratować. Temu, co trzymał niewypał, urwało całą rękę i miał w sumie najwięcej szczęścia. Dwóm dziewczynkom wybuch zniszczył oczy. Obie miały poranione twarze i poparzone głowy. Piąty walczył o życie. Oberwał w pierś i odłamek uszkodził mięsień sercowy. Operacja trwała wiele godzin. W takich chwilach modłę się tylko o to, aby wśród rannych nie dostrzec twarzy mojej córki. Niby jest rozsądna, chociaż mała, i wiem, że dobrowolnie nie biegałaby po piwnicach i nie zbierała pocisków. Tyle że jest ich wciąż tak dużo, dzieciaki handlują nimi z żołnierzami. Słyszałem, że ludzie potrafią przynosić do domu pociski na wypadek kolejnej wojny. Nie wiem, czy to głupota czy mądrość. Nic już nie wiem.

– Jestem potrzebna na oddziale pooperacyjnym – odpowiedziała Ona.

Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem. Rozzłościło mnie to, że przy pacjentce kwestionuje moje polecenia, ale nie dałem tego po sobie poznać.

– Tu też jest pani potrzebna, a jeśli ja nie odpocznę chwilę, będę bezużyteczny.

Poszedłem do pokoju obok i położyłem się na leżance. Sen przyszedł natychmiast. Śniło mi się, że nadal stoję przy stole operacyjnym i próbuję zaszyć serce, które wciąż się otwiera. Czerwona krew tryaskała na wszystkie strony, brudząc mi ręce. „Nici – mówiłem – dajcie dobre nici, bo te się nie nadają. Dajcie mi je, zanim ten dzieciak umrze”.

– Doktorze. – Ktoś dotknął mojego ramienia.

Zerwałem się.

– Spokojnie – powiedziała Ona. – Chciałam tylko zameldować, że ta pacjentka urodziła. Przyjęłam poród, wszystko jest w porządku. Siostra Ada obejrzała łożysko, ale mam obowiązek...

Miała obowiązek poprosić lekarza, żeby ocenił łożysko. Zerknąłem na zegarek. Była piąta rano. Spałem cztery godziny.

– Przepraszam... Dlaczego pani nie zbudziła mnie wcześniej?

– Nie było takiej potrzeby, a chciałam, żeby pan odpoczął. – Uśmiechnęła się. – Miał pan rację. To był bardzo ciężki dyżur. Gdyby po tych zabiegach przywieźli kogoś jeszcze...

– Dziękuję. – Głowa mnie bolała, pod powiekami miałem piasek.

– Czy zechce pan...?

– Nie ma potrzeby, żebym ocenił łożysko. Na pewno wszystko jest dobrze. Idzie pani do domu?

Sam zostawałem jeszcze dobrę, ale nie wiedziałem, czy Ona też ma kolejną zmianę. Często brała, podobnie jak ja, dwie, nawet trzy doby. Mieliśmy za mało personelu, za dużo chorych. Choroby wciąż atakowały, jakby były nieświadome tego, że wojna się skończyła.

– Tak, ja też zostaję. – Westchnęła.

Zapadło niezręczne milczenie.

– Mam pomysł – rzuciła nagle. – Przenieśmy się do naszego kantorka. Zaparzę herbaty. Przyniosłam z domu zupę, odgrzeję dla nas.

Na dźwięk słowa „dom” zrobiło mi się przykro, za to „dla nas” nappełniło mnie nadzieją. Unikała bliskości, a teraz chciała zjeść ze mną posiłek.

– Z radością – odparłem.

Zanurzyłem ręce w misce z wodą, by się ochłapać. Całe szczęście, że nie było lustra, nie chciałem widzieć swojej przedwcześnie postarzałej, brzydkiej twarzy.

– Jak pani to robi? – odważyłem się zapytać. – Po tylu godzinach dyżuru wygląda pani świeżo i... – Chciałem powiedzieć „pięknie”, ale kto wie, czy by się nie spłoszyła i nie zrezygnowała z podzielenia się zupą.

– Bardzo pan miły. – Uśmiechnęła się szeroko. – Ale to nie jest prawda. Wiem, bo w domu mam lusterko. Czasem, kiedy patrzę na siebie po wielu godzinach pracy... – Zrobiła zabawną minę.

– Powinna pani odpoczywać. Ma pani dużo sił, ale one się skończą, jeśli będzie się pani pracować.

Myślałem, że zaprzeczy, ale nieoczekiwanie zgodziła się ze mną.

– Tak, ma pan rację. Postanowiłam, że nie będę brała podwójnych dyżurów. Teraz, kiedy...

Nagle drzwi się otwały i stanęła w nich siostra Jadwiga.

– Poszła – oznajmiła i bezradnie rozłożyła ręce.

– Kto? – zapytaliśmy jednocześnie.

– Ta pacjentka. Czterdziestoletnia, ta, co urodziła.

– Jak to poszła? – ledwie wykrztusiła Ona. – Przecież tłumaczyłam, że...

– Zostawiła dziecko, ubrała się i poszła.

Przypomniałem sobie, jak odebrałem poród w kawiarni. Schroniłem się tam przed uliczną łapanką. Tuż za mną wpadła ciężarna kobieta. Właściciele wskazali nam zaplecze. Bywało, że Niemcy wywelekali ludzi ze sklepów czy restauracji, zwłaszcza kiedy widzieli, że służą za schronienie. Pobiegliśmy na zaplecze. Tam odeszły jej wody. Urodziła kilka minut później. To się rzadko zdarza, taki poród błyskawiczny. Miała szczęście, że właśnie ja z nią byłem. Trzymałem na rękach zdrową dziewczynkę, kiedy przyszła właścicielka „Stokrotki”, żeby powiedzieć, że już po wszystkim, Niemcy odjechali. Aż usiadła ze zdumienia, zobaczywszy maleństwo.

– Ja też spodziewam się dziecka. – Przejęła ode mnie noworodka i pomogła matce stanąć na nogi.

Poszedłem stamtąd zaraz, bo Tereska miała wracać z kompletów i niepokoiłem się, czy nie trafiła na łapankę. Nie wiem, co się stało z tamtymi kobietami. Nigdy tam nie wróciłem, nawet po wojnie.

– Powinam była... – Ona załamywała ręce.

Szliśmy korytarzem w stronę sali porodowej. W środku była jeszcze jedna pielęgniarka, siostra Zosia.

– Zostawiła dziecko i poszła – zameldowała. – Ale ja wiem dlaczego.

Spojrzelśmy pytająco.

– Jedna moja koleżanka ją zna. Ona jest z tych, co to je Niemcy... po upadku powstania. Tyle że jak skończyli z taką kobietą, to ją zabijali. Jej nie wiedzieć czemu nie zabili. I wyszła z brzuchem – relacjonowała rozemocjonowana.

Spojrzałem ze współczuciem na małą dziewczynkę, która leżała cichutko w beciku.

– Niemieckie dziecko. – Siostra Zosia aż się skrzywiła.

– Jakie niemieckie? – Jadwiga spojrzała karcąco na koleżankę.

– Niewinne dziecko. – Ona uśmiechnęła się do noworodka.

– Jakie ono życie będzie miało? – zastanawiała się głośno siostra Jadwiga.

Nikt z nas nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie.

– Trzeba znaleźć mamkę – podpowiedziała siostra Jadwiga.

– Mamy tu co najmniej dziesięć matek, które z radością podzielią się swoim mlekiem z tym porzuconym biedactwem – zreflektowała się siostra Zosia.

– Tylko niech pani nie mówi... – Zabrakło mi słów.

– Pewnie, że nie powiem – zachnęła się Zosia. – Za kogo mnie pan ma, doktorze.

Siostra Jadwiga wzięła dziewczynkę na ręce i ukołysała. Wiem, że sama nie ma dzieci. Przez głowę przemknęła mi myśl, że może ona by chciała zabrać dziecko, ale zaraz ją odegnałem.

– Taka spokojna dziecinka – powiedziała siostra Jadwiga. – A z takiej nienawiści się zrodziła.

\* \* \*

Jedliśmy zupę w ciszy.

– Przez to zamieszanie z noworodkiem zapomniałam powiedzieć, że wszystkie zoperowane dzieciaki czują się dobrze – odezwała się nagle.

– Najgorszy był ten biedak z tamponadą serca – odparłem znów szczęśliwy, że się do mnie odezwała i pośrednio chwali moją pracę.

– Jest pan wspaniałym chirurgiem...

Pokiwałem głową z wdzięcznością. Pewnie moi koledzy, wybitni chirurdzy, zoperowaliby nie-szczęśnika szybciej, może lepiej. Być może sprawniej zaszyliby ranę w sercu, a dziewczynki nie straciłyby wzroku. Ogarnął mnie żal. Tyle lat czułem się niedoceniany, a teraz oddałbym wszystko, aby znów być jednym z wielu lekarzy w szpitalu, operować łżejsze przypadki, te skomplikowane zostawiać profesorom i docentom. Jakby usłyszała moje myśli.

– Nikt nie zrobiłby tego lepiej – powiedziała.

– Przed wojną pracował tu wybitny okulista – odpowiedziałem. – Doktor Tennenbaum. Miał krótkie i grube palce, a specjalizował się w chirurgii oka. Operował wady wzroku. Jako jeden z pierwszych na świecie. Pojechał do Berlina w połowie trzydziestego piątego roku i przeprowadził szereg pokazowych operacji. Niemcy niemal nosili go na rękach. Proponowali mu etat, mnóstwo pieniędzy, dom, wszelkie zaszczyty, ale nie chciał. W Warszawie miał podobne możliwości, dlaczego miał z nich zrezygnować? Poza tym wszyscy mówili o potencjalnym wybuchu wojny, chociaż mało kto w to wierzył. Ale gdyby tak się stało, mówił Leon Tennenbaum, chciałbym być tu, z moją rodziną. W getcie pracował jako lekarz. Operował wszystko, nie tylko oczy.

– Na zniszczone odłamkami i pyłem oczy też by nic nie poradził – stwierdziła z mocą. – Ani na zgwałcone matki, co porzucają swoje dzieci – dodała ciszej.

Może nie, może tak. Postanowiłem opowiedzieć jej o Leonie Tennenbaumie.

– Posłano po niego, do getta. Wysoko postawiony oficer SS uszkodził sobie oko. Bawił się z synem i w trakcie zabawy w oko wbił mu się kolec kwiatu czy krzaka, nie wiem dokładnie. Przewieziono wynędzniałego Leona do naszego szpitala, gdzie w asyście innego wybitnego okulisty, notabene własnego asystenta, zoperował esesmanowi oko.

– Operacja się udała? – spytała, jakby to miało jakieś znaczenie dla Leona.

– Tak. – Pokiwałem głową. – Leon zginął zaraz po zabiegu, na sali operacyjnej. Jak tylko powiedział, że wszystko jest w porządku, Niemiec go zastrzelił.

– Dlaczego? A pozostali? Drugi lekarz? Instrumentariuszka?

– Im nic nie zrobił. Podziękował nawet. W końcu nie byli Żydami.

– A rodzina tego doktora? – spytała.

– Większość zabili przy likwidacji getta, dwóch synów, rodzinę brata i rodziców. Jego żona z córką trafiły do Treblinki. Nie przeżyły. To była przepiękna kobieta – wspominałem. – Lunia Tennenbaum. Śpiewaczka operowa. Dziewczynka grała na skrzypcach. Wróżono jej wielką karierę.

– Takie historie odbierają nadzieję.

– A pani ma jakąś? – Uśmiechnąłem się blade.

– Tak – potwierdziła. – Zawsze.

– Nawet kiedy matka porzuca dziecko?

– Nawet wtedy – powiedziała stanowczo. – Dar życia. To najważniejsze.

Patrzyłem na resztki zupy na dnie talerza.

– Nie smakuje panu? – spytała.

– Przeciwnie – zapewniłem ją. – Jestem tylko strasznie zmęczony.

– Za krótko pan spał – domyśliła się.

Pokręciłem głową.

– Nawet gdybym zasnął snem wiecznym, to i tak... I tak...

Wtedy zdałem sobie sprawę, że nie ma we mnie wdzięczności. Nie wznosiłem modłów dziękczynnych, nie śpiewałem w kościele pieśni, ciesząc się, że przeżyliśmy. Próbowałem żyć, godzina po godzinie, dzień po dniu, uciekając najpierw od wspomnień z Warszawy, potem od tego, co się stało na wsi. I nie umiałem się podźwignąć. Ludzie potracili całe rodziny, rodziców, dzieci, przyjaciół. Płakali nad grobami bliskich albo dlatego, że tych grobów nie było, a ukochane ciała spoczywały w bezimiennych mogiłach. Potem wstawali i szli dalej, walczyli o nowe życie, swoje miejsce wśród ruin, a ja... Ja nie potrafiłem.

Wczoraj zwrócono się do mnie oficjalnie z pytaniem, czy nie zechciałbym wyjechać na Dolny Śląsk. Ponoć we Wrocławiu potrzebują polskich lekarzy. Wyszędlają Niemców, osiedlają Polaków. Wyobrażałem sobie, że jadę tam z nią i zaczynamy nowe życie.

– Niech pan tak nie mówi – poprosiła.  
– Mogę tego nie mówić, żeby pani nie zasmuć. Mogę udawać, że to wszystko nieprawda.  
– A jaka jest prawda? – spytała, patrząc na mnie wielkimi oczami.  
– Prawda jest taka, że kocham panią – powiedziałem tak spokojnie, jakbym mówił o pogodzie czy o dostawach sprzętu do szpitala. – I tylko ta miłość może mi pomóc.  
W jej oczach zalśniły łzy.  
– Nie mogę – wyszeptała.  
– Nie może pani odwzajemnić mojego uczucia?  
Wziąłem ją za rękę, nie wyrwała jej. Przeciwnie, uściśnęła moją. Zamknąłem oczy, bo ta pieśczoła mogła być jedyną, jaka kiedykolwiek stanie się moim udziałem. Chciałem ją dobrze zapamiętać.  
– Przepraszam, ale muszę już...  
Otworzyłem oczy. Siedziała cała zapłakana, a jej ręka drżała w mojej. Pocałowałem tę dłoń, potem rozluźniłem uścisk.  
– Przepraszam. – Wstała, wytarła oczy chusteczką i wyszła, nie spojrzawszy na mnie.  
Jeśli Ona nie może mnie kochać, to nie zostało już nic, w co bym wierzył.

## MIRKA

Jak zwykle zepsuli mi całą niespodziankę. Bo wkroczyłam do domu, żeby powiedzieć o Stefanie, że będzie miał opiekę i wszystko się poukładało, a tam wydzierająca się Tereska, Babcia Hrabina, która próbowała ją uspokoić, i mama pakująca do torby jakieś rzeczy. A obok pan Jan stojący z miną zbitego psa. Dosłownie zbitego psa, nawet Azor to zauważył, bo zaraz do niego podszedł i polizał go po ręce, a pan Jan zaczął go głaskać, rzucając mi od czasu do czasu jakieś dziwne spojrzenia.

– Co się tu dzieje? – spytałam, bo nikt na mnie nie zwracał uwagi.

Tereska krzyczała coś o zdradzie, rodzinie i nie wiem jeszcze o czym. A mama, zwykle próbująca mojej siostrze przemawiać do rozsądku, którego Tereska już dawno nie miała, kręciła się po pokoju z zaciętą miną i nic nie mówiła.

– Chyba chryja jakaś – usłyszałam za sobą głos Danki.

– A co ty tu robisz? – spytałam ją.

– Jestem – stwierdziła, wzruszając ramionami. – Przyniosłam spadochron.

Kiedy zobaczyłam wielki, zakurzony toból, w jednej chwili złość na moją przyjaciółkę powróciła.

– Idź sobie lepiej, bo teraz... – poprosiłam.

– Już wiem – stwierdziła krótko i rzuciła mi się na szyję.

Ciekawe skąd. Ta to potrafi wszędzie wściubić nos.

– Pan Piasecki mi powiedział. Wszyściutko.

No tak, bo najpierw poszliśmy ze Stefanem do państwa Piaseckich i wszystko im opowiedzieliśmy. O tym, jak wpadłam na pomysł, żeby Stefana adoptowała osierocona matka. Ona sierota, on sierota, to razem przecież byłoby im lepiej, tłumaczyłam całą szczęśliwa, że mam takie dobre pomysły. Potem powiedziałam o pani Garwoń, o tym, jak się zamierzała powiesić, bo już nie mogła wytrzymać z tej samotności i nie chciała istnieć bez syna. Bo prawda była taka, że gdybyśmy przyszli kilka minut później, toby wisiała na sznurze. A tak to w końcu zgodziła się adoptować Stefana, mało tego, stwierdziła, że nie będą przechodzić przez żadne procedury, tylko napisze się, że Stefan to jest Stefan Jan Garwoń, a świądectwo urodzenia spaliło się w powstaniu. I już. Pani Piasecka na początku miała obawy, czy Stefana nie znajdą ci z domu dziecka i czy pani Garwoń nie pociągną do odpowiedzialności za fałszerstwo. Ale pan Piasecki stwierdził, że jego żona bzdury gada, nawet jak się ktoś domyśli, to grunt, żeby się papiery zgadzały, prawie wszyscy zaczynają z czystą kartą. Właśnie tak, z czystą kartą. A potem to już się cieszyliśmy, zwłaszcza że pana Piaseckiego znalazła jakaś dawna znajoma i przyniosła mu cały pakiet książek przyrodniczych i atlas świata. Wszystko trochę stare, ale całutkie, nawet nienadpalone. I zagraliśmy partyjkę „państwa, miasta...” na literę „b”, tylko jedną, bo trzeba było wszystkim powiedzieć o tym, co się stało. Zaraz też obiecaliśmy, że wrócimy na lemoniadę, bo nie tylko sprawę Stefana trzeba było uczcić, ale też to, że pan Piasecki nabrał sił i zaczął wstawać. Co więcej, byli z żoną u mojego taty i ten powiedział, że to jest cud, że się nie spodziewał, że pan Piasecki wyjdzie z tak ciężkiego stanu. Można by powiedzieć, tak podobno mówił tata, że pan Piasecki wyzdrowiał. Bo pan Piasecki ponoć wcale nie miał płuc, nie wiem, jak to możliwe, chyba chodziło o to, że były zniszczone, ale się odbudowały. A teraz już ma i może oddychać i nie umrze. Ja nigdy, przenigdy nie dopuszczałam do siebie myśli, że pan Piasecki umrze. Wyznałam im to i oni wtedy przy Stefanie powiedzieli, że tak naprawdę to mnie też zawdzięczają to uzdrowienie, cudowne chyba. Pewnie nie mnie, tylko moim rosołom, powiedziałam, ale Stefan zaprzeczył i popatrzył na mnie tak, że już wiedziałam, że żadna Danka nie zagrozi naszej przyjaźni, a jak dorosniemy, to się pobierzemy, i to była cudowna myśl. I umówiliśmy się, że Stefan wróci do pani Garwoń, żeby jej pomóc posprzątać pokój i wszystko naprawić, a ja pójdę do domu.

– Już między nami dobrze? – dopytywała się Danki. – Przecież przyniosłam ci spadochron. Ciężki był.

Ta to miała wycucie. Przyniosła spadochron i uważała, że można wymazać całą przeszłość między nami. To ja miałam zdecydować, kiedy jej wybaczę, a nie ona. Już miałam powiedzieć, że mnie zdradziła i chciała mi odebrać przyjaciela i mam w nosie jej spadochron razem z całym jedwabiem, który można z niego odzyskać, ale nie zdążyłam, bo Tereska znów zaczęła krzyczeć o zdradzie.

– Kto zdradził? – Nie rozumiałam, dlaczego mama się nie broni.

– Mama zdradziła tatę – powiedziała dobitnie moja siostra.

– Nie – rzuciła Babcia Hrabina, ale miała taką minę, że nie wiedziałam, czy to zaprzeczenie tejże zdrady czy zwykłe niedowierzanie.

– Chyba jednak tak – stwierdziła z satysfakcją w głosie Danka, a ja uznałam, że tym razem naprawdę jest tu niepotrzebna, to sprawa rodzinna, obojętne, czy kłótnia, czy awantura, czy co innego.

– Idź sobie – powiedziałam do niej groźnie. – Przeszkadzasz.

Nie ruszyła się nawet na centymetr, w dodatku odparowała:

– Jak się moi rodzice kłócili, to podsłuchiwałaś ze mną na strychu.

Myślałam, że ją normalnie zabiję. Bezczelna.

– I jak była mowa o Alku, to też zawsze byłaś pierwsza, chociaż to nie twoja sprawa rodzinna.

Wygłosiła to wszystko w kompletnej ciszy. No i teraz koniec, pomyślałam, bo Tereska mi nie da żyć.

– Podsłuchiwałaś Alka? – wrzasnęła, a ja już nie miałam nic do stracenia i odpowiedziałam jej:

– Tak, podsłuchiwałyśmy wiele razy Alka. Alka, jak mówi do Renaty, że jest jego cudem na ziemi, jak z nią rozmawia i jak zapewnia o tym, że jest bardzo szczęśliwy – wyrecytowałam. – Podsłuchiwałam, bo myślałam, że może masz rację, że tak się starasz rozbić...

– To nie twój Alek – dodała Danusia i wzięła się pod boki. – A Renata jest nasza. Wszyscy ją kochamy.

– Ty smarkulo. – Tereska zrobiła się czerwona jak burak. – Won mi stąd!

Azor zaczął szczekać na Tereskę, widocznie uznał, że trzeba zająć stanowisko. Ja nie miałam wątpliwości, po której jestem stronie.

– Nie. – Zasłoniłam Danusię, jakby Tereska miała do niej strzelić. – Ona nigdzie nie idzie. I przestań tu wrzeszczeć o zdradzie i zachowywać się jak...

– Cisza! – krzyknęła Babcia Hrabina i wszyscy umilkli, włącznie z Azorem, który wrócił do pana Jana i położył się u jego stóp.

Tereska była cicho tylko przez chwilę.

– Mama się wyprowadza – oświadczyła. – Do niego – dodała i wycelowała palec w pana Jana.

Azor znów zaczął szczekać, a mama płakać. To znów pan Jan się podniósł, widząc, że mama płacze, podszedł do niej i objął ją ramieniem.

– Mamo? – spytałam.

– Wasza mama i ja postanowiliśmy... – powiedział pan Jan spokojnym głosem.

– Wy postanowiliście?! – rozwrzeszczała się ponownie Tereska. – A gdzie rodzina? Nasza mama jest żoną taty, a nie pańską...

– Tak jak Alek jest mężem Renaty, a nie twoim – nagle odezwała się mama i znów zrobiło się cicho.

Tereska zaniósła się płaczem. Azor podniósł łeb, ale nie podszedł do niej, żeby ją pocieszyć. Do mnie też nie podszedł, tylko siedział przy panu Janie. Może wiedział lepiej, co się święci, i pogodził się z tym.

– Mamo? – ponownie się do niej zwróciłam, ignorując płacz siostry.

Przeszkadzali mi ci wszyscy ludzie w pokoju, nawet Babcia Hrabina wydawała mi się obca, chciałam zostać sama z mamą i wszystko usłyszeć z jej ust. I chociaż mama miała wypisane na twarzy, że Tereska mówi prawdę, mnie nie opuściła nadzieja, że można to jeszcze wszystko odwrócić.

– Ja i Jan postanowiliśmy być razem – odpowiedziała mama. – Przepraszam, ale nie mogę inaczej. Do oczu napłynęły mi łzy.

– A tata? – spytałam szeptem. – Czy on wie?

– Wie – odpowiedział mi pan Jan.

– I zgodził się? – Nie mogłam w to uwierzyć.

– A co miał do powiedzenia? – wtrąciła się Danka. – Bo ja ich widziałam i potem słyszałam, jak rozmawiali z Alkiem.

– Ale kto? – Wciąż nie mogłam zrozumieć.

Uważałam się za bystrą osobę, ale tym razem nie mogłam sobie wytłumaczyć tych słów, słówek i półsłów, jakie padały z ust ich wszystkich.

– Danusiu, proszę cię, żebyśmy wyszły – zwróciła się do niej Babcia Hrabina.

Ja stałam jak wryta i patrzyłam z niedowierzaniem na to wszystko.

– Przepraszam cię, córeczko – powiedziała mama, kiedy Babcia Hrabina w końcu wyprowadziła Dankę siłą i nakazała Teresce, aby też opuściła pokój.

– Ale jak to? – spytałam, patrząc bezradnie na mamę i pana Jana.

– Wiem, że nie powinnam tego mówić, ale na miłość nie ma lekarstwa... – odparła mama. – Miłość matczyzna jest bardzo silna, ale ja potrzebuję jego miłości, aby przetrwać. Zawsze będę cię kochać oczywiście. I Tereskę. I chociaż tego nie rozumiesz teraz, to kiedyś na pewno mnie zrozumiesz...

Plotła coś trzy po trzy, jakby była Danką albo którąś z koleżanek Tereski sprzed wojny, a nie mamą. Pan Jan nic nie mówił, tylko siedział z miną winowajcy, głaskając od czasu do czasu Azora po łbie. A ja nie chciałam słuchać o miłości. Wierzcie albo nie, ale byłam w stanie zrozumieć, że mama zakochała się w miłym panu Janie, a odkochała w ponurym, uciekającym do pracy tacie. Nie chciałam wiedzieć dlaczego. Ja chciałam wiedzieć, jak to teraz będzie. Gdzie będę mieszkała z Azorem? Gdzie będą mieszkali Tereska, mama i tata. I naturalnie Babcia Hrabina. Jak to teraz będzie.

– Wszystko się poukłada – powiedziała mama i zrobiła krok w moją stronę, a wtedy Azor oderwał się od pana Jana, stanął koło mnie i zaczął na nią warczeć.

Mama wtedy się zupełnie rozkleiła i znów uderzyła w płacz, a ja zwróciłam się do pana Jana:

– To gdzie będziemy teraz mieszkać?

– Ty zostajesz tutaj – odpowiedziała za niego mama. – Ja odchodzę.

– Czy nie mógłby pan być nasz, zamiast zabierać nam mamę? – spytałam pana Jana i w moich słowach pewnie było coś, co go kompletnie pokonało, bo sam zaczął płakać.

– Nie, proszę cię, nie... – zaczęła mama, a wtedy do pokoju wpadła Tereska, a za nią Babcia Hrabina i Danką, która ugięła się pod ciężarem spadochronu.

– Przyniosłam ci go. – Dla Danki było najważniejsze, żeby zajmować się jej sprawami. – Na chusteczki. Jedwabne. Ale jakbyś mnie nauczyła szyć, to ja też bym szyła...

– Cicho bądź! – wrzasnęła Tereska do Danki. – I idź stąd.

– No przecież ja o sprawach przyszłościowych – broniła się Danką, zasłonięta spadochronem. – Mirka wpadła na wspaniały pomysł, żeby szyć chusteczki jedwabne. I ja...

– Cicho! – darła się Tereska.

– Ty cicho bądź – powiedziałam do siostry. – Wrzeszczysz i wrzeszczysz, jakbyś coś mogła tym wrzaskiem załatwić.

Tereska wprawdzie zamilkła, ale zaraz podeszła do Danki i chyba chciała jej zabrać spadochron albo Danką tak pomyślała, bo przycisnęła go jeszcze mocniej. I Tereska zaczęła popychać moją przyjaciółkę i prawie wpadły na szafę. No to wszyscy zaczęli się wtrącać, odciągając Dankę, która wczepiła się w tobół, jakby to była najcenniejsza rzecz na świecie, Tereskę, potem mamę szarpiącą się z moją siostrą, Babcię Hrabinę, która próbowała je rozdzielić. Myślałam, że większego bałaganu już nie będzie, ale Azor się rozszczękał, pan Jan zaczął uspokajać Azora i mamę, co znów zdenerwowało Tereskę.

– Zostaw to. Daj teraz spokój z chusteczkami – zwróciłam się do Danki i sama spróbowałam odciągnąć od niej Tereskę, która napierała na Dankę, wyszarpując w złości spadochron. – Wrócimy do tego później. Wszystkiego cię nauczę. Tylko teraz idź sobie, bo mamy tu rodzinne sprawy.

I nagle rozległ się taki jakiś dziwny syk i zanim zdążyłam się zastanowić, skąd dochodzi, rozległ się huk. Rzuciło mnie do tyłu, pamiętam, że uderzyłam w ścianę. Potem poczułam ból brzucha. Słyszałam skowyt Azora, a potem nic. Czarno.

## PACJENT M.K. 1. 25

Miał pan dużo szczęścia – powiedziałem szczerze po badaniu młodego człowieka, znajomego Tereski. – Może się pan ubrać.

Chłopak wciągnął wojskowe spodnie na pociętą bliznami nogę.

– Wiem o tym. I naprawdę, panie doktorze, nie musi pan...

Położyłem mu rękę na ramieniu.

– Nie muszę – zapewniłem. – Ale chciałbym panu pomóc.

– Da się wyjąć kulę? – spytał.

Pokiwałem głową. To nie powinno być trudne. Nie tkwiła w pobliżu kości i od dużych naczyń oraz nerwów też dzieliło ją kilka centymetrów.

– Da się. Tylko że...

– Jednak jakieś ryzyko istnieje, tak?

Spróbowałem to wytłumaczyć najlepiej jak umiałem:

– Wydaje mi się, że kula tkwiąca w pana nodze powoduje ból, ale nie jest przyczyną problemów z chodzeniem. Te biorą się najprawdopodobniej ze zniszczenia mięśni i ścięgien.

– Czyli to tamten pocisk, tak?

– Tak mi się wydaje – potwierdziłem.

– Czyli operacja nie ma sensu? – Jego ładne niebieskie oczy zgasty.

– Jak najbardziej ma sens – zaprzeczyłem gwałtownie. – Był pan operowany na polu walki, skupiono się na wyciągnięciu tamtych odłamków i zatrzymaniu krwawienia. Połatano pana... – Chciałem powiedzieć „byle jak”, ale mogłoby to zabrzmieć lekceważąco wobec ludzi, którzy operowali tych niefortunnych wśród huku bomb i gradu pocisków i dla których miałem wielki szacunek.

– Czyli zeszyto mnie naprędce, tak?

– Tak – potwierdziłem. – Trzeba by poprawić. Zeszyć mięśnie z mięśniami, a powięzie z powięziami.

– Pan to zrobi? – zapalił się.

– Nie – tym razem zaprzeczyłem. – To nie byłoby właściwe. Poza tym jest ktoś lepszy, kto ma niezwykle umiejętności i doświadczenie w takich sprawach.

Miałem na myśli doktora Grzegorka, który był wyjątkowym chirurgiem i dokonywał wielu rekonstrukcji urwanych palców, nawet kończyn. Ba, potrafił też odwracać skutki obrzezania u Żydów, co pozwalało im przetrwać po aryjskiej stronie. Czyniło go to jednym z najbardziej pożądanym specjalistów w czasie wojny.

– Jest ktoś lepszy od pana? – Uśmiechnął się.

– Jest wielu lepszych ode mnie – odpowiedziałem bez śladu goryczy w głosie. – Chociaż powinienem powiedzieć „było”.

– A więc zgoda. – W oczach chłopaka zaświtała nadzieja.

Mówił mi, że przed wojną grał w tenisa. Na pewno wiedział, że nie wróci do uprawiania sportu, ale wystarczyło, że nie będzie kulał. Albo będzie kulał mniej. Kto wie, może i będzie grał w tenisa dla przyjemności.

Zadzwoń mi po nią dzwonkiem. Od rana jej nie widziałem, a tęskniłem za widokiem jej zielonych oczu i splecionego starannie warkocza, poważnej twarzy z nieśmiałym uśmiechem błakającym się tylko niekiedy na pięknych wargach. Moje niedawne wyznanie uczyniło nas niemal wrogami. Unikała mnie, więc zrozumiałem w pełni, że jestem na straconej pozycji. To nic. Musiałem to powiedzieć, nawet za cenę ostatecznego odrzucenia.

– Pan będzie miał operację. Proszę umówić pacjenta z doktorem Grzegorkiem – poprosiłem.

– Rekonstrukcja? – zapytała Ona, a ja przytaknąłem.

Nagle chłopak wpatrzył się w nią i odezwał zdławionym z emocji głosem:

– Sarna?

Spojrzała na niego zdumiona, ale po chwili jej twarz rozjaśnił uśmiech.

– Rudy! Rudy! Tak się cieszę, że cię widzę!

– Sarna!



Padli sobie w ramiona. Sarna? Pseudonim do niej pasował. Smukła, dostojna i delikatna, chociaż silna. Piękna, nawet w szarości, którą nosiła. Stałem, z zazdrością obserwując tę scenę i nie mogąc odebrać oczu od dwójki młodych ludzi. Pasowali do siebie, wiekiem, siłą, entuzjazmem. Przy mnie nigdy nie była taka radosna. Przy mnie nie wyglądała tak ładnie. Poczułem się nagle bardzo stary. Co ja sobie myślałem? Że ta młoda, piękna dziewczyna, która ma życie przed sobą, zechce starego, zmęczonego życiem doktora, z żoną, która właśnie go opuszcza, i dwiema córkami, z którymi nie potrafi się porozumieć?

– Panie doktorze – powiedział chłopak. – To jest Sarna, najlepsza pielęgniarka i sanitariuszka na świecie. To ona wyjęła mi kulę z głowy. To ona mnie zszyła.

Z jednej strony uratowała mu życie, z drugiej – przez nią kulał. Opowiadała mi o tym, ale nie skojarzyłem tamtej opowieści z obecnym tu pacjentem. Została sama w namiocie zabiegowym, bo chirurg, który z nią pracował, zginął, a dwie sanitariuszki zostały uwięzione pod ostrzałem na sąsiedniej ulicy. Była przekonana, że wszyscy zginą, że nie ma po co zaczynać zabiegu, ale zoperowała młodego człowieka. A po nim jeszcze dwóch innych nieszczęśników. Przeżyli. Ponadto ostrzał się skończył, a Niemcy pozwolili zabrać rannych. Gdyby zaślaniała się brakiem kompetencji, powiedziała, że nie potrafi, bo nie jest lekarzem, nikt nie miałby do niej pretensji. Ale spróbowała. I udało się. Chłopak żyje.

– Ale nie wyjęłam drugiej. – Uśmiechnęła się. – Nie ma jednak tego złego, bo doktor Grzegorek przeprowadzi ten zabieg po mistrzowsku. To najlepszy... – Tu się zawahała, spojrzawszy na mnie przepaszająco.

– To najlepszy chirurg na świecie – dokończyłem i zwróciłem się do chłopaka: – Dlatego właśnie chciałbym, żeby pana reoperował. Siostra Renata, to znaczy Sarna, zrobiła, jak widać, bardzo dobrą robotę, ale doktor Grzegorek jest mistrzem.

– Zastanawiałam się, co się z tobą stało. Czy przeżyłeś... – mówiła do chłopaka. – Miałam nadzieję, że zostaniesz poza Warszawą do końca wojny.

I byłbym chyba nie zniósł tej sielanki, gdyby nie tumult na korytarzu, krzyki, które oderwały ich od siebie.

– Coś się dzieje – powiedziałem i wybiegłem na korytarz.

Widok sprawił, że ugięły się pode mną nogi.

– Doktorze! Doktorze! – krzyczał Alek Frankoński, który niósł na rękach bezwładne zakrwawione ciało dziecka. Rozpoznałem moją Mirkę.

Na korytarz wybiegła Renata, zaraz potem przykuśtykał ten chłopak.

– Alek! – krzyknęła. – Co się stało?

– Na salę operacyjną – odzyskałem głos, chociaż strach ścisnął mi gardło.

– Alek, tędy! – prowadziła. – Sala operacyjna! Idziemy z pacjentką! – krzyczała w stronę pokoi lekarskich.

Nie wiem, jakim cudem dobiegłem na salę operacyjną. Alek położył dziecko na kozetce, Ona zajęła się rozcinaniem ubrania Mirki. Kiedy patrzyłem, jak przecina sweterek, przyszło mi do głowy, że Mirka samodzielnie go wydziergała i pewnie nie chciałyby, żeby się zniszczył.

– Wybuchł granat – powiedział Alek. – U was. Byłem blisko i...

Z brzucha Mirki sterczał kawał drewna. Przerażający widok.

– Boże – jęknąłem. Ręce mi się trzęsły.

Do sali wpadli doktor Lewandowski i dwie pielęgniarki. Błyskawicznie ocenili sytuację.

– Tadeusz, odsuń się – zakomenderował Krzysztof Lewandowski. – Nie możesz operować własnej córki.

Odsunąłem się posłusznie. Do sali wbiegło jeszcze dwóch kolegów lekarzy.

– Alek, co z resztą? – spytała Renata.

– Co z Tereską? – dał się słyszeć głos rudego Michała.

Mój Boże, przecież ich tam w domu było na pewno więcej. Mój Boże, mój Boże, powtarzałem w myślach, nie pozwól im zginąć. Nie teraz, kiedy ocaleliśmy.

– Proszę przygotować znieczulenie. Operujemy natychmiast – powiedział doktor Lewandowski i moją Mirkę, która krwawiła obficie z brzucha i której ciałem wstrząsały drgawki bólu, ułożono na stole operacyjnym i podano jej znieczulenie.

Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, Renata wypchnęła nas wszystkich z sali. Opierałem się, ale tłumaczyła mi jak dziecku:

– Nie może pan przeprowadzić tej operacji ani przy niej być. Przecież pan to wie, doktorze. Inni zrobią to lepiej. I asystuje siostra Natalia, to najlepsza instrumentariuszka.

– Co z Tereską? – zawołał rudy Michał wielkim głosem.

I nagle Alek zwiesił głowę i rozłożył bezradnie ręce.

– Ja...

Osunąłem się na podłogę. Boże, czy moja córka nie żyje? Jedna o włos od śmierci, drugiej już nie ma.

– Alek! Co ty mówisz?! – zdenerwowała się Renata.

– Ja nie wiem – dosłyszałem głos, jakby z oddali. – Jeden z sąsiadów podał mi Mirkę, już na dole. Kazali biec do szpitala, więc biegłem tak szybko, jak tylko mogłem. Ja nie wiem, kto tam jeszcze był.

– No to chodźmy! – wrzasnął rudy Michał, po czym obaj wybiegli ze szpitala. Alek szybko, a Michał kuśtykając.

Renata podeszła, by pomóc mi wstać. Usadziła mnie na leżance pod salą operacyjną.

– Proszę się trzymać, doktorze, proszę się trzymać...

Strach o bliskich dławił mi gardło.

## MIRKA

Leżę w szpitalu, bo miałam operację. W naszym domu wybuchł granat i bardzo mnie poraniło. Ten granat leżał tam od powstania. Sprytnie wpadł za szafę i tak się schował w dziurze w podłodze, że go nie zauważyliśmy, jak odsuwaliśmy tę szafę, żeby wymieść stamtąd pył. Swoją drogą dziwne to, że wybuchł właśnie wtedy, kiedy sprawa z mamą i panem Janem się wydała. No i na szczęście ten granat wpadł jakoś głęboko, bo jakby tak leżał luzem i wybuchł, to bylibyśmy wszyscy w strzępach. A tak to trochę nas poharatało. No i w ogóle to bardzo dziwne z tym wybuchem. Nie umiem sobie wyobrazić, jak to mogło być, żeby tyle czasu leżał i dopiero teraz eksplodował, ni z gruszki, ni z pietruszki.

Tata mówi, że do wesela się zagoi. Czuwa przy mnie cały czas. Ciągłe pyta, czy mnie boli. Kiwam głową, bo nie mogę mówić. Mam złamaną szczękę. Ale to nie jest żaden kłopot, powtarza Renata. Bo przecież ona z tatą pracuje i też przy mnie ciągle jest.

– Śpij, dziecko, śpij – mówi Renata, a ja mam dosyć tego spania, bo ile można spać. Czy ja jestem jakimś susłem albo niedźwiedziem? W dodatku jest lato, a nie zima.

Ból da się jakoś wytrzymać, ale nie mogę się ruszyć. To znaczy nie pozwalają mi się ruszyć z łóżka, ale nawet jakbym chciała, to też nie mogę. Nogi i ręce mam jakieś takie ciężkie, jakby były z ołowiu. I czuję ranę na brzuchu. Gdybym mogła ruszać rękami, tobym napisała swoje pytania, a tak to nic, tylko leżę i leżę.

Kiedy nie śpię, czyta mi tato albo Renata. Alek też przychodzi, żeby mi poczytać, i opowiada różne śmieszne historie. Nie wiedziałam, że taki z niego dowcipniś. Myślałam, że jest strasznie poważny. Wszyscy mówią, że będzie dobrze, że miałam dużo szczęścia.

– Co... Reszta... – wymamrotałam, gdy zostaliśmy raz z Alkiem sami, bo kiedy pytałam o to, jak bardzo kto jest poharatany i gdzie, to tylko mówili, że wszyscy mieli operacje i leżą na innych salach.

Alek był podejrzanie wesoły, ale naciskałam, więc powiedział:

– Nie mogę ci o tym szczegółowo opowiadać, bo masz się nie przejmować.

No i wtedy to się naprawdę przejęłam.

– Yyy... – dukałam. – Po...wy...dź...

– Wszystko jest w porządku. Leżą tu w salach, zaraz obok.

I znów zaczął opowiadać śmieszne historie, co nie było do końca dobre, bo bardzo mnie bolał brzuch, kiedy się śmiałam.

– Nie mogą cię odwiedzić – dowodził tato, kiedy i jego pytałam, co z mamą, Tereską, panem Janem i Babcią Hrabinią. – Przecież i ty ich nie odwiedzasz.

Też prawda.

– Azor... – spytałam, bo pamiętam, że skowyczał, i zastanawiałam się, gdzie teraz jest.

– Nie możemy wpuścić psa do szpitala, bo ma dużo zarazków – powiedziała Renata, ale nie patrzyła na mnie, więc przeraziłam się, że Azor jest ciężko ranny, i zaczęłam płakać.

– A...zor... – wyłam, więc w końcu mnie zapewniła, że Azor żyje, tylko ma złamane obie łapy, bo jak wybuchło, to szafa na niego spadła. Kazałam Renacie przysiąc na własne życie i w końcu przysięgła na życie własne i to, które się w niej właśnie rodzi.

Czyli że Azor żyje i ma się dobrze, a Alek i Renata będą mieli dziecko. Może to wreszcie skłoni Tereskę, żeby sobie odpuściła. Swoją drogą to ciężko jej musi być, kiedy Renata jej basen przynosi, żeby robiła, co trzeba, i kiedy ją myją, nagutką, jak ją Pan Bóg stworzył. Ze mną tak robią, to pewnie z Tereską też. Biedna Tereska.

Po tygodniu odwiedził mnie Stefan. Ucieszyłam się jak nie wiem co, chociaż pewnie inna dziewczynka to by nie chciała, żeby ją chłopak oglądał w takim stanie. Miałam nadzieję, że mi powie, co i jak, ale też nie mógł mnie denerwować. No ale potwierdził, że Azor żyje i jest teraz u Frankońskich, którzy się nim opiekują. Tak mi ulżyło, bo nie do końca dowierzałam Renacie i Alkowi, że się rozplakałam, co było kłopotliwe, bo łzy tylko łaskotały, kiedy spływały, a smarki bulgotały mi w nosie i trzeba je było obtrzeć. I Stefan stanął na wysokości zadania. Wyjął chusteczkę z kieszeni (chusteczkę dała mu pani Garwoniowa, czyli teraz jego mama) i wytarł mi nos.

– Nie płacz – powiedział.

– Opo...wiedz – poprosiłam, bo coraz lepiej mówiłam.

Szczęka mnie swędziała, co według wszystkich oznaczało, że się goi. I żartowali sobie, że jak się całkiem zagoi, to mi nie powiedzą i dalej będę leżała z bandażami na twarzy i jadła przez rurkę, żebym tyle nie gadała.

– Nie wiem co. – Wzruszył ramionami. – Piaseccy cię pozdrawiają. Pan Piasecki to chciał tu przyjść, żeby ci opowiadać o roślinach i zwierzętach. Ale mu powiedzieli, że jeszcze nie można. I ustaliliśmy, że jak wrócisz do domu, to wtedy będzie ci opowiadał.

Ciekawe, do jakiego domu mam wracać. Nie jestem pewna, ale chyba całą ścianę wywaliło, więc dopóki nie zbudują na nowo, to trudno będzie.

– Doom...u...

– O to się nie martw. Wszyscy chcą pomóc. Państwo Piaseccy, my z mamą, będziecie mieli gdzie mieszkać.

– Kie...dy... – znów wyjęczałam.

– No z tobą generalnie to kiepsko było – stwierdził. – Wszystko ci się połamało. Ręce, nogi. I z brzucha ci coś wyjęli. I coś ci tam pękło w środku, nie wiem dokładnie co.

Śledziona. Tata mi mówił. Że mi usunęli śledzionę. Pocieszał jednak, że śledziona nikomu nie jest potrzebna do szczęścia. Mam nadzieję, że mówił prawdę, bo niby po co by Pan Bóg stwarzał śledziony, skoro nie są potrzebne.

– Nooo... – wymamrotałam, bo jakoś mi się głupio zrobiło, kiedy Stefan tak mówił. No i przypomniałam sobie, że będę miała blizny na brzuchu i pewnie na ręku, bo jedno ze złamań było otwarte. Mam nadzieję, że w środku się dobrze zrośnie, bo ja muszę mieć ręce do szycia i do pisania w szkole. A właśnie, że szkoła to jest tak, że we wrześniu do niej idziemy. Renata mi mówiła. Szkoła to może za dużo powiedziane, taki barak na Marszałkowskiej. Ale brzmi dumnie. I przyjmą mnie od razu do piątej klasy. Ponoć ktoś załatwił, pewnie mama. Tylko ciekawe, jak to się stało, bo leży w szpitalu przecież. Ale może już wyszła.

– A u mnie to wszystko dobrze. Pani... – Zawahał się. – Mama Ania – poprawił się, a ja się wzruszyłam – jest dla mnie bardzo dobra. I prosiła, żebym mówił „mamo” i nie gniewał się, jeśli zdarzy się jej mówić do mnie „Janku”. Ale ani razu tak nie powiedziała. Mówi „Stefciu”. Mieszkamy w tym pokoju i już była komisja. Powiedziało się, że papiery spłonęły, wiadomo, i mnie na nowo zarejestrowali.

– Dobrze... – Ścisnęłam go za rękę, a wtedy i on mnie zaczął ścisnąć, aż mnie bolało bardzo, i powtarzał:

– Mirka, Mirka, jak usłyszałem, co ci się stało, to myślałem, że zwariuję. Tak się bałem, że nie przeżyjesz. Tak się bałem. Bo ja wtedy, to ja nie wiem, co wtedy. Bo ty dla mnie jesteś...

A ja tak leżałam jak kukielka, którą lalkarz porzucił i znów się usmarkałam cała i Stefan znów mi nos obtarł, a potem się pochylił, by pocałować mnie w policzek.

– Jutro też do ciebie przyjdę – rzucił i uciekł z pokoju.

## *Pamiętnik Tereski*

Pamiętnik znalazłam w ruinach, wiele miesięcy po wybuchu. Byłam świeżo po szpitalu, jeszcze miałam gips na ręce, bo połamała się w kilku miejscach. Potem się dowiedziałam, że chcieli mi ją obciąć, bo była całkiem potrzaskana. Na szczęście uznali, że taka młoda dziewczyna z kikutem przy ramieniu, nawet po wojnie, to wielkie nieszczęście. Tę jedną rękę operowali mi trzy razy. I udało się. Mam ją całą, calutką, od ramienia po palce, chociaż blizny będą widoczne. Zacznę nosić sukienki z długim rękawem. Grunt, że wszystkie palce się ruszają, wszystko czuję. Może trochę mały palec mam sztywny, ale komu potrzebny mały palec, nawet prawej ręki.

Jeszcze przed swoim wyjazdem na zachód tato starał się, żeby odbudowano nasz dom. Bał się ponoć, że zrównają naszą kamienicę z ziemią, nas wywiozą gdzieś poza Warszawę, potem odbudują ją, ale zakwaterują kogoś innego. Wiadomo, jak jest, chętnych wielu, a ręka rękę myje. Ale udało się. Chyba dzięki dawnej pozycji mamy w „Kurierze Porannym”. Uznali, że nam się należy. Przyszli, coś tam dywagowali, ale tata nie odpuścił. W końcu przyjechali robotnicy i zaczęli niemal na nowo stawiać, najpierw parter, potem piętro po piętrze. Na początku jednak wywieźli gruz. Ponoć tato bezskutecznie się starał, żeby zrobiono to wcześniej, wtedy, kiedy zabierali zwłoki, ale nie chcieli. Dobrze, że mnie przy tym nie było, bo nie zniosłabym widoku poszarpanych ciał bliskich. Ale i dobrze, że przyszedłam obejrzeć zniszczenia, bo trafiłam na pamiętnik. No i trzeba się zmierzyć z tym, co się stało. I tak długo tkwiłam w nieświadomości.

Byłam przy tym, jak zaczęli. Cały nasz dom, cała historia z nieszczęściem, jakie spotkało naszą rodzinę, odchodziły w przeszłość. Przynajmniej bardzo chciałam w to wierzyć.

To Danka przyniosła do domu granat. W spadochronie. W szpitalu powiedzieli mi, że był pod podłogą, za szafą, takie bzdury. Wszystko, żebym zbyt wcześnie nie dowiedziała się prawdy. Gdybym od początku wiedziała, gdzie naprawdę tkwił, domyśliłabym się, że Danusia zginęła. Trzymała toból w ręku, musiała tak poruszyć linkami, że wyciągnęła zawleczkę. Ponoć nic z niej nie zostało. Straszne, straszne nieszczęście i wielki żal. Wyobrażam sobie, co czują państwo Frankońscy i Alek. Nie miałam siły się z nimi zobaczyć. Mam poczucie winy, bo niejako sama się do tego przyczyniłam. Będę musiała z tym żyć. Trudno będzie. Ponoć Frankońscy nie mają żalu. Pani Frankońska mówiła, że widocznie tak musiało być. I prosiła o modlitwę. Nie wiem, co trudniejsze. Modlitwa za Danusię czy życie bez niej.

Kiedy wzięłam do ręki pamiętnik, wszystkie wspomnienia wróciły. Mama, która jedyna pozostała nietknięta, i pan Jan, który stracił nogę, syk, wybuch i to, co powiedziałam do Danusi w ostatnich chwilach jej życia. Przypomniałam sobie skowyt Azora i spojrzenie Babci Hrabiny, która też zginęła, bo waląca się ściana spadła na nią i zmiażdżyła jej głowę. Strasznie ją kochałam i bardzo płakałam, kiedy się dowiedziałam, że już jej nie ma.

Przeczytałam pierwsze zdania pamiętnika. Popatrzyłam na Azora, który odkąd wróciłam ze szpitala, nie odstępował mnie na krok, i oboje byliśmy pewni co do tego, że pamiętnik trzeba zniszczyć. Nie mógł wpaść w ręce ani Alka z Renatą, ani pana i pani Frankońskich, ani tym bardziej mamy, bo tata już wyjechał do Wrocławia, żeby tam, z dala od naszego nowego życia, zacząć własne nowe życie.

Patrzyliśmy z Azorem, jak ogień trawi zatrzymane w słowach wspomnienia i nadzieje mojej siostry. Byłam pewna, że Tereska, moja piękna siostra, za którą bardzo tęsknię i której imienia wciąż nie mogę wymówić bez bólu, na pewno by tego chciała.

## Polecamy



Ałbena Grabowska

RZEKI PŁYNĄ, JAK CHCĄ

### **Trzy siostry, których życie skomplikowały wojna i miłość**

Klara, Róża i Amelka. Panny Terechowiczówny. Przed wojną jeździły z rodzicami do wód, mieszkały w wytwornym pensjonacie, a matka pilnowała, by parasolkami chroniły delikatną cerę przed słońcem. Rok 1914 wywrócił życie sióstr, podobnie jak milionów ludzi w Europie, do góry nogami. Ojciec poszedł na front, a majątek bez jego opieki szybko zaczął podupadać.

Lata mijają. Matka na przemian rozpacza i modli się, Róża wciąż jest trzpiotką, a Klara, mimo protestów starej gosposi Ludwiżanki, urabia sobie ręce po łokcie. Amelka wbrew woli zszokowanej rodziny postanawia podjąć pracę w szpitalu wojskowym w Warszawie. Jednak to zaledwie grom przed prawdziwą burzą. Po kilku miesiącach zawiadamia bowiem rodzinę, że wraca do rodzinnego majątku z... mężem. Żołnierzem, którego poznała w szpitalu.

Kim jest mąż Amelki? Jak jego obecność w dworze wpłynie na życie Klary, Róży i ich matki? Czy Amelka może być pewna uczuć męża?